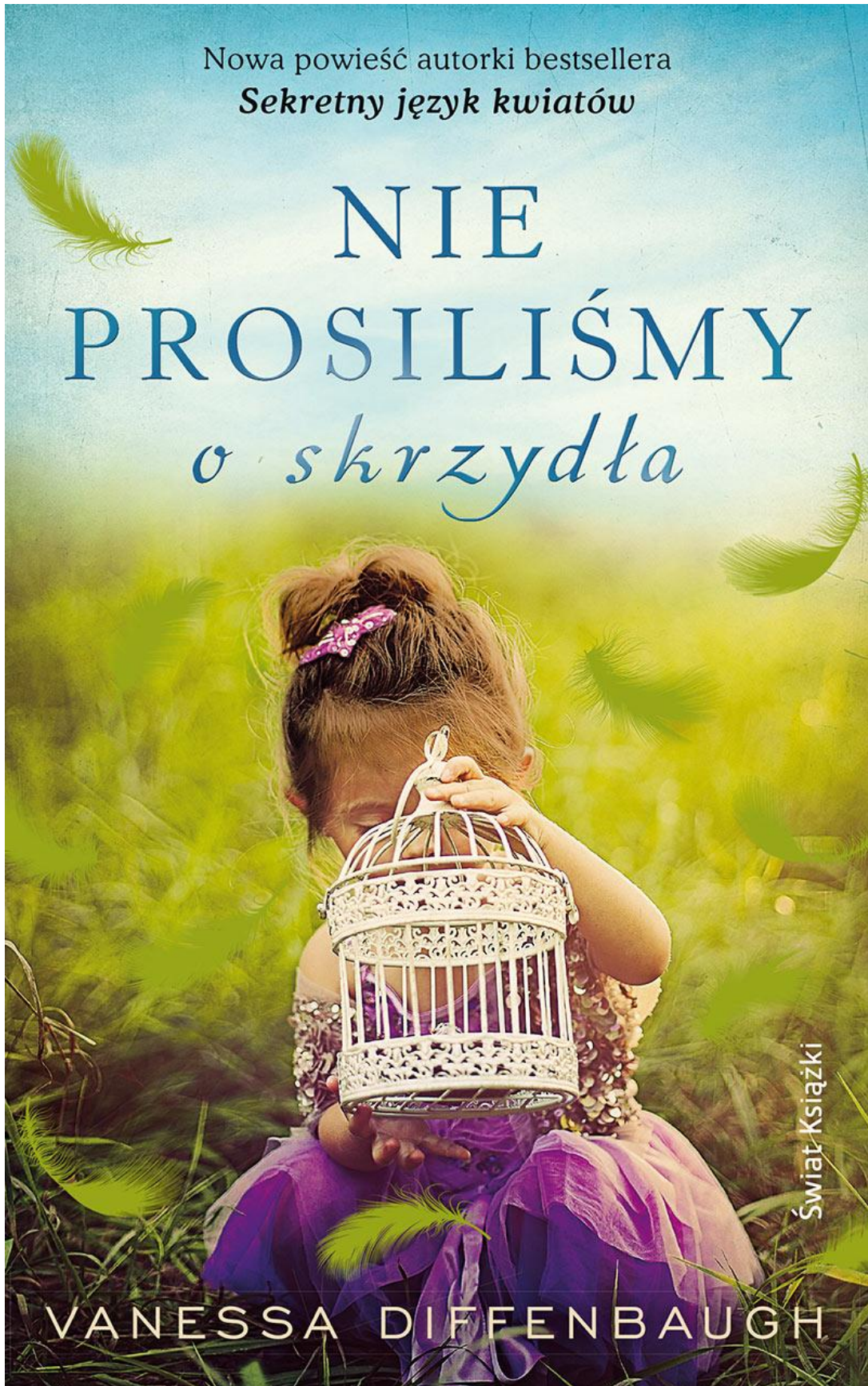


Nowa powieść autorki bestsellera
Sekretny język kwiatów

NIE
PROSILIŚMY
o skrzydła



Świat Książki

VANESSA DIFFENBAUGH

Spis treści

Karta tytułowa Karta redakcyjna Część pierwsza Część druga Część trzecia Część
czwarta Podziękowania O autorce

VANESSA DIFFENBAUGH

NIE
PROSILIŚMY
o skrzydła

Z angielskiego przełożyła
Macieja Mazan


Świat Książki
wydawnictwo

Tytuł oryginału
WE NEVER ASKED FOR WINGS

Wydawca
Grażyna Woźniak
Agnieszka Koszałka

Redaktor prowadzący
Beata Kołodziejaska

Redakcja
Joanna Popiołek

Korekta
Jadwiga Piller
Ewa Grabowska

Copyright © 2015 by Vanessa Diffenbaugh
All rights reserved
Published by arrangement with HarperCollins Publisher.
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation by Maciej Mazan, 2016

Świat Książki
Warszawa 2016

Świat Książki Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Skład i łamanie
Piotr Trzebiecki

Dystrybucja
Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o., Sp. j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl tel. 22 733 50 10

www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-8031-328-6

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Dla Donovana, Tre'von, Gracieli i Milesa

Pamięci Sharon Renee Higgins, 1991–2011

*Znam himalajską legendę,
o pięknych białych ptakach,
co życie spędzają w locie,
na świat przychodzą wśród chmur,*

*uczą się latać, nim spadną,
i śmierć przerywa ich lot.
Może właśnie to życie
dał ci los,*

usuwając ci ziemię spod stóp.

fragment wiersza *W locie*
Jennifer K. Sweeney

Jeszcze nie było za późno na odwrót. Jadąc we mgle kwadrans po północy, Letty przy wszystkich pojawiających się zniemacka znakach zjazdu z autostrady usiłowała zawrócić w stronę, z której przybyła. Za każdym razem wahała się o chwilę za długo. Zjazdy pojawiały się i znikaly i tylko ściana mgły i tequila w butelce po wodzie zmuszały ją do dalszej jazdy – poza San Jose, Los Banos i Coalingę, przez kwaśną chmurę Harris Ranch, coraz szybciej, aż nawet te żółte przerywane linie, za którymi jechała przez ponad trzysta kilometrów, zmieniły się w pasmo bieli.

Opuściła swoje dzieci.

Nie z premedytacją, powtarzała sobie, jakby dzięki temu przestępstwo miało się stać mniej poważne. I wszystko wydarzyło się szybko – zbyt szybko, żeby miała czas się zastanowić, obudzić je, zabrać ze sobą. Wróciła do domu i stwierdziła, że jej dwoje dzieci śpi w pustym mieszkaniu, a na kuchennym stole leży pospiesznie nagryzmołony list. Przeczytała go i wpadła w panikę, a wtedy zrobiła jedyne, co przyszło jej do głowy: dopisała swoje imię na dole kartki i wybiegła tak jak stała.

Jej młodsza córka Luna spała po przekątnej ich wspólnego łóżka. Letty wyobraziła ją sobie, szukającą matki w ciemnościach. Dłonie jej zmarzną, splątana kołdra spadnie na podłogę. Po drugiej stronie pokoju w łóżku pod oknem Aleks pewnie cicho pochrapuje albo mówi przez sen – naukowe mamrotanie, które słyszała tylko Letty i w które nie wierzył nikt włącznie z Alekssem.

– Wróć, zanim się obudzicie – szepnęła Letty, mając nadzieję, że to prawda.

A jednak ciągle jechała, z każdą chwilą się od nich oddalając.

U stóp gór Tahachapi wyrzuciła przez okno butelkę po wodzie z resztką tequili i spojrziała w mrok. Gdzieś daleko przed nią autobus Greyhounda sunął ku meksykańskiej granicy. Czowała go tak mocno, jakby jakaś lina łączyła jego zderzak z jej sercem. Niegdyś przecięłaby tę linę i uciekła w przeciwnym kierunku. Ale od tego czasu upłynęło wiele lat. Całe życie pełne błędów, które nauczyło ją tego, w co wierzyli wszyscy z jej otoczenia: że nic nie może, że sama znaczy zbyt mało. Dlatego już dawno powierzyła swoje życie jedynej osobie na świecie zdolnej nad nim zapanować.

Potrzebowała swojej matki.

Część pierwsza

1

Materac ugiął się, gdy Alex na nim usiadł. Luna zwinęła się w kłębek, jak zawsze, kiedy chciała udawać, że śpi: powieki miała zbyt mocno zaciśnięte, kąciki ust opuszczone, ponieważ Alex powiedział jej kiedyś, że się uśmiecha, kiedy symuluje sen. Pasma długich czarnych włosów wyśliznęły się z jej warkoczy i zaplątały w złote kolczyki; płatki zaschniętej śliny łuszczyły się na policzku. Zerknęła na Aleksa przez zlepione rzęsy i znowu zacisnęła powieki. Tam gdzie ostatnio wypadły jej dwa przednie zęby, dziąsła miała obrzmiałe i czerwone.

Jak mógł jej powiedzieć?

Miała tylko sześć lat. Sześciolatka, w dodatku taka drobniutka – choć babcia nieustannie gotowała, zdarzały się tygodnie, kiedy Luna chudła zamiast tyć, a nie miała z czego chudnąć. Czym miał ją karmić? Znowu ogarnęła go rozpacz, tak jak wtedy, gdy się obudził i przeczytał list. Nadał policzki i wstrzymywał oddech tak długo, aż minęła. Wszystko się ułoży, pomyślał. Wszystko się bardzo dobrze ułoży. Miał czternaście lat, za miesiąc skończy piętnaście. Na tyle długo przyglądał się babci, żeby wiedzieć, jak to się robi. Ale nie będzie łatwo. Luna nie należała do posłusznych dzieci. Skłonienie jej do czegokolwiek wymagało długich negocjacji, podstępów, a czasem – nawet w przypadku babci – przekupstwa.

Postanowił przejść od razu do tego ostatniego.

– Szkoda, że Luna śpi, bo zamierzam zjeść pączki na śniadanie.

Mała wcisnęła twarz w poduszkę, żeby zdusić pisk i zasłoniła uszy, jakby w ten sposób mogła sprawić, że babcia nie usłyszy. Złamał co najmniej trzy zakazy:

1. Zatrzymywania się w drodze do szkoły.
2. Jedzenia cukru przed południem.
3. Jedzenia pączków gdziekolwiek i kiedykolwiek.

– Nie martw się, jej tu nie ma.

Luna podniosła głowę znad poduszki. Spojrzała na Aleksa brązowymi oczami, szukając wskazówek, jak powinna się czuć w tym nieznanym stanie.

– A gdzie jest?

Alex zmusił się do uśmiechu.

– Mama pojechała z nią po dziadka.

– Znalazły go?

Alex milczał przez chwilę. Potem jakby zatoczył krąg głową; ruch, który Luna mogła zinterpretować jako potwierdzenie, lecz na tyle dwuznaczne, że Alex mógłby nawet u bram niebios przysiąc, iż nie skłamał. Ukrył list babki za słoikiem na napiwki, który matka trzymała w kuchennej szafce (miał nadzieję, że jest pełny, ale zabrała prawie wszystko, zostawiając na dnie tylko cienką warstwę monet), i obliczył czas, jaki zajęłaby im droga do Oro de Hidalgo i z powrotem przy prędkości stu kilometrów na godzinę. Najbardziej optymistyczny scenariusz...

– Wrócą w piątek.

Luna zamilkła i przez chwilę wydawało mu się, że się martwi tak jak on, w jaki sposób matka przewiezie przez granicę swoich rodziców, Marię Elenę i Enrique – i czy w ogóle uda im się wrócić. Ale potem spytała, który to dzień tygodnia.

– Wtorek.

Prześpiewała dni do melodii *Clementine* i policzyła na palcach.

– Trzy dni.

– Dokładnie. Trzy dni jedzenia, co chcemy, i chodzenia po szkole do kolegów.

Nie mieli kolegów. Luna nie wydawała się przekonana.

Uściskał jej stopy przez koc, usiłując wymyślić coś na pocieszenie.

– Już raz zostaliśmy sami, pamiętasz?

Skinęła głową, po raz pierwszy ze strachem w oczach. Zbyt późno uświadomił sobie, że nie powinien był tego mówić. Oboje pamiętali ból brzucha po niedopieczonych kartoflach i to, jak Luna przepłakała rozpaczliwie całą noc, nie dając się pocieszyć. Wtedy Maria Elena nie zamierzała ich zostawić. Wyjechała z Enrique z miasta i wynajęła opiekunkę do dzieci, ale ta zachorowała i odeszła, i choć w panice zadzwonili do Letty, przyjechała do domu dopiero o szóstej rano.

– Teraz jestem starszy – oznajmił, a potem dodał, ponieważ nie przychodziło mu do głowy nic innego: – Z posypką?

Luna przyjrzała mu się uważnie.

– Naprawdę będziemy jeść pączki?

– Jeśli w końcu się wygrzebiez z łóżka. – Wyciągnęła ręce, a on podniósł ją i postawił na podłodze. – Pomóc ci?

– Babcia pozwoliła mi włożyć sukienkę w serduszka. Powiedziała, że ją upierze.

– Nie wiem, gdzie jest.

– Ale ona mi pozwoliła!

Dokładnie takie rozmowy potrafiły doprowadzić do wybuchu hysterii, z której otrząsaliby się przez połowę ranka.

– Czekać.

Zajrzał do szafy, w której babcia wieszła wyprasowane ubrania, a potem do

kuchennego zlewu, w którym namaczała pranie na noc. W końcu znalazł sukienkę na schodach, rozłożoną na ręczniku.

– Jest mokra – powiedziała Luna.

– Więc włoż mokrą albo coś suchego.

– Ale chcę ją włożyć. I nie chcę, żeby była mokra.

Ujęła sukienkę za rękawy i obróciła się z nią dookoła. Materiał śmignął tuż przed twarzą Aleksa, który chwycił sukienkę.

– Przestań. Chodź. – Wyjął z komody legginsy i podkoszulek z długimi rękawami i ubrał ją w nie, po czym włożył jej przez głowę mokrą sukienkę. – Nie widać, że jest mokra.

Luna zmarszczyła nos.

– A po co w ogóle idziemy do szkoły? Proszę, proszę, proszę, zostańmy w domu i pooglądajmy telewizję.

– Nic z tego. – Byli tak bardzo różni, że czasem się zastanawiał, czy w ogóle są spokrewnieni. No, ale on różnił się od wszystkich znanych sobie osób. Gdy koledzy z ósmej klasy czytali ukryte za podręcznikami zakazane pisemka, a koleżanki malowały sobie paznokcie pod ławką i udawały, że ich nie ma, żeby nie wywołano ich do odpowiedzi, on codziennie zjawiał się w szkole z jakimś nowym faktem, którym szokował lub zadziwiał nauczycieli. Większość tych informacji miał od dziadka, jedynej znanej mu podobnej do niego osoby. Enrique potrafił wymienić w alfabetycznym porządku wszystkie ptaki migrujące przez Pacyfik, czego nauczył się od swojego ojca. Alex potrafił wyrecytować tę litanię, odkąd pamiętał.

Wyjął ubrania z szafy i poszedł do łazienki, żeby się ubrać. Zamknął drzwi na klucz i włożył białą, uprasowaną przez babcię koszulę. Z powodu tych koszul koledzy z Cesar Chavez nadali mu przydomek Spiker, ale Alex wiedział, że nie wygląda jak pan z telewizji. Przede wszystkim był za chudy, a jego nos urósł wcześniej niż reszta twarzy. Prawdziwym minusem jego wyglądu były jednak włosy: falująca, niemal blond czupryna, którą odziedziczył chyba po ojcu. Alex go nie znał, ale w pudełku pod łóżkiem Letty znajdowała się zaklejona koperta, zaadresowana do Wesa Rileya, 536 Elm Street w Mission Hills w Kalifornii. Kiedy Alex wygooglował to nazwisko na szkolnym komputerze, ujrzał zdjęcie mężczyzny niemal takiego samego jak on – niebieskie oczy, mleczna skóra i kwadratowa szczęka. Mężczyzna na każdym zdjęciu występował w szpitalnym kitlu i miał na rękach inne ciemnoskóre dziecko. Podpisy pod zdjęciami głosiły: „Mumbaj”, „Malawi”, „Gwatemala”. Wes Riley dostał w 2005 roku nagrodę, ale artykuł na ten temat był napisany w jakimś afrykańskim języku, którego Alex nie znał i nie rozumiał.

Ze wszystkich informacji, jakie zebrał na temat swojego ojca, najbardziej interesował go tamten adres. Wskazywał miejsce w pobliżu autostrady. Alex od lat

wyobrażał sobie, jak mija dom, ojciec rozpoznaje go przez okno i wybiega. Ale nigdy nie udało mu się uciec spod czujnej obserwacji Marii Eleny i dotrzeć tak daleko, a nie potrafił zdobyć się na odwagę i spytać matkę o ojca ani o okoliczności swoich narodzin – głównie dlatego, że nie potrafił zdobyć się na odwagę, żeby spytać matkę o cokolwiek.

Szybko wyszorował zęby. Luna zaczęła się dobijać do drzwi.

– Alex! Ja muszę!

Maria Elena przygotowała im posiłki na cały tydzień i ułożyła je na górnej półce lodówki, wszystkie opisane: ALEX: WTOREK, LUNA: WTOREK, a za nimi środy, czwartki i piątki. Za obiadami znajdowały się resztki ze wszystkich posiłków, jakie babcia zrobiła przez ostatnie dwa tygodnie, posegregowane, opatrzone datami i – co Alex mógł sobie wyobrazić, nie zdejmując pokrywek – w wielu wypadkach bliskie spleśnienia. Wyjął wtorkowe paczuszki i włożył je do ich plecaków, przy okazji sprawdzając, czy tenisówki nadal są na dnie, tam gdzie ich miejsce.

Z łazienki dobiegł szum spuszczonej wody i pisk odkręcanego i zakręcanego kranu. Luna stanęła w progu. Woda spłynęła jej na czoło z włosów, których pasma wygładziła i wplotła na nowo w warkocze. Jeśli nawet nauczycielka niczego innego nie zauważy, to nie umknie jej uwadze, że Luna po raz pierwszy w tym roku przyszła nieuczesana. Ale Luna zajmowała ostatnie miejsce na liście problemów nauczycielki – pewnie przez cały dzień pozostanie niezauważona.

Alex wyłowił ze słoja garść dwudziestopięciocentówek i włożył gumki. Podał Lunie jej parę – do kolan, w różowe grochy. Stanowiły element ubioru niezbędny do przetrwania na Przystani, jedyny dobrej jakości, jaki kupowała babcia. Luna włożyła buty.

– Nadal jest, widziałeś?

– Co?

Dała mu znak, żeby poszedł za nią. W pokoju dziadków łóżko było pościelone jak zawsze, z porządnie wygładzoną kapą, ale Alex natychmiast zauważył, że coś się zmieniło. Po krzyżu nad łóżkiem został tylko gwóźdź; z błyszczącej od jakiegoś środka do polerowania komody babci zniknęły fotografie. Alex wyobraził sobie, jak babcia się pakuje, przy okazji wycierając kurz. Luna pociągnęła go do warsztatu dziadka pod oknem, na którym nadal spoczywał jego ostatni projekt.

Od pół roku dziadek pracował nad mozaiką z piór – pejzażem z meksykańską wioską, z małymi lepiankami, stojącymi w nierównych rzędach, i otuloną chustą kobietą, spoglądającą na księżyc w pełni. Miała twarz odwróconą profilem, była młoda, ale Alex widział, że to babcia. To zawsze była babcia.

Mozajki wykonano tak misternie, że z oddali mogły uchodzić za obraz olejny – każde piórko jak ruch pędzla – ale składały się wyłącznie z piór, osadzonych w grubej warstwie wosku *campeche*. Jego ciężki zapach wisiał w powietrzu, budząc dojmującą tęsknotę za dziadkiem – za tym, jak klepał się po udach, gdy Alex wchodził do pokoju, nawet kiedy chłopiec stał się już za duży, żeby mu siadać na kolanach, za tym, jak rzucał wszystko, żeby stanąć przy oknie i opowiadać o przyrodzie wnukowi, który zapamiętywał każde jego słowo.

Enrique wyjechał sześć tygodni temu. Wrócił do Meksyku, żeby być z umierającą matką. Teraz zniknęła także Maria Elena i Letty. Alex podszedł do okna i spojrzał na pusty krajobraz.

Byli całkiem sami.

I to wydawało się niedorzeczne, zważywszy że znajdowali się niespełna trzydzieści kilometrów na południe od San Francisco. Na ogół nie zauważał tej izolacji albo starał się myśleć wyłącznie o jej dobrych stronach: ptakach, widoku, wodzie. Ale raz na jakiś czas to do niego docierało. Gdzie jest cywilizacja? Mile Road biegła przez puste trzęsawiska od autostrady 101 na skraj zatoki i kończyła się przy trzech przysadzistych budynkach Przystani Eden: bloku A, pomalowanym na industrialny odcień brzoskwiнового brązu, bloku B, mającym o pół tonu ciemniejszy odcień tego samego brzydkiego koloru, i bloku C, najbliższym wody i utrzymanym w spłowiałym błękitcie jakka drozda. Ogródzenie z drutu kolczastego oddzielało Przystań od międzynarodowego lotniska San Francisco na północy. Od podupadłej jałowości Bayshore nie oddzielało jej nic oprócz odcinka wiecznie zmiennych bagien. W pobliżu znajdowały się inne miasta, takie ładne, Hillsborough, Burlingame i San Mateo, ale autostrada 101 odcięła Przystań i Bayshore od reszty półwyspu. Z miejsca, w którym stał, Alex widział Mission Hill, najzamożniejszą podmiejską dzielnicę, tuż za autostradą – ale wydawało mu się, że dzieli go od niej cały świat.

– On wróci, prawda? – spytała Luna, wrywając go z zamyślenia. Patrzyła na mozaikę dziadka. Wokół księżycy w pełni prześwitywał krąg wosku, czekoladowego i lepkiego; obok z opatrzonej nalepką koperty wystawały czarno-niebieskie pióra, jakby czekały na powrót dziadka.

– Oczywiście – powiedział Alex.

Ale nie był tego pewien.

Tuż przed odjazdem dziadka Alex pożałił się, że nie mają ani jednej jego pracy. Siedział obok Enrique przy warsztacie, tak jak miał w zwyczaju robić to po szkole, oddzielając jednobarwne piórka strzyżyka błotnego od pasiastych. Enrique poważnie pokiwał głową, ale nie odpowiedział. A teraz wyjechał.

Może zostawił mozaikę celowo, pomyślał Alex. Jako milczące przeprosiny za nagłą ucieczkę.



Zrobiło się późno, kiedy w końcu wyszli z domu. Słońce stało wyżej, niż powinno, a pani Starks już siedziała na swoim leżaku przed blokiem B, paląc drugiego papierosa. Miała cały budynek dla siebie. Należało do niej mieszkanie na najwyższym piętrze (mówiła, że to penthouse), podobnie jak zabity deskami lokal na parterze, który nazywała swoim sklepem. Stały w nim stare meble, które kupowała, gdy budynki powoli się wyludniały. Powiedziała raz Aleksowi, że je reperuje – „to ładne rzeczy, antyki, których nie powinno się porzucać” – żeby je sprzedać i wyprowadzić się stąd. „Będę bogata – powiedziała. – To moja szansa”. Ale ta rozmowa odbyła się przed laty, a ona nadal tu siedziała, dzień w dzień, paląc papierosy.

– Jest moja brudaska! – zawołała na widok Luny, pędzącej przez pusty parking. Mieli chodzić chodnikami, ale Luna nigdy tego nie robiła. Zeskoczyła z betonu prosto w błoto i przyglądała się, jak gliniasta maź powoli podnosi się i kompletnie zalewa stopę gumowca. Pochyliła się, złapała cholewkę obiema rękami i pociągnęła, wyzwalając nogę z głośnym cmoknięciem.

– Jeszcze raz! – rzuciła pani Starks, stukając papierosem o plastikową poręcz leżaka. Luna stanęła na drugiej stopie, a potem skoczyła na obie nogi, powoli zapadając się, jakby zjeżdżała bardzo wolnymi ruchomymi schodami. Gdy błoto już miało się przelać przez krawędź cholewek, wskoczyła znowu na chodnik.

– Jeszcze centymetr i byłoby po wszystkim!

To samo powtarzało się każdego ranka, dopóki Maria Elena nie wychyliła się z okna i nie zakończyła tej zabawy. Czasem dołączała się do niej pani Puente z bloku A albo bracia Ramirez, choć kiedy się pojawiali, Alex nie czekał na pomstowanie babki, tylko od razu wciągał Lunę na chodnik, nawet gdy wrzeszczała i wierzgała.

– Dzień dobry, pani S – powiedział Alex. Pani Starks spojrzała na niego z zaskoczeniem, nie spodziewając się takiego powitania. Potem wydmuchnęła dym kątem ust.

– Ano dzień dobry – mruknęła, spoglądając na okno i znowu na Aleksa. – Spóźniliście się?

– Pójdziemy szybko.

– No to zagęszczajcie ruchy. – Pani Starks znowu spojrzała nerwowo w okno. Maria Elena nie lubiła, kiedy dzieci z nią rozmawiały, a ona o tym wiedziała, ale czasem po szkole stawała na bagnach, tuż poza zasięgiem wzroku ich babki, w kapeluszu przeciwsłonecznym zasłaniającym jej długie, rozwichrzone włosy, w krótkich szortach, obnażających zwiędłe gołe uda, z miętówką lub śmietankowym dropsem, ściągniętym z jakiejś poczekalni. Było to trochę upiorne, ale Alex i Luna zawsze przyjmowali poczęstunek i zjadali go szybko, miażdżąc zębami twarde landrynki na tych ostatnich stu metrach do domu.

– Alex!

Luna zwlekała za długo; błoto wlało się do jej prawego gumniaka. Wyciągnęła rękę, czekając, aż brat ją wydostanie. Dlatego spakował zapasowe skarpetki. Chwycił jej dłoń, usiłując ukryć zniecierpliwienie, i szarpnął do siebie, ale wyrwała się i popędziła ku brzegowi, chlupiąc wodą z buta.

Alex ruszył za nią przez sieć wydeptanych ścieżek łączących Przystań z resztą Bayshore. Nie potrafił sobie tego wyobrazić, ale Przystań nie zawsze była taka pusta. Te budynki w początkach swojego istnienia roily się od dzieci. Ktoś tu zawsze ginał; w zatoce rozbrzmiewały nawoływania i odpowiedzi z niespodziewanych okien albo gdzieś z bagien. Wtedy, opowiadała babcia, kobiety nie bały się tak błota, kupowały na spółkę tuzin par rybackich butów i w podkasanych sukienkach szorowały do najbliższego sklepu. Cały półwysep śmierdział smaženiną. Alex słyszał te opowieści tyle razy, że prawie za tym tęsknił, za tym światem, którego nigdy nie widział.

Luna dotarła do wody i wdrapała się na kamienny falochron, oddzielający bagna od zatoki. Przeskakiwała z kamienia na kamień, rozkładając ramiona jak skrzydła. Alex podążał tuż za nią i niemal się z nią zderzył, gdy nagle się zatrzymała, przykucnęła i wyjęła coś z ciemnej szczeliny między dwoma kamieniami. Podniosła to coś.

Pióro z ogona, od dwudziestu do dwudziestu czterech centymetrów, w szerokie poziome pasy, od średnio- do jasnoszarego. Sam czubek pióra był śnieżnobiały.

– Czyje to? – spytała.

– Krogulca zmiennego.

Alex wyjął pióro z ręki siostry. Kiedyś, stojąc na ganku, spytał babci, dlaczego została, kiedy budynki zaczęły się rozpadać, a inne rodziny się wyprowadziły, kiedy matka była jeszcze młoda, a Przystań stała się niebezpieczna, nim całkiem opustoszała. Babcia nie odpowiedziała, spojrzała tylko w niebo, gdzie jakby w reakcji na jego pytanie pojawiło się stado biegusów alaskańskich. Zostali z powodu ptaków. Tylko powrót do Meksyku potrafił skłonić dziadka do opuszczenia domu leżącego na trasie przelotu ptactwa, gdzie mógł z okna obserwować miliony ptaków, które każdej wiosny i jesieni zatrzymywały się tu na odpoczynek przed długą wędrówką.

Alex włożył pióro we włosy siostry i zeskoczył z falochronu.

– Chodź – powiedział, wyciągając do niej ręce. – Czuję zapach cukru.

Spotkanie nie poszło zgodnie z oczekiwaniami. Gdy Letty w końcu znalazła matkę na dworcu Greyhounda w North Hollywood, Maria Elena była tak zaskoczona, a potem zła, że nie chciała wysiąść z autobusu ani odezwać się czy choćby spojrzeć na córkę. Zdesperowana i wyczerpana – i pijana na tyle, żeby nie myśleć o konsekwencjach – Letty usłyszała, jak okłamuje matkę.

– Nie zostawiłam dzieci samych – powiedziała. – Są z Sarą, moją najlepszą przyjaciółką z liceum, jedną z najbardziej odpowiedzialnych osób na świecie.

Wówczas Maria Elena wywlokła swoją walizkę z autobusu do samochodu Letty i zajęła miejsce z przodu.

– No to jedźmy – powiedziała, poprawiając krótkie włosy i zapinając ciasno pas na sztywnej kurtce. – Tak będzie szybciej.

Maria Elena chciała, żeby córka zawiozła ją do Oro de Hidalgo.

Oniemiała Letty stała na ciemnym parkingu, usiłując zdecydować, co ma robić dalej. Gdyby jej dzieci naprawdę były z Sarą, nie miałyby powodu nie zawieźć matki do Meksyku do ojca, a gdyby powiedziała Marii Elenie prawdę, że zostawiła dzieci śpiące w łóżkach, matka wpadłaby w furję, wysłałaby ją do domu i zniknęłaby w autobusie, a potem za granicą, być może na zawsze.

Nierozstrzygalny dylemat.

Ale Maria Elena rozłożyła już mapę i rzucała polecenia, a Letty, gotowa na wszystko, byle tylko nie wracać samotnie do dzieci, wsiadła do samochodu, przekreśliła kluczyk w stacyjce i ruszyła.

Cztery godziny później zbliżały się już do granicy Stanów Zjednoczonych i Meksyku. Jechały w kierunku, który nikogo nie interesował, ale Letty i tak wstrzymała oddech, zbliżając się do masywnego cementowego wiaduktu. Nie miała pojęcia, czego się spodziewać po drugiej stronie. Nigdy nie była w Meksyku. Urodziła się w Stanach, przez co stała się ich prawowitą obywatelką, ale Maria Elena i Enrique nie mieli pozwolenia na pobyt. Nie byłoby im łatwo wrócić do Kalifornii, zakładając, że w ogóle odnajdą ojca. Letty odsunęła od siebie te myśli i ruszyła w wolno sunącej kolejce samochodów przez punkt graniczny na drugą stronę.

Zmiana była natychmiastowa. San Diego w Kalifornii wydawało się przestronne, wielkie błękitne niebo, porozrzucane pagórki, rozplanowane osiedla na pustym terenie, zaś w Tijuanie wszystko się tłoczyło: sznury samochodów,

ludzie, budynki, których górne piętra zbudowano jakoś krzywo, z pękami prętów zbrojeniowych sterczącymi na dachach jak kępy twardego czarnego włosia. Letty jechała prosto jak strzełił, przedzierając się przez korki, aż budynki stały się coraz rzadsze, a potem nastąpiła pustynia, a one znalazły się same na wąskiej szosie.

– To na pewno ta droga? – spytała Letty.

– Na pewno – odparła Maria Elena, patrząc na mapę. Odmierzyła odległość kciukiem. – Teraz sto pięćdziesiąt kilometrów prosto.

Letty spojrzała na pustynną równinę za oknem. Dochodził ranek. Lada chwila wiele kilometrów stąd Alex i Luna obudzą się sami w pustym mieszkaniu i przeczytają podpis Letty pod listem Marii Eleny. Niebo jarzyło się neonowym różem i Letty nagle poczuła mdłości. Co ona narobiła? Powinna zakręcić i wrócić do domu. Ale co jej z tego przyjdzie? Alex i Luna nie potrzebowali jej, tylko babci. Od prawie piętnastu lat Maria Elena wychowywała swoje wnuczka, kołysała je w długie, niespokojne noce, karmiła butelką, kiedy piersi Letty opróżniały się pod prysznicem, uczyła je siadać, stać, chodzić, mówić... Jeśli Letty wróci do domu sama, jej dzieci będą zdruzgotane – jeśli nie przerażone – i ta myśl sprawiała, że nadal mocno trzymała kierownicę, dociskała pedał gazu.

Maria Elena drgnęła. Letty poszła za spojrzeniem matki i ujrzała na poboczu drogi długi płot w jaskrawych kolorach, odgradzający nic od niczego. Przytwierdzono do niego w równych odstępach pudełka w kształcie trumienek z liczbami w wesołych kolorach – 2002: 371, 2003: 390, aż do roku 2012.

Liczba osób, które straciły życie przy przekraczaniu granicy.

– Nie patrz – rzuciła szybko Letty. Żołądek jej się skręcił. Wyjęła paszport ze schowka na rękawiczki i wcisnęła go za pasek dżinsów; jego krawędzie wpiły się jej w brzuch, mocno i pocieszająco. – Tacie nic się nie stało.

– Stało się, bo wróciłby do domu – odparła Maria Elena. A potem, po długim milczeniu, dodała: – Dlaczego nawet nie zadzwonił?

Letty zadawała sobie to samo pytanie. Od pięciu lat, gdy burza przewróciła słup telefoniczny, nie mieli telefonu, ale ojciec mógł zadzwonić na jej komórkę, do jej pracy albo zostawić wiadomość w sekretariacie w szkole dzieci.

– Może zapomniał mojego numeru – powiedziała. – Albo skończyły mu się pieniądze.

– Jeśli żyje, to go zabiję. Przez niego zostawiłam moje maleństwa.

Moje maleństwa. Te słowa ją zabolowały, ukłucie prawdy. Alex i Luna byli maleństwami jej matki i to ona ich opuściła.

Jadąc, wróciła myślami do początków, kiedy Maria Elena miała powód, żeby zaopiekować się dziećmi, a przynajmniej Alekssem. Letty była nastoletnią matką, otępiała i cierpiącą przez złamane serce, którego ból usiłowała zapić. Bayshore roilo się od dziewczyn takich jak ona, co noc zostawiających swoje niemowlęta, by w tańcu zgubić pociągowe kilogramy. Maria Elena się nie skarżyła. Chciała mieć

dużą rodzinę, ale udało jej się urodzić tylko Letty, więc minął cały rok, zanim ją powstrzymała – ukryła jej ulubione szpilki i złamała szminkę. Patrząc na przysadzistą sylwetkę matki w drzwiach, Letty spodziewała się wykładu na temat macierzyństwa, ale Maria Elena wręczyła jej tylko wyprasowaną bluzkę i spódnicę i kazała znaleźć pracę. Enrique miał kontuzję pleców. Ich rodzina liczyła obecnie cztery osoby, a w Meksyku mieli babcię i niezliczone ciotki, wujków i kuzynów, którym należało się wsparcie. Ktoś musiał przynosić pieniądze, których ojciec nie mógł już zarabiać.

Słuchając jej, Letty poczuła drgnienie rozczarowania – w końcu Alex był jej synem – ale zanim zdołała rozpoznać to uczucie, zastąpiła je natychmiastowa ulga. Nie znała się na dzieciach; samo przebywanie w tym samym pokoju z jej niemożliwie małym, bezradnym synem działało jej na nerwy. Dlatego znalazła pracę, potem drugą i trzecią, a Maria Elena została w domu. Taki układ obowiązywał przez piętnaście lat i pewnie obowiązywałby nadal, gdyby Enrique nie pojechał do umierającej matki i nie został.

Dlaczego nie wrócił do domu? Letty jęknęła w duchu. Maria Elena zorganizowała mu wyjazd, kupiła bilet na autobus do Morelii i oddała całe ich oszczędności kojotowi o imieniu Benny, by zapewnić mężowi nielegalny powrót do Stanów. Powiedziała Enrique, gdzie dokładnie ma się spotkać z Bennym – tyle razy, że nawet Luna potrafiła to powtórzyć.

Ale najwyraźniej coś się nie udało. Wczoraj Benny wrócił bez ojca Letty. I odmówił zwrotu pieniędzy.

Lenny wcisnęła hamulec.

Maria Elena zakrztusiła się, przyduszona sztywnym pasem bezpieczeństwa.

– Co robisz?

No właśnie, co? Jej ojciec mógł być w dowolnym miejscu tego kraju, a dzieci czekały w domu same.

– Właśnie! – wycedziła Letty, nagle wściekła. – Co my robimy? Po co tu przyjechaliśmy?

– Ja przyjechałam, bo mój mąż mnie potrzebuje – warknęła Maria Elena. – Co do ciebie, to nie mam pojęcia.

Letty pochyliła się nad kierownicą. Jestem tu, bo nie umiem się zająć moimi dziećmi, pomyślała, i ponieważ niesłusznie się tego ode mnie domagasz, skoro przez piętnaście lat tego nie robiłaś.

Ale ugryzła się w język. Po długim milczeniu powoli skinęła głową w stronę płotu, którego już tam nie było.

– Jestem tu, bo nie pozwolę ci zostać numerem na tym płocie.

Za szybą puste szyny kończyły się w polu krzywych kaktusów. Maria Elena westchnęła, poddając się tej długiej jeździe i parskającej wściekłości córce.



Jechały, jechały i jechały. Gdy Letty nie mogła już dłużej, zaparkowała na polu pszenicy i zasnęła, narażając się na sny, w których musiała obejrzeć wszystko, co może się przydarzyć dwojgu dzieciom zostawionym w pustym mieszkaniu: przypadkowe omsknięcie się noża przy krojeniu chleba, porażenie prądem, upadek z drugiego piętra przez pozbawione zabezpieczeń okno czy – to było najgorsze – brutalne pukanie opieki społecznej. Nie otwierajcie, wymamrotała, wyobrażając sobie pracowników opieki w garniturach albo porywaczy. Znowu wzeszło słońce, ale nawet na jawie widziała te obrazy: upadek ze schodów, palce u stóp zaplątane w szprychy pożyczonych rowerów i to najstraszniejsze: zatokę, kuszące błękitne wody, które obmywały nogi i niespodziewanie zmieniały się w głębinę, dzieci wbiegające w nie kolejno, dwa małe ciała niesione do morza. Czy w ogóle potrafią pływać? Nie miała pojęcia.

Jak to się stało, że jednego dnia była wzorową uczennicą z widokami na studia, a następnego leżała na ziemi, tysiąc kilometrów od swoich dzieci, wyrzucona z uczelni, dwa razy notowana za prowadzenie pod wpływem, matka, która nawet nie wie, czy jej dzieci potrafią pływać? Te zmiany następowały stopniowo, ale miała wrażenie, jakby ją zaskoczyły niczym wstrząs tektoniczny, nagły upadek. Niebo zakołysało się nad jej głową, a ona wyobraziła sobie, że tlen spłynie z krawędzi ziemi jak woda, a ona zostanie sama, oszołomiona, spanikowana, i utonie na polu suchej trawy.

Na tle błękitu niespodziewanie pojawiła się twarz Marii Eleny. Wyglądała starzej, niż to zapamiętała Letty. Jej zwykle idealnie wylakierowane włosy były spłaszczone na skroni, a plamy wątrobowe, których Letty dotąd nie zauważyła, znaczyły jej skórę jak ślady brudnych palców.

– Jedziemy?

Letty nie mogła jechać. Nie mogła nawet wstać.

– Powinnyśmy zawrócić – powiedziała. Nie potrafiła już dłużej tego racjonalizować. Gdy matka zasnęła w samochodzie, w końcu spróbowała zadzwonić do Sary. Okazało się, że w Meksyku jej komórka nie ma zasięgu.

– Jesteś tylko zmęczona. – Widziała, że Maria Elena ma na myśli kaca, ale tego nie skomentowała. Matka wyjęła z papierowej torby roladę śmietankową, taką, jaką im dawała, kiedy ktoś chorował. Cała ona, dowiozła ją aż tutaj.

– Proszę – powiedziała, podając jej ciasto i podnosząc ją z ziemi. – Już prawie dojechałyśmy. Znajdziemy go, a wtedy wszyscy razem wrócimy do domu.

Letty założyła pasmo włosów za ucho i spróbowała sobie wyobrazić, jak by to było – znaleźć ojca w jego rodzinnym domu albo na małym rynku, nerwowo wybierającego się w podróż na północ. Ujrzała jego ulgę na ich widok i poczuła, że wraca jej odrobina sił.

Musiały jechać dalej. Były już prawie na miejscu.

Ale prawie na miejscu oznaczało, jak się okazało, kolejne osiem godzin. Maria Elena stopniowo osuwała się na siedzeniu, jej ciało rozluźniało się coraz bardziej, gdy mijali widoki znane jej z młodości – sady awokado, gaje cytrynowe, kościoły z kopułami i rynki. Od czasu do czasu coś mówiła: „Ciekawe, czy Tia Juanita wyleczyła oczy” albo „Chyba w końcu zobaczę bliźniaczki Cristiny, choć pewnie teraz są już dorosłe”. Letty nie odpowiadała, bez słowa kierowała się wskazówkami matki, autostrada 15 do 15D i 5, przez Guadalajarę, Ocotlan i La Barcę, mijając drogowskazy do Zamory, Zacapu i Morelii. I gdy zaczęło jej się wydawać, że nie przejedzie już ani jednego kilometra, w końcu zobaczyła to: zakurzoną tablicę, krzywo osadzoną w piaszczystym gruncie.

Napis na niej głosił: ORO DE HIDALGO, ZJAZD 19C

Dom rodzinny Espinosów był większy, niż wyobrażała sobie w dzieciństwie: dwa piętra, sztukaterie, pnące porastające boczne ściany i kwitnące wokół okien na poddaszu. Kiedyś wyglądał wspaniale, ale idąc za matką, widziała, że dni świetności ma już za sobą. Podwórko zmieniło się w dżunglę przerośniętej trawy, wysoka sterta śmieci i połamanych mebli podtrzymywała to, co zostało z przegniłego płotu. Basen za domem był tylko wielkim pustym zbiornikiem o spękanych, zszarzałych ścianach.

Maria Elena pchnęła ciężkie drzwi wejściowe. Wnętrze wyglądało tak, jak opisywał je ojciec Letty: prowadzące na piętro szerokie marmurowe schody ze złotymi balustradami, przywiezione w latach czterdziestych z Włoch. W dzieciństwie Letty nie potrafiła zrozumieć elegancji pustej przestrzeni, a teraz miała ją przed sobą. Przeszła po cementowej podłodze, niegdyś przykrytej puszystym dywanem, dotknęła osypującego się gipsu wokół kominka, gdzie znajdowały się kiedyś marmurowe płyty. Za oknem jadalni widziała sad cytrynowy, stopniowo wyprzedawany, i przypomniała sobie opowieści ojca o czasach, w których basen był wypełniony wodą, a chłopcy z sąsiednich wiosek wyprawiali się w wielogodzinną wędrowkę, żeby móc przez cały dzień pływać i spać w sadzie w nocy, a od rana znowu pływać. Było to przed końcem wojny, zanim dziadkowe niesprzedane mozaiki z piór wypełniły strych, zanim rodzina została zmuszona do zastawienia wszystkiego, co nie było wmurowane w fundamenty. Jedyne wyjaśnienie Enrique brzmiało: świat sztuki jest zmienny. Pióra wyszły z mody. Dlatego musiał wyjechać, jedynek wybitnego artysty, zmierzający na północ ze swoją młodą żoną, w ślad za przyjaciółmi, którzy walczyli o przeżycie, wynajmując się jako robotnicy na dniówki w San Francisco. Enrique znalazł pracę jako ogrodnik i zarabiał dość, by utrzymać rodzinę i jeszcze wysyłać pieniądze do domu, aż jego kręgosłup nie wytrzymał i Letty musiała iść do pracy. Latami wysyłała pieniądze do Meksyku, ale najwyraźniej nie dość, by

starczyło na utrzymanie tak wielkiej rezydencji.

Głośny trzask wyrwał ją z zamyślenia. Odwróciła się w kierunku, z którego dochodził, i przeszła przez pustą jadalnię i długi korytarz do kuchni.

I oto on: jej ojciec. Siedział przy stole wśród kłębów piór w różnych odcieniach zieleni – trawiastym, oliwkowym, jodłowym, limonkowym. Słoiki, do których wkładał poszczególne odcienie, stały na skraju stołu i jeden z nich spadł na podłogę. Maria Elena uklękła obok męża i zaczęła zbierać szkło gołymi rękami.

– Wszystko w porządku? – spytała Letty ojca. – Gdzie babcia?

Dziwnie się czuła, nazywając tę kobietę babcią, choć przecież nią była. Nie znała jej.

Maria Elena podniosła głowę i pokręciła poważnie głową. Wskazała stół, na którym leżał pochlapany wodą wycinek z gazety. Widniało na nim zdjęcie babci Letty jako młodej kobiety i jej życiorys po hiszpańsku. Klepsydra sprzed tygodnia.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Letty, podchodząc do ojca. Wszędzie leżały pióra, na stole, a także na ławie i podłodze, kłęby czerwieni, pomarańcza i żółci, jak kałuże rozlanej farby. Położyła mu delikatnie rękę na ramieniu.

Enrique skinął głową, ale zanim zdążył coś powiedzieć, Maria Elena wstała z dłońmi pełnymi kawałków szkła.

– On mówi, że chce zostać.

Było tego za dużo, żeby mogła to zrozumieć: babka umarła, ojciec żył i najwyraźniej czuł się dobrze, ale nie chciał wrócić do domu.

– Jak to? Nie może tu zostać całkiem sam.

– Powiedz jej – ponagliła Maria Elena.

Ojciec nie spojrział na Letty. Uniósł wzrok ku Marii Elenie.

– Jesteś moim życiem – powiedział. – Jesteś moim wszystkim.

Jej matka spojrzała na niego. Nawet jako sześćdziesięcioletniolatek był przystojny: gładka, dokładnie ogolona twarz, oczy błękitne jak niegdyś woda w basenie, wciąż przenikliwe. Maria Elena wrzuciła szkło do kosza, zrobiła sobie miejsce na ławie i usiadła ciężko obok niego. Piórka uniosły się w powietrze i opadły na podłogę.

W końcu spojrzała na nią.

– On chce, żebym z nim została.

Letty stała w osłupiałym milczeniu, usiłując zrozumieć słowa matki. Nagle zważyło się na nią wszystko naraz. Oczywiście, Enrique nie przegapił kursu powrotnego – został specjalnie. Odkąd pamiętała, ojciec chciał wrócić do Meksyku, a w ostatnich latach jego prośby stały się bardziej natarczywe. Oro de Hidalgo było domem. To tu od pokoleń żyła jego rodzina i tutaj nadal mieszkali jego dalsi krewni. Espinosowie zajmowali jedenaście z dwunastu domów przy małym rynku. „Już czas” – mawiał ojciec przy porannej kawie, gdy sądził, że Letty jeszcze śpi. Maria Elena zawsze się sprzeciwiała, wspominając o Letty,

o swoich maleństwach, ale Enrique nie rezygnował. „Jest już dorosła – mówił. – Nie potrzebuje nas”.

Mylił się. Letty to wiedziała i Maria Elena też, ale ten argument powracał i w końcu stało się oczywiste: choroba matki dała ojcu pretekst do wyjazdu do Meksyku. I teraz Enrique nie zamierzał wracać.

No, skoro chce, to niech zostanie, pomyślała Letty, ale niech nie zatrzymuje Marii Eleny. Nie po to przejechałam połowę kontynentu, żeby wrócić bez niej.

– Nie zostaniesz – powiedziała, patrząc matce w oczy.

Maria Elena milczała.

– Mogą nas odwiedzać – odezwał się Enrique. – Napełnimy basen.

Maria Elena wpatrywała się w stół. Letty wiedziała, że gdyby matka mogła, rozciąłaby serce na dwie części i odesłała połowę do Kalifornii, żeby dbało o córkę i wnuczęta, Drugie pół zostałoby tutaj, by dożyć reszty dni z mężem. Ale nie mogła. Musiała wybierać. Pokój zawirował, gdy Letty uświadomiła sobie, że po raz pierwszy w życiu matka może nie wybrać jej.

– Nie, nie, nie – jęknęła. – Nie możesz mnie zostawić. Nie potrafię niczego bez ciebie zrobić.

– Jeśli nie potrafisz, to moja wina. – Maria Elena spojrzała na męża, na poły się oskarżając, na poły kapitulując. – Twój ojciec uważa, że zrujnowałam ci życie.

– Ty jesteś moim życiem – odparła Letty i uświadomiła sobie, że to samo przed chwilą powiedział ojciec i że te słowa brzmią o wiele bardziej żałośnie, gdy trzydziestotrzyletnia kobieta mówi je swojej matce.

Enrique westchnął i po raz pierwszy spojrzał na nią.

– Dziecinko, dziecinko, dziecinko – powiedział cicho. Nazywał ją dziecinką do chwili, gdy jej ciąża stała się widoczna, a wtedy przestał. Teraz na to słowo ścisnęło jej się gardło. Zamknęła oczy, broniąc się przed łzami. – Urodziłaś dwoje pięknych, doskonałych dzieci. Zasługują, żeby mieć matkę.

– Naprawdę? Kelnerkę bez wykształcenia, dwa razy notowaną za jazdę po pijanemu? Naprawdę zasługują na kogoś takiego?

– Nie mów tak – odezwała się Maria Elena. – To nie ty. Nigdy taka nie byłaś.

– Zawsze taka byłam. One potrzebują ciebie.

W pokoju zapadła cisza. Maria Elena spojrzała na Enrique tym wzrokiem, od którego Letty zawsze trochę mdliło – wzrokiem, który był na miejscu tylko w murach kościoła. Otworzył ramiona, a Maria Elena oparła się o jego pierś. Letty poczuła, że przegrywa. Rozpaczliwie zaczęła szukać jakiegoś argumentu, który skłoniłby matkę do zmiany zdania – i znalazła dzieci.

– Są całkiem same – rzuciła. – Teraz, w tej chwili.

Maria Elena cofnęła się od męża.

– Co? Sara ich pilnuje.

– Nie. Zostawiłam je same.

To było okrutne, ale tylko to jej zostało. Maria Elena wyglądała tak, jakby ktoś wyrwał jej wnętrze i położył na stole, splot kolorów wyeksponowanych jak te pióra. Nie zasłużyła na to. Nie po tym, co zrobiła dla swoich wnucząt, a siedemnaście lat temu dla Letty. Była dobrą matką. Podczas gdy inne dzieci z Przystani żywiły się chińskimi zupkami i biegały samopas do północy, bo ich rodzice byli nieprzytomni z powodu alkoholu lub narkotyków, Letty jadła w kuchni *pozole* i gorące tortille i nigdy nie kładła się późno. Miała wszystko, czego potrzebowała. To, że została nastoletnią matką i że zmarnowała życie, było jej winą, a teraz Maria Elena miała za to zapłacić.

Nie zasłużyła na to, a jednak Letty nie mogła pozwolić jej odejść. Spojrzała matce prosto w oczy.

– Proszę.

Letty nie potrafiła tego zrobić. Maria Elena o tym wiedziała.

Ale matka pokręciła głową, a gniew i poczucie zdrady zmieniły się w gorzkie rozczarowanie.

– Dasz radę – powiedziała w końcu Maria Elena. – Twój ojciec ma rację. Dasz radę.

Mówiąc to, spojrzała na pustą kuchnię i stało się jasne, że bardzo chce uwierzyć we własne słowa – i że w nie nie wierzy.

Letty zamknęła powieki, zmęczone oczy i przycisnęła palce do bolących powiek.

– Nie wrócę do domu bez ciebie.

Maria Elena pokręciła głową.

– Letty, daj spokój. Masz przed sobą całe życie. Musisz je przeżyć.

– Nie. Mówiłam ci, że nie zrobię tego, i nie zrobię!

– Zrobisz.

Letty znowu otworzyła oczy i spojrzała na siebie, dwie pary wielkich brązowych oczu, i Maria Elena natychmiast poderwała się, chwyciła Letty za ręce i prawie powlokła ją korytarzem do drzwi wyjściowych. Przez chwilę Letty sądziła, że przekonała matkę, że zaraz zapakuje ją do samochodu i odjadą razem. Ale Maria Elena wypchnęła ją za drzwi.

Rzuciła jej ostatnie gniewne i proszące spojrzenie, puściła jej ręce i zatrzasnęła drzwi.

Alex i Luna zginą bez dziadków. To jedyny możliwy finał tej sytuacji, pomyślała Letty, stojąc w osłupieniu przed drzwiami, w tym samym miejscu, w którym tysiąc rannych ptaków zakończyło życie. Załomotała do drzwi. Wybiła trójkątną szybkę, i tak już pękniętą, i usiłowała przecisnąć przez nią rękę, ale otwór

był za mały. Szkło zostawiło na jej dłoni rząd ranek; krew skapywała z nich na ziemię, gdy okrążyła dom i zeszła na dno pustego basenu, gdzie skuliła się w kłębek jak w betonowej kołysce.

Gdy się obudziła, zapadł już zmrok. Gnijące liście ubrudziły jej policzek, pachniała ziemia budząca się do życia. Zaszklonymi oczami szukała mącznic i wierzb, sieci karmników, które ojciec rozwiesił dla rudaczków – znaków rozpoznawczych domu – ale w zamian ujrzała spękane brzegi basenu i płaską fasadę ogromnego budynku, a wtedy sobie przypomniała. Nie była na Przystani, lecz w Meksyku, trzy tysiące kilometrów od domu. Wygramoliła się z basenu, oszołomiona, i na chwiejnych nogach znowu poszła na ganek. Wszystkie okna były ciemne.

Nacisnęła klamkę. Drzwi nie ustąpiły.

Nie wpuszczą jej.

– Zapomnę ich nakarmić – szepnęła w rozpaczliwej, ostatniej próbie. Nie widziała matki, ale wiedziała, że stoi po drugiej stronie drzwi, oparta o nie plecami, tak blisko swojej córki, jak tylko może w tej chwili przed pożegnaniem. – Umrą z głodu. Pójdę do pracy, a oni utopiają się w zatoce.

Drzwi skrzypnęły pod ciężarem czegoś ciężkiego. Matka wstała.

Chyba powiedziała: „Kocham cię”, choć równie dobrze mogło to być: „Odejdź”.

Włosy Luny były rozczesane do połowy. Ścisłe warkocze, splecione przez Marię Elenę, wytrzymały dwa dni, ale w środę rano nie dało się już ich wygładzić wodą, więc miała zdjąć gumki i usiłowała przeczesać włosy grzebieniem od czubka głowy po końce. Gęste kosmyki splątały się i grzebień utknął na wysokości brody, a potem na potylicy i w kolejnym dzikim kołtunie nad prawym uchem. Tak je zostawiła. Wyglądało to strasznie, ale kiedy Alex usiłował jej pomóc, krzyknęła i uciekła z łazienki, odmawiając umycia zębów.

Teraz nie tylko martwił się o siostrę, ale i o to, by ktoś nie zauważył, że zostali sami. Maria Elena nigdy nie wypuściłaby Luny do szkoły z takim wyglądem – ale czy miał wybór? Włożył buty i wyciągnął siostrę z domu, zanim pani Starks rozsiadła się na leżaku. Nie zwalniając, dopadli klasy, gdzie posadził Lunę na rzędzie niskich szafek i zmienił jej gumki na tenisówki.

– Przyjdiesz po mnie po szkole? – spytała.

Skinął głową.

– Czekał tutaj, dobrze?

– Dobrze.

Usiłował przygładzić jej włosy, ale odepchnęła go i popędziła do klasy. Alex westchnął głęboko, patrząc, jak drzwi sali otwierają się, a potem powoli zamykają: jeszcze nie, jeszcze nie, jeszcze nie, już.

W końcu. Odetchnął przeciągle i głośno.

Zawsze lubił szkołę, ale teraz było inaczej, teraz tylko tu mógł oddychać. Przez sześć i pół godziny – od chwili gdy odstawił Lunę pod drzwi pierwszej klasy, do momentu gdy ją odbierał – nie czuł się za nią odpowiedzialny. Mogła wrzeszczeć, płakać, jęczeć, że jest głodna, spragniona czy zmęczona, a on nic nie musiał. Zupełnie nic. Wczoraj nawet udało mu się zapomnieć, że są sami, gdy zatonął w zadaniach z matematyki i ortografii oraz nadobowiązkowym wypracowaniu o węzach żyjących w zatoce San Francisco, i dopiero po szkole, kiedy wydawało mu się, że Luna się zgubiła, wrócił do rzeczywistości. Siostra poszła go szukać w tym samym czasie, gdy on szedł po nią, i minęli się na zatłoczonych korytarzach. Po gorączkowym poszukiwaniu znalazł Lunę, szlochającą pod ogrodzeniem na zapleczu szkoły. „Myślałam, że mnie zostawiłeś” – powiedziała, a on musiał ją nieść aż do domu, zanosząc ją płaczem, z nieustannie spadającymi gumiakami, aż w końcu się poddał i niósł ją pod pachą, a buty trzymał w drugiej ręce.

Dziś jednak nawet myśl o Lunie bezpiecznie siedzącej w klasie nie

wystarczyła, żeby Alex zaczął oddychać swobodnie. Skończyły się im drobniaki i mleko i nawet gdyby udało mu się przez chwilę nie myśleć o jedzeniu czy pieniądzach, nie potrafił zapomnieć o piekącym ośmiocentymetrowym oparzeniu na przedramieniu. Wczorajszego wieczora usiłował usmażyć jajecznicę. Wszystko szło dobrze do momentu, gdy zdjął patelnię z kuchenki, a ścierka jakimś cudem zajęła się od ognia, który przepalił mu dziurę w bawełnianym rękawie aż do skóry. Z bólu prawie nie spał. Położył na podłużnym pęcherzu mokry papier toaletowy, który ukrył pod rękawem, ale niewiele to pomogło.

Pomyślał z tęsknotą, że gdyby nie poszedł do szkoły, leżałby w tej chwili na wznak nad zatoką, trzymając oparzone ramię w wodzie. Ale nie mógł. Przez cały rok nie opuścił ani jednego dnia. Zanim pozwolił sobie wczuć się w rozkosz zimnej wody, odwrócił się i szybko poszedł do klasy.

– Ty jesteś Alex?

Za biurkiem siedziała nauczycielka na zastępstwie. Podała mu kartkę z poleceniami. Jego nauczycielka zawsze się nim wyręczała, kiedy miała nie przyjść do pracy, bo Alex nigdy nie zawodził i się nie spóźniał. Odczytał jej polecenia i znalazł testy na słownictwo pod stertą ćwiczeń gramatycznych w głębi klasy.

– Nie mógłbyś udać, że nie wiesz, gdzie są? – burknął siedzący w pierwszej ławce Marcus Cooper. – Choć raz.

Alex nie miał nastroju na użeranie się z Marcusem. Jemu pierwszemu podał test, a potem rozdał je reszcie uczniów, po czym poszedł do swojej ławki, na której znalazł prezent. Na plastikowym krześle leżała jasnorożowa gałązka wodorostów podobna do jemioły, z czubkami rozcapierzonymi jak małe dłonie: prezent od Yesenii. Spojrzał na nią z uśmiechem; skinęła głową i zajęła się testem.

Znał Yesenię od przedszkola i choć nigdy wiele ze sobą nie rozmawiali, nawiązali milczącą więź. Nawet w butach na grubych podszewkach miała zaledwie metr dwadzieścia wzrostu i często znikła na całe tygodnie albo miesiące, po czym wracała na wózku inwalidzkim albo z bandażami na nogach. Ale na sprawdzianie znała odpowiedzi na wszystkie pytania, bez względu na to, jak długo jej nie było.

Te wodorosty stanowiły kontynuację długiego szeregu niezrozumiałych botanicznych podarunków, które zostawiała mu na krześle: tęczowo mieniące się skrzydełko ważki, kawałek plastra miodu, pancrzyk turkucia. Nie codziennie. Najwyżej raz na miesiąc, ale to wystarczyło, żeby myślał o niej, leżąc w łóżku po zmroku. Zastanawiał się, co jej dolega, co właściwie starają się wyleczyć. Według niego wyglądała dobrze. Lepiej niż dobrze. No oczywiście, dziwnie chodziła – to było coś więcej niż utykanie – i nie była wysoka, ale poza tym... hm, można ją było opisać tylko jednym słowem: ładna. Sliczna. Ciemna skóra, ciemne oczy, ciemne rzęsy, a w tym roku urosła, no, nie wzwyż, ale wszcz, jej piersi były dwa razy większe niż u pozostałych dziewczynek z klasy (chyba że takie się wydawały

w kontraście z jej niskim wzrostem, co też było możliwe). Niedawno ufarbowała szerokie pasmo długich, ciemnych włosów na jaskrawy róż w odcieniu tych wodorostów i chodziła w podkoszulkach tego samego koloru.

Zrolował wodorost i schował go do kieszonki na piersi tak, że wystawał z niej tylko czubek, koronkowy i falbaniasty jak płatki goździka. Zabrał się do testu, w chwili gdy Yesenia skończyła swój. Odwróciła kartkę i zaczęła rysować. Washington Reed z ławki po lewej przysunął się do niego i choć Alex pisał szybko, Washington nadażał. Alex przesunął kartkę w stronę krawędzi ławki od strony Yesenii i napisał ostatnie słowo – „zaokrętować” – na chwilę przed odwróceniem kartki, żeby Washington choć tego nie ściągnął.

Rozprawiwszy się z testem, Alex przygotował się do długiego oczekiwania. Tak było codziennie – za dużo czasu, niewiele do roboty, którą i tak mało kto wykonywał. Yesenia przez całe godziny rysowała, Alex pracował nad spisami tego, co widział w drodze do szkoły – siewkę szarą, łyskę amerykańską albo tropy szopa bądź łasicy – a potem, jeśli klasowy komputer działał, mógł poprosić o dostęp do niego, żeby sprawdzić środowisko, występowanie i zwyczaje godowe każdego gatunku. Na ogół to wystarczyło dla zabicia czasu, ale dziś, z tym oparzeniem, bezczynność dokuczala mu jeszcze bardziej. Namacał pęcherz przez rękaw, nacisnął go delikatnie, potem mocniej. Płyn wydał go jak balon. Może trzeba go przekłuć? Czy tak się zagoi szybciej? Szarpał go paznokciami, aż przerwał skórę.

Zabolało. W miejscu, w którym wyciekł płyn, zaczęło się przeraźliwe palenie, które przeniosło się błyskawicznie na całe oparzenie, ból tak intensywny, że klasa zawirowała. Potrzebował wody, czegokolwiek, żeby ochłodzić ranę. Poderwał się na równe nogi.

– Tak?

Oddał swój test nauczycielce.

– Mogę przynieść podręczniki?

Nie mieli podręczników do matematyki, tylko skserowane skrypty, ale obca nauczycielka o tym nie wiedziała.

– Ach... oczywiście.

Już był przy drzwiach, kiedy Yesenia wstała.

– Pomogę.

Wiedziała, że nie ma żadnych podręczników, ale Alex myślał tylko o wodzie i nie miał czasu na zastanawianie się nad niczym innym. Sprintem przebiegł przez boisko i przecisnął się przez dziurę w ogrodzeniu, by popędzić nad brzeg. Nie tracąc czasu na podwijanie rękawa, zanurzył całe ramię w błotnistej wodzie. Minęło dużo czasu, zanim odzyskał oddech i podniósł wzrok.

Yesenia siedziała na kamieniu obok niego.

– Wszystko w porządku? Wyglądasz, jakbyś miał zemdleć.

– Trochę się oparzyłem.

Podciągnął rękaw; Yesenia skrzywiła się i odwróciła wzrok.

– Co ci się stało?

Robienie posiłku, jajka, ogień: wszystko to prowadziło do wyznania, że są sami. Wziął zdrową ręką kamień i rzucił go jak najdalej.

– Usiłowałem zrobić jajecznicę – powiedział w końcu.

– Twój dziadek nadal nie wrócił?

– Skąd wiesz?

– Wszyscy wiedzą. W moim bloku mówi się, że Benny w ogóle nie zamierzał go przywieźć z powrotem. Pani Avalos twierdzi, że nie pozwoliłaby mu przewieźć przez granicę zdechłego szczura.

Yesenia mieszkała w blokach Courtyard Terrace, znanego punktu przerzutowego dla nowych przybyszów, mężczyzn, kobiet i dzieci, szmuglowanych nielegalnie przez granicę z Meksyku i Ameryki Środkowej, więc знаła Benny'ego i wszystkich innych, którzy pracowali na Bayshore.

Alex widział jej blok tylko raz, kiedy po klasowej wycieczce kierowca autobusu zatrzymał się pod jej domem i poprosił go, żeby odprowadził ją do drzwi. Przeszli przez parking do wejścia na zapleczu budynku; przez okna i otwarte drzwi widział leżące rzędem na podłogach materace, śpiwory na kanapach, osiem, dziewięć, dziesięć osób wokół małych kuchennych stolików. Za uchylonymi drzwiami garażu dostrzegł matkę ze zbyt licznymi dziećmi, by mógł je policzyć, leżącymi na niepościelonych materacach na podłodze.

Mieszkanie Yesenii wyglądało inaczej. Z zewnątrz widział dywan równie czysty jak ten Marii Eleny i wazon ze sztucznymi kwiatami na stoliku. Kiedy otworzyła drzwi, poczuł osobliwy zapach – chyba cytryny i wybielacza, i jeszcze czegoś smażonego, kojarzącego mu się z Meksykiem, choć nigdy tam nie był.

– Wszyscy uważają, że Benny go tam po prostu zostawił?

Skinęła głową.

Alex zadrżał. Nagle zrobiło mu się zimno, choć spływał potem. Yesenia pewnie mówiła prawdę. Pytanie tylko, czy Enrique został z własnej woli.

– Co jeszcze mówią?

– Że jest najlepszy na świecie.

– Podobno nie powierzyliby mu zdechłego szczura.

– Nie Benny. Twój dziadek.

Wszyscy znali obrazy dziadka. Tak jak w Meksyku. Jeśli gdziekolwiek na terenie stanu Michoacán, a potem w Bay Area jakiś ptak kończył życie, zawsze trafiał na próg Espinosów. Dlatego Enrique nigdy nie stracił nadziei. Mawiał, że musi istnieć rynek na jego prace, skoro Bóg angażuje całą Amerykę Północną, żeby mu pomagała.

– Możliwe.

– Czy to prawda, że strzela do ptaków, żeby je oskubać? Maritza mówi, że to

dlatego zawsze tak się spieszysz po szkole.

Alex parsknął śmiechem. Powinien to potwierdzić; to by wpłynęło o wiele lepiej na jego reputację niż przyznanie, że wraca biegiem do domu, bo babcia tego wymaga.

– Nie. Ludzie przynoszą mu ptaki albo je znajdujemy. Przeważnie są już martwe, albo ranne i umierające. Mój dziadek wystawia na nie koszyk przed drzwiami.

– I je oskubuje?

– Tak. A pióra segreguje. Według gatunków, koloru i daty.

– Brzmi fajnie.

– Jest fajne.

Spojrzała mu prosto w oczy. Zaskoczyła go jej pewność siebie.

– Mogę je zobaczyć?

– Teraz? – Alex zerknął na zegarek i przeżył chwilę paniki – już za długo siedzieli nad wodą, a on nie pomyślał, jak wytłumaczyć, dlaczego wrócił z pustymi rękami i z wodą lejącą się z rękawa.

Yesenia wstała i otrzepała spodnie z tyłu.

– Nie, nie teraz. W piątek?

– Jasne, w piątek.

Istniała szansa, że matka wtedy już wróci. Ale o ile ją znał, w piątek nadal będą na nią czekać, całkiem sami.

Letty wracała trasą, którą przyjechała, drogą numer 5 na 15D, a potem na 15, z mapą na fotelu pasażera, na którym niedawno siedziała Maria Elena. Jadąc, próbowała sobie wyobrazić miny dzieci, kiedy ją zobaczą, ale przez tyle lat usiłowała na nie nie patrzeć, że nie potrafiła odtworzyć w pamięci ich wyglądu. Pamiętała strach w oczach Aleksa i dotyk palców Luny na karku, kiedy późną nocą kładła się do ich wspólnego łóżka, ale rysy dzieci się zatarły. Dlatego wyliczyła inne szczegóły: świadectwa Aleksa z piątkami od góry do dołu, przyklejone do sufitu nad jego łóżkiem, jego białe koszule, długie warkocze Luny i to, jak zjadała wafelki od lodów – tylko górną połowę, podczas gdy z dolnej części strużki roztopionej masy wyciekały jej na ręce.

Kochała swoje dzieci. Ta miłość była tam cały czas, ukryta pod strachem, pod unikami, miłość rozświetlona podziwem, tak jasna, że raziła wzrok. Były idealne na swój sposób i zawsze wyglądały idealnie. Jak to możliwe, że w tym błocie i pyłe Przystani zawsze chodziły takie czyste? Powinna o to spytać matkę – i o to, kiedy kładą się do łóżka, kiedy się kąpią, kiedy odrabiają lekcje, ale Maria Elena była już o setki kilometrów od niej, pewnie gotując coś dla jej ojca w tym wielkim jak jaskinia, pustym domu. Na myśl o tym, że jej rodzice tam są i mówią do siebie po hiszpańsku jak nowożeńcy, znowu się wściekła. Nawet nie miałiby dokąd wrócić, gdyby ona od tylu lat nie płaciła za ten dom. I tak jej podziękowali – opuszczając ją bez ostrzeżenia.

Jechała całą noc i cały dzień, patrząc w okno, za którym miasta zmieniały się w pustynie, a pustynie w góry. Słońce wypaliło zasypane pyłem wioski – chaty z blachy falistej i łopoczącego brezentu, mury ze zgniecionych puszek, ciemnoniebieskich, jak te z sokiem Jumex z jej dzieciństwa. Głodne dzieci i kury przeszukiwały sterty odpadków, a jej przypomniało się, co kiedyś mówili pomywacze z pracy: „*En México ni hay nada que robar*”. Nie ma nawet czego ukraść, tak mówili, a jej się wydawało, że rozumie. Ale nie rozumiała. Rozumiała, co to bieda, widziała przemoc i rozpacz, ale głodu nie znała. Nawet w największej desperacji i strachu – przez te wszystkie lata, gdy taksówkarze, dostawcy pizzy i nawet policjanci nie reagowali na wezwania z Przystani – zawsze wiedziała, że zaraz za autostradą jest inny świat, tak blisko, że czuła jego zapach, ciepły niczym woń waty cukrowej na jarmarku, tak blisko, że wydawało się, iż silniejszy wiatr mógłby go przywiać do niej.

Co jest gorsze? – pomyślała, gdy minęło cztery, pięć, siedem, dwanaście godzin jazdy. Tutaj nie ma nawet czego ukraść. Tam wiedziała, co mogłoby

należec do niej – a nie należało.

Niebo poszarzało, potem pociemniało. Drżąc, sięgnęła po kawę, już wystygłą, i spojrzała na kontrolki. Lampka poziomu benzyny migotała. Letty drgnęła. Tankowała w Guadalajarze (gdzie raz jeszcze próbowała bez powodzenia zadzwonić się do Sary), a potem zatrzymała się przy nędznym straganie z taco koło jeziora małego jak kałuża, ale na tamtejszej stacji benzynowej nie mieli benzyny. Dlatego ruszyła w góry z połową zbiornika. To był błąd, straszny błąd, jak sobie właśnie uświadomiła, rozpaczliwie szukając jakiegoś światełka na horyzoncie. Nie miała pojęcia, gdzie jest, a od utknięcia w środku nocy na poboczu meksykańskiej szosy dzieliło ją nie więcej niż sześćdziesiąt kilometrów.

Po dziesięciu minutach – panika rosła w niej z każdym kilometrem – zauważyła słupy wysokiego napięcia, później reklamę, zaś niedługo potem stację benzynową, która pojawiła się po prawej. Letty zjechała z krętej autostrady na piaszczystą działkę. Latarnia nad samotną pompą mżyła pomarańczowo, upstrzona czarnymi truchłami zdechłych żuków. Pod nią na składanym krześle siedział samotny mężczyzna. Letty najpierw zobaczyła czubek jego papierosa, a potem tatuaż, wypełzający spod białego podkoszulka aż na szyję. Mężczyzna wyglądał na swoje lata, może nawet starzej, niż powinien. Patrzył na nią spod półprzymkniętych powiek w sposób, który natychmiast by ją spłoszył, gdyby nie była tak zdesperowana. Zostawiła auto na jałowym biegu. Jakies dwieście metrów dalej widziała skupisko domków, zamknięty sklep. Ale nie było drugiej stacji benzynowej. Musiała zatankować, musiała znowu zadzwonić do Sary. Nie miała wyboru.

Kiedy wysiadła, mężczyzna wstał i zdeptał papierosa.

– *Cuánto?*

Sięgnęła do kieszeni. Na ostatniej stacji benzynowej wymieniła pieniądze, ale niemal wszystkie wydała. Położyła pozostałe peso na masce samochodu i odkręciła bak.

– Za wszystko.

Mężczyzna podszedł, żeby zabrać pieniądze. Powietrze wokół niego cuchnęło benzyną i dymem, śmiercionośną kombinacją, a ona natychmiast przypomniała sobie, że ma zbyt obcisłe czarne spodnie i bluzkę z dużym dekoltem, którą wkładała, żeby przyciągnąć uwagę za barem. Nie odrywając od niej wzroku, wziął pieniądze i sięgnął po wąż pompy.

Letty cofnęła się i zrobiła gest, jakby przykładała słuchawkę do ucha.

– Muszę zadzwonić.

Benzyna ciurkała do baku. Mężczyzna ustawił tankowanie na automat i wskazał telefon przed toaletą, bez szklanej budki i wysmarowany graffiti.

– Może pan to rozmiąć? – Jej ręka z dwudziestodolarówką zawisała między nimi. Mężczyzna wyrwał jej banknot, wcisnął go do brudnej kieszeni i wyłowił

z niej garść monet. Podał jej.

Nie była to równowartość, nawet w przybliżeniu.

– Więcej.

Mężczyzna uniósł kącik ust w półuśmiechu, wodząc spojrzeniem po jej twarzy, szyi, cienkich ramiączkach podkoszulka.

– *Quieres más?*

Rękę, w której nie trzymał monet, zbliżył do dzinsów, tym razem bliżej guzika niż kieszeni. Oszukiwał ją, ale była samotną cudzoziemką w zbyt obcisłym ubraniu i musiała zadzwonić do Sary, więc wygrzebała pieniądze z jego brudnej dłoni i uciekła do telefonu. Z łomoczącym sercem zaczęła wrzucać monety do automatu, tak szybko, że wylatywały dołem.

– *Necesitas ayuda?* – Jego głos dobiegał z oddali, ale się zbliżał.

Wrzuciła monety szybciej, doskonale świadoma, że jest wbita między trzy metalowe ścianki budki telefonicznej. Jeśli mężczyzna zbliży się bardziej, odetnie jej drogę ucieczki, a nie miała pojęcia, co wtedy. Wątpiła, żeby ktoś usłyszał jej krzyk.

On chce tylko pomóc, pomyślała, ale coś w jego rozkołysanym kroku, w tym spojrzeniu, skierowanym na piersi, nie w oczy, świadczyło, że równie dobrze mógł chcieć zrobić jej krzywdę. Nie czekając, żeby się o tym przekonać, wyskoczyła z budki telefonicznej, ominęła szerokim łukiem latarnię i wyszarpnęła wąż z baku jednym gwałtownym ruchem. Benzyna chlusnęła na wszystkie strony. Letty rzuciła wąż na ziemię, wskoczyła za kierownicę i ruszyła z piskiem opon.

Dobrze zrobiła, że uciekła.

Świadczył o tym jego ostry gwizd, kiedy szarpała się z węzłem. Była głupia, ale szczęście jej nie opuściło, nie po raz pierwszy w życiu. Dżinsy miała oblane benzyną i gdy samochód wypełnił się jej oparami, przypomniała jej się chwila, gdy ostatni raz zostawiono ją samą z dzieckiem.

Dodała gazu, usiłując zapomnieć, ale bez skutku: oto Maria Elena i Enrique wychodzący z domu. Alex ma prawie dwa lata i płacze, obudzony z drzemki. Jest niedziela. Maria Elena poprosiła Letty o opiekę nad dzieckiem, żeby mogła razem z Enrique pójść na kościelne zebranie, więc Letty wyjęła syna z kołyski i natychmiast zabrała go na dwór, gdzie zawsze był najszcześliwszy. Razem wspinali się na skały i szukali tropów. Wędrowali z siatkami i wiadrami, a potem wrócili na parking, gdzie Tony Morales reperował samochód. Nigdy nie lubiła Tony'ego i pewnie poszłaby prosto na górę, gdyby poprzedniego wieczora nie pokłóciła się okropnie z Wesem przez telefon. Wes powiedział, że nie wróci na lato do domu, że ojciec załatwił mu staż. „Może ty przyjedziesz do Nowego Jorku?” – spytał, co oczywiście było niemożliwe, ale kiedy mu to powiedziała, zarzucił jej, że już jej na nim nie zależy i że nie ma odwagi mu tego powiedzieć wprost. Co było idiotyczne.

Nie tego nie miała mu odwagi powiedzieć.

Dlatego została na dworze, oparta o otwartą maskę, trochę flirtując z Tonym, a trochę pilnując Aleksa. Chłopczyk był tylko w pieluszcze, ciężkiej, przemoczonej, a ona starała się go zwabić do siebie chrupkami, ale nie chciał przyjść i dalej wędrował wśród przewodów, kluczy i szmat zaścielających parking. Wziął coś, co wyglądało jak gigantyczny obcinak do paznokci, potem to odłożył i wyciągnął rączkę po dwulitrową butelkę napoju pomarańczowego.

„Zostaw” – rzuciła Letty, ale nie usłuchał, a ona go nie zmusiła. Pociągnął łyk. Dopiero kiedy upadł, a Tony zaczął krzyczeć, Letty zobaczyła tęczowy płyn, wylewający się z butelki i wsiąkający w pieluszkę Aleksa.

To nie był napój, tylko benzyna.

Kiedy dopadła do syna, był zeszywniały. Zaczęła szukać pulsu, ale znajdowała tylko zaschnięte ślady słonej wody na jego pulchnych nadgarstkach i kostkach. Wyobraziła go sobie takim, jaki był godzinę temu, na czworakach w błocie, z płowymi włosami, które prześwietlone słońcem wyglądały, jakby jarzyły się elektrycznym światłem. Tony w panice wciskał 911 na swojej komórce, a Letty patrzyła, jak policzki Aleksa stają się białe, a potem fioletowe. Dusił się. Mógł umrzeć z braku tlenu, ale kiedy rozchyliła mu wargi, zobaczyła zaciśnięte zęby, małe dziecięce ząbki, blokujące dostęp do jego gardła. Nie pamiętała, kiedy podjęła taką decyzję, ale przypominała sobie, jak sięga po śrubokręt i jaki dźwięk wydały wyłamywane zęby Alexa, a potem te ciągnące się w nieskończoność minuty, gdy wdychała powietrze w powstałą szparę i czekała na przybycie karetki. Alex przeżył, doszedł do siebie i nawet jej to zapomniał, ale Maria Elena nigdy więcej nie zostawiła go samego z matką.

Zegar na desce rozdzielczej wskazywał drugą w nocy. Miała wrażenie, że jedzie tak od wielu lat. Zaraz będę, chciała krzyknąć, ale chciała też się poddać, zwinąć w kłębek, zasnąć. Po co się wysilała? Minęło już zbyt wiele czasu, a ona nagle straciła pewność, czy w ogóle jedzie. Sprawdziła, czy naciska pedał gazu i czy krajobraz przesuwa się za oknami, ale góry wyglądały identycznie. Czy wioząc matkę, widziała aż tyle gór? Nie pamiętała. Wydawało jej się, że od czasu, gdy siedziała z Marią Eleną w samochodzie, minęła nie jedna noc, ale wieczność. Zobaczyła żółty znak ostrzegający przed ostrym zakrętem i położyła dłoń na brzuchu, bolącym z głodu lub strachu – nigdy nie potrafiła tego rozróżnić. Nie zasługiwała na jedzenie, a zresztą nie miała gdzie go kupić. Pomyślała o dzieciach i kurach i nastawiła radio głośniej, żeby zagłuszyć ten rozpaczliwy obraz.

Głośniki zasyczały.

Oderwała wzrok od drogi, żeby nastawić stację.

Później wspominała tę krótką, dojmującą chwilę spokoju, który ją ogarnął,

zanim podniosła wzrok na jezdnię i reflektory świecące prosto na nią.

Z oparzenia otoczonego zmarszczoną skórą sączyła się ropa. Minęły dwa dni, ale rana wyglądała coraz gorzej: strupy, opuchlizna i zmiana koloru na brzegach z białego na zgnilozielony. Wszystkie bandaże z apteczki babci były za wąskie, więc Alex zostawił ramię nieopatrzone i tylko co parę minut osuszał ranę chusteczką, żeby rękaw się nie zabrudził. Nikt jej nie zauważył, ale dziś zaczęła brzydko pachnieć i przestraszył się, że ktoś z klasy coś powie. Poza tym bolało go wszystko, nie tylko oparzona ręka, także głowa i kark. W drodze do szkoły zaczął dygotać, choć był koniec maja, słoneczny dzień.

W ogóle nie poszedłby do szkoły, gdyby nie Yesenia. Nie mówili o tym, ale był piątek, dzień, w którym chciała przyjść obejrzyć pióra. Nie mógł się nie zjawić w szkole po raz pierwszy w tym roku, bo Yesenia pomyślałaby, że po prostu chce uniknąć jej wizyty, więc obudził siostrę i nie zwracając uwagi na ból, jak zwykle przygotował ją i siebie do szkoły.

Przez cały dzień zachowywali się jak spłoszeni. Yesenia szukała wzrokiem spojrzenia Aleksa, a potem odwracała głowę, a gdy w końcu zadzwonił ostatni dzwonek, bardzo powoli się spakowali.

– Gotowa? – spytał Alex, gdy klasa opustoszała.

Poszli na Przystań gęsiego – pierwsza Luna, potem Yesenia, na końcu Alex. Alex chciał pożyczyć Yesenii gumki, ale odmówiła i poszła boso. Ciężkie ortopedyczne buty trzymała w obu rękach. Dopiero teraz Alex przekonał się, jak grube i niejednakowe są ich podeszwy – platforma prawego miała trzy centymetry grubości, lewego – prawie pięć. Przy każdym kroku dziewczynka kołysała się w biodrach, gdy krótsza noga z wysiłkiem sięgała do ziemi. Ale jej maleńkie bosc stópki były idealne. Miała paznokcie pomalowane na fioletowo, a na widok błota, które wypływało jej między palcami, serce Aleksa biło szybciej.

Była pora odpływu; odsłonięty szlam wysechł i popękał. Gdy Alex był mały, zawsze pilnował, kiedy woda opadnie poniżej pomostu. Pokazywał to przez okno, a Enrique brał wiadro i razem zaglądali w pęknięcia błota, gdzie w wodzie pływały w kółko malutkie kraby, ryby i nartniki, szukające ucieczki. Teraz ich miejsce zajęła czapla śnieżna. Stała na długich nogach, olśniewająco biała i wspaniała, z pochyloną głową.

Yesenia zwolniła.

– Idź przede mną – powiedziała. – Nie lubię, kiedy ludzie idą za mną, zwłaszcza kiedy jestem boso.

– Dlaczego?

– Bo tak.

Zamienili się miejscami i szli w milczeniu, aż dotarli na pusty parking. Luna pobiegła pierwsza. Alex kazał Yesenii poczekać, aż przyniesie ręcznik do wytarcia jej stóp. Gdy je oczyszczała, on z trudem łapał oddech. Czuł się jeszcze gorzej niż rano. Całe ciało go bolało, ale nie chciał, żeby to zauważyła. Uśmiechnął się zbyt szeroko, żeby ukryć ból, i zaprowadził ją do mieszkania.

– Gdzie są wszyscy? – spytała.

Zamierzał coś zmyślić – mama w pracy, babcia na kościelnym zebraniu, cokolwiek – ale nagle ogarnęło go obezwładniające zmęczenie i taka ulga, że nie jest już sam, iż stracił energię i chęć do kłamstwa. Pozwolił, żeby siostra odpowiedziała zgodnie z prawdą.

– Mama i babcia pojechały po dziadka.

– Do Meksyku?

Alex skinął głową.

– Kiedy wrócą?

– Mama powiedziała, że dzisiaj, ale... – Urwał, usiłując sformułować to tak, żeby postępek matki nie wydawał się przestępstwem. – Zawsze się spóźnia. Zresztą lepiej, że ich nie ma. Dziadek nie pozwala oglądać piór.

Wyjął lizaka, którego schował specjalnie tym celu, i zwabił nim Lunę na kanapę. Włączył telewizor.

– Zostań tu – polecił jej, a potem odwrócił się do Yesenii. – Są tam.

Yesenia poszła za nim do sypialni dziadków, w której znajdowała się niemal skończona mozaika. Dziewczynka otworzyła szeroko oczy. Alex widział, że dzieło dziadka zrobiło na niej takie samo wrażenie jak na nim, że czuje, iż stoi w obliczu czegoś cudownego. To niemożliwe, żeby stworzyć takie szczegóły za pomocą czegoś tak nieprecyzyjnego jak pióro, a jednak dziadkowi się to udawało, raz po raz.

– Widzisz, zaczął stąd – powiedział Alex, wskazując krąg odsłoniętego wosku wokół księżyca. Z koperty na warsztacie wyjął ciemnoniebieskie piórko, odciął z niego centymetr na czubku i wcisnął w wosk. Wyglądało to tak, jakby przedszkolak dokończył malowidło w kaplicy Sykstyńskiej. Usunął je i podszedł do czarnej metalowej szafki obok warsztatu dziadka.

– Trzyma je tutaj, żeby nie płowiały na słońcu.

Sięgając do drugiej szuflady od góry obejrzał się odruchowo przez ramię – nigdy nie oglądał piór pod nieobecność dziadka. Przejrzał koperty, aż znalazł swoją ulubioną. Były opisane według systemu, który Enrique przejął od swojego ojca: najpierw kolor – RUDY – potem gatunek ptaka i data znalezienia: RUDACZEK KALIFORNIJSKI, KWIECIEŃ 2006. Te piórka lubił najbardziej, dziadek też, bo miały kolor identyczny z zachodzącym słońcem. Rudaczki z rdzawymi gardziołkami co roku przefruwały nad domem w drodze do Meksyku, a Enrique

zwabiał je siecią karmników, zawsze pełnych lepkiego, słodkiego syropu.

Kiedy wyjął kopertę spomiędzy innych, niebieska karteczka samoprzylepna sfrunęła na podłogę. Alex natychmiast rozpoznał pismo dziadka i schylił się po nią. Na papierze widniały tylko dwa zdania, małe, schludne drukowane literki.

DLA MOJEGO ALEKSA. STWÓRZ SKRZYDŁA.

– Skrzydła? – odezwała się Yesenia, zaglądając mu przez ramię.

Alex wiedział, co dziadek miał na myśli: użyj ich. Teraz są twoje, mówił list, weź je, analizuj, rozbierz na części. Enrique wiedział, że jego wnuk nie jest artystą: gdy ostatnio usiłował go nauczyć rodzinnego fachu, zakończyło się to czteroetapowym eksperymentem, w którym mieszały wosk *campeche* z różnymi substancjami: woskiem pszczelim, klejem, syropem klonowym, a potem podgrzewali go w różnej temperaturze przez różny czas. Ale wiedział też, że jego wnuk wielbi pióra tak samo jak on, tylko z innych powodów. Enrique kochał je za arcydzieła, jakie mógł z nich stworzyć, Alex – jako wskazówki, które informowały go o otaczającym świecie.

Alex schował kartkę tam, gdzie ją znalazł.

– To znaczy, że teraz są moje – szepnął. – To znaczy, że on nie wróci.

W salonie Luna żuła wylizany do czysta patyczek i skakała po kanapie.

– Przestań – rzucił Alex, wrywając jej patyczek z ust. – Zadławisz się.

Dziadek nie zamierzał wrócić, co znaczyło, że babcia z nim zostanie. Alex wyobraził sobie, jak matka po powrocie zastaje Lunę z gardłem przeszytym patyczkiem, a jego nieprzytomnego z gorączki. Z tym by sobie nie poradziła. On też by sobie z tym nie poradził.

– Ale nie mam co robić – poskarżyła się mała. – Już to widziałam.

Alex miał zamiar warknąć, żeby obejrzała film jeszcze raz, ale Yesenia uniosła brwi i wskazała głową fotel pod oknem. Powinieneś trochę odpocząć, mówiło jej spojrzenie, co bardzo oględnie opisywało sytuację.

– Pobawię się z tobą – powiedziała do Luny.

– Tak? – Dziewczynka zeskoczyła z kanapy, wpadając na Yesenię. – W co chcesz?

– A co masz?

– Kości?

Luna pobiegła po grę, a Alex osunął się na fotel. Aż do tej chwili nie uświadamiał sobie, jak bardzo jest zmęczony i jak mu zimno. Przy Yesenii uwierzył, że może chwilę odpocząć, więc to zrobił, a grzechot kostek w skórzanych kubkach był mu bajką na dobranoc, w której wszystkie dzieci są szczęśliwe i bezpieczne. Zasnął niemal w chwili, gdy przymknął oczy, a gdy parę godzin później się obudził, Luna piszczała coś o Park Place. Zobaczył stolik do kawy

przesunięty pod ścianę i planszę do Monopoli – oraz wszystkie inne gry, jakie były w domu – leżącą na jego miejscu. Na zewnątrz zapadł już zmrok. Alex się pocił.

Yesenia podniosła głowę. Jego i tak rozpalona twarz pokryła się rumieńcem. Gdy ją zapraszał, wyobrażał sobie, że ich palce będą dotykać piór, a może i siebie nawzajem. Nie przewidywał, że sam zaśnie, a Yesenia będzie w nieskończoność grała z jego młodszą siostrą.

– Gorąco ci?

Pokręcił głową.

– Zimno.

Yesenia zniknęła i wróciła z kocem z jego łóżka. Podciągnął go pod brodę, a Luna wspięła się mu na kolana i otoczyła szyję ramionami.

– Dobrze się czujesz? – spytała. – Nie podoba mi się, że tak wyglądasz.

– Trochę zachorował – wyjaśniła jej Yesenia, przeczesując palcami kołtun nad uchem Luny, rozplątując go pasemko po pasemku. Znowu odwróciła się do Alexa. – Jesteś głodny? Są taquito.

W powietrzu mocno pachniało smażonym tłuszczem.

– Zrobiłaś je?

– Były w zamrażarce. Tylko je podgrzałam w mikrofalach.

Zamrażarka, oczywiście. Przez dwa dni jedli wszystko surowe i na zimno, kukurydziane tortille z masłem i dżemem, fasolę i czarne oliwki prosto z puszki, bo Alex nie odważył się zbliżyć do kuchenki. Ale matka też nie potrafiła gotować, a babcia o tym wiedziała. Pewnie zostawiła w zamrażarce tuzin posiłków z instrukcjami, a jemu to nie przyszło do głowy.

Pokręcił głową. Od wysiłku krew zatętniała mu w skroniach.

– Jadłaś?

Luna skinęła głową.

Zamknął oczy, tylko na chwileczkę.



Gdy znowu się obudził, jego siostra spała. Czuł jej lekkie ciało na swoich nogach, jej pachnący pastą do zębów oddech na policzku. Coś nacisnęło na jego wargi. Otworzył usta i poczuł smak winogronowego proszku. Zjadł go. Wrócili, pomyślał, ale kiedy otworzył oczy, zobaczył tylko Yesenię.

– Idę do domu – szepnęła.

– Przyjdiesz jeszcze? – Głos mu się załamał. Chciał, żeby była przy nim Maria Elena. Yesenia skinęła głową i zamknęła mu oczy.

– Przyjdę. Z samego rana.

Parę minut – a może godzin – później Alex obudził się, słysząc głośne pukanie do drzwi. Yesenia czegoś zapomniała. Pomyślał o jej zabłoconych stopach. Może jednak chciała pożyczyć gumki. Usiłował wstać, ale jego rozpalone ciało

było ciężkie. Znowu prawie odpłynął, kiedy pukanie rozległo się ponownie, tym razem głośniejsze. To nie ciało mi tak ciąży, uświadomił sobie, to Luna, która nadal na mnie śpi. Wysunął się spod niej, wziął ją na ręce i położył na kanapie. Już mu nie było zimno. To, co mu dała Yesenia, podziałało. Podziękuję jej, pomyślał, otwierając drzwi.

Ale to nie była Yesenia.

Na progu stała Sara, najlepsza przyjaciółka matki. I na jej widok zrozumiał. Żołądek mu się ścisnął. Oni nie żyją. Wszyscy.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Sara. Na pustym ekranie komórki w jej dłoni odliczały się sekundy. Ktoś był po drugiej stronie. Posterunek policji? Kostnica?

– Co się stało?

– Chodzi o twoją matkę – wykrztusiła Sara, unosząc telefon. – Miała wypadek.

W pomieszczeniu panował zaduch zbyt wielu ciał. W mglistym świetle księżycy policzyła je, otulone kocami i śpiworami, z poduszkami rozrzuconymi na twardej podłodze. Dwadzieścia siedem. Mężczyźni, kobiety i dzieci, tak ściśnięci, że trudno było określić, kto chrapie. Tak tu było. Dziesięć łóżek na pokój, jedna pielęgniarka na piętro, brak godzin odwiedzin, tylko rodzina, dniem i nocą, zmieniająca pościel i wynosząca baseny, prowadząca starych lub rannych do łazienki.

Letty tęskniła boleśnie za Marią Eleną. Ten ból dokuczał jej bardziej niż którekolwiek z jej obrażeń, ale od chwili, gdy siedemnastoosobowy zespół pomagający dowiedział się, że jest sama i nikt nie przyjdzie się nią zająć, niczego jej nie brakowało. Po szybkich, poważnych rozmowach wymieniono peso i poczyniono plany. Było to miejsce, w którym należało mieć własne jedzenie i papier toaletowy, a przy niej po paru minutach pojawiły się plastry mango, ananasa i *pan dulce*, a także (ponieważ była Amerykanką) mały, pomarszczony hot dog.

Gdy zjadła, jakaś stara kobieta obmyła jej ręce płynem dezynfekcyjnym i wytarła ciepłym ręcznikiem. Letty usiłowała jej zapłacić, ale nikt w pomieszczeniu nie chciał przyjąć jej pieniędzy. Sam fakt, że znajdowała się w państwowym szpitalu, świadczył, że wszystkie obecne tu osoby są biedne, więc ich odmowa sprawiła, że do oczu Letty napłynęły łzy, co spowodowało kolejną dostawę słodyczy, kwiatów, chusteczek z szydełkowym obrąbkiem, aż wydało jej się, że ta lawina szczodrości zasypie ją żywcem.

Dwadzieścia cztery godziny później nadal czuła fizyczny wstrząs po tym, co ją spotkało, mrowienie, od którego kręciło jej się w głowie, gdy raz po raz odtwarzała w pamięci krwawą jazdę do szpitala na pace furgonetki jakiegoś chłopca w przeświadczeniu, że zaraz umrze pod tym rozgwieżdżonym niebem. Mogła umrzeć – skręciła, żeby ominąć nadjeżdżający samochód i zjechała z górskiej drogi – ale wpadła w płytki rów, zamiast runąć z urwiska, których było tu pełno. Gęste krzaki zamortyzowały upadek. W szpitalu założono jej dziesięć szwów na ranę tuż pod linią włosów, a potem poddano ją wielu badaniom, by wykluczyć uraz mózgu. Po tym wszystkim spytała, czy może skorzystać z telefonu.

Był środek nocy, ale Sara wreszcie odebrała. Zgodziła się zapłacić za rozmowę, a potem, nie rozłączając się z nią, pojechała prosto na Przystań. „Cieszę się, że nic ci się nie stało” – usłyszała głos Aleksa, pełen ulgi i czegoś bardziej złożonego, a potem Luny, zaspany i bez cenzury: „Gdzie babcia?”.

Letty poprosiła córkę, żeby dała jej Aleksa.

„Nie powiem tego Lunie” – oznajmił, kiedy mu oświadczyła, że dziadkowie nie wracają. Więc poprosiła Sarę, ale w tle już słyszała dopytującą się córkę: „Czego mi nie powiesz? Czego mi nie powiesz?”. Alex szepnął jej coś, a ona pociągnęła nosem, a potem się rozpląkała.

To pociągnięcie nosem było takie cichutkie, jak pisk zwierzątka, ale nie dawało jej spokoju. Było ucieleśnieniem wszystkich jej lęków, dowodem, że dzieci nie chciały jej powrotu, że ona nic dla nich nie znaczy. Przez cały dzień słyszała swoją córkę w szczebiocie dzieci na sąsiednich łózkach, w ich płaczu po źle zrobionych zastrzykach, w radości na wieść o szybkim wypisaniu ze szpitala.

A teraz zapadł zmrok i jej lęk stał się jeszcze gorszy. Każdy jęk śpiącej obcej osoby przypominał jej Lunę płaczącą za dziadkami. Zakryła uszy, ale ciągle słyszała westchnienia i sapnięcia. Nie zaśnie. W tej sali nie było dość powietrza, żeby wystarczyło dla wszystkich łącznie otwartych ust. Wstała i zaczęła powoli iść, trzymając się ściany – ostrożnie lawirowała między łokciami i kolanami, nosami i kostkami – do okna w głębi pomieszczenia. Było otwarte, ale powietrze stało uparcie po drugiej stronie ekranu z siatki. Oparła się o niego i odetchnęła przez zakurzony metalowy ażur.

– Wszystko w porządku?

Zdziwiła się, słysząc angielszczyznę bez śladu akcentu. Spojrzała na rząd ciał. Tylko w jednym miejscu w ciemnościach świeciły oczy. Pod betonową ścianą siedziała dziewczyna otulona w czerwony włóczkowy koc. Mogła mieć szesnaście, góra siedemnaście lat. Letty już zwróciła na nią uwagę – tylko one dwie leżały tu tak długo. Dlatego dziewczyna miała najbardziej pożądane miejsce pod jedynym oknem.

– Tak.

– Na pewno?

– Na pewno – potwierdziła, ale nie czuła pewności, tylko zawroty głowy. – Musiałam odetchnąć świeżym powietrzem.

– Wyprowadzę cię na dwór, jeśli chcesz.

Letty poszła za nią przez labirynt ciał. Gdy znalazły się na zewnątrz, dziewczyna otuliła ją czerwonym kocem.

– Dziękuję.

Podeszły do ławki i usiadły, patrząc na prawie pusty parking i las. Letty z przyzwyczajenia rozejrzała się, szukając swojego samochodu, choć przecież nadal leżał w rowie, do którego wpadła, i tam miał zostać, rozkradany na części i złom, aż nic z niego nie zostanie. Odetchnęła głęboko świeżym powietrzem i pomyślała o swoich dzieciach, śpiących w mieszkaniu Sary. Bezpiecznych. Nie lubiła prosić przyjaciółki o zbyt wiele, ale jaki miała wybór? Poza tym Sara była jej coś winna. W liceum to ona nieustannie uciekała. Letty przez całe lata wiele razy

szukała jej w San Francisco i ochraniała przed brutalnymi kłótniami jej rodziców, a potem przed licznymi fatalnymi chłopakami. Sara zawsze mówiła, że przetrwała liceum tylko dzięki Letty, a kiedy wyjechała do college'u, pozostała żarliwie wierna przyjaciółce ze szkoły.

– Kiedy cię wypuszczą? – spytała dziewczyna po chwili.

– Za sześć dni. – Dopiero na ten termin Sara zdołała kupić bilet. – A ciebie?

– Nie wiem. – Dziewczyna skinęła głową w stronę budynku. – Moja babcia jest w szpitalu. Nie mam dużej rodziny.

– Gdzie twoi rodzice?

– Mieszkałam w Los Angeles z mamą aż do jej śmierci.

To wyjaśniało płynną angielszczyznę dziewczyny, za którą Letty była wdzięczna. Maria Elena i Enrique przestali mówić w domu po hiszpańsku, kiedy Letty poszła do szkoły. Nadal sporo rozumiała, ale musiała się bardzo skupić – a w tej chwili zbyt mocno bolała ją głowa.

– Współczuję z powodu mamy – powiedziała.

– To było dziesięć lat temu.

Straciła matkę jako malutka dziewczynka, rówieśniczka Luny. Serce Letty zabiło mocniej na myśl, jak mało brakowało, żeby i jej dzieci zostały bez matki.

– Gdzie jest twoja rodzina? – spytała dziewczyna, zmieniając temat.

– Zostawiłam rodziców w Oro de Hidalgo koło Morelii, ale urodziłam się i wychowałam w Kalifornii. Moje dzieci nadal tam mieszkają.

– Z ojcem?

– Nie. – Letty powoli pokręciła głową. – Bez ojca.

W liczbie pojedynczej, jakby był tylko jeden. Bo w głowie Letty ojciec Luny nie był już prawie człowiekiem, tylko mglistym momentem, którego usiłowała nie pamiętać i nawet pod naciskiem – ostatnio Luna ciągle ją pytała – nie mogła sobie przypomnieć wiele, a już na pewno nic, co mogłaby powiedzieć córce. Pamiętała barmanów, z którymi wyszła raz po pracy, i to nieostre widzenie świata po alkoholu, pamiętała pomieszczenie utrzymane w czerniach i szarościach i to, jak myślała, że powinna włożyć piżamę, jakby mogła pójść spać, zamiast patrzeć na ludzi kopulujących w parach i trójkach, niestarájących się nawet znaleźć zacisznego kąta. Potem – i to było jej najwyraźniejsze wspomnienie – pamiętała, jak się ucieszyła, że tylko patrzy na te obleśne podrygi, i jednocześnie doznała surrealistycznego, niemal ponadmysłowego objawienia, że wcale nie jest tylko widzem. Ona też to robiła, a raczej jej to robiono, i pewnie by zaprotestowała, gdyby następnym jej wspomnieniem nie było przebudzenie w brudnym, pustym, nieznanym mieszkaniu. Kiedy się dowiedziała, że jest w ciąży, zastanawiała się nad aborcją, ale była dla Aleksa tak nieobecna matką, że mimo woli pomyślała, iż Bóg jej matki dał jej drugą szansę.

– A co się z nim stało?

Pytanie przywiodło jej na myśl jedyne go ojca, który się liczył, ojca Aleksa, Wesa.

– Odszedł. Dawno temu, po maturze.

Przez długi czas milczały. Dziewczyna przyglądała się Letty, Letty przyglądała się swoim dłoniom. Zasnęta krew łuszczyła się jej spod paznokci, uwieczona tam od czasu, gdy uciskała ranę na czole, dopóki nie dotarli do szpitala.

– Kochałaś go? – spytała dziewczyna.

Letty chciała zaprzeczyć, ale nie potrafiła. Pokochała Wesa od pierwszego wejrzenia. To ją zdziwiło – stanowczo nie lubiła blondynów, a tu proszę, Wes, w pierwszym rzędzie uczniów kółka naukowego, z rozwichrzonymi płowymi włosami, tak długimi, że częściowo zasłaniały mu jedno oko, z ręką wyciągniętą wysoko nad głowę. Ona była w trzeciej klasie, w końcu poczuła się pewniej w kompletnie obcym środowisku Mission Hills, a jej pierwsza rozmowa z nim była kłótnią. „Dlaczego nie zajmiesz się czymś ważnym?” – spytał, kiedy wraz z Sarą przedstawiła ich pomysł na projekt. Obmyśliły eksperyment sprawdzający, czy różne barwniki mają wpływ na temperaturę zastygania lukru. Wes pracował nad systemem oczyszczania wody dla krajów Trzeciego Świata.

Później powiedział jej, że ojciec powierzył mu zadanie „wykorzystywania swoich darów w służbie dobra”, a Wes miał wiele darów: kasy ponad miarę, inteligencję i urodę. Letty też je miała, choć może nie całkiem te same i nie w tych samych proporcjach, ale Wes spierał się z nią, jakby je trwonila, i choć wydał się jej przykry i napastliwy, w głębi duszy poczuła, że jej to pochlebia. Czy on naprawdę uważał ją za posiadaczkę talentów, które mogły zostać roztrwonione? Stukał ołówkiem w ławkę tak, jakby naprawdę w to wierzył, a jego wiara popchnęła ją do intensywniejszej pracy nad sobą, zaś ta praca z kolei mu zaimponowała i wkrótce przestali się kłócić, a zaczęli ze sobą chodzić.

Pamiętała pierwszą randkę. Poszli nad zatokę Half Moon podczas odpływu. Wes potrafił wymienić naukowe nazwy wszystkich bezkręgowców, a potem zabrał ją do hinduskiej restauracji, gdzie udawała, że już miliony razy jadła *palak paneer* i *aloo gobi* i że te dania – neonowożółty kalafior i purée szpinakowe z kawałkami czegoś, co Wes nazwał serem – nie budzą w niej lekkiej paniki. Ale kiedy ich spróbowała, poczuła się lepiej, jak odważna i obyta osoba. I tak właśnie wyglądały sprawy między nimi. Wes wciągał ją do swojego świata i zachowywał się tak, jakby Letty do niego pasowała, a ona robiła wszystko, żeby dotrzymać mu kroku.

Dziewczyna umilkła, a kiedy Letty na nią spojrzała, uświadomiła sobie, że czeka na odpowiedź na jakieś pytanie.

– Co?

– Rozgniewał się? – powtórzyła dziewczyna. – Dlatego odszedł? Z tego powodu tata zostawił mamę. Powiedział, że chciała go złapać na dziecko.

– Nie. Nie był na mnie zły. – I po długiej pauzie dodała: – Nie był zły, bo

o niczym nie wiedział.

Dziewczyna zamilkła, rozważając to, co usłyszała, a Letty zdziwiła własną szczerą. Tylko Sara знаła prawdę. No, ale łatwiej się zwierzyć nieznajomej, której nigdy więcej nie zobaczy.

– Jak mógł nie wiedzieć?

Było to pytanie, które Letty zadawała sobie codziennie od piętnastu lat. Zakolysała się, przyciągając kolana do piersi.

– Nie powiedziałam mu – przyznała w końcu. – Miał ważniejsze cele. Zamierzał studiować, a ja nie chciałam, żeby utknął w domu, z niemowlęciem, i zniechęcił mnie za to. Zakładałam, że po jakimś czasie mu powiem.

Pierwsze Boże Narodzenie po wyjeździe Wesa do Nowego Jorku było najtrudniejsze. Letty miała już ogromny brzuch, a Wes chciał się z nią spotkać, ale Maria Elena go odprawiła, sądząc (bo Letty jej tak powiedziała), że Wes ją zostawił, bardziej dbając o studia niż o własne dziecko. W wakacje znowu nie chciała się z nim spotkać, bo była jeszcze gruba (oraz młoda, głupia i próżna, jak uważała teraz), a w następne wakacje, gdy obiecała sobie i Sarze, że powie mu o wszystkim, Wes nie przyjechał do domu. Potem Alex omal nie stracił życia i kwestia powiedzenia Wesowi i tłumaczenia, dlaczego jego syn ma wyłamane zęby i co zrobiła mu własna matka, przestała wchodzić w grę.

Opowiedziała dziewczynie o tym wszystkim, o każdej wymówce i wykręcie.

– Ale z jakiegoś powodu nadal uważałam, że pewnego dnia wróci – skończyła. – Kiedy teraz o tym myślę, zawsze się dziwię, jak wiele czasu minęło... i że nadal jestem sama.

– Nie jesteś sama – odparła dziewczyna. – Masz swoje dzieci. A one mają ciebie.

Letty westchnęła. Chciałaby, żeby to było takie proste. Ale dzieci nigdy by nie powiedziały, że ją „mają”. Jej nieobecność w równej mierze wynikała z autentycznej potrzeby – niełatwo utrzymać pięcioosobową rodzinę i nieustannie czegoś potrzebujących krewnych z Meksyku, których nie widziała na oczy – co z autentycznej nieodpowiedzialności. Kiedy nie pracowała, odsypiała kaca. Jak mogła? Tyle razy miała okazję, żeby się zmienić. Jedną pamiętała szczególnie dobrze. Było to tuż po trzecich urodzinach Aleksa. Poszła się napić po pracy i wróciła do domu tuż przed wschodem słońca. Syn spał na jej łóżku. Nie zdziwiło jej to. Maria Elena musiała uznać, że jest już za duży na łóżeczko, a może w końcu udało mu się wydostać. Letty przebrała się szybko i położyła obok niego, mocno objąwszy jego wystający brzuszek i przez jedną błogą minutę tuliła go do serca, a całe poczucie winy i żalu zniknęło.

Ale w tej samej chwili przez oko wpadł promień wschodzącego słońca. Alex obudził się i uśmiechnął na widok matki. „Idź po książeczkę” – szepnęła Letty, spoglądając na niego z porozumiewawczym uśmiechem. Alex poszedł do salonu,

ale po chwili wrócił, siedząc na biodrze babci. Maria Elena podeszła do łóżka i okryła Letty. „Lepiej odpocznij” – powiedziała cicho, spoglądając na zegarek. Było wpół do szóstej. Za sześć godzin Letty musiała iść do pracy. Pokój zawirował, a ona zrozumiała, że nadal jest pijana, że przyjechała pijana, że rozmawiała z synem po pijanemu i że kiedy się obudzi, żeby iść do pracy, pewnie nadal będzie pijana. Skinęła głową bez słowa i odwróciła się od matki i swojego bezzębnego synka, zamykając oczy, żeby nie widzieć swojej hańby.

„Masz swoje dzieci. A one mają ciebie”. W nocnej ciszy Letty sporządziła w myślach listę wszystkiego, co musiałyby zrobić, żeby te słowa zabrzmiały prawdziwie. Nie mogłaby prowadzić po alkoholu. I brać. I wychodzić na miasto po pracy. I uprawiać seksu z młodszymi mężczyznami – nie, w ogóle żadnego seksu, kropka. Nie mogłaby spać do późna, nie robić posiłków, zostawiać dzieci bez opieki. Nie mogłaby być zależna od matki ani jej obwiniać. Lista ciągnęła się i ciągnęła, jakby trafiło na nią wszystko, co Letty kiedykolwiek zrobiła w życiu.

Przez ogród powiał wietrzyk. Dziewczyna zadrżała. Letty uniosła czerwony koc, żeby zrobić jej miejsce i jej towarzyszka wtuliła się w powstałą przestrzeń. W mroku ich oczy się spotkały i Letty spojrzała na tę nastoletnią obcą osobę, tę młodą kobietę, niemal dojrzałą, a nadal tęskniącą za matką. Czy ona sama za dziesięć lat będzie też taka – w średnim wieku i nadal oplakująca utratę Marii Eleny? Pewnie tak.

Ale nie pozwoli, żeby tak wyglądała Luna.

Piętnaście lat od narodzin pierwszego dziecka Letty postanowiła wrócić do domu i być matką.

Ptaki wędrowne korygują swój lot o zachodzie słońca. Nie wiadomo dokładnie, dlaczego to robią, ale kiedy zaczyna zapadać zmierzch, gdy słońce schowa się za horyzontem, ptaki lecące w niewłaściwym kierunku natychmiast wracają na swój szlak. Dlatego Alex nie dziwił się, że jego dziadek akurat w tym momencie swojego życia rozejrzał się i zmienił kurs. Nie ulżyło mu od tej świadomości, ale sytuacja stała się zrozumiała, a fakt, że babcia została z mężem, obudził w nim drgnienie wiary w matkę, tę matkę, która opuściła ich w środku nocy i rozbiła samochód, wiary, na jaką nie zasługiwała. Ale Yesenia, do której zadzwonił wcześniej rano w sobotę, żeby jej opowiedzieć, co się wydarzyło, przyznała mu rację: babcia nigdy by ich nie zostawiła, gdyby nie miała pewności, że Letty sobie poradzi.

Prawdziwe pytanie brzmiało: Czy Letty chce się nimi zająć? To pytanie Alex systematycznie ignorował, gdy przenieśli się do Sary, kupili jedzenie i ibuprofen i spędzili prawie trzy godziny na pogotowiu, czekając, aż doktor opatrzy jego oparzenie. Miał szczęście – infekcja nie przedostała się do krwi. Ale ropę należało usunąć, a ranę oczyścić – wszystko to tak interesujące, że niemal warto było przez to przechodzić. Alex wyobraził sobie wyraz twarzy Marcusa, kiedy mu opowie ze szczegółami, w jaki sposób uratowano go przed przedwczesną śmiercią za pomocą drenu, skalpela i waty.

W niedzielę rano, po raz pierwszy od czterech dni, Alex obudził się bez gorączki. Niebo za oknem Sary było białe, z paskiem błękitu na górze. Przystań kryła się gdzieś tam, za mgłą. Dziwnie było się tu obudzić, w tym gwarnym świecie z błękitnym niebem. Pod oknem jakiś mężczyzna pchał wózek z bliźniakami, trzymając jednocześnie kubek z kawą i psa na smyczy. Grupa kobiet w jaskrawych podkoszulkach obesła go szerokim łukiem. Alex zamknął okno, chroniąc się przed dziwnym trajkotaniem, po czym ubrał się i zszedł na dół.

W kuchni Sara badała zawartość lodówki. Siedząca przy stole Luna niecierpliwie tupała nogą. Wyglądała na głodną, a Sara na zmęczoną. Była jakby wypłowiała – skóra biała jak papier, wyblakłe jasne włosy – co kojarzyło się z nieustannym zmęczeniem, choć dziś prezentowała się jeszcze gorzej: sińce pod jej oczami miały niemal ten sam odcień szarości, co cień na jej powiekach, przez co wyglądała jak szop prac. Oddała im własne łóżko i choć jej loft z metalu i szkła w samym sercu śródmiejskiej dzielnicy Mission Hills został starannie (i kosztownie, jak się wydawało Aleksowi) umeblowany, w całym mieszkaniu nie

było gdzie wygodnie usiąść, nie mówiąc już o spaniu. Sofa w salonie była twarda i przypominała ławkę w parku, miała prawie ten sam kolor i teksturę co granitowe blaty w kuchni.

– Jak się czujesz? – spytała Sara. Postawiła na stole nieotwarty karton z mlekiem i dotknęła czoła Aleksa.

– O wiele lepiej.

– Cieszę się.

Wydała się odrobinę mniej wyczerpana; nucąc pod nosem, wyjęła z szafki dwie miseczki. Może to zmartwienie, nie zmęczenie, pomyślał Alex. Sara знаła go przez całe życie, choć nie widywali się często. Najpierw uczyła się w college’u, potem była na studiach, ale zawsze pamiętała o jego urodzinach, na które dawała mu podkoszulki, zabawki i książki. Kiedy wróciła i została wykładowcą w miejscowym college’u, Alex myślał, że będzie ją częściej widywać, ale Letty zagarnęła ją dla siebie.

Luna skończyła płatki i odsunęła miseczkę, patrząc na Sarę z nadzieją. Alex pokręcił głową, przypominając sobie, jak pierwszego ich wspólnego ranka Sara popełniła błąd. Grała z Luną w uno przez bite trzy godziny. Teraz jego siostra oczekiwała, że będzie zabawiana w każdej sekundzie dnia. Sara spojrzała na zegarek; Alex wiedział, dlaczego to zrobiła. Obliczała godziny do chwili, kiedy Luna zaśnie. Od wyjazdu babci miał codziennie ten sam odruch.

– Co dziś będziemy robić? – spytała Luna.

– Nie wiem. – Sara nalęła soku pomarańczowego do dwóch szklanek i spojrzała na Alexa, a potem znowu na zegarek. Letty miała przylecieć dopiero w czwartek – jeszcze całe pięć dni.

– Mam pomysł – oznajmiła Luna.

– Naprawdę? Jaki?

– Możemy iść na jarmark.

Jarmark zaczął się przed tygodniem. Codziennie po szkole Luna godzinami opisywała Aleksowi huśtawki i rozrywki, które oferował, a także banany w polewie czekoladowej, o których słyszała, lecz których nie widziała. Tak samo było rok i dwa lata temu, ale żadne błagania czy perswazje nie mogły zmiękczyć Marii Eleny.

Sara zmarszczyła brwi w zastanowieniu.

– Alex?

– Mnie tam wszystko jedno.

Dojazd na miejsce zająłby pół godziny, pobyt – trzy lub cztery, powrót – kolejne pół. Plus bilety po dziesięć dolarów i mają cały dzień rozrywek.

– No to się ubierajcie – zdecydowała w końcu Sara, popychając Lunę w stronę schodów. – Żebyśmy byli pierwsi.



Przybyli w chwili otwarcia. Sara pociągnęła ich główną alejką, żeby zdążyć przed innymi, ale Luna niemal natychmiast się znudziła. Była za mała na prawie wszystkie huśtawki z wyjątkiem tych dla przedszkolaków, a kiedy niczego nie wygrała na strzelnicy, wybuchnęła płaczem.

– Przecież wszyscy przegrywają! – zawołała Sara. Wskazała rodziny odchodzące z pustymi rękami od innych stoisk, ale nie przekonała Luni, która płakała, dopóki Sara nie znalazła gry z gwarantowaną wygraną – wyścigów koni, do których strzelało się z pistoletu na wodę, pięć dolarów od osoby. Sara zapłaciła piętnaście dolarów, usiedli, po czym Sara i Alex strzelali wszędzie, byle nie w cel, dopóki Luna nie wygrała. Nagrodę stanowił breloczek z Hello Kitty. Luna radośnie przypięła go do szlufki w spodniach Sary i pociągnęła ją do zwierząt.

Koleżanka z klasy wyznała jej, że widziała raz na jarmarku narodziny cielaczka i choć Alex wiedział, że dziewczynka przeprowadziła się do Bayshore z Indiany – i to powiedział – Luna nie słuchała. Ciągnęła Sarę od stoiska do stoiska, przez wystawę płodów rolnych z koszykami wymytych do połysku marchewek, pomidorów i kabaczków, obok rzędów słoików z dżemami truskawkowo-rabarbarowymi i porzeczkowymi przez długie, kręte wystawy amatorskich obrazów, włącznie z tymi, które dostały medale za pierwsze, drugie i trzecie miejsce, choć zdaniem Aleksa nie różniły się niczym od pozostałych. Gdyby jego dziadek kiedykolwiek przedstawił tutaj swoje prace, otrzymałby główną nagrodę.

– Twoja mama raz dostała medal, mówiła ci? – odezwała się Sara, kiedy oglądali obrazy.

– Nie.

– W Mission Hills w drugiej klasie należało przedstawić swoje prace z plastyki. Twoja mama była bardzo dobra.

Alex widział ten medal. Leżał w pudełku pod łóżkiem mamy, razem z niewysłanym listem do Wesa Rileya. Alex tysiąc razy przeczytał napis na medalu: „Leticia Espinosa, klasa 11”, ale nie wiedział, skąd mama go miała.

– Zaraz... – rzucił, uderzony nową myślą. – To mama chodziła do Mission Hills?

– Nie mówiła? Tylko do liceum.

Nie, nie mówiła. Nie mówiła mu niczego. Ale jeśli się zastanowić, to miało sens. To tam musiała poznać Sarę, a potem Wesa. Alex pamiętał historię, którą kiedyś opowiedziała mu Sara – o jajku rzuconym w liceum na lekcji fizyki. Wszyscy zrzucili swoje jajka z okien na parterze, ale Letty pojawiła się na schodach przeciwpożarowych na drugim piętrze, przeskoczywszy po drodze tabliczkę „Uczniom wstęp wzbroniony”. Sara powiedziała, że Letty wrzasnęła głośno, rzucając jajko, i że nikt nie był zaskoczony, kiedy tylko jej jajko się nie

stłukło i kiedy Letty dostała jedyną piątkę z plusem w klasie. W tej historii wszystko wydawało się dziwne. Alex nie potrafił sobie wyobrazić, żeby jego matka mogła dostać najlepszy stopień w klasie ani żeby krzyczała przy jakiejś okazji, kiedykolwiek, choć teraz, gdy już wiedział, że uczyła się w Mission Hills, zaczął w to wierzyć. Skoro przyjęto ją do takiej szkoły, musiała być wtedy zupełnie inna. Zaciekawilo go, jak się tam dostała.

Luna podbiegła do niego i pociągnęła go za rękę.

– Ale nuda! – rzuciła. – Chodźmy gdzie indziej.

Godzinę później Luna musiała w końcu przyznać, że Alex mówił prawdę. Na tym jarmarku nie było rodzących zwierząt. Większość znajdowała się na terenie aukcji; Sara usiłowała ją zabrać stamtąd, zanim miała spyta, co się stanie z tymi ślicznymi jagniątkami, cielaczkami i prosiaczkami, ale nie zdążyła. Powiadomiona o stanie rzeczy Luna ryknęła płaczem. Po raz kolejny. A jeszcze nie wybiło południe.

– Chcesz waty cukrowej? – spytała Sara z fałszywą słodyczą. Luna wytarła nos wierzchem dłoni i poszła za nią. Na szczęście słodki niebieski obłoczek załatwił sprawę: miała znieruchomiała, oniemiała z zachwyty, garściami pakując lepkie kłęby do buzi.

Kiedy skończyła, Sara zaprowadziła ją za klejącą się rączkę do ostatniej hali wystawowej: Wspaniałej Krainy Lasów Deszczowych.

Luna pisnęła, ledwie przekroczyła próg, i rzuciła się do ogromnego terrarium, w którym pod ścianą wylegiwał się ogromny żółw.

– Lubisz żółwiaki? – spytała Sara. Alex wzdrygnął się, ale nie odpowiedział. To był żółw lądowy, a nie jakiś żółwiak.

Luna zapomniała o całym świecie, zahipnotyzowana widokiem powoli poruszającego się stworzenia. Żółw mrugnął do niej pomarszczonym okiem i miała opadła na kolana. Żółw zrobił krok w jej stronę – oparła czoło o szkło.

– Idzie! – szepnęła podekscytowana.

Pięć minut później zrobił drugi krok.

Alex westchnął. No to trochę tu pobędą. Obszedł namiot, czytając tabliczki przy klatkach czepiaków, tarantul i nawet skorpionów, a kiedy wrócił, Luna i Sara nadal obserwowały żółwia. Luna siedziała na kolanach Sary, trzymając głowę pod jej brodą, jakby spędziła tak połowę życia. Przyglądając się jej, zaczął się zastanawiać, czy to cecha charakterystyczna sześciolatek, czy tylko jego siostry – ta łatwość, z jaką przywiązywała się do każdego w zasięgu ręki, najpierw do Yesenii, teraz do Sary. Już pierwszej nocy zasnęła z rękami wokół szyi Sary, z końcem jej jasnego kucyka w ustach. Dokładnie tak wczepiała się w babcię co noc.

– Zbliżył się? – spytał.

– Sześć kroków – odszepnęła Luna, nie odrywając wzroku od żółwia. Gdyby tylko potrafiła przyciągnąć matkę do domu tą samą telepatyczną siłą, pomyślał Alex, Letty już by tu była.

Sara wygrzebała z kieszeni dwudziestodolarówkę i przesunęła po podłodze do Aleksa.

– Lepiej idź coś zjeść – powiedziała. – Raczej stąd szybko nie pójdziemy.

Gdy wrócił po raz drugi, objedzony nachosami i lodami, żadna nie ruszyła się z miejsca. Czy żółw się przemieścił? Tego nie potrafił stwierdzić.

– Jakieś postępy? – spytał, siadając obok nich.

– Jakieś – mruknęła Sara, a Luna odpowiedziała jednocześnie: – Tak.

Patrzyli, jak gad robi kolejny krok, a potem Sara spytała, wskazując gestem pomieszczenie:

– Powinnam coś zobaczyć?

– Nie. Parę małą i masę dzieci, które się podniecają, że skorpiony są straszne. Usiłowałem im wytłumaczyć, że jad skorpiona może być lekiem na stwardnienie rozsiane, ale nie słuchały.

Sara zrobiła wielkie oczy i wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, ale tylko wydeła usta i spojrzała na żółwia.

– Co? – spytał Alex.

– Nic.

Chciał spytać jeszcze raz, ale wtedy Luna pisnęła i zasłoniła usta ręką.

– Alex! – wyszeptała przez rozchylone palce. – Patrz! No patrz!

Żółw dotarł do szyby. Oderwał przednie łapy od ziemi i wyprostował się z wyciągniętą szyją, aż stał się tak wysoki jak Luna. Potem opadł na brzuch i wyciągnął przednie łapy przed siebie. Oparł się na kolanach tylnych łap i skierował podeszwy, białe i wytarte, ku sufitowi. Luna położyła się na brzuchu, unosząc tylko głowę, jakby naśladowała jego pozycję.

– Chyba mnie lubi – oznajmiła ze śmiechem.

– To pewne – odparła Sara. – W przeliczeniu na żółwiakowe kroki przeszedł z tysiąc kilometrów, żeby się z tobą spotkać.

– To żółw lądowy – powiadomił ją Alex, nie potrafiąc się powstrzymać.

Sara spojrzała na niego z tą samą miną, co przed chwilą, ale znowu potrząsnęła głową i spojrzała w sufit.

– Co? – spytał Alex. – Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Bez powodu.

– Nieprawda. Widzę to.

– Po prostu... mówisz jak jeden mój znajomy. Zawsze poprawiał naszego nauczyciela biologii i przytaczał różne fakty, które nikogo nie obchodziły. Choć mnie obchodzi to, co mówisz – dodała pośpiesznie.

Alex dopiero po chwili zrozumiał, co to znaczy – Sara знаła jego ojca. Przypominał go jej. Prawda? Musieli razem chodzić do szkoły w Mission Hills.

Tak wiele chciał się dowiedzieć... ale Sara miała minę, jakby już żałowała swoich słów.

– Czym jeszcze ci go przypominam? – spytał, starannie unikając wymieniania imienia. Ale dotknął bolesnego miejsca. Sara poderwała się na nogi.

– Kogo? – rzuciła, udając, że nie rozumie, i zanim zdążył odpowiedzieć, podniosła Lunę z podłogi.

– Chodź – powiedziała. – Żółw musi zjeść kolację i ty też.

Pociągnęła Lunę do drzwi. Alex poszedł za nimi, patrząc na wyprostowane plecy przyjaciółki mamy, która jakimś cudem więcej wiedziała o jego życiu niż on sam. I nie chciała mu powiedzieć. Może uważała, że to nie jej rola, a może obiecała coś Letty. Jedno było pewne: więcej z niej nie wyciągnie.

Resztę będzie musiał odnaleźć sam.

Letty była trzeźwa, kiedy samolot wylądował w San Francisco. Przez cały lot wyglądała przez okno, słuchając, jak jej sąsiadki trajkoczą o biznesowej konferencji, wlewając w siebie kolejne kieliszki czerwonego wina. Letty nie miała pieniędzy na drinka, ale i tak, schodząc z pokładu przytomna i rześka, czuła, że odniosła małe zwycięstwo.

Nie miała walizek, więc minęła punkt odbioru bagażu i poszła do wyjścia, zwalniając, kiedy się do niego zbliżyła. Po drugiej stronie szyby stały jej dzieci. Zobaczyła je pierwsza i serce jej załomotało, kiedy patrzyła na Aleksa, rozmawiającego z Sarą i Luną, przyciskającą całą twarz do drzwi. ZAKAZ POWROTU głosił żółto-czerwony napis nad głową jej córki. Jego trafność była niemal komiczna. Kiedy Letty przejdzie przez te drzwi, wszystko się zmieni. Nie będzie powrotu.

Stała obezwładniona uczuciami, ale w tej samej chwili Luna zobaczyła ją i pisnęła tak przeraźliwie, że poderwała z miejsca zmęczonego pracownika lotniskowej ochrony. Jej córka ominęła drzwi i przemknęła obok niego. Wyciągnął rękę i chciał coś powiedzieć, ale nic nie zrobił, widząc, że nie zatrzyma dzikookiej, wściekle rozczochranej sześciolatki, pędzącej na spotkanie z matką. Letty przyklękła, żeby przyjąć żarliwy uścisk córki, wzięła ją na ręce i przeniosła przez drzwi, gdzie spotkała się z Sarą i Alekssem.

– Jesteś zdrowa? – spytała Luna, klepiąc ją po opatrunku na skroni, a potem dodała, nie dając jej dojść do słowa: – Alex prawie umarł, wiesz?

– Co? – Serce, i tak już łomoczące, podeszło jej do gardła. Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć czoła Aleksa, ale on się cofnął.

– To tylko lekkie oparzenie – oznajmił. Podwinął rękaw i pokazał jej kawałek gazy, przyklejony do przedramienia.

– A mnie powiedziałeś, że mogłeś umrzeć! – zaprotestowała Luna.

– Powiedziałem, że mógłbym umrzeć, gdyby wywiązało się zakażenie krwi, do czego nie doszło. Musisz uważniej słuchać.

Letty spojrzała z uniesionymi brwiami na Sarę, która uśmiechnęła się do niej.

– Witaj w domu.

– Dziękuję. – Postawiła Lunę na podłodze i uścisnęła Sarę, mocno ją przytuliła.

– Dziękuję, że się nimi zajęłaś. I za to, że kupiłaś mi bilet na samolot. Naprawdę nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

– W porządku. Przecież wiesz.

Letty odwróciła się do Aleksa. Był wyższy, niż zapamiętała, i stał, jakby krępował go jego nowy wzrost. Rękawy miał za krótkie, a koszulę wypuścił na wierzch. Chwila nieuwagi, a ten już urósł. Nachyliła się ku niemu, ale kiedy nie wyciągnął do niej rąk, ograniczyła się do poklepania go po ramieniu.

– Dobrze cię widzieć.

– I ciebie.

Znowu odwróciła się do Luni – trudniejszego, ale prostszego w obsłudze z jej dzieci – lecz mała już nie obejmowała jej w pasie.

– Luna?

Po chwili paniki dostrzegła ją przed oszkloną lodówką kawiarni.

– Kupisz mi czekoladowego muffinka? – spytała błagalnie. – Proszę.

Letty wydobyla z kieszeni ostatnie trzy dolary, zbieraninę pomiętych banknotów i monet.

– Czekoladowe muffiny dla wszystkich – rzuciła wspaniałomyślnie, ale kiedy barista przeliczył pieniądze, okazało się, że starczy tylko na jedno ciastko, które Luna zagarnęła dla siebie i pochłonęła, nie dzieląc się z nikim.

Sara odwiozła ich na Przystań i została na tyle, żeby pozmywać i pościelić, zanim się z nimi pożegnała. Luna przywarła do niej całym ciałem i trzeba było pewnego wysiłku, by ją oderwać.

Letty poszła za Sarą na galerię.

– Nie musisz odjeżdżać, wiesz? Nikt cię nie będzie gonić z łopatką do smażenia.

Sara odpowiedziała uśmiechem. Był to żart, który często powtarzały. Narodził się w czasach, kiedy zostały przyłapane na oglądaniu horroru – tego, którego wyraźnie zakazała im Maria Elena. Letty sądziła, że matka śpi, ale po pierwszym strzale Maria Elena wypadła z sypialni w długiej do kostek koszuli nocnej, wymachując nad głową łopatką do smażenia.

– Zostałabym, ale mam wieczorne zajęcia. I muszę się do nich przygotować. W tym tygodniu nie miałam na to czasu.

– Witaj w reszcie mojego życia.

– Aha. – Sara uniosła brew z uśmiechem. – Witaj w reszcie twojego życia.

Letty przełknęła z trudem ślinę. Sara uścisnęła przelotnie jej dłoń. Zrobiła krok w stronę schodów, a potem rozmyśliła się i zawróciła.

– Hej, pewnie nie chcesz o tym mówić, ale musisz porozmawiać z Alekssem. Zdaje się, że wie.

– O czym?

– O Wesie.

– Niby skąd?

– Nie wiem. Dzieci się dowiadują. Tego lata kończy piętnaście lat, nic dziwnego, że zadaje pytania.

Letty westchnęła i oparła się o balustradę, spoglądając na parking na dole.

– Ale co mu mam powiedzieć?

– Nie wiem. Jak ma na imię jego ojciec. I że jest lekarzem. To nie musi być dużo.

– Nie wiem wiele. Nie miałam od niego wiadomości od ponad dziesięciu lat.

– Więc tyle mu powiedz. Cokolwiek. Widzę, że cierpi z powodu tej niewiedzy.

– Nie byłby to pierwszy raz, kiedy cierpiałby przeze mnie.

– Przestań.

To słowo zamknęło Letty usta, zanim zdążyła coś powiedzieć, szybko i skutecznie, niczym ręka dokręcająca ciekący kran. Sara nie zamierzała jej na to pozwolić. Mimo krytycznego nastawienia, mimo setek kłótni o decyzję Letty, żeby nie mówić Wesowi, Sara nigdy nie potępiała jej za ten wypadek Aleksa na parkingu. Kiedy Letty zadzwoniła do niej w hysterii, Sara przyjechała natychmiast z uczelni i przez tydzień siedziała w szpitalnym pokoju, trzymając Letty za rękę. Teraz przyciągnęła ją do siebie. Była od niej wyższa o dobre dziesięć centymetrów; Letty wtuliła twarz między jej szyję i ramię.

– Boję się – szepnęła.

– Wiem. Ale już czas.

– Czas przeszedł – mruknęła Letty, a Sara nie zaproponowała, tylko delikatnie podniosła jej twarz ku sobie, żeby zajrzeć jej w oczy.

– Nie wszystko jest twoją winą – powiedziała. – Pamiętasz? Staralaś się.

Mówiła o Lunie. Luna miała być jej drugą szansą, jej nowym początkiem. A Letty rzeczywiście się starała. Przestała pić, brała witaminy, rzuciła wszystkie prace z wyjątkiem jednej, we Flannigan's, gdzie była barmanką i mogła zarobić z napiwków trzykrotność pensji minimalnej. Nawet oszczędziła trochę pieniędzy i kupiła nowe łóżeczko z bladoróżową pościelą, które Maria Elena natychmiast ustawiła w swojej sypialni. Tak będzie łatwiej, oznajmiła, skoro Letty pracuje w nocy – a Letty się nie sprzeciwiła, ani wtedy, ani gdy Maria Elena wylała jej odciągnięte mleko (skażone, jak założyła, nie ufając jej) i zaczęła karmić dziecko mlekiem w proszku. Narzekanie wydawało się egoizmem, skoro Alex rósł zdrowy i szczęśliwy, skoro jej dzieci miały wszystko, czego potrzebowały, skoro matka tak ewidentnie przewyższała ją pod każdym względem. Ale nadal ją to dręczyło, a poczucie winy jeszcze bardziej odsunęło ją od nich. Niedziele, swój jedyny wolny dzień, spędzała głównie z Sarą. Przez parę beztrudnych godzin mogła udawać, że jest kimś innym, kimś, kto nie ma dwojga dzieci, które jej potrzebują, oraz matki, która jej nie potrzebuje.

– Nie starałam się wystarczająco.

– Może i nie... ale nie jest za późno.

Letty pomyślała o tym, co zaledwie parę dni temu powiedziała jej matka, wyrzucając ją z domu rodzinnego jej ojca: Masz przed sobą całe życie.

– Mam nadzieję – mruknęła Letty, odsuwając się od Sary. – Jutro zadzwonię.

Pozostała na galerii, dopóki samochód Sary nie zniknął jej z oczu. Wtedy odetchnęła głęboko i weszła do domu. Alex i Luna byli w kuchni. Alex stał na stołku, zdejmując talerze z najwyższej półki w szafce, w której uparła się je trzymać Maria Elena. Luna kładła sztucze na stół. Letty zajęła się zadaniem przydzielonym jej zawsze, gdy była obecna na kolacji – nalała wody do dzbanka i postawiła szklanek przy każdym nakryciu, a potem wszyscy razem usiedli.

Nastąpiła długa chwila niezręcznego milczenia. Alex i Luna przycupnęli przy stole jak głodne ptaszki czekające na nakarmienie i Letty nagle zrozumiała: czekali, aż to ona da im jeść.

Poderwała się od stołu.

No dobrze, pomyślała, nadszedł ten moment. Teraz mogę udowodnić dzieciom (i sobie), że wszystko się uda. Potrafię przyrządzić kolację, pozmywać i przygotować ich do snu. Raz, dwa i już. To nie jest niemożliwe. To nawet nie jest trudne. Chwyciła fartuszek z falbanką, który Maria Elena powiesiła na haczyku, zawiązała go i otworzyła lodówkę. Z jej wnętrza buchnęło cuchnące powietrze. Zatrzasnęła drzwi. Lepiej zostawię to na jutro, pomyślała i zajrzała do szafek w poszukiwaniu czegoś jadalnego.

– Zostawiła posiłki w zamrażarce – odezwał się pomocnie Alex.

Po lewej stronie stały ustawione jeden na drugim przezroczyste naczynia, po prawej – zamrożona zupa w plastikowych torebkach, *talami* i *taquito*. Wyjęła torebkę z czymś, co wyglądało jak rosół, i odczytała instrukcje, napisane na niej niezmywalnym markerem:

1. Rozmrozić w ciepłej wodzie
2. Przebrać do szklanego naczynia
3. Podgrzać w mikrofalówce.

Rozmrażanie trwałoby godzinami. Kto miał na to czas? Przeszła do punktu drugiego, ale kiedy otworzyła torebkę i usiłowała przełożyć zupę do salaterki, zamrożona bryła nie chciała się oderwać od folii. Letty zamknęła torebkę, włożyła ją do mikrofalówki i nastawiła na pięć minut. Ledwie umyła i wytarła trzy miseczki, w mikrofalówce rozległo się coś w rodzaju wybuchu małej bomby.

– Cholera!

Zakryła usta, widząc przerażony wzrok Luny. Drzwiczki kuchenki zapiszczały wściekle, kiedy je otworzyła. Zupa skapywała z sufitu i ścianek, lała się z porozrywanego plastiku na szklany talerz. Uratowała, ile się dało, i postawiła miseczki na stole.

– Nic się nie stało – powiedziała z uśmiechem i wzięła łyżkę.

Alex spróbował. Natychmiast wypluł w serwetkę okruch lodu.

– Niesmaczne – oznajmiła Luna.

– Nawet nie spróbowałam. – Letty nabrała na łyżkę zupę, miejscami zamrożoną, miejscami wrzącą, i prawie zakrzuszyła się długim paskiem folii. Wyjęła go z ust, uniosła i parsknęła śmiechem. – No dajcie spokój. Czego tu nie lubić?

– Fuuu... – Alex uśmiechnął się po raz pierwszy od jej powrotu.

Spojrzała na zegarek. Robiło się późno; nie było czasu mierzyć się z kolejnym mrożonym posiłkiem.

– Chyba czas na zapasy awaryjne – oznajmiła, wstając, żeby pozbierać talerze. Wrzuciła je ze szczękiem do zlewu. – Wasza babcia nie zna wszystkich tajemnic tej kuchni.

Dzieci spojrzwały na nią z powątpiewaniem, ale zaczekały, aż umyje mikrofalówkę. Potem wyjęła woreczek popcornu z papierowej torby, złożonej i schowanej w szafce na szczotki. Gdy ziarna pykały w kuchence, Letty przyniosła pudełko czekoladek z kryjówki w sypialni.

– Kolację podano – oznajmiła uroczyście. Luna pisnęła, gdy Letty nasypała do miski parującego popcornu i rzuciła na stół czekoladki.

Jedli szybko, wpychając do ust wielkie garście. Alex zerknął nerwowo na drzwi, jakby spodziewał się, że babcia wejdzie i położy kres tym wybrykom. Gdy popcorn się skończył, usmarowana czekoladą Luna wpełzła pod stół na kolana Letty. Odchyliła głowę i uśmiechnęła się z zamkniętymi oczami. Miała podwinięte rzęsy, tak jak matka. Letty westchnęła i pocałowała słone usta córki. Luna tak łatwo wybaczała. Letty na to nie zasługiwała, ale poczuła się podniesiona na duchu. Wystarczy tylko, że zrobi wysiłek, i jakoś znajdzie sposób, żeby ich trójka stała się rodziną. Westchnęła; szkoda, że musi przerwać tę chwilę. Ale nie miała wyboru.

Podniosła Lunę i posadziła ją na ławie obok siebie, po czym wstała.

– Muszę iść do pracy.

Zrobili takie miny, jakby oznajmiła, że wybiera się na księżyc... albo z powrotem do Meksyku.

– Przepraszam, ale już opuściłam ponad tydzień. Nie mogę zrezygnować z kolejnej zmiany. – Zatrzymała się, czekając, aż odpowiedzą, a kiedy tego nie zrobili, zwróciła się do Luny: – Przebiorę cię do snu, a potem możesz pooglądać telewizję. Kiedy się zmęczysz, Alex będzie musiał cię położyć. Albo śpij na kanapie, wszystko jedno.

Maria Elena nigdy nie pozwalała im spać na kanapie, nawet przez chwilę. Myśl o takim złamaniu przepisów przeraziła Lunę, która aż pobladła. Letty wyciągnęła do niej rękę, żeby ją przytulić, ale mała cofnęła się i przyłgnęła do ściany.

– No co? – spytała Letty z rosnącą desperacją. – Alex potrafi się tobą zająć

przez parę godzin, przecież wiesz. Byliście sami przez tydzień i nic się nie stało.

Ale przecież widziała, że się stało. Alex nadal brał antybiotyk na infekcję, a Luna schudła – a to były tylko te rzeczy, o których wiedziała. Pewnie tysiące razy przeżywali koszmary i mijali się o włos z niebezpieczeństwem, zanim w końcu udało jej się skontaktować z Sarą. Uderzająca do głowy radość, którą czuła przed chwilą, znikła, zostawiając po sobie ciężar na sercu. Nie chciała ich zostawiać, ale jaki miała wybór? Tylko Sarze ufała, a ona przecież siedziała z dziećmi tak długo i kupiła jej bilet na samolot. Nie można było od niej wymagać, że wróci godzinę po odejściu, zwłaszcza że miała zajęcia na uczelni. Poza tym jeśli się do tego nie przyzwyczają, wszyscy umrą z głodu, razem z jej rodzicami w Meksyku.

– Świetnie – oznajmiła, odwracając się. Im dłużej będzie zwlekać, im dłużej będzie patrzeć w błagające oczy córki, tym trudniej będzie jej wyjść. – Śpij pod stołem. Już się spóźniłam.

Przebrała się pospiesznie w łazience w dżinsy i czystą czarną bluzkę, przetrząsnęła stertę prania, szukając świeżego fartuszka i zadowolając się brudnym. Unikając spojrzenia w lustro, zebrała gęste włosy w wysoki kok. Gdy wyszła z łazienki, Luna stała przy drzwiach w gumiakach, z chudymi kolankami wyglądającymi spod szortów.

– Idę z tobą.

– Nie możesz. Pracuję w barze.

Luna pociągnęła się za złoty kolczyk, tak jak to robiła nieświadomie w nocy, kwiląc z powodu złego snu.

– Pracujesz na lotnisku.

– Pracuję w barze na lotnisku.

– Idę z tobą.

Letty westchnęła i wyciągnęła rękę. Luna wtuliła się w jej brzuch.

– Nie chcę iść. Naprawdę. Ale musimy coś jeść. Jeśli nie będę pracować, nie będziemy jeść. – Podniosła do siebie twarz córki. – Dobrze? Będziesz grzeczna i zostaniesz?

Luna pokręciła głową. Łzy stanęły jej w oczach i zaczęła płakać, głośno, rozpaczliwie. Była zła? Przerazona? A może po prostu chciała postawić na swoim? Letty przypomniała sobie mgliście awanturę mniej więcej tych rozmiarów spowodowaną zaginięciem złotego swetra, ale może coś się jej pomyliło. Naprawdę nie wiedziała i znowu uświadomiła sobie, że wcale nie zna swoich dzieci. Alex stał w drzwiach, przyglądając się, a kiedy Letty odwróciła się do niego, prosząc o pomoc, wzruszył ramionami. On też był bezradny.

Letty zeszła na dół z córką uwieszoną u pasa. W bloku B szalona pani Starks krążyła niespokojnie po swoim mieszkaniu. Letty widziała jej ciemną sylwetkę na tle sinej poświaty telewizora. Jej spojrzenie osunęło się na mieszkanie poniżej, które kiedyś zajmowali państwo Ramos. Pani Ramos z tymi jej haftowanymi

zasłonami, haftowanymi obrusami, haftowanymi serwetkami i haftowanym wszystkim, u której Maria Elena zawsze mogła zostawić Letty. Ale Ramosowie odeszli ponad dziesięć lat temu i nikt się nie wprowadził na ich miejsce. Nie miała komu zostawić Luny.

W oświetlonym oknie na drugim piętrze widziała przyglądającego się im Aleksa. On się zajmie siostrą. Szybkim ruchem wyrwała się Lunie i ruszyła biegiem.

– Wracaj do domu! – krzyknęła przez ramię, ale Luna popędziła za nią ile sił w krótkich nóżkach. Jej wyraźnie rysujące się pod skórą żebra rozszerzały się i zapadały, żyły na zaciśniętych pięściach nabrzmiwały rozpaczliwie. Zrozumiesz, kiedy będziesz starsza, chciała krzyknąć Letty, ale może jednak nie powinna, bo sama to ledwie rozumiała. Wiedziała tylko, że musi pracować, bo jeśli nie, może stracić wszystko – pracę, dom i dzieci. Krew załomotała jej w skroniach. Nie rozumiała, jakim cudem Luna nadaża za nią na tych krótkich, chudych nóżkach, ale za każdym razem, gdy się oglądała, widziała córkę, której spod stóp tryskały fontanny żwiru.

Letty biegła szybciej niż kiedykolwiek. Jej jedyną szansą było dotarcie do szosy biegnącej wzdłuż autostrady i skrócenie, zanim Luna ją zobaczy. Nie widząc jej, nie będzie biec dalej i pozwoli Aleksowi odprowadzić się do domu.

Ale właśnie w tej chwili rozległ się krzyk Luny. Letty odwróciła się i zobaczyła córkę leżącą na brzuchu z uniesionymi w górę zakrwawionymi dłońmi.

Zatrzymała się i wróciła biegiem.

– Co teraz? – załkała w rozpacz, idiotycznie, jakby to ona była leżącą na drodze zakrwawioną sześciolatką, a nie jej matką. Luna nie odpowiedziała. Powieki miała zaciśnięte, dolną wargę zagryzioną, twarz umazaną cichymi łzami i smarkami.

Letty przewróciła ją na plecy, a potem pomogła jej usiąść.

– Boże, możesz chociaż stanąć? – spytała, i kiedy Luna wstała, a do gumiaków spływała jej krew z rozbitych kolan, dodała: – Możesz biec?

Jej córka zaczęła kuśtykać, potem truchtać i pobiegły razem.

Letty wzięła ją za rękę, pociągnęła za sobą i tak, pędząc z identycznie przerażonymi minami, wpadły na lotnisko i do baru.

W miejscu, w którym przewróciła się Luna, na żwirze została krew. Alex czekał, aż obie zniknęły mu z oczu. Dopiero wtedy rzucił się pędem w dół po schodach, koło miejsca wypadku i na autostradę. Nie zatrzymując się, wbiegł na kładkę dla pieszych i ruszył dalej stromym chodnikiem do Mission Hills. Obejrzał się przez ramię na swoje ciemne mieszkanie na końcu Mile Road. Biegł, biegł i biegł, oddalając się od niego coraz bardziej, choć serce dudniło mu w uszach i ledwie łapał oddech. Nie mógł się zatrzymać. Matka nie da sobie rady sama. Kiedy Sara zobaczy jego twarz, zrozumie i wróci. Musi.

Zatrzymywał się na każdym rogu, porównując nazwy ulic z mapą, której nauczył się na pamięć podczas przesiadywania na przystankach autobusowych. Wszystkie ulice w Mission Hills nosiły nazwy drzew, a on mijał je kolejno, zmierzając w stronę bloku Sary: Sycamore, Ash, Cherry, Elm. Elm!

Zatrzymał się gwałtownie. Z rękami na kolanach, zdyszany, przypomniał sobie kopertę spod łóżka matki.

Wes Riley, 536 Elm Street, Mission Hills, Kalifornia.

To tu. Przez całe życie czekał na szansę, by ujrzeć dom ojca, i teraz, gdy dziadkowie wyjechali, a matka i siostra były w pracy, nadeszła ta chwila. Wydawało się niemożliwe, żeby ojciec nadal tu mieszkał – wszystkie zdjęcia w internecie ukazywały go w obcych krajach – ale może jego rodzice się nie wyprowadzili. I może oni mu pomogą.

Chciał nadal biec, ale był zmęczony i nagle ogarnęło go zdenerwowanie. Im bardziej się zbliżał, tym bardziej zwalniał, aż w końcu stanął na rogu numeru 500. Już się ściemniło; usiłował odczytać adresy, ale tabliczki były za daleko. Dom, którego szukał, mógł być każdym z tych ogromnych budynków, nieskazitelnych, z wielkimi oknami i znajdującymi się pod nimi schludnymi rabatkami i kwadratowo przystrzyżonymi krzakami.

Przeszedł na stronę z numerami parzystymi i zatrzymywał się przed każdym cichym frontonem: 512, 520, 524. I raptem, na gigantycznym białym domu, tam gdzie na innych znajdowały się tablice z numerami, napis: WITAJCIE U RILEYÓW.

Sam ten widok niemal go załamał. Jednym szybkim ciosem zniszczył wszystkie jego fantazje na temat ojca. Wyobrażał sobie, że jego dziadkowie są biedni i mieszkają w jedynym ubogim domu w Mission Hills, nie mogąc się z nim podzielić nawet skórką od chleba, albo że są podli i zagrozili Wesowi czymś strasznym, jeśli odważy się choćby napisać list do swojego syna. To były jego

ulubione wyobrażenia, w których ojciec nie chciał odejść, ale zmusiły go do tego okoliczności, na które nie miał wpływu. Ale ten olśniewający biały dom z tablicą WITAJCIE – ci ludzie nie byli ani biedni, ani podli.

Alex przyjrzał się innym szczegółom: niebieskim drzwiom, żelaznemu balkonowi, drewnianym belkom podtrzymującym dach. Okno z przodu było zwieńczone łukiem, wysokie ściany pokryte ozdobnym tynkiem. Jaskrawoczerwone kwiaty w doniczce pod tabliczką były zbyt obficie podlane; zmieszana z ziemią woda spłynęła na cementowy ganek.

Ciemne okna i pusty podjazd świadczyły, że w domu nie ma nikogo, dlatego Alex wszedł na ganek, żeby zajrzeć do środka. To było niebezpieczne – mogli wrócić lada chwila – ale całe życie czekał na ten moment i wszystko go ciekawiło. Zobaczył przez szybę stół z polerowanego drewna otoczony lśniącymi czarnymi krzesłami, a przez zakończone łukiem okno dostrzegł kuchnię z białą posadzką, białymi kafelkami i białymi meblami, surowymi i błyszczącymi jak wszystko inne w pomieszczeniu oprócz okrągłego, jaskrawozielonego stołu. Na stole znajdowało się coś, co wyglądało jak brudne naczynia pozostawione po śniadaniu z otwartym pudełkiem płatków. Poczul potrzebę, żeby je zamknąć. „No, skoro chcesz jeść zeschnięte płatki...” mawiała babcia miesiącami i latami, aż w końcu nauczył się zamykać pudełko, a ona nie musiała już tego mówić.

W głębi ganku kołysała się drewniana huśtawka. Alex podszedł i trącił ją delikatnie, wprawiając w ruch. Jego matka tu siadywała. Był tego pewien. Wyobrażał sobie, jak chodzi do domu Wesa po szkole, z plecakiem ciężkim od książek, i siada tu ramię w ramię z jego ojcem, patrząc na świat. Teraz na huśtawce leżał otwarty „New York Times”. Alex wziął gazetę, po czym odłożył ją dokładnie tak, jak leżała. Nikt się nie zorientuje, że tu był.

W tej samej chwili usłyszał za plecami jakiś hałas. Samochód na jezdni, zwalniający – i zanim Alex zdążył się zastanowić, czy to jego dziadkowie, światło reflektorów padło mu na brzuch. Samochód skręcił na podjazd.

Wrócili.

Śmignął przez ganek i był już w połowie ścieżki, gdy trzasnęły drzwiczki. Zatrzymał się i spojrzał za siebie.

Ale nie zobaczył dziadków.

Zobaczył ojca.

Natychmiast go rozpoznał. Światło latarni ulicznej lśniło w jego ciemnoblonde włosach. Ojciec miał na sobie bladobłękitny uniform lekarza. Z kieszeni na jego piersi wystawał flamaster. Stał i patrzył na Aleksa, a kiedy ten się nie odezwał, wyszedł z samochodu.

– Mogę ci w czymś pomóc?

Tak! – krzyknął głos w głowie Aleksa. Błagam! Pomóż nam! Ale Alex tylko włożył ręce do kieszeni i zrobił krok do tyłu. Patrzył na mężczyznę, który zostawił

jego matkę, mężczyznę, który przeżył piętnaście lat jakiś kilometr od niego, ale nigdy go nie odwiedził, mężczyznę, który trzymał na rękach dzieci z całego świata, ale nie własnego syna. Jaki sens ma proszenie go o pomoc? Podjął decyzję już dawno temu.

– Nie – powiedział Alex. – Przepraszam. Pomyliłem domy.

Wes stał nieruchomo, patrząc na niego, a zanim zdążył powiedzieć coś jeszcze, Alex odwrócił się i uciekł.

Część druga

Nastał okres błogości, miesiąc miodowy. Po porzuceniu, popcornie z czekoladą i pościgu przez Mile Road, po tym jak Letty, z zakrwawioną Luną siedzącą na stolku barowym obok niej, wyblagała ponowne przyjęcie do pracy, zachowywali się wzorowo, wszyscy bez wyjątku. Gdy zaczęły się wakacje, Letty przeszła na zmianę południową i Luna chodziła z nią do pracy codziennie. Siedziała posłusznie w hali lotniska w wielkim fotelu, z pustą walizką obok siebie i torebką na kolanach – te rekwizyty miały sugerować, że matka zostawiła ją tu na chwilę, żeby skorzystać z toalety. Letty pracowała, nie odrywając oczu od fotela, dzieląc uwagę między klientów i córkę.

W domu Alex wziął na siebie podgrzewanie posiłków Marii Eleny w mikrofalówce. Wieczorem nakrywał do stołu, tak jak nauczyła go babcia, i składał długie raporty z każdego dnia: chodził po bagnach i wrzucał uwięzione w kałużach płotki z powrotem do zatoki, napełniał karmniki dziadka, spotykał się z jakąś Yesenią na kamieniu, który leżał dokładnie w połowie drogi między ich domami. Po kolacji siadali rżędem na kanapie i oglądali telewizję, mówiąc cicho i uprzejmie, zamiast żądać (Letty: „Czy zechcesz włożyć piżamę?”. Luna: „Czy zechcesz mi pomóc?”). Bali się być razem, ale bali się też być osobno. Choć sypialnia dziadków stała pusta, spali we trójkę w jednym pokoju: Alex w łóżku pod oknem, Luna z matką na drugim pod przeciwną ścianą, ze spoconym policzkiem przyklejonym do policzka Letty i ramionami mocno oplatającymi jej szyję.

Ten okres błogości trwał dokładnie miesiąc. W dniu, w którym zjedli ostatni posiłek Marii Eleny, kiedy w zamrażarce została już tylko torba lodu, Letty oderwała wzrok od wydawanej reszty i zobaczyła Lunę przykucniętą za barem, z długimi włosami przyklejonymi do butelki syropu.

– Co robisz? – syknęła, odsuwając włosy córki z dala od butelek i upewniając się, że kierownik tego nie widzi. – Nie wolno ci tu być.

– Ale ja się nudzę.

– Więc zajmij się kolorowanką.

– Już wszystkie skończyłam. Chcę nowe.

Przeniesienie się na południową zmianę zmniejszyło zarobki Letty o połowę, a przez ostatni miesiąc wydała większość pieniędzy w sklepie z upominkami na lotnisku. Kupowała kolorowanki, puzzle i pluszowe zwierzątka, żeby tylko Luna wytrzymała na miejscu. Ale teraz jedzenie z zamrażarki się skończyło. Musiała zacząć kupować coś więcej niż tylko mleko, płatki, chipsy i napoje, no i jeszcze ten list od matki, który przyszedł wczoraj – ciągnący się przez wiele stron spis rzeczy,

które zapomniała jej powiedzieć („Luna ma wysypkę po czarnych jagodach! W tym sklepie Wszystko po Dolarze na Rollins sprzedają w środy warzywa i owoce!”), a potem postscriptum: „Adres jest na kopercie, na wypadek gdybyś mogła”. Wysłać pieniądze, miała na myśli matka, choć starczyło jej przyzwoitości, żeby nie poprosić wprost. Letty miała ochotę zignorować list, ale nie mogła znieść myśli, że jej rodzice będą się snuć głodni po tym wielkim, pustym domu, więc zaczęła odkładać pieniądze z napiwków na dwie kupki.

– Nie mogę ci kupić nowych kolorowanek – powiedziała do Luny, ciągnąc ją na koniec baru. – Pomaluj tła.

– Już pomalowałam.

– Dorysuj coś. Serca, gwiazdki... Może wydrzyj strony i zrób samolociki? – Luna na wszystko kręciła głową: nie, nie, nie, nie. – No to sama coś wymyśl. Zostały jeszcze dwie godziny.

Poprowadziła Lunę do wyjścia, ale zanim do niego dotarły, do Flannigan’s weszły dwie kobiety z walizkami na kółkach. Letty ukryła Lunę za barem, żeby kobiety jej nie dostrzegły.

– Dzień dobry – rzuciła swobodnie, z jedną ręką na głowie wiercącej się córki, drugą sięgając po serwetki. – Proszę siadać.

Idź stąd, powiedziała bezgłośnie do małej, gdy kobiety zarzuciły długie płaszcze na oparcia dwóch stołków barowych, ale Luna wydeła dolną wargę i nie ruszyła się z miejsca. Musiałyby ją wyciągnąć siłą. Lepiej, żeby zobaczyły ją klientki, a nie kierownik, który zapowiedział, że wyrzuci Letty w chwili, gdy Luna przeszkodzi jej w pracy. Letty wzięła protestującą córkę pod pachy i wyniosła ją na zewnątrz. Fotel, na którym mała spędziła prawie cały ten miesiąc, był wymazany zaschniętym brokatowym klejem i markerem. Letty rzuciła ją na niego.

– Nie powiesz mi, że wszystko już zrobiłaś – warknęła, biorąc kolorowanek. Kupiła ją ledwie tego ranka. Przekartkowała ją i znalazła dwie pominięte strony w środku. – Widzisz? Tutaj. Maluj.

Odwróciła się i biegiem wróciła do kawiarni.

– Mogę podać paniom coś do picia?

Kobiety, około sześćdziesięcioletnie, były zadbane. Jedna z krótkim siwym bobem, bez makijażu, druga z tlenionymi włosami i wielką pomarańczową torebką, którą położyła na barze obok siebie. Poprosiły o dwie coli, nie odrywając oczu od Luny. Dziewczynka położyła się na plecach, z chudymi jak patyczki nóżkami na oparciu fotela i włosami spływającymi na podłogę. Jedną ręką trzymała książeczkę w powietrzu, drugą gryzmoliła po kartce różowym flamastrem.

– Jaka piękna – odezwała się blondynka.

– Dziękuję. – Letty nalała coli do dwóch szklanek i postawiła je na serwetkach. – Zjedzą panie obiad?

Skinęły głowami. Sięgnęła po karty dań, a kiedy się odwróciła, Luna stała

w drzwiach, trzymając w górze ukończoną kolorowanke.

– Usiądź, proszę – powiedziała Letty, starając się udawać cierpliwą matkę. – Zaraz przyjdę. – A do kobiet dodała: – Przepraszam. Opiekunka zawiodła. Znalazły panie coś dla siebie?

Kobieta z siwym bobem pociągnęła łyk napoju i skrzywiła się, z trudem przełykając.

– To nie jest cola.

– Nie? – Letty podniosła szklankę i powąchała. Fakt, to nie była cola. We Flannigan's nie zmieniło się nic od dziesięciu lat, a wystarczył tydzień jej nieobecności, żeby kierownictwo postanowiło nalać mrożoną herbatę do automatu z colą. Nadal do tego nie przywykła. – Rzeczywiście. Przepraszam.

Luna zrobiła krok naprzód i potrzasnęła kolorowanke. Furkot stron poniósł się echem w pustej restauracji.

– Zaraz – rzuciła Letty do córki, tym razem zdecydowanie mniej cierpliwie. – Przepraszam. Wymienię pani ten napój.

Otworzyła zmywarke, wyjęła z niej dwie szklanki i przejechała nimi przez kubek z lodem w sposób, który był tu surowo wzbroniony. Szklanki mogły pęknąć, przez co lód należałoby wyrzucić, ale nie pękły, a kierownik tego nie widział. Dwa razy sprawdziła, czy tym razem wylot automatu jest właściwy, napełniła obie szklanki i postawiła je przed kobietami, po czym wywlokła Lunę na zewnątrz.

– Musisz przestać to robić – szepnęła, z trudem powstrzymując gniew. – Siadaj.

Znowu wzięła książeczkę, modląc się o jakieś puste strony, cokolwiek, co zajęłoby jej córkę przynajmniej do wyjścia klientek, i znalazła – część książeczki, sklejoną jakąś lepką pačką z cukierka, którymi pracownicy lotniska zawsze karmili Lunę – co najmniej osiem lub dziesięć stron.

Dzięki Ci, Boże, pomyślała i prawie parsknęła śmiechem, bo tak samo mówiła matka. Rozlepiła kartki i zwycięsko rzuciła kolorowanke.

– A teraz siedź!

Luna nie ucieszyła się, ale nie zaprotestowała. Letty wróciła biegiem do baru. Panie nie tknęły drinków.

– Cola?

– Być może.

Blondynka wskazała ślady szminki na szkle. Letty przypomniała sobie z nagłą zgrozą: nie włączyła zmywarki. Podała napój w brudnych szklankach. Przełknęła łyzy, zabrała szklanki i wstawiła je do zlewu.

– Te cole nie mają jakoś szczęścia – powiedziała, siląc się na uśmiech. – Co panie powiedzą na coś mocniejszego? W Londynie już prawie północ.

Panie spojrzały na siebie zaskoczone.

– Skąd pani wie, że lecimy do Londynu?

Letty zauważyła kieszonkowy przewodnik w pomarańczowej torbie, kiedy blondynka zjrzała do niej, by sprawdzić telefon – ale nie lubiła zdradzać swoich tajemnic. Przez dziesięć lat zgadywała, dokąd wybierają się goście restauracji, oceniając ich akcent, ubranie, bagaż i wszelkie inne pracowicie zbierane tropy.

Wskazała ich długie płaszcze.

– Albo Londyn, albo są panie pierwszymi turystkami w historii, które uwierzyły w te reklamowe bzdury o lecie w San Francisco.

Klientki parsknęły śmiechem.

– No tak. Poprosimy coś mocniejszego. Niech pani wybierze.

Letty podała im Bloody Mary. Wlała wódkę do shakera, licząc powoli, potem dorzuciła resztę składników i ozdobiła szklanki selerem, zielonymi oliwkami i parasolkami. Nalała szczerze i dała tyle selera i parasolek, że tylko ktoś tak wprawny w tym fachu jak ona mógł donieść szklanki, nie roniąc ani kropli.

– No, no – powiedziała ta z siwym bobem, kiedy Letty postawiła drinka przed nią. – To rozumiem.

– Firma stawia – oznajmiła Letty.

Kobiety podniosły szklanki. Drinki były trochę zbyt brązowe – za dużo sosu Worcestershire – a Letty zbyt późno przypomniała sobie, że nie dodała soli.

Ale to przecież za darmo.

Kobiety trąciły się szklankami, pociągnęły po łyku, skrzywiły się, ale nic nie powiedziały.



Czterdzieści pięć minut później skończyły jeść i pobiegły do swojej bramki, zostawiając napiwek tak hojny, że niemal pokrył koszt drinków. Letty włożyła szklanki do zmywarki i włączyła ją, po czym odwróciła się w samą porę, by zobaczyć, jak Luna zrywa się z fotela i znika. Letty zostawiła mokrą szmatę na barze i wybiegła. Luna stała z plecami przyciśniętymi do drzwi, wyglądając zza rogu, jakby przygotowywała kolejne niespodziewane wtargnięcie za bar.

– O, nie. Nic z tego. Wracaj na swój fotel.

– Ale ja się nudzę – poskarżyła się Luna. – Dlaczego nie kupisz mi drugiej kolorowanki?

Letty sięgnęła głęboko w kieszeń fartucha i wyjęła żalostną garstkę pomiętych banknotów.

– Bo jej nie zjesz.

– Nie jestem głodna.

– Teraz nie jesteś, bo dopiero zjadłaś obiad.

– Później też nie będę – oznajmiła dziewczynka z ręką na sercu. – Słowo daję.

– Och, Luna... – Letty wiedziała, że sześciolatka nie może siedzieć

spokojnie przez tyle godzin, ale co jeszcze mogła zrobić? Luna nie chciała zostać w domu z Alekssem. Sara uczyła, a wszystkie koleżanki z restauracji pewnie spały – poza tym i tak nie powierzyłyby im Luny. Pieniądzy z trudem wystarczało na jedzenie. Nie mogła sobie pozwolić na opiekunkę. – Posłuchaj. W ten weekend pójdziemy do sklepu Wszystko po Dolarze i kupimy więcej kolorowanek. Ale w tej chwili musisz tu wytrzymać. Jeśli nie dasz rady, jutro zostaniesz z Alekssem, choćbyś nie wiadomo jak się awanturowała.

– Nie – rzuciła Luna, zakładając ręce na piersi i opierając się gwałtownie o brzuch Letty. – Nie, nie, nie, nie, nie. Nie zostawisz mnie.

Nigdy bym cię nie zostawiła, chciała powiedzieć Letty, ale nie miała już do tego prawa. Straciła je w chwili, gdy zostawiła ich śpiących w łóżkach i pojechała do Meksyku.

– Więc usiądź.

– Nie.

Luna zaczęła płakać. Letty przytuliła ją mocno, trochę żeby ją pocieszyć, trochę żeby ją uciszyć. Luna odchyliła się i zaczęła głośno chwytać powietrze. Po twarzy spływały jej łzy. Biznesmeni rozmawiający przez komórki odeszli od nich jak najdalej, a objuczone matki stanęły ze swoimi marudzącymi dziećmi, żeby spytać, czy mogą jej pomóc.

– Wszystko w porządku – wymamrotała upokorzona tą sceną Letty.

Słyszając to, Luna oderwała się od niej i jak burza pomaszerowała do swojego fotela. Weszła na niego, a potem na oparcie, górując nad stojącą obok doniczkową palmą.

– NIC nie jest w porządku! – wrzasnęła.

Wszyscy obecni stanęli i spojrzeli na nią.

W hali lotniska zapanowała upiorna cisza.

– Jesteś najgorszą mamą na świecie – szepnęła Luna. – Babcia kupiłaby mi kolorowanąkę. Chcę do babci.

– Ja też! – warknęła Letty, na co Luna znowu się rozplakała, a tłum zajął się sobą, głośno rozmawiając o niczym, żeby nie patrzeć. Gorący rumieniec rozlał się na policzkach Letty, która nabrała ochoty, by zerwać z siebie fartuszek i skapitulować. Nie da rady. Przecież to wiedziała i uprzedziła matkę! Przypomniała sobie puste spojrzenie Marii Eleny i jej fałszywe zachęty, a niemal natychmiast potem wyraz twarzy lecących do Londynu pań na widok drinków w kolorze błota, którymi je przekupiła. Niczego nie potrafiła zrobić jak należy.

Stojąc tak i zastanawiając się, jak może się od tego wszystkiego uwolnić, poczuła to – czyjś wzrok. Jakiś cień poruszył się w głębi restauracji, zbliżył i nagle wszystkie marzenia o ucieczce prysły. Nie mogła odejść, nie mogła stracić pracy. W czasie potrzebnym, by się odwrócić, zobaczyła dokładnie, jak wyglądałoby jej życie, gdyby nie pracowała: głodne dzieci, utrata mieszkania, utrata nadziei.

Kierownik nieraz już ją ostrzegał. Luna nie mogła stawiać na swoim, nie mogła przychodzić do restauracji, nie mogła jej przeszkadzać. A teraz przyłapał je w hali, Lunę lamentującą na oczach gapiów.

Ale kiedy się odwróciła, kamień spadł jej z serca. To nie był kierownik, tylko Rick Moya, barman pracujący na wieczornej zmianie. Przyszedł wcześniej. Odetchnęła, ale ulga zmieniła się w grozę. Ze wszystkich ludzi na świecie jego najmniej chciałaby tu spotkać. Było w nim coś, co jej się po prostu nie podobało. Uważała, że nie można zaufać komuś tak bardzo zadbanemu: ciemne krótkie włosy, dokładnie ogolona kanciasta szczęka, okulary w czarnych oprawkach, dżinsy wyglądające na drogie. Ale ważniejszy od jego wyglądu był fakt, że Rick dostał jej zmianę. Co noc zamykał restaurację i wracał do domu z napiwkami, które nadal uważała za swoje.

– To pewnie kiepski moment, żebym jej kupił kolorowanke? – spytał. Stojąca na oparciu fotela Luna znowu zawyła. – To złamanie wszystkich rodzicielskich zasad?

Letty westchnęła.

– A wyglądam, jakbym coś wiedziała o rodzicielskich zasadach?

Rick podszedł do Luny. Letty przyglądała się, jak usiłował ją namówić do zejścia z fotela. Nie wiedziała, co powiedział, ale najwyraźniej podziałało. Luna skinęła głową i wyciągnęła usmarowaną gilami rękę; Rick ją ujął i mocno uściśnął, po czym pomógł jej zejść i zaprowadził za róg hali. Po dziesięciu minutach wrócili, Luna z lukrecjową tasiemką, dłuższą od niej, Rick ze stosikiem kolorowanek na resztę życia.

– Czemu uściśnąłeś jej rękę? Zawarliście umowę? W jakiej sprawie? – spytała Letty.

– Odda mi swojego pierworodnego.

– Możesz go sobie wziąć – oznajmiła Letty, ale przestała owijać sztucce w serwetki, czekając, aż odpowie serio.

– Ma przestać płakać – oznajmił. – I cię przeprosić.

Tego się nie spodziewała.

– O... dzięki – mruknęła. – W ogóle co tu robisz?

– Pracuję.

– Dopiero od czwartej. Nie podzielę się z tobą tą godziną. Potrzebuję pieniędzy.

Rick wyjrzał do hali. Letty poszła za jego spojrzeniem. Luna zdjęła buty i drapała się kredką w policzek. Na kołnierzyku białej bluzki polo zakrzepło coś brązowego, łzy zostawiły ślady na jej twarzy, jakby nie myła się od tygodnia, choć kąpała się wczoraj. Letty nie musiała mu mówić o pieniądzach. To biło po oczach.

– Spoko. Nie jestem punktualny.

– To po co przyszedłeś?

– Żeby się przygotować.

Wyjął z wypchanego plecaka niedużą tablicę, pudełko kredy i małe brązowe buteleczki z etykietkami zapisanymi drobnymi literkami: WĘDZONA POMARAŃCZA, BERGAMOTKA, WIŚNIA, POTPOURRI. Ustawił je w rzędzie, a potem wyjął dwie większe butelki, bez etykietek – jedną z przezroczystym płynem, drugą z jaskraworóżowym syropem.

– Masz tam coś jeszcze?

Spytała tak dla żartu, ale on naprawdę wyjął z plecaka kolejne butelki, a potem stosik książek: *Księga koktajli Savoya*, *Przyjaciel bon vivanta*, *Sztuka miksologii*. Wyglądał jak magik wyciągający kolejne króliki z kapelusza.

– Serio? Szefowie wiedzą, że to robisz?

– Nie. Ale jeśli zarabiają, mają to gdzieś.

– Ale dlaczego?

– Nie chcę tu utknąć na zawsze.

Ledwie to powiedział, poczerwieniał i zmarszczył brwi.

– Jak ja – dopowiedziała Letty. – Nie chcesz tu utknąć na zawsze jak ja.

Rick pokręcił głową i odwrócił wzrok. Luna, nadal w fotelu, przywiązała jeden koniec lukrecjowej tasiemki do kostki u nogi, a drugi trzymała w ustach. Przy każdym kęsie noga wędrowała wyżej.

– To dobra praca. Ale gdzieś tam czeka na mnie wspaniały świat koktajli. Ludzie chcą dostawać nowe drinki. Nową technologię. I można na tym nieźle zarobić.

– Nie tutaj.

– To fakt, nie tutaj. Ale gdzieś muszę zacząć.

Nie był aż tak młody. Jej rówieśnik albo odrobinę młodszy. Zastanowiła się, co robił przedtem. Coś jej się w nim nie zgadzało. Tuż poniżej kołnierzyka, w rozpięciu koszuli (o jeden guzik za daleko, jej zdaniem) widać było tatuaż rozciągający się od obojczyka do obojczyka, jakiś łaciński napis, niepasujący do powierzchowności młodego republikanina. I gdzie nauczył się pertraktacji z sześciolatkami? Ale zanim zdążyła go spytać, ubrany w garnitur mężczyzna w średnim wieku usiadł przy barze. Letty położyła przed nim serwetkę.

– Mogę panu coś podać?

Mężczyzna powiódł wzrokiem po rzędzie butelek za barem, mrużąc oczy, jakby nie potrafił czegoś odczytać. Letty poszła za jego spojrzeniem; Rick pisał na tablicy słowa SPECJALNOŚĆ WIECZORU, a poniżej: SAZERAC, BLOOD AND SAND, RANGOON GIMLET. W życiu o nich nie słyszała.

– To coś innego.

Letty łypnęła na Ricka, który – za późno – odwrócił tablicę.

– Przepraszam. Te koktajle będą dostępne dopiero po czwartej.

Mężczyzna spojrział na zegarek.

– Mam aż za dużo czasu do następnego lotu – oznajmił, wyjął laptop i otworzył go na barze. – Zaczekam.

Letty gwałtownym ruchem zabrała serwetkę i spochmurniała. Rick nie zamierzał odebrać jej połowy napiwków z ostatniej godziny, chciał je ukraść wszystkie. Miała ochotę zaprotestować, ale wykończyła ją awantura z Luną. Zdjęła fartuszek i rzuciła nim w stronę worka z praniem. Wylądował na linoleum obok.

– W twoje ręce – rzuciła, podbijając kartę. – Baw się dobrze.

Odwróciła się, żeby znaleźć torebkę. Jej spojrzenie padło na spoczywający na barze stosik książek o koktajlach. Rick był pogrążony w rozmowie z biznesmenem o szczegółach „kunsztu”. Letty bez namysłu zwinęła pierwszą książkę z brzegu i schowała ją do torebki, po czym wyszła z restauracji.

– Chodź! – zawołała.

Luna zeskoczyła z fotela i popędziła za Letty, a lukrecjowa wstążka powiewała za nią wśród tłumu podróżnych.

Po czterech tygodniach obserwacji Alex dowiedział się o swoim ojcu co następuje:

1. Prenumeruje „San Francisco Chronicle” i „New York Timesa”.
2. Sprzątaczką przychodzi we wtorki, przynosząc własne akcesoria.
3. Wychodzi do pracy o siódmej, a wraca między szóstą i wpół do siódmej, przeważnie z jedzeniem na wynos.

Alex obserwował to wszystko zza rogu, czasem z Yesenią, czasem śledząc ojca, gdy ten niósł list do skrzynki pocztowej albo kupował mleko w osiedlowym sklepie. Zawsze uważał, żeby ojciec go nie dostrzegł. Nigdy nie widział żadnych innych osób – żony, dzieci, nawet tych dziadków, których się spodziewał.

To się zaczęło stawać obsesją, to codzienne chodzenie za człowiekiem, którego nie znał. Gdzieś w połowie lata, gdy matka i siostra spały w łóżku po drugiej stronie pokoju, przysiągł sobie, że nigdy więcej tam nie pójdzie, ale w południe następnego dnia znowu pociągnął Yesenię na drugą stronę szosy.

Ten marsz był dla niej trudny. Na okolonej siatką kładce dla pieszych zatrzymali się, patrząc przez załataną dziurę w ogrodzeniu na pędzące samochody w dole. Te same spłowiałe sztuczne róże tkwiły tam od lat. Alex dotknął zakurzonych płatków. Yesenia usiadła, oparta o niski cementowy murek.

- Wszystko w porządku?
- Radzę sobie.

Zawsze mówiła, że sobie radzi, bez względu na to, jak biło jej serce, z jakim trudem odyskiwała oddech. Bardzo długo wydawało mu się, że nie mówi mu prawdy przez wstyd albo nieśmiałość, ale ostatnio zaczął podejrzewać, że ona naprawdę sądzi, że sobie radzi. Choć dla niego wyglądało to inaczej, dla niej było normalnym życiem.

Kiedy odpoczęła, wstała i poszli dalej kładką i pod górę, po czym zajęli zwykłe miejsce na rogu.

- Czego tu szukasz? – spytała Yesenia.

Już mu zadawała to pytanie, ale nie potrafił odpowiedzieć. Po prostu czuł, że musi patrzeć, musi zrobić wszystko, żeby poznać tego ojca, poznać siebie. Wszystko z wyjątkiem rozmowy z nim. Wzruszył ramionami.

- Dlaczego się do niego nie odezwiesz? – naciskała.
- Bo nie mogę.
- Dlaczego?

Usiłował znaleźć odpowiednie słowa, żeby opisać, jak bardzo go bolało,

kiedy ojciec spojrział mu w oczy, nie rozpoznając go.

– Bo on nie chce mnie znać. Tak zdecydował.

– Nie znasz całej historii. Właściwie to nie wiesz nic. – Dziewczynka zerknęła na wielki biały dom, otworzyła usta, jakby chciała powiedzieć coś więcej, a potem je zamknęła.

– O co ci chodzi? – spytał Alex. Kiedy nie odpowiedziała, dotknął jej podbródka, uniósł jej twarz, aż spojrzała na niego. Słońce przesyciło jej oczy złotem miodu; lśniąca skóra była ciemna, jeszcze ciemniejsza przez kontrast z neonowo różowym kostiumem kąpielowym, który włożyła pod biały podkoszulek. Gdyby nie siedziała obok niego, nie uwierzyłby, że istnieje naprawdę. Przez całe lato codziennie rano budził się z lękiem, że to sen, że nie ma żadnej Yesenii, że nie przyjdzie na spotkanie, jak obiecała, i czekał na nią na tym kamieniu z tym samym biciem serca co w dzieciństwie, gdy rano biegł do sypialni dziadka, a ten podnosił go do okna i razem czekali, by się przekonać, jaki rzadko spotykany ptak usiądzie w karmniku. Ale Yesenia... Yesenia była piękniejsza od tych ptaków.

– O co? – powtórzył.

– No po prostu... – powiedziała w końcu. – Po prostu nie znasz całej historii. Czasem myślisz, że ją znasz, ale to nieprawda. – Jakiś samochód skręcił w Elm Street. Jechał tak powoli, że przestali rozmawiać, ale zniknął na podjeździe sąsiedniego domu. – Pamiętasz, co ci powiedziałam? Że moja mama uciekła z Guerrero przed złym związkiem i dopiero w Kalifornii uświadomiła sobie, że jest w ciąży?

Alex skinął głową.

– To nieprawda?

Yesenia potrząsnęła głową.

– Nigdy w to nie wierzyłam. A w zeszłym tygodniu znalazłam moją metrykę. Szukałam jej strasznie długo, kiedy mama była w pracy.

Carmen pracowała na okrągło. Była to jedna z pierwszych rzeczy, o które nieśmiało spytał Alex, kiedy spotkał się z Yesenią w szkole po tej nocy, kiedy podała mu paracetamol o smaku winogronowym i położyła jego i siostrę do łóżek: „Czy twoja mama się o ciebie nie martwiła?”. Ale Carmen nawet nie wiedziała, że jej córka wróciła tak późno. Za dnia sprzątała domy, a w nocy szpitale i przychodnie, zaś w ciągu tych paru godzin wolnego przygotowywała obiad i oglądała amerykańskie seriale, żeby nauczyć się angielskiego. W domu bywała właściwie tylko o piątej, kiedy jadła z córką wczesną kolację.

– Gdzie była?

– Pod dywanem w jej sypialni. Yesenia Lopez-Vazquez. Matka: Carmen Lopez-Vazquez. Urodzona szesnastego marca o jedenastej trzydziści w Nuevo Rosita. To w Meksyku.

Siedzieli w milczeniu, zastanawiając się nad wszystkim, co napisano i pominięto, oraz nad tym, co to znaczy dla Yesenii.

– Nie ma nazwiska ojca.

Dziewczynka pokręciła głową.

– Ale tego się spodziewałam. Natomiast nie spodziewałam się, że urodziłam się w Meksyku. Schowałam metrykę na miejsce, żeby mama nie wiedziała, że ją widziałam.

Yesenia nie była obywatelką USA. Przez całe życie mieszkała tu nielegalnie i nawet tego nie wiedziała. Alex nie miał pojęcia, jak zareagować, ale zanim zdążył coś wymyślić, Yesenia przeciągnęła się i wstała.

– A skoro o mamie mowa, muszę iść do domu. Robi dla ciebie obiad.

Alex nie znał mamy Yesenii. Żołądek mu się ścisnął na myśl, że ją spotka.

– Robi obiad dla mnie?

– Nie chcesz przyjść?

– Pewnie, że chcę.

Yesenia wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą, ale on, zamiast zawrócić w stronę domu, przeszedł przez ulicę i usiadł na huśtawce na ganku, tak jak to robił niemal codziennie przed odejściem, tylko na minutkę. Yesenia usiadła obok niego.

– Wiesz, że musisz się do niego odezwać albo przestać tu przychodzić. Zwariujesz od tego.

Nie mógł się z nią sprzeczać; już teraz czuł się trochę jak szalony. Ale zanim zdążył coś powiedzieć, pod dom podjechała brązowa furgonetka pocztowa. Kierowca wyskoczył na zewnątrz.

– Paczka dla Wesa Rileya.

– Podpiszę – powiedział Alex, podrywając się z huśtawki. Widok nazwiska ojca na elektronicznym wyświetlaczu przejął go cichym dreszczem. Sięgnął po formularz pokwitowania.

„Alex Riley”, napisał powoli, usiłując przywołać obraz chłopca, którym by był, gdyby ojciec z nimi został, gdyby dał mu swoje nazwisko, dom, rodzinę i miłość. Ale wyobraźnia nic mu nie podsunęła. Alex Riley po prostu nie istniał.

Tak jak Alex Espinosa nie istniał dla swojego ojca.

Trzy godziny później Alex stał w drzwiach mieszkania Yesenii. Wrócił do domu, wziął prysznic, umył włosy i wyprasował ubranie, a także tak się spryskał dezodorantem, że bał się, czy ręce nie przykleją mu się do boków. Sięgając do dzwonka, spojrzął na zegarek. Przyszedł trochę za wcześnie. Ale dziewczyny chyba to lubią, prawda? W sumie to nie wiedział, co lubią dziewczyny, ale zanim zdążył się rozmyślić i uciec, Yesenia otworzyła drzwi.

Miała we włosach kwiaty. Sztuczne, ale jednak. Alex uśmiechnął się na

widok tych żółtych orchidei, przyczepionych niedbale do jej kucyka, z drucikami sterczącymi jak czułki.

– Cześć.

– Cześć.

Rozstali się parę godzin temu, ale kiedy tak stali naprzeciwko siebie, umyć i w trochę innym stroju (Yesenia z kwiatami, Alex w koszuli bardziej wyprasowanej niż wymiętej), nagle ogarnęło go onieśmienie. Yesenia cofnęła się, ale go nie zaprosiła, no i sterczał tam, zastanawiając się, co dalej, kiedy w korytarzu za plecami córki pojawiła się Carmen. Miała takie same ciemne włosy, ale nie tak rozczochrane i bez czerwonych pasemek, uczesane w gładki kok. Ten kok, a także okulary i haftowany fartuch dodawały jej lat, choć twarz miała prawie tak gładką i delikatną jak Yesenia. Alex podejrzewał, że Carmen jest młoda, młodsza nawet od jego matki.

Kobieta ścisnęła ramię Yesenii i powiedziała coś do niej cicho po hiszpańsku.

– *Si, mamá* – odparła Yesenia i Carmen uśmiechnęła się do niej. Znowu ją uścisnęła i rzuciła:

– *Pues, presentámelo.* – I wyciągnęła rękę.

– Alex, to jest moja mama Carmen – oznajmiła Yesenia. – Mamo, to jest Alex.

– Miło mi, Alex – powiedziała Carmen, akcentując drugą sylabę jego imienia.

– Mnie także. Dziękuję za zaproszenie.

Poczuł, że babcia uśmiecha się z daleka, pochwalając jego maniery. Carmen odsunęła się, robiąc mu przejście.

– *Pásale, pásale* – powiedziała, zapraszając go gestem w głąb ciemnego korytarza. Przez drzwi po lewej stronie zobaczył kuchnię z blatami wyłożonymi brzoskwiniowymi płytkami i garnkiem, w którym gotowało się coś pachnącego rybą. Od tego zapachu ścisnął mu się żołądek. Carmen zamieszała potrawę, a Yesenia pociągnęła go dalej.

W salonie panował mrok. W jedynym oknie wisiały zasłony z ciężkiej tkaniny. Yesenia je rozsunęła i ukazało się prostokątne pomieszczenie z beżową wykładziną, podobne do tego w jego mieszkaniu, z kanapą pod dłuższą ścianą, telewizorem naprzeciwko i niskim stolikiem pośrodku. Na ścianie nad kanapą wisiał rząd fotografii – szkolne portrety w identycznych złotych ramkach, Yesenia od przedszkola po ósmą klasę, z włosami długimi, krótkimi z grzywką i znowu długimi. Pamiętał ją w każdym wieku, ale dziwnie było patrzeć na to świadectwo jej dorostania.

Wziął leżącą na stoliku książkę: *50 najważniejszych wiadomości z matematyki dla szkół średnich.*

– Mama zdała egzaminy w zeszłym tygodniu.
– Super!
– Dlatego cię zaprosiłam... żeby to tak jakby uczcić.
– Powiniennem coś przynieść – powiedział, choć cieszył się, że Yesenia go nie uprzedziła. Ta męka decydowania, co kupić matce swojej prawie dziewczyny, pozbawiłaby go snu.

– Nie szkodzi, mama nie lubi takich ceregieli.

Carmen zawołała ich do kuchni. Przykryła stół turkusowym obrusem i przezroczystą folią, położyła papierowe serwetki i postawiła kilka świeczek w szklanych osłonkach z wizerunkami świętych. Umyli ręce w zlewie i Carmen powiedziała po hiszpańsku coś, czego Alex nie zrozumiał.

– Pyta, czy się modlisz przed posiłkiem – przetłumaczyła Yesenia, siadając przy stole.

– Babcia się modliła, kiedy z nami mieszkała.

Pochylił głowę, ale zauważył jeszcze, jak Carmen rzuca konspiracyjny uśmiech córce.

– Zwykle po prostu jemy, jeśli ci to nie przeszkadza.

Alex przeniósł wzrok z Yesenii na Carmen i z powrotem. Coś tu się działo, o czym nie mówiły. Ujrzał przelotnie, jak to u nich wygląda codziennie, gdy tak siedzą, matka i córka, przy kuchennym stole.

Carmen wzięła jego talerz i nałała do niego po brzegi zupy: ziemniaki, cebula, marchew, zielony pieprz w ziarenkach i kawałek ryby, nadal ze srebrnymi łuskami.

– Mam nadzieję, że ci posmakuje – powiedziała Yesenia. – Mama martwi się, że nie lubisz ryb.

Nie lubił – Maria Elena przestała je przyrządzać już dawno, bo tylko ich nie pałaszował z apetytem – ale oczywiście nie mógł tego teraz powiedzieć. Dlatego oddzielił kawałek ryby łyżką i skinął głową, miał nadzieję, że z wiarygodnym entuzjazmem. Zjadł wielki kęs.

Carmen z satysfakcją przyglądała mu się, kiedy jadł, sama nie tykając stojącej przed nią zupy. Kiedy przełknął i wytarł usta, spytała, skąd pochodzi.

– Urodziłem się tutaj – powiedział. – Ale moja rodzina jest z Michoacán.

– Yesenia też się tu urodziła. – Dziewczynka zerknęła na Aleksa, co przez krótką chwilę nappełniło go radością – w końcu znał jej tajemnicę – ale zaraz potem uświadomił sobie, co to oznacza dla Yesenii i jej matki. Ten dom: zdjęcia na ścianach, zupa na stole, świeże kwiaty na parapecie, to życie: szkoła i operacje Yesenii, praca i studia Carmen, wszystko, co tu razem zbudowały, mogły lada chwila stracić. Nie potrafił sobie wyobrazić, co oznacza życie z taką świadomością, i zrozumiał, dlaczego Carmen tak bardzo chciała uwierzyć w zmyśloną historię narodzin córki.

Odwrócił się do Carmen i pogratulował jej zdania egzaminu. Spojrzała na córkę, która przetłumaczyła.

– Tak – powiedziała rozpromieniona. – Dziękuję.

Kiedy jedli, Yesenia opowiedziała mu, jak jego matka to osiągnęła: osiem lat nauki, ośrodek, w którym uczyła się angielskiego i matematyki, trzy oblane egzaminy. Tej jesieni zamierzała rzucić dzienną pracę i zacząć kurs pielęgniarstwa w Cañada College, wyjaśniła Yesenia. Nadal będzie pracować nocami, a uczyć się w dzień.

– Zwykle kurs trwa półtora roku, ale mojej mamie może to zająć dłużej, bo nie mamy żadnych zniżek. Mama nie może wystąpić o pomoc finansową, bo... no.

Znaczyło to, że Carmen nie ma dokumentów. Yesenia pominęła ten szczegół i zaczęła opisywać zajęcia, jakie czekały jej mamę. Carmen co chwila ją poprawiała. Alex słuchał, zadziwiony łatwością, z jaką zmieniali języki, kończąc za siebie zdania i mówiąc o sobie jak o jedności. Więc tak wygląda rodzina, pomyślał i po raz pierwszy w życiu uświadomił sobie, że on tego nie ma. Nie dlatego, że ojciec z nimi nie mieszka ani że matka ciągle pracuje, ani że babcia była zbyt surowa. Po prostu nie żyli wspólnie. Nie mieli wspólnej wizji przyszłości, nie tak, jak Yesenia i jej mama. Dziadek chciał tylko wrócić do Meksyku, babcia – dbać o ich bezpieczeństwo, bez względu na koszty, matka – no, kto ją tam wie. Uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, o czym matka myśli i do czego, jeśli w ogóle, zmierza.

Yesenia i jej matka umilkły, a kiedy dziewczynka znowu się odezwała, najwyraźniej powtórzyła pytanie.

– Zupa?

Zjadł kolejną łyżkę, powoli, udając, że rozkoszuje się smakiem. Przełknął, podniósł głowę i uśmiechnął się do Yesenii.

– Pyszna – oznajmił.

I, co dziwne, nie skłamał.

Było już ciemno, kiedy wrócili przez mokradła. Carmen i Yesenia po obiedzie nauczyły go grać w burro castigado, grę karcianą, której Alex nie znał i w której przegrał sromotnie, a kiedy Carmen poszła do pracy, Yesenia zaproponowała, że odprowadzi go do połowy drogi.

– Mama cię polubiła – powiedziała, kiedy szli przez parking przed jej blokiem.

– Tak sądzisz?

– Tak. Wiem na pewno. Lubi ludzi, którzy się ładnie ubierają.

– Ja też ją lubię. To fajnie, że... no wiesz. Jest dorosła, ale chce się rozwijać, tak jak my. Jeśli mnie rozumiesz.

– Pewnie. Mama ma dopiero dwadzieścia osiem lat.

Alex zrobił szybkie obliczenia w pamięci. Carmen urodziła Yesenię jako czternastolatka.

– Moja ma trzydzieści trzy.

Przez jakiś czas szli w milczeniu, zastanawiając się nad tym samym.

– Myślałeś o tym? – spytała w końcu Yesenia, a Alex dokładnie zrozumiał, o co jej chodzi. Nie byli zaplanowani, chciani; Alex zastanawiał się, czy Carmen musiała podjąć w Meksyku jakąś decyzję, czy też nie miała żadnej innej opcji.

– Czasami.

Byli w połowie mokradeł, a Alex nie zauważył, kiedy przestali iść. Dookoła zapadły ciemności. Stali twarzami do wody, ale nic nie widzieli, nawet lśnienia światła na jej powierzchni, tylko wielki przestwór niczego.

Kiedy Alex odwrócił się do Yesenii, ta zrobiła krok w jego stronę, odchylając głowę.

– No – odezwała się cicho. – To pocałujesz mnie czy nie?

Skinął głową, powoli, a potem z większą determinacją, a ona niemal pokonała odległość między nimi, wspinając się na czubki palców, zanim zamknął oczy i pochylił się nad nią. Ich wargi się zetknęły – cztery sztywne, napięte linie, muskające o siebie.

Yesenia cofnęła się i przyjrzała mu się uważnie.

– Hmm... – mruknęła. Przestraszył się, że bardzo ją rozczarował, ale ona uszczypnęła jego wargi i policzki, rozluźniając je, a potem znowu się do niego zbliżyła. Uszczypnięte wargi mrowiły. Objął ją i pocałował mocniej, rozchylając jej wargi. Buty ugrzęzły mu w błotnistej ziemi i nagle to błoto wydało mu się niewiarygodnie seksowne – ta jego wilgoć, to wsysanie – i zapragnął stanąć boso, zdjąc bluzkę Yesenii, chciał, żeby całowała go tak w nieskończoność. Lecz akurat wtedy, gdy zaczął mieć nadzieję, że mogą zostać tak na resztę życia, ona cofnęła się i uciekła, utykając, ale szybko, nie do swojego domu, nie do jego, ale ku wodzie. Na przystani rozsznurowała ciężkie buty i wyciągnęła nagie ramiona do nieba, a on pobiegł za nią, wspinając się na kamienistą groblę, brnąc przez krótki pas usianego kamykami piasku. Złapał ją na końcu przystani, chwycił, znowu pocałował, a kiedy ją puścił, runęła na wznak. Pisk, machanie ramionami, plusk.

A potem cisza. Alex zastanowił się, czy za nią nie skoczyć, ale nie potrafił dobrze pływać, nie wiedział, jak głęboka okaże się woda, więc tylko stał w osłupieniu, gapiąc się w miejsce, w którym zniknęła.

Bardzo długo się nie wynurzała – na tyle długo, że kręgi na wodzie się rozeszły, wygładziły, a potem zmieniły w małe falki. W końcu Yesenia wypłynęła, zaczerpnęła tchu i parsknęła śmiechem.

– Wystraszyłeś się?

Alex powoli pokręcił głową i osunął się na kolana. „Wystraszyłeś” nie było

właściwym słowem. Umarł, kiedy zniknęła pod wodą, i wrócił do życia dzięki jej powrotowi. Podał jej rękę, ona ją ujęła i wyciągnął ją z wody, mokrą i słoną.

Na powierzchni napoju w kolorze moczu unosiły się płatki suchej mięty. Letty była niemal pewna, że nie tak to powinno wyglądać. Pociągnęła łyk i natychmiast wypluła płyn, który smakował jak czysty kwas. Jego krople padły na policzek Luny, która zakwiliła przez sen. Parę godzin wcześniej mała poddała się w połowie Happy Meal i położyła głowę na stole, odmawiając zjedzenia burgera, który wmuszała w nią matka. Letty powinna ją przenieść, ale była zbyt wyczerpana i bała się, że obudzi córkę, więc przykryła ją kocem i zostawiła w spokoju.

Sięgnęła ponad bałaganem na stole – puste torby z McDonalda, otwarty słoik sosu jabłkowego, mięta, żółta plastikowa cytryna, pół tuzina zielonych oliwek w plasterkach – i chwyciła butelkę rumu. Była dziesiąta. Alex nadal gdzieś się włóczył. Za tym ciemnym bagnem, za czerwonymi światłami autostrady Rick ciągle bryluje we Flannigan's i gawędzi z jej klientami, otoczony tymi swoimi buteleczkami i fantazyjnymi koktajlami. W czwartek Joel czekał na nocny samolot do Nowego Jorku, Manny wracał po trzech dniach w Houston. Bar będzie pełny i całkiem prawdopodobne, że jej stali klienci przestali już o nią pytać. Rick zawłaszczył sobie jej miejsce, ukradł znajomości i napiwki, a ona utknęła w domu ze śpiącą sześciolatką i jakąś beznadziejną lurą, pijąc rum z gwinta.

W ciszy usłyszała kroki Aleksa na schodach. Otworzył drzwi i pozbył się zabłoconych gumiaków, po czym poszedł prosto do zlewu, odkręcił kran i włożył głowę pod wodę. Początkowo Letty sądziła, że jest spragniony, ale nie pił, tylko się uśmiechał pod wodą, zalewającą mu usta. Dopiero po chwili zrozumiała: upewniał się, że nie śni. Pamiętała, że jako nastolatka też się tak czuła, kiedy wracała po pieszczotach z Wesem na bagnach, po tarzaniu się z nim po opuszczonym pomoście. Nigdy nie powinna była pozwalać Aleksowi na wychodzenie z Yesenią. Tylko że on nie prosił ją o pozwolenie.

– W porządku? – spytała. – Dobrze się bawiłeś?

Otrząsnął włosy z wody i spojrzał na nią, jakby spytała Neila Armstronga, czy dobrze się bawił, chodząc po powierzchni Księżyca.

– Niesamowicie.

– Mam nadzieję, że nie za bardzo niesamowicie.

– Mamo – jęknął Alex. – Skończyłem piętnaście lat.

– No właśnie. – Znowu ukłuło ją sumienie na myśl o jego urodzinach. Kupiła mu na lotnisku czekoladową babeczkę, ale w drodze do domu Luna zlizwała z ciastka cały lukier. – No to co jadłeś?

Alex zakręcił wodę.

– Jej mama zrobiła jakąś rybną zupę. Nawet całkiem dobrą. – Odgarnął włosy do tyłu i wytarł ręce w ścierkę, którą przed chwilą starła wychłapaną zalewą z oliwek. Uniósł go do nosa, powąchał i dopiero teraz zauważył bałagan na stole.

– Co robisz?

– Nic.

– Nic? – Wziął szklany słoiczek po sosie jabłkowym i obrócił w dłoniach. – Miałycie na obiad oliwki i sok cytrynowy, a na deser przeterminowany sos jabłkowy?

– Przeterminowany?

– Tylko dlatego go nie zjedliśmy, kiedy cię nie było.

Urwał i odwrócił wzrok. Na mocy niepisanej umowy nie wspominali o zniknięciu Letty. Jeśli już musiał, mówił: „Gdy byliśmy u Sary” – eufemizm, który nie kojarzył się tak bardzo z porzuceniem dzieci.

Letty wyjęła mu słoik z rąk. „Spożyć do 31 grudnia”. Żołądek jej się ścisnął, choć nie wiedziała, czy to przez nieświeży sos jabłkowy, sok cytrynowy, rum, czy też któryś ze składników, jakie próbowała.

– To do drinka – westchnęła, podając mu książkę, którą pożyczyła od Ricka: *Sztuka miksologii: kreatywne koktajle inspirowane klasyką*.

– Super.

– Powinno być super. Ale nie było.

– Co chciałaś zrobić?

– *Mojito y Mas* – wyjaśniła, wskazując cytrynowo-miętową katastrofę. – I wprawka w *None but The Brave*. Ale się nie udało. Jak widać.

Alex pochylił się nad otwartą książką.

– Świeżo starte jabłka – przeczytał. – Pimenta. – Podniósł głowę i znowu powiódł wzrokiem po stole, gdzie na desce leżały rozkrojone oliwki, cały słoik. Ich czerwone nadzienie zostało wydłubane i unosiło się w spoconym kieliszku na jabłkowej pałce. – Pimenta, nie pimento – skorygował.

– Jak to?

Otworzył szufladę obok piecyka i zaczął szperać wśród plastikowych torebek, aż znalazł tę z wypisaną czarnym flamastrem nazwą „Korzennik”.

– Korzennik. Pimenta. Pierwsi odkrywcy Hiszpanii pomylili go z papryczką, dlatego nazywa się podobnie jak to w oliwkach.

Letty wyrwała mu torebkę i przyjrzała się pismu matki.

– Jesteś znawcą historii pimento, bo...?

Alex wzruszył ramionami.

– Czytałem o tym.

– Czytałeś o tym – powtórzyła z niedowierzaniem. – Gdzie?

– W encyklopedii.

Na rękach wystąpiła jej gęsia skórka. Znała tylko jedną osobę, która

czytywała encyklopedię: Wesa. Wylała kolejno do zlewu swoje nieudane eksperymenty, omijając syna wzrokiem.

– Nie wiedziałam, że encyklopedia jeszcze istnieje.

– Istnieje. Przynajmniej tomy od L do R. W szkole mamy tylko takie.

Letty wstawiła puste szklanki do zlewu i odwróciła się do stołu.

– Więc o limonkach i rosomakach wiesz wszystko, ale na przykład o salamandrach – nic.

– Teoretycznie – odparł, a ona uniosła brwi, czekając na wyjaśnienie. – Na ósme urodziny dostałem książkę *Płazy i gady Stanów Zjednoczonych i Kanady*. Więc salamandra nie jest dobrym przykładem. Ale generalnie masz rację.

Letty, przepełniona podziwem do swojego czytanego, rzucającego faktami syna, wzniosła oczy ku sufitowi pełnemu zacieków.

Alex znalazł stronę z przepisem na mojito.

– Chcesz to zrobić? Składniki by się znalazły.

– Jak to?

Chłopiec spojrzał na śpiącą siostrę i zniknął w jej pokoju, po czym wrócił z masywną czarną latarką. Wziął książkę.

– Zaraz wracam.

Zanim zdążyła go zatrzymać – lub choćby zastanowić się, czy tego chce – zbiegł po schodach, a po chwili pojawił się na bagnach za kuchennym oknem. Letty patrzyła, jak biegnie prosto w stronę wody. Ukośny promień żółtego światła podskakiwał na ścieżce. Letty wyszła na galerię i zawołała go. Dźwięk odbił się echem, a po chwili dobiegła ją odpowiedź: „Zaraz!”. A może: „Wracam”? Albo: „Znalazłem”? Cokolwiek to było, Alex się nie bał. Był zadowolony. Może to źle, że pozwoliła mu wyjść samotnie nocą na mokradła, i może nawet gorsze było to, że zgodziła się, żeby odgrywał główną rolę w tworzeniu alkoholowego koktajlu, ale prawda wyglądała tak, że odkąd wróciła, przez cały miesiąc zamienili ze sobą nie więcej niż dziesięć słów, zawsze ze skrepowaniem. Po raz pierwszy od wyjazdu Marii Eleny lub – jeśli miała być szczerą – po raz pierwszy od tego dnia przed wielu laty, gdy karetka zabrała jego sztywne ciało, nagle, jak za sprawą cudu, zaczęli dzielić ze sobą coś więcej niż strach.

Poszła do kuchni po butelkę rumu i koc i wróciła na galerię, żeby poczekać na powrót syna. Letni zapach wyschniętej na brąz trawy przywiódł jej na myśl wszystkie dobre wspomnienia o Przystani z czasów dzieciństwa, gdy bloki nadal były bezpieczne i pełne ludzi, a ona biegała z innymi dziećmi po tych wertepach. Westchnęła i pociągnęła spory łyk rumu, antidotum na burzę uczuć.

Gdy Alex w końcu wrócił, był nagi do pasa. Niósł węzełek zrobiony z białej bawełnianej koszuli. Letty upiła jeszcze łyk alkoholu, kiedy wspinał się po dwa schodki naraz, tupiąc tak głośno, że się przestraszyła, czy nie obudzi Luny. Na szczycie schodów rozwiązał koszulę i wysypał na koc kłęb jakichś zielsk, garść

truskawek i dorodną limonkę.

– Znalazłeś wszystko?

– Tak. Masz wodę sodową?

Przyniosła wodę i parę innych rzeczy: lód, cukier, drewnianą łyżkę i dwa słoiki. Tymczasem Alex poszedł do pokoju, żeby włożyć koszulę. Kiedy wrócił, niósł zestaw szklanych menzurek, brzęczących na metalowej tacy. Postawił je na kocu.

– Skąd masz truskawki?

– Ze starej piaskownicy. Limonkę też.

Dziesięć lat temu pani Puente zmieniła starą piaskownicę, w której nie było już piasku, w ogródek. Jej reputacja wystarczyła, żeby wszystkich od niego odstraszyć.

– Nie bałeś się jej?

– Lubi mnie – wyjaśnił Alex, podając Letty garść splątanego zielska.

– Co to?

– Mięta. Nad wodą rośnie jak wściekła. – Oderwał listek i roztarł go w palcach, uwalniając mocny zapach. – Łatwo ją rozpoznać. I nie ma trujących sobowtórów jak pietruszka i czosnek.

Czy istnieje coś, czego jej syn nie wie? Patrząc, jak odmierza składniki w menzurkach, przypomniała sobie Wesa na lekcji chemii w liceum i nagle za nim zatęskniła. Może Sara miała rację. Może naprawdę czas opowiedzieć coś Aleksowi o jego ojcu. Niedobrze, że dotąd tego nie zrobiła. Wiedziała o tym od dawna. Ale nie mogła tego zrobić teraz – nie chciała dzielić tej chwili z nikim, nawet ze wspomnieniem Wesa.

– Może powinniśmy spróbować innej proporcji wody sodowej i rumu? – zaproponował. Nalał składniki do menzurek, od najmniejszej po prawej do największej po lewej, a potem dopełnił je wodą. Zajrzał do książki i powiedział:

– Tu piszą: „Ugnieść tłuczkiem barmańskim”. Mamy coś takiego?

Letty wcisnęła do słoika po dżemie sok z limonki i wrzuciła garść listków mięty, po czym rozgniotła je drewnianą łyżką. Dodała cukier i wręczyła słoik Aleksowi, żeby to wymieszał, a ona zajęła się krojeniem truskawek, które wrzuciła do drugiego słoika. Wypełniła go lodem, wzięła porcję rozgniecionej mięty i dopełniła słoik zawartością najmniejszej menzurki.

Zamieszała i upiła trochę.

– O rany.

Alex uśmiechnął się z nadzieją.

– Dobrze?

Pociągnęła drugi, dłuższy łyk. Koktajl wyszedł niesamowicie. Słodki, kwaśny i jakby egzotyczny, choć Alex przyniósł wszystkie składniki sprzed ich domu.

Podawała mu szklankę.

– Spróbuj. Tylko odrobinę.

Rozejrzał się po pustej galerii. Ćma tłukła się o żółtą żarówkę. Wziął słoik, powąchał, a potem upił trochę. Skrzywił się.

– Nie smakuje ci? – Chciała, żeby nie tylko tego spróbował, ale się zachwycił, żeby pojął doskonałość drinka, który wspólnie zrobili. Alex usłyszał nutkę rozczarowania w jej głosie i spróbował znowu, a potem zjadł łyżkę truskawek, żeby zabić smak alkoholu.

– Dość dobre – przyznał w końcu. – Choć syrop byłby lepszy niż cukier. Lód sprawia, że cząsteczki wody zwalniają i dlatego prawie cały cukier opadł na dno, nierozpuszczony.

– O Boże, po prostu pij! – rzuciła Letty ze śmiechem. Zmieszała drugiego drinka i wcisnęła mu go w dłoń. Alex uśmiechnął się i wypił go do dna, najszybciej jak mógł. Odstawił z rozmachem pusty słoik na koc.

– Widzisz? Dobre, nie? Powiedz, że ci smakowało.

Alex wzdrygnął się, a potem oznajmił z uśmiechem:

– Truskawki były super.

Letty parsknęła śmiechem.

– No co, przecież dopiero zaczynam – powiedziała i zrobiła kolejnego drinka.



Trzy menzurki później oboje byli pijani. Letty usłyszała o pocałunku (Jaki słodki! Jaki niewinny!) i o tym, jak Yesenia dla żartu wpadła do wody, a także, że patrzący na to Alex omal nie wyzionął ducha.

– Nie możesz się zachowywać, jakby ci tak strasznie zależało – oznajmiła.

– Gówno prawda – odparł Alex i zasłonił usta ręką. – Dlaczego miałbym udawać, że mi nie zależy, skoro mi zależy?

– Tak tylko mówię.

– Nic nie mówisz – wymamrotał niewyraźnie. – Nic, nic, nic.

Zagrzechotał lodem w pustej szklance i spojrzał w górę na schody.

– No to jaka jest?

– Piękna. Idealna. No nie, idealna nie jest. Ma takie buty, wiesz.

– Buty?

– No, przez nogi. Nic takiego. Tylko się nie gap, jak ją poznasz. Bo, o mój Boże, jaka jest piękna. Piękna! – krzyknął na cały parking, który odpowiedział echem: Piękna! Piękna! Piękna!

Letty zasłoniła mu usta ręką.

– Ćśś... – szepnęła. – Jak obudzisz siostrę, to ty ją będziesz usypiać.

Alex odepchnął ją, aż trąciła kolanem menzurki.

– E, e, e! – rzucił, nagle poważniejąc. – Precz z rękami od zestawu laboratoryjnego.

Ustawił wszystkie szklane naczynia w rzędzie na metalowej tacy. Dwa z ośmiu były nadal pełne. Letty, patrząc jak jej syn obchodzi się ze swoimi ukochanymi akcesoriami, poczuła przeszywające ukłucie wyrzutów sumienia. Co ona wyprawia? Jest beznadziejną matką. Beznadziejną, kompletnie beznadziejną. Jakoś zdołała upić tego mądrego, dobrego, przystojnego syna, zmienić go w głupiego, bełkoczącego pijaka, choć sama była gorsza od niego. Nie zasługiwała na niego ani na Lunę. Musi wytrzeźwieć i natychmiast oddać się w ręce sprawiedliwości. Nie ma kwalifikacji do bycia rodzicem.

Odwróciła się do Aleksa i westchnęła ciężko, wyobrażając sobie, jak go oddaje obcym, jak jej pierś przepęłnia dojmujący ból rozłąki. Alex przyglądał się zestawowi chemicznemu, powoli podnosząc menzurki i odstawiając je na miejsce, jakby przyglądał się tajemnej substancji, widocznej tylko dla niego.

– Wszystko w porządku? – spytała, odsuwając mu z oczu niesforny pukiel kędzierzawych włosów.

– Dziadek i ja robiliśmy w nich słodką wodę dla kolibrów – powiedział cicho.

– Tęsknisz za nim.

Alex skinął głową.

– Powiedział, że na urodziny da mi zestaw kwasów i zasad i że razem przetestujemy wodę we wszystkich miejscach zatoki.

Jego urodziny już minęły, a dziadek przysłał jedynie kartkę.

– Kupię ci, jak tylko będę mogła – obiecała.

Wiedziała, o czym mówił, dzięki dniom spędzonym na zajęciach pana Everetta w Mission Hills. Przez dwa lata siedziała na tych lekcjach, wśród wszelkich książek i przyrządów, jakie wynaleziono, by analizować i badać tajemnice wszechświata. Wyobraziła sobie Aleksa w tej klasie, w której poznała Wesa, wyobraziła sobie, jak zadaje pytania i odpowiada na nie. Pan Everett natychmiast dostrzeże jego pasję i talent i będzie go zabierać na wycieczki do laboratoriów i muzeów przyrodniczych w całym Bay Area.

Ale to niemożliwe. Program, w którym brała udział, został zakończony przed laty i całe Bayshore i Przystań zostały przydzielone do liceum w Bayshore. Ona nigdy nie chodziła do Bayshore, więc wiedziała o nim tyle, ile przeczytała w gazetach. Ostatnio na terenie szkoły aresztowano szesnastu członków gangu, a parę dni temu władze szkoły przyznały, że w plecaku jednego z uczniów wypaliła odbezpieczona broń. Alex nie pasował do takiego miejsca. Właściwie nikt tam nie pasował.

Dobra matka zabrałaby go stamtąd. Gdyby Maria Elena nadal tu mieszkała, znalazłaby na to jakiś sposób, Letty była tego pewna, nawet gdyby musiała w tym

celu złamać prawo.

I nagle ją olśniło.

– Czekaj – powiedziała cicho, już układając plan. Nie mogli się wyprowadzić z Przystani, jeszcze nie. Ledwie starczało jej pieniędzy na mleko. Ale nie musiała się przenieść do Mission Hills; wystarczyłoby tylko znaleźć prawo do adresu po drugiej stronie autostrady. A to mogła zrobić.

– Co? – spytał Alex, przyglądając się jej z zaciekawieniem, kiedy znieruchomiała w zamyśleniu. Lunie to także wyjdzie na zdrowie. Była malutka, miała niedowagę. Pediatra nazwał to zahamowaniem rozwoju. Luna ciągle skarżyła się na bóle żołądka, a kiedy doktor ją spytał, czy o coś się martwi, odpowiedziała bez wahania: „O szkołę”.

Alex zakołysał się lekko i uszczypnął się w policzek, nos i język.

– No co? – powtórzył.

– Pójdiesz do liceum w Mission Hills.

Wykorzysta adres Sary, żeby go zapisać do szkoły. On, w przeciwieństwie do swojej matki, nie zmarnuje tej szansy.

– Co? – Alex wyprostował się, otrzeźwiały z wrażenia. Letty wzięła dwie ostatnie menzurki, nie zwracając sobie głowy truskawkami i miętą. Podała jedną Aleksowi, drugą uniosła w toaście.

– Na zdrowie!

Stuknęła się ze swoim synem, wypila resztkę rumu z wodą sodową, a Alex zerwał się na nogi i uciekł do łazienki, zatrzaskując za sobą drzwi.

W głowie Aleksa warczały samoloty. Budził się w tym pokoju niemal codziennie przez całe życie, a jednak nic nigdy nie brzmiało tak głośno, jak te silniki. Dźwignął się z najwyższym trudem, wyrzwał przez okno na przelatujące nad nimi samoloty, co półtorej minuty jeden. Zwykle zająłby się odliczaniem czasu między ich startami, ale dziś tykanie sekundnika tylko podkreślało bolesne pulsowanie krwi w skroniach. Głowa go bolała, brzuch jeszcze bardziej. Odwrócił się od światła, zamknął oczy i zaczął poklepywać na oślep framugę okna, aż namacał sznurek rolety. Szybkie szarpnięcie i ciemność spłynęła mu kojąco na powieki. Padł na poduszkę i naciągnął koc na głowę.

Co mu się stało? Pamiętał, jak zbiera miętę nad wodą i siedzi na kocu na galerii obok matki, pamiętał szczęknięcie szkła na metalowej tacy. Była jakaś limonka. I truskawki. I echo, ktoś krzyczący raz po raz – ale to chyba on krzyczał, bo przypominał sobie słońną rękę matki zasłaniającą mu usta, i myśl o Yesenii, i że to dziwne, że myślał o niej akurat wtedy, z ręką matki na ustach i jej przesyconym alkoholem oddechem owiewającym mu twarz z bliska.

Upił się z matką.

To było zbyt straszne, żeby o tym myśleć. Schowany pod kocem słyszał, jak siostra wchodzi do pokoju.

– Alex?

– Idź sobie – jęknął.

– Mama kazała mi powiedzieć, że autobus przyjeżdża o jedenastej zero osiem i że nim jedziemy.

– Która godzina?

– Nie wiem, ale wstawaj. Już pojechaliśmy dziś do Mission Hills i wróciliśmy.

Teraz dopiero pojawiło się wspomnienie Mission Hills, jego ostatnich słów tej nocy, słów, które mogły, choć nie musiały, sprowokować go do wymiotów, którymi zabrudził całą podłogę w łazience: „Pójdiesz do liceum w Mission Hills”. Tak powiedziała w chwili pijackiego natchnienia. Wątpił, żeby to nadal pamiętała.

Luna wspięła się na łóżko, stanęła mu na kolanach i uwiesiła się sznurka, aż roleta wystrzeliła i odbiła się od framugi na górze.

– Przyniosłyśmy ci coś.

Rzuciła na łóżko poplamioną tłuszczem torbę. Zajrzał do środka i zobaczył muffinka z jagodami. W brzuchu mu zaburczało. Już nigdy nic nie zje.

– Możesz go sobie wziąć – powiedział.

Luna oderwała kawałek z góry i włożyła go do ust, zlizując rozgniecione jagody z palców.

– Dokąd właściwie jedziemy?

– Do Sary – wybełkotała Luna z pełnymi ustami. Zeskoczyła na podłogę i zatrzymała się w drzwiach, czekając, aż Alex wstanie. – Chodź. Mama kazała natychmiast.

Jęknął i zrzucił koc z łóżka, co zadowoliło jego siostrę na tyle, że zostawiła go samego. Nie chciało mu się wstawać, ale jeszcze mniej chciało mu się kłócić z matką. Nie miał ochoty nawet na nią patrzeć. Usiadł na łóżku, znalazł spodnie, włożył nogę najpierw w jedną, potem w drugą nogawkę. Spocił się z wysiłku i przestraszył, że znowu go zemdli, choć nie sądził, żeby coś mu zostało w żołądku.

Dlaczego jechali do Sary i to akurat teraz? Mieli ją odwiedzić po raz pierwszy od powrotu Letty do domu i na wspomnienie tej pierwszej nocy w jej mieszkaniu zrobiło mu się jeszcze gorzej. Gdyby nie znał matki tak dobrze, pomyślałby, że obudziła się z postanowieniem dotrzymania wczorajszej obietnicy. Ale to nie mogło być to, przynajmniej tak mu się zdawało. Fakt, że od zakończenia szkoły Letty zaskoczyła go nieraz. Obiecała Lunie, że będzie ją codziennie zabierać do pracy i zabierała. Niemal dorównała Marii Elenie w nieskazitelnym standardach sprzątania. A przedwczoraj zrobiła owsiankę na śniadanie. Oczywiście nie było to tak trudne, jak obejście zasad, żeby zapisać ich do Mission Hills; byłby głupi, gdyby w ogóle brał to pod uwagę.

Ale co by zrobił, gdyby naprawdę jej się udało? O Mission Hills wiedział tylko tyle, że jego uczniowie co roku wygrywają w olimpiadzie naukowej (w zeszłym roku pisali o tym na pierwszej stronie – siedemnastolatek stworzył system wczesnego wykrywania raka trzustki za pomocą testów paskowych), a także że wszyscy uczniowie pierwszej klasy na wiosnę lecieli do Waszyngtonu (nigdy nie leciał samolotem – ironia losu, zważywszy że z okna widział pas startowy). Już tylko te dwie rzeczy wystarczyły, że odmowa byłaby dla niego czymś takim, jak celowe podpalenie kolekcji piór dziadka, skasowaniem niekończących się możliwości. Ale czy mógł zostawić Yesenię na pastwę Bayshore? Uczniowie z tej szkoły mieli większe szanse na to, że gazety wspomną o nich w dziale nekrologów niż na pierwszych stronach. Na szczęście, pomyślał, wkładając skarpetki, nigdy nie będę musiał podejmować takiej decyzji.

Odetchnął głęboko i wyszedł z sypialni, żeby stawić czoło matce. Letty stała przy kuchennym zlewie ze szklanką wody i dwiema tabletkami paracetamolu na dłoni. Nie spojrzała na niego, kiedy wszedł, po prostu dała mu wodę i tabletki, a potem ruszyła do drzwi.

– Pospiesz się – rzuciła. – Wychodzimy.



Godzinę później siedzieli w kuchni Sary z dziesięciostronicową umową najmu rozłożoną na blacie. Usiłowali zająć Lunę, dając jej surowe ciasto i barwniki spożywcze („Zrób sobie ciastolinę”), ale pięć minut później mała, upačkana lepka breja, zaczęła wspinać się na stołki barowe, usiłując podejrzeć, co robią.

– Niczego nie dotykaj – ostrzegła Letty, stawiając córkę na podłodze i wręczając jej trzepaczkę do jajek. Luna natychmiast upuściła ją bez najmniejszego zainteresowania i wdrapała się znowu na stołek obok Letty.

– Ale gdzie ja będę spać?

Letty usiłowała nie dopuszczać jej do rozmowy, ale po pięćsetnym pytaniu wyjaśniła, co się dzieje. Podpisuje umowę najmu mieszkania Sary. Będą udawać, że tu mieszkają, żeby Alex i Luna mogli pójść do szkoły w Mission Hills.

– Już ci mówiłam, tak naprawdę nie będziemy tu mieszkać, ale jeśli ktoś spyta, to masz mówić, że to twój adres.

Luna nie zrozumiała.

– Gdzie mieszkasz? – spytała Letty.

– Mile Road sto, mieszkanie trzydzieści jeden C.

– Nie. Sycamore siedemset siedemdziesiąt, mieszkanie trzy.

– Ale powiedziałaś, że tu nie mieszkamy.

– Och, Luna! Nieważne.

Letty zajrzała do lodówki w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby zająć córkę, a nie znalazłszy niczego, posadziła ją na blacie obok zlewu. Odkręciła kran i włożyła najpierw jedną, potem drugą rękę Luny pod wodę, ale niebiesko-brązowa mączna pačka była wszędzie, od nadgarstków po łokcie, od kolan po podeszwy. Letty zmieniła strategię, zakorkowała zlew, trysnęła do środka płynem do zmywania, rozebrała Lunę do bielizny i kiedy zlew się napełnił, posadziła ją w wodzie. Komora była ogromna, niepodzielona i choć Luna miała już za wiele lat na takie kąpiele, to się zmieściła. Śmiała się zachwycona, gdy Letty za pomocą wyciąganej wylewki oblała jej plecy i ramiona. Gdy woda sięgnęła małej do klatki piersiowej, Letty zakręciła kran i zostawiła córkę w bąbelkach.

Alex przyglądał się temu wszystkiemu zza kuchennego blatu, nad ramieniem Sary, która kończyła formułowanie zasad umowy najwyraźniej na oślep: zasady wynajmu, depozyt, referencje. Wpisała Marię Elenę, dodając zmyślony numer telefonu, a potem zatrzymała się nad rubryką, w którą miała wpisać wysokość czynszu.

– Jak sądzisz, za ile chodzą takie mieszkania? – spytała Letty.

– Nie wiem – mruknęła Letty, stawiając przed Alekssem nową szklanekę wody. – Pij. Może za tysiąc miesięcznie?

– W życiu. Tutaj za tyle nie wynajmiesz nawet parkingu.

Wpisała sumę, na której widok Alex poruszył się nerwowo na stołku. Matki nigdy nie byłoby na to stać. Nawet nie mogłaby udawać, że może tyle zapłacić.

Przez całe przedpołudnie, w drodze na przystanek i podczas jazdy trzęsącym do mdłości autobusem przez Mission Hills, przećwiczył to, co powie, kiedy matka wspomni o zmianie szkoły (wariacje na temat: „Nie, dziękuję”), a teraz siedział obok Sary, czekając, aż sprawa się zakończy, i nic nie mówiąc.

– To chyba nie wystarczy, żeby nam uwierzyli – oznajmiła Sara, wycierając absurdalnie wysoką cenę i wpisując na jej miejsce jeszcze wyższą.

Mdłości Aleksa zaczęły się zmieniać w panikę. Lubił przestrzegać zasad, nawet kiedy to nie miało znaczenia. A tu miało. Gdyby oszustwo się wydało, matka poszłaby do więzienia.

– Dowiedzą się – rzucił nagle. – Nie ma szansy, żebyśmy zdołali tyle zapłacić.

– Kto się dowie? – spytała Letty. – Jeśli tu będziecie, założą, że to normalne. Spojrzała na Sarę pytająco. Ta skinęła głową.

– Nikt nie będzie was pytać.

A jeśli? Alex nie umiał kłamać.

– To i tak tylko na parę miesięcy... przeprowadzimy się tu, kiedy tylko zdołamy. – Letty pochyliła się nad umową i złożyła podpis pod akapitem o zakazie palenia. – Hej... myślisz, że pan Everett nadal tam uczy?

– Wiem, że tak. Wpadłam na niego parę miesięcy temu. Nauki ściśle.

– Pamiętasz, jak Wesowi wydawało się, że obalił teorię grawitacji? – rzuciła Letty ze śmiechem. – A potem pan E naprawił wagę.

– Uczył Wesa? – spytał Alex.

Letty zatrzymała się w połowie podpisu. Alex pożałował, że nie może cofnąć tych słów. Przez tę obsesję całkiem zapomniał, że matka nie ma pojęcia, ile zdołał się dowiedzieć. Zajrzał jej w twarz, szukając oznak gniewu, poczucia zdrady, zaskoczenia – ale ich nie znalazł. Matka spojrzała mu prosto w oczy i skinęła głową.

– Uczył nas oboje... a teraz będzie uczyć ciebie. – Złożyła podpis z zamaszystym zakrętasem. – Przygotuj się na wczesne wstawanie – dodała. – Jego zajęcia zaczynają się za pięć siódma.

W tej chwili z zapomnianego jacuzzi w zlewie trysnęła fontanna wody, trafiając w ramię Aleksa i zalewając cały blat.

– Luna! – Letty wytarła umowę, ale za późno. Dziesięć stron zlepilo się ze sobą, przemoczone na wylot.

Prosto z Mission Hills Alex poszedł do domu Yesenii. Samochód Carmen zniknął; było już po obiedzie. Wszedł niepewnie po schodach i zobaczył Yesenię opartą o framugę otwartych drzwi.

– No, jesteś – powiedziała. – Byłam u was. Nie mów, że znowu go

obserwowałaś.

Alex obiecał jej, że przestanie wystawać całymi dniami przed domem ojca, i po raz pierwszy mógł jej z ręką na sercu przysiąc, że dotrzymał słowa. W wydziale komunikacji, gdzie Letty zmieniła adres w dowodzie rejestracyjnym, oraz w biurze okręgu szkolnego przestali prawie cały dzień, żeby zapisać ich do szkoły.

– Skąd. Ale mama zawiozła mnie do liceum w Mission Hills.

Yesenia rozpromieniła się w uśmiechu, natychmiastowym, bez ułamka sekundy wahania, więc Alex zrozumiał z całą pewnością, że szczerze się ucieszyła. Pochylił się i pocałował ją, a potem szybko się cofnął, bo coś usłyszał, ale to tylko jakaś dziewczynka jechała na trójkołowym rowerku po korytarzu, więc znowu pocałował Yesenię.

– Jak możesz się cieszyć? – spytał, gdy wreszcie się rozłączyli. – Nie będziemy się razem uczyć.

– Musisz się stąd wyrwać. Tylko dziesięć procent dzieci z naszej szkoły idzie na studia.

– Skąd wiesz?

– Mama mi powiedziała. W takim sensie, że lepiej, żebym trafiła do tych dziesięciu procent.

– Coś podobnego powiedziałyby moja babcia.

Zamilkli. Alex myślał o dziadkach, Yesenia trzymała go za rękę.

– Powinieneś się uczyć w Mission Hills – odezwała się w końcu. – Twoja mama ma rację.

Yesenia wiedziała o Letty wszystko i zdawała sobie sprawę, że zdanie: „Twoja mama ma rację” prawdopodobnie nigdy w historii wszechświata nie padło w kontekście tej konkretnej matki. Na chwilę przypomniało mu się pijaństwo z zeszłej nocy. Nie powinno się wydarzyć, ale wiedział, że matka się stara – na swój dziwny sposób.

– Dobrze. Pójdę do Mission Hills. – Serce załomotało mu z nagłego przejęcia. W końcu pozwolił sobie w to uwierzyć. – Idę do Mission Hills! – krzyknął na całe podwórko.

– Powoli, Supermanie – mruknęła Yesenia, chwytając go za połą koszuli, która wysunęła się spod paska. – W takim stanie nigdzie nie pójdziesz.

Alex spojrzał na swoje ubranie: te same spodnie khaki i biała koszula, w których chodził codziennie do liceum. A może nawet i do podstawówki.

– A co jest nie tak?

– Wyglądasz świetnie, jeśli zamierzasz zrobić wrażenie na matce swojej dziewczyny. Ale to już ci się udało. – Yesenia uśmiechnęła się, pokuśtykała korytarzem i wróciła z białą kopertą z napisem *ROPA*. Ubrania.

– Idziemy na zakupy.

– Nie pozwolę ci wydawać pieniędzy na mnie.

– A masz własne?

Alex odruchowo sięgnął do kieszeni, ale wiedział, że nic tam nie znajdzie.

Nic.

– Nie.

– Więc się nie kłóć. Nie można powiedzieć, żebym w tym roku wyrosła ze wszystkich ubrań. I raczej nie wyrosnę.

Alex spytał, dokąd się wybierają, ale nie odpowiedziała, tylko pociągnęła go przez parking na przystanek autobusowy. Siedzieli w milczeniu na ławeczce, gdy mijali ich drugi, trzeci, czwarty autobus. W końcu pojawiło się 67, do Mission Heights. Yesenia poderwała się z miejsca.

Alex nigdy nie był w Heights. Słyszał o tej dzielnicy: elitarny, zadrzewiony rejon Mission Hills na pasemku gruntu, oddzielającym centrum od Pacyfiku. Przejechali całe miasto, aż domy zmieniły się w posiadłości, rozległe, z falującymi trawnikami i powykręcanyimi drzewami. Ta dzielnica miała własne centrum – brukowaną uliczkę z paroma sklepikami. Wysiedli na przystanku przed piekarnią. Wypieki na wystawie wyglądały na zbyt wymyślne, żeby je zjeść.

– Dokąd idziemy?

– Przestań tak wypytywać – odparła Yesenia. – Idź za mną i już.

Za piekarnią i dwiema restauracjami był sklep z używaną odzieżą. Szydł oznajmiał, że należy do Amerykańskiego Towarzystwa Walki z Rakiem. Pod jaskrawoczerwonym napisem WYPRZEDAŻ na srebrnej balustradzie wisiało sześć torebek, uszeregowanych według kolorów tęczy: czerwona, pomarańczowa, żółta, zielona, niebieska, fioletowa. Ta fioletowa, najbliższa Aleksa, była przeceniona z sześciuset dolarów na trzysta.

– Serio? – odezwał się Alex. – Mogliśmy pójść do Walmartu.

– Nie kupujemy tam.

Yesenia wzięła go za rękę i zaprowadziła w zaułek za budynkiem. Przy kubłach na śmieci stały wysokie piramidy pudeł z napisami „Dla Armii Zbawienia”.

– Second hand oddaje ciuchy do second handu? – spytał zdziwiony Alex.

– Tutaj sprzedają tylko rzeczy od bardzo drogich projektantów, a wszystkiego innego się pozbywają. Czyli przeważnie także rzeczy od projektantów.

Yesenia zdjęła i otworzyła pudło, po czym zaczęła odkładać rzeczy damskie i dziecięce, zostawiając wszystko, co według niej mogłoby pasować na Aleksa.

– Skąd wiesz o tym miejscu?

– Od pielęgniarki ze szpitala. Mama ubiera mnie tu, odkąd pamiętam.

Alex przyjrzał się jej strojowi: jaskraworóżowemu kostiumowi kąpielowemu, jaki nosiła przez całe lato, dzinsowym szortom, które uważał za po

prostu podniszczone i z drugiej ręki, ale teraz zauważył ich misterne stębowania na kieszeniach z tyłu, a także białą bluzkę haftowaną białą nitką, tak powiewną, że prawdopodobnie uszyto ją z czystego jedwabiu. Nigdy tego nie zauważał, bo na ogół nie widział takich rzeczy, ale teraz, kiedy się przyjrzał, uświadomił sobie, że Yesenia naprawdę ma trochę inne stroje niż reszta dziewczynek z klasy.

Zdjął z wysokiej sterty drugie pudełko i zaczął je przeglądać. Jego uwagę przyciągnęła bladozielona koszula, nadal z metkami, ale Yesenia wyjęła mu ją z rąk i zastąpiła zwykłym białym podkoszulkiem i fabrycznie zniszczonymi džinsami.

– Przymierz.

– Tutaj?

– Nie będę patrzeć.

Odwróciła się. Miał na sobie bokserki, a ona naprawdę nie podglądała, ale i tak z trudem udało mu się zapiąć džinsy, tak nim wstrząsnęło to, że przebiera się publicznie, w dodatku z dziewczyną na wyciągnięcie ręki. Umyślnie wkładał podkoszulek dłużej, niż to było konieczne, żeby jego ciało zdążyło się uspokoić.

– Już.

Yesenia odwróciła się i przyjrzała mu, mrużąc oczy. Zrobiła krok ku niemu i dała mu znak, żeby się pochylił, a wtedy spróbowała przeczesać mu włosy na bok. Poczul, że opadają na dawne miejsce.

– No, lepiej chyba nie będzie.

– Uznaję, że to znaczy: „Wyglądasz fantastycznie”.

– Powiedzmy. – Uśmiechnęła się i wzięła rzeczy, które dla niego odłożyła.

Wystarczyło tego na wypełnienie całej szafy.

– Nie potrzebowaliśmy nawet twoich pieniędzy – zauważył Alex, kiedy mu je podała.

– O, jeszcze nie skończyliśmy. – Yesenia zaprowadziła go na przystanek.

– Serio? A teraz dokąd?

– Tam, gdzie normalne nastolatki spotykają się w sobotę wieczorem.

– Czyli?

– Do galerii – powiedziała z uśmiechem.

Okazało się, że to fenomenalnie łatwe – stanie za barem bez dziecka awanturującego się w hali. Przez parę pierwszych godzin Letty co dwie minuty podnosiła głowę – tak jak już przywykła – i gdy widziała pusty fotel, za każdym razem z jej serca spadała część ciężaru, który przygniatał je przez całe lato. Dziś rano obie pojechały do nowej szkoły w Mission Hills. Luna chłonęła wszystko: oglądała boisko, rzucała w powietrze garście świeżych trocin, padła na wznak na stertę świeżo skoszonej trawy – i to wszystko, zanim weszła do szkoły.

Przydzielono ją do sali numer 10, do panny Noelle: na biurku, skoroszycie i w pełni wyposażonym piórniku było wypisane jej nazwisko. Luna wyjęła bezpieczne nożyczki i przecięła nimi powietrze. Zażenowana Letty odwróciła wzrok. Jej córka zachowywała się, jakby nigdy w życiu nie widziała nożyczek. Widziała, oczywiście. Razem z Marią Eleną w każde święta wycinała śnieżynki z papieru, które potem wieszały w oknach. Ale w szkole pewnie ich nie miała. U Cesara Chaveza nie dawano każdemu dziecku podpisanego piórnika. Połowa z nich nie miała nawet własnego ołówka.

Letty spodziewała się, że córka będzie przestraszona albo przynajmniej zdenerwowana, ale Luna pożegnała się z nią, nie mrugnawszy nawet okiem. Po prostu pocałowała ją prosto w usta i odmaszerowała. „Pamiętaj o zajęciach dodatkowych!” – zawołała za nią Letty, ale dziewczynka machnęła ręką, jak zwykle robią dzieci, i serce Letty załomotało od niespodziewanego sukcesu. W końcu udało jej się zrobić coś jak należy i ten dreszcz uciszył głos w jej głowie, wytykający jej inne potknięcia – upicie Aleksa, zatajenie przed nim informacji o ojcu, nawet teraz, kiedy już wiedziała, że on wie. Odpowiedziała na jego pytanie i nie dodała ani słowa; żadne z nich więcej o tym nie wspomniało.

Po szczycie obiadowym posprzątała naczynia, zawinęła w serwetki sztucce i napełniła butelki z keczupem szybciej niż kiedykolwiek, bo chciała doczytać książkę Ricka, zanim ten przyjdzie na swoją zmianę. Kiedy skończyła pracę, wyjęła książkę z torby, otworzyła na ostatnim rozdziale („Egzotyczne syropy i wyciągi”) i tak się pogрузzyła w naukową analizę *crème de violette*, że podskoczyła, kiedy ktoś odezwał się tuż obok niej.

– Szukałem jej.

Rick stał obok niej, patrząc na książkę. Przyszedł wcześniej.

Letty skamieniała.

– Zamierzałam ci ją oddać.

– Mhm. – Jego uniesione brwi świadczyły, że jej nie uwierzył.

– Naprawdę. – Zamknęła książkę. Jej grzbiet był umazany truskawkami. Letty znowu poczuła ukłucie wyrzutów sumienia, przypomniawszy sobie Aleksa. Sięgnęła po ścierkę, żeby wytrzeć plamę.

– Zatrzymaj ją.

– Zejdzie. To tylko truskawki.

– Nie o to chodzi. Czytałem ją tyle razy, że znam ją na pamięć.

– Na pewno? – Skinął głową, więc schowała książkę do torby. Kiedy się odwróciła, Rick wypisywał koktajle dnia na tablicy. Wyjęła mu ją z rąk.

– Dopiero po czwartej.

– To co mam robić do tego czasu? – Wskazał pusty fotel, w którym zwykle siadywała Luna. – Myślałem, że będę miał z kim pojeździć ruchomymi schodami.

Letty uśmiechnęła się wbrew sobie. Rick od tygodni przychodził wcześniej, żeby pobawić się na lotnisku z Luną.

– Zaczęła się szkoła.

– Naprawdę? Gdzie ją posłałaś?

– Do Willow Oaks – powiedziała Letty i dodała, przypomniawszy sobie dzisiejszy ranek: – Jest zachwycona.

– Myślałem, że mieszkanie na Przystani?

Letty bardzo uważnie sięgnęła po ścierkę i wytarła blat powolnymi, miarowymi ruchami, których spokój kontrastował z łomotem jej serca. Jej dzieci poszły dziś do nowej szkoły i już ktoś zaczął zadawać pytania.

– Skąd wiesz, gdzie mieszkam? – Rick poczerwieniał, a ona zmieniła temat, zanim zdążył odpowiedzieć. Trąciła stopą plecak, który położył na podłodze. – A w ogóle co dziś zrobisz?

Ukląkł i otworzył plecak. Wyjął z niego plastikową torbę z gruzłowatymi bryłkami brązowego cukru i ciemną butelkę angostury.

– Old Fashioned. Umiesz to robić?

– Pewnie.

Spojrzeli sobie w oczy i choć Rick się nie odezwał, Letty miała wrażenie, że powątpiewa w jej słowa. Naprawdę umiała zrobić ten koktajl, choć podejrzewała, że jemu chodzi o coś innego niż rozgniecione wiśnie koktajlowe i syrop pomarańczowy.

– Świetnie – ustąpiła w końcu. – Pokaż.

Mimo wszystkich oporów czuła też odrobinę zaciekawienia, głód wiedzy, o którym zapomniała od czasów szkolnych. Przez te tygodnie, które upłynęły od wieczora, gdy razem z Alekssem mieszała koktajle w menzurkach, bawiła się marzeniem o pełnym barze, biznesmenach zostawiających duże napiwki na firmowych wizytówkach, nawet o przeprowadzce na drugą stronę autostrady i znalezieniu mieszkania w Mission Hills, o kieszeniach pełnych ciężko zarobionych pieniędzy.

Rick biegł po barze, zbierając składniki, które układał przed nią.

– Najważniejsza jest ilość – oznajmił. – Odmierzasz angosturę za pomocą cukru. I nie pozwól sobie wmówić, że można ją lać na oko. Nigdy. Wszystko odmierzaj.

Wyjął miarkę („japoński jigger”, poprawił ją, pokazując znaczniki wewnątrz naczynia), a potem umieścił bryłkę cukru na papierowej serwetce i za pomocą zakraplacza odmierzał po jednej krople angostury.

– Widzisz? – rzucił, gdy płyn zaczął wyciekać z cukru na serwetkę. – Całkowite nasycenie.

Wrzucił bryłkę do szklanki i podał Letty, która zaczęła ją rozgniatać. Przez chwilę przyglądał się jej, sprawdzając, jak to robi, po czym odebrał jej szklankę i sam zajął się miażdżeniem rozplwających się okruchów o ściankę szklanki. Wreszcie zadowolony odmierzył whiskey, wlał jedną uncję, dodał strużynkę skórki pomarańczowej i dwie kostki lodu, zamieszał i dolał drugą uncję. Jeszcze raz zamieszał – Letty uznała, że robi to przesadnie długo – a potem zestrugał wiórki skórki pomarańczowej i posypał nimi koktajl.

– Spróbujesz?

Letty pociągnęła łyk, obróciła go ustach, analizując smak cukru, pomarańczy i whiskey.

– Dobrze, nie?

Czekał na jej reakcję jak sześciolatek, któremu udało się samodzielnie zawiązać but, a ona, choć chciała, nie mogła odmówić mu pochwały. Koktajl był niesamowity. Pociągnęła kolejny łyk.

– Bardzo dobre.

Odstawiła szklankę i poszperała w jego plecaku, aż znalazła kolejną książkę. Tym razem przyniósł tylko jedną, sfatygowaną, z oślimi uszami, stareńką; *Księga koktajli Savoya* głosił złoty napis na okładce.

– To stąd czerpiesz swoje tajemnice?

– Między innymi.

– Co to?

– Stare przepisy. W pewnych kręgach ta księga jest biblią.

Otworzyła ją zaintrygowana. Przebiegła wzrokiem wstęp, aż natrafiła na zdanie, które nią wstrząsnęło.

– „Jak powiadają, wino stworzono mężczyźni na pociechę jako symboliczną rekompensatę za stworzenie kobiety”... – urwała. – Co to ma być?

Rick zmarszczył brwi i zamknął gwałtownie książkę.

– Tej części nie pamiętałem. Wydano ją w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku, więc może być trochę przestarzała.

– Chyba tak. Choć znacznie bardziej obraźliwe teksty znajdziesz w prawdziwej Biblii... Nie mów mojej matce, że to powiedziałam.

– Jest katoliczką? – domyślił się Rick.

– Tak.

– Moja też. Chodziła do katedry w Meksyku. Pierwszą Komunię przyjęła od samego biskupa. Spróbuj ją wkurzyć, to naskarzy na ciebie do papieża.

Letty pokręciła głową.

– Nasze matki by się dogadały.

– Twoja tu mieszka?

– Mieszkała, do maja. Razem z ojcem wróciła do Meksyku. A twoja?

– Jest w Mission Heights. Zawsze groziła, że wróci do domu, ale mój tata się tu urodził, a ona nigdy by go nie zostawiła. No a on nigdy nie zamieszka w Meksyku.

Czy Rick wychował się w Mission Heights? Nie po raz pierwszy nasunęło jej się pytanie – co on tu właściwie robi?

Pewnie by o to spytała, gdyby do baru nie wszedł mężczyzna z małą walizką i przystrzyżoną siwą brodą. Wskazał głową koktajl, który zrobili, nadal stojący w otoczeniu pomarańczy, bryłek cukru i angostury.

– Co robicie?

– Old Fashioned.

– Poproszę.

Rick pilnował Letty, która powoli odszukała odpowiednią szklankę, napełniła drugą lodem, a następnie położyła grudkę cukru na serwetce. Pod spojrzeniem dwóch par oczu trudno było jej znaleźć kropłomierz, a kiedy w końcu go wzięła do ręki, angostura trysnęła z niego strumyczkiem. Cukier natychmiast się rozpuścił.

– Zaczynj jeszcze raz – szepnął Rick. Wyrzucił przemoczoną serwetkę do śmieci i podał jej nową.

– Niezłego ma pani nauczyciela – zauważył przyglądający się im klient.

– Samozwanczego – mruknęła Letty.

Mężczyzna parsknął śmiechem, a jej udało się spytać, dokąd leci (Seattle) i po co (do pracy), jednocześnie skupiając się na czynnościach, które pokazał jej Rick.

– Na ogół nie piję o tak wczesnej porze – wyjaśnił klient, gdy w końcu dostał koktajl. Letty wiedziała z doświadczenia, że coś takiego mówią tylko pijacy. I miała rację. Facet wykończył koktajl jednym długim, powolnym łykiem, a odstawiając szklankę, poprosił o drugiego drinka. Tym razem Letty zrobiła go z większą pewnością siebie i szybciej, ale kiedy przeszła od rozgniatania do nalewania, Rick odebrał jej szklankę i kazał jej jeszcze trochę porozgniatać.

– O to chodzi – oznajmił klient, tym razem robiąc przerwę w połowie koktajlu. – Samozwaniec czy nie, ja bym go słuchał.

Rick skłonił głowę z przesadną skromnością, na której widok Letty

przewróciła oczami, ale jej rozdrażnienie zniknęło, gdy klient wyjął z portfela czterdzieści dolarów i zostawił na barze, mówiąc, że reszty nie trzeba.

– Widzisz? – spytał Rick. – Na tym się zarabia.

Rozmieniła banknoty i dodała osiemnaście dolarów do swojego urobku – najlepszy napiwek dnia. Przeliczyła resztę swoich pieniędzy, wymieniając drobne banknoty na dwudziestki i monety: 86 dolarów i 71 centów. Niewiele w porównaniu z nocną zmianą, ale więcej niż od bardzo, bardzo dawna zarobiła tu za dnia.

Rick przyglądał się, jak wygląda dolary i chowa je do portfela.

– Nie ma mowy, nie podzielę się z tobą – oznajmiła. – Przepraszam, oszczędzam na coś.

– Na co?

Rzuciła mu ostre spojrzenie. Jego oliwkowa skóra była poznaczona delikatnymi piegami. Ciekawe, jak wyglądał jako chłopiec.

– Ile ty w ogóle masz lat?

– Dwadzieścia dziewięć.

Zmrużyła oczy. Wziął wyraz jej twarzy za niedowierzanie, więc wyjął prawo jazdy. Ricardo Lorenzo Moya. Zdjęcie pochodziło co najmniej sprzed dziesięciu lat – Rick miał na nim dłuższe, kędzierzawe włosy, a oczy jednocześnie agresywnie pewne siebie i spłoszone.

– Nie sprawdzam cię – oznajmiła, odsuwając dokument. – Ale tak do twojej wiadomości: mieszkam na Przystani. Co oznacza, że dopóki nie oszczędzę dość pieniędzy, żeby się przeprowadzić za autostradę, jestem kryminalistką.

– Zależy jak zdefiniować kryminalistkę...

– Nie, mówię serio. Posłałam dzieci do Mission Hills nielegalnie, z fałszywym adresem.

– Czy można złamać prawo, jeśli prawo nie jest sprawiedliwe?

– A ty co, prawnik?

– Nie, student MBA. No, już nie. – Spochmurniał, a Letty domyśliła się, że nie zakończył studiów dyplomem. Zmienił temat. – To dlaczego się nie przeprowadzisz?

Wzniosła oczy ku sufitowi.

– Kiedy wchodzę do Mission Hills, raczej nie rozwijają czerwonego dywanu.

– Masz stałą pracę i co najmniej osiemdziesiąt dolarów. To nie jest nic.

– Powiedział facet, którego rodzice mieszkają w Mission Heights. – I który nie wie, jak to jest nic nie mieć, dodała w myślach.

Rick wzruszył ramionami.

– Jak uważasz.

– Ach tak? – To była jej najgorsza wada: potrafiła w pięć sekund przejść od ciszy na morzu do szkwału i poczuła, że właśnie się zaczyna. Twarz jej

poczerwieniała, krew zatętniła w skroniach. Ukryła zaciśnięte pięści w kieszeniach fartucha. Starła się. Przez całe lato pracowała pięć dni w tygodniu z sześciolatką czekającą w hali. Rick to widział. Właśnie on powinien zrozumieć, jak wygląda jej sytuacja.

– Jak uważam? – powtórzyła, ale nie odpowiedział, odkręcił kran i zaczął zmywać szklankę. Robił to ze spokojną dokładnością, która doprowadzała ją do szału. – Nie zachowuj się, jakbym się w ogóle nie starała.

– A starasz się?

– Oczywiście! – Przez ostatni miesiąc, wygrawszy wojnę z lotniskowym sklepem z pamiątkami, zdołała oszczędzić pięćset dolarów, w dodatku wysyłając pieniądze rodzicom. Ale to by w żaden sposób nie wystarczyło na wynajęcie mieszkania w Mission Hills. Przynajmniej tak sądziła, bo jeszcze nie próbowała się zorientować.

Rzuciła fartuch do kosza z brudnymi rzeczami. Nagle zaczęło jej się spieszyć do wyjścia.

– Spadam.

Rick odwrócił się gwałtownie i zastąpił jej drogę.

– Ej, przepraszam – powiedział. A potem nagle: – Pozwolisz się gdzieś zaprosić?

– Co?

Rick nie odrywał wzroku od gumowej maty, na której oboje stali i powiedział coś tak szybko i cicho, że nie była pewna, czy go dobrze zrozumiała. Po chwili powtórzył głośniej:

– Chciałbym cię gdzieś zaprosić.

– Serio?

Widział ją i Lunę w najgorszych chwilach. Wiedział, że mieszkają na Przystani i że Letty od tego dnia jest kryminalistką. Ona by się ze sobą nie umówiła.

– Lubię cię – powiedział w końcu, podnosząc głowę i patrząc jej prosto w oczy. – Jesteś trochę agresywna, o złodziejskich skłonnościach nie wspominając. – Z uśmiechem odwrócił ją i wyjął *Księgę koktajli Savoya* z torby, do której ją schowała, gdy nie patrzył. – Ale i tak cię lubię.

Letty parsknęła śmiechem.

– Wiesz, jak wygląda moje życie. Nie ma w nim w tej chwili wiele wolnego miejsca. Możesz zjeść kolację ze mną i Luną albo zabrać mnie do McDonalda podczas przerwy obiadowej.

To miał być żart, ale on się uśmiechnął.

– Zgoda.

I jakoś tak się stało, że zgodziła się z nim spotkać przy bramce 37 w piątek o dwunastej w południe.

Letty poszła okrężną drogą do szkoły Luni. Szybkim krokiem przemierzyła drogę dojazdową do Przystani i kładkę dla pieszych. Doskonale wiedziała, dokąd idzie. Gdyby miała choćby najbledszą szansę na wynajęcie mieszkania w Mission Hills, wybrałaby jeden z wieżowców po drugiej stronie autostrady przy Mile Road. Rozciągał się z nich doskonały widok na Przystań; ona i Sara jako nastolatki czasem zapalały światło w jej pokoju i pokazywały piersi w rytmie SOS, więc fakt, że przyszła tu teraz, szukając ratunku, wydawał się dość ironiczny. Ale to było najlepsze wyjście. Tabliczka z napisem Do wynajęcia wisiała na tych budynkach od dziesięciu lat, bo kto by chciał tu mieszkać, z najruchliwszą autostradą w Bay Area na zapleczu? Ale Letty była gotowa, o ile to oznaczało, że jej dzieci nie będą musiały kłamać, kiedy ktoś je spyta o adres.

Młodzieniec w biurze wynajmu wyglądał na niewiele starszego od Aleksa. Bejsbolowa czapka niemal całkiem przykrywała mu rude włosy. Kiedy Letty weszła, wpatrywał się w swoją komórkę. Na biurku znajdowała się tabliczka z napisem PROSZĘ DZWONIC. Więc zadzwoniła.

- Tak?
- Macie mieszkania do wynajęcia?
- Czego pani szuka?
- A co macie?

Chłopak pogodził się z faktem, że nie spłoszy klientki opryskliwością, schował telefon do kieszeni i wyrecytował ceny za jedno-, dwu- i trzypokojowe mieszkania.

– Jednopokojowe – powiedziała Letty. Cena obudziła w niej nadzieję. Nie miała jeszcze dość pieniędzy, ale taka kwota znajdowała się w jej zasięgu. Za parę tygodni mogłaby tu wejść i zapłacić gotówką za pierwszy miesiąc. Zwłaszcza gdyby trafiło się jej jeszcze parę takich dni jak dzisiejszy.

Chłopak wstał i zdjął klucz ze ściany. Pojechali windą na drugie piętro. Długi korytarz pachniał piwem i przypominał Letty odwiedziny u Sary w akademiku. Chłopak otworzył drzwi na końcu.

Mieszkanie było tak samo mroczne jak korytarz, nawet po zapaleniu żarówki, dającej mętne, żółte światło. Letty weszła do środka i zobaczyła kwadratowe pomieszczenie z małą kuchnią. Jedyne okno znajdowało się nad zlewem. Z boku rolety przesączał się blask dnia. Letty podniosła roletę i otworzyła okno. Autostrada była niepokojąco blisko; drugie piętro znajdowało się na wysokości kierowców. Letty widziała, jak jakaś kobieta w samochodzie sprawdza komórkę, a inna się maluje. Przejeżdżająca ciężarówka zatrzęsała mieszkaniem tak, że zęby Letty zaszczękały.

- Po paru dniach przestanie pani zauważać.

– Bo się przyzwyczaję czy dlatego, że ogłuchnę?

Chłopak wzruszył ramionami. Było mu wszystko jedno, czy Letty się przyzwyczajai. Zapłacono mu, żeby to mówił. Ale cena była dobra, a Letty już widziała ich przyszłe życie, z dala od zasad jej matki, po przeprowadzce tylko z tym, co zmieści się do bagażnika Sary. Alex mógłby odprowadzać Lunę do szkoły i naprawdę by tu mieszkali. Bez kłamstw.

– Biorę – oznajmiła. – Może pan je dla mnie zatrzymać do następnego tygodnia? Wtedy zapłacę.

– Musi pani wypełnić formularz.

Bo ludzie się biją o tę norę koło autostrady, pomyślała Letty, ale poszła za chłopakiem, usiadła przy biurku i wypełniła długi formularz, starając się to zrobić jak najszybciej.

– Poproszę panią o czynsz za pierwszy miesiąc i depozyt za sprzątanie, ale z tego ostatniego możemy zrezygnować, jeśli ma pani zdolność kredytową.

Było lepiej, niż się spodziewała. Słyszała, że w niektórych blokach żądają pieniędzy za pierwszy i ostatni miesiąc i że czasem zdarza się nawet opłata za wniesienie podania. Na pierwszy miesiąc było ją stać. Podała mu formularz i prawo jazdy. Chłopak wpisał coś w komputer. Sprawdził w formularzu i wpisał znowu.

– Czy na pewno się pani nie pomyliła?

Wskazał rubrykę, w której wpisała numer ubezpieczenia społecznego. Sprawdziła jeszcze raz.

– Na pewno nie.

Wpisał trzeci raz, zaczekał, a potem pokręcił głową.

– Nie ma pani zdolności kredytowej.

– Jak to nie mam?

– No tak. Ma pani kartę kredytową? Pożyczkę na samochód? Kredyt mieszkaniowy lub inny?

Letty kręciła głową: nie, nie, nie.

– A telefon?

– Na kartę. – Co miesiąc kupowała minuty za napiwki.

Chłopak oddał jej formularz.

– Jeśli nie ma pani zdolności kredytowej, nie mogę pani wynająć mieszkania.

– Ale zapłacę gotówką. – W jej głosie zabrzmiała nutka desperacji, której pożałowała. Niespiesznie wygrzebała portfel z torby i otworzyła go. – Proszę.

Pomięty plik dwudziestodolarówek leżał między nimi jak brudna ofiara. Chłopak przeniósł spojrzenie z banknotów na Letty, po raz pierwszy zainteresowany. Spojrzenie jego wodnistych oczu spłynęło z jej twarzy na szyję. Letty założyła ręce na piersi.

– Jestem barmanką.

Chłopak pokiwał głową powoli. Nie uwierzył.

– Dobrze zarabiam i mogę płacić regularnie. A oboje wiemy, że nikt nie chce wynająć tego mieszkania. Pewnie nie miało lokatora, odkąd wybudowano ten dom.

Chłopak przysunął się z krzesłem bliżej i pochylił się do niej.

– Proszę mi wierzyć – powiedział, pozerając wzrokiem jej ciało. – Gdybym mógł pani wynająć mieszkanie, tobym to zrobił. Ale nie ma zdolności kredytowej, nie ma wynajmu. Takie zasady.

Letty wstała. Kiedy odetchnęła, wraz z powietrzem cała nadzieja opuściła jej ciało. Zestarzeje się i umrze na Przystani. Co za idiotka z niej, że się łudziła, i co za idiota z tego Ricka, że to jej zasugerował.

Istnieją zasady i te zasady, jak zwykle, nie dawały jej szans.

Jadąc autobusem do szkoły Luni, Letty czuła przygniatający smutek. Donikąd się nie wyprowadzą, to już wiedziała. Jej myśli poszybowały ku wielkiej, słonecznej, przewiewnej posiadłości w Oro de Hidalgo, w której zostali rodzice. Tęskniła za nimi. Po raz pierwszy nie ze strachu czy paniki – radziła sobie, dzieci też. Ale co to było za życie? Nowe szkoły dzięki oszustwu i stare mieszkanie, z którego nigdy nie zdołają uciec. To za mało.

Zrobiła to, czego chcieli jej rodzice. Zastąpiła ich. Jej dzieci były nakarmione, ubrane i odwołane do szkoły na czas. Czy to nie dość? Czy musiała spędzić resztę życia w kraju, który jej nie chce, w kraju, który opuścili jej rodzice? W głowie zaczęła się jej kształtować alternatywa. Nie muszą tu zostać. Może spakować ich nowe ubrania, książki i zabawki i kupić trzy bilety autobusowe na południe, a kiedy przybędą do Meksyku, umyć, zadbać i pełni energii, powie rodzicom, że chce, żeby Alex i Luna nauczyli się hiszpańskiego i dorastali z rodziną. Czy mogliby jej tego odmówić?

Autobus zatrzymał się na ulicy w pobliżu szkoły i drzwi się otworzyły. Letty wysiadła; Luna puściła rękę nauczycielki i puściła się pędem ku niej. Promieniała. Chwycona w uścisk Letty poczuła, że mimowolny uśmiech unosi kąciki jej ust.

– Kocham nową szkołę! – westchnęła Luna w jej brzuch.

– Naprawdę? – Letty przełknęła z trudem ślinę, usiłując pokonać przemożną chęć, żeby uciec od tego wszystkiego. – Opowiedz mi o tym.

– No więc – zaczęła powoli Luna i nagle wykrzyknęła z uśmiechem: – Dotarłam do niebieskiego!

Letty nie zrozumiała, ale córka wyjaśniła jej, że niebieski to najlepszy stopień za zachowanie w klasie, rzadkie osiągnięcie, które skutkuje dostępem do pudełka z nagrodami.

– I wybrałam to!

Sięgnęła głęboko do kieszeni sztruksowej sukienki i wyciągnęła wylizany do połowy lizak pokryty paprochami. Zanim Letty zdążyła zareagować, wcisnęła ostry

cukrowy sopel w jej usta.

Letty zatuszowała mimowolny jęk wstrętu nie całkiem wiarygodnym śmiechem. Włóknista, słodko-słona warstwa rozplynęła się w jej ustach, uwalniając porażającą wiśniową słodycz.

– Zostawiłam dla ciebie – wyjaśniła Luna, wielkimi oczami z nadzieją wypatrując aprobaty matki. Przygniatający smutek rozplynął się niczym lizak w ustach Letty. – Dobry?

– Bardzo dobry – powiedziała Letty, całując wiśniowe usta córki i zastanawiając się, jak to możliwe, że niedojedzony lizak ma smak decyzji o pozostaniu.

Nowe buty Aleksa skrzypiały na wypolerowanym linoleum. Na kartce w jego dłoni widniał numer przydzielonej mu szafki – 676 – oraz szyfr, 10–20–7, już wykuty na pamięć. Alex wziął głęboki wdech. Odetchnął słodkim powietrzem. Dziewczyny, które go mijały grupkami, mocno pachniały cytrusami, brzoskwiniami, a może watą cukrową, a chłopcy czymś mniej słodkim, ale równie upajającym. Już teraz go roznosiło, a ten zapach uderzył mu do głowy, zmieniając nerwowe oczekiwanie w rozdygotanie, które mogło doprowadzić wyłącznie do obciachu. Dlatego zagryzł wargi, myśląc ból, ból, ból, by pokonać radość, radość, radość z pierwszego dnia w tej szkole, w drodze na zajęcia z panem Everettem.

Tego ranka matka kazała mu powtórzyć dziesięć razy adres Sary na wypadek, gdyby ktoś spytał, ale nikt go nie pytał. Dzięki pomocy Yesenii wyglądał, jakby był na swoim miejscu. Po spodniach khaki i białej koszuli nie pozostał nawet ślad. Zastąpiły je džinsy, podkoszulek z napisem i buty Nike'a, które kupiła mu za całą sumę przeznaczoną na szkolne ubrania. Pozostałe parę dolarów wydała na kolekcję przypinek na plecak. Jego ulubiona – wiśniowe kółko z napisem Jenius, miało strzałkę; Yesenia przypięła ją tak, żeby wskazywała jego głowę. Ale podobala mu się także ta z dwoma rzędami ptaków siedzących na drutach telefonicznych, bo przypominały mu o dziadku. Tylko jedną plaketkę przypiął na pasku plecaka, żeby dotykać jej dla przypomnienia: LUDZIE MÓWIĄ, ŻE JESTEM OBOJĘTNY, ALE MNIE TO NIE RUSZA.

Skrzydło przeznaczone na nauki ściśle znajdowało się we frontowej części szkoły – rząd pracowni, z których oszklony pasaż prowadził do klas. Drzwi pana Everetta były otwarte. Było jeszcze wcześniej – zegar nad biurkiem wskazywał 6.45, i jedyny uczeń siedział skulony przy małym pulpicie w pierwszym rzędzie. Natychmiast wstał, gest przesadnej uprzejmości, więc Alex uznał, że to kpina, ale chłopiec wyciągnął do niego rękę z uśmiechem na chudej, trochę dziobatej twarzy.

– Jeremy Coker – powiedział.

Alex uścisnął mu dłoń, mocno, jak nauczyła go babcia, potrząsając nią tak entuzjastycznie, że niemal ujrzał niezadowoloną minę Yesenii. Kazała mu być na luzie.

– Przepraszam – powiedział. – Jestem Alex. Alex Espinosa.

– Miło mi cię poznać. Jesteś nowy?

– Chodzę do pierwszej klasy.

I natychmiast ugryzł się w język. Prostą (i nadal prawdziwą) odpowiedzią byłoby zwykłe „tak”. Tak, tak, tak! Tylko tyle powinien powiedzieć, a tu nagle

przyznał się, że jest najniższą formą szkolnego życia, monadą, niemającą połączenia z żadną złożoną społeczną strukturą otaczającego go świata.

Jeremy odwrócił się do nauczyciela.

– Panie E, od kiedy wpuszcza pan na zajęcia pierwszoklasistów?

Alex był tak skupiony na zrobieniu (jakże nieskutecznie) dobrego pierwszego wrażenia, że nie zauważył pana Everetta. Nauczyciel stał przed tablicą – siwizna w brązowych rozwichrzonych włosach, oliwkowa koszulka polo wyrzucona na spodnie, buty zabłocone tak, jakby chodził przez cały ranek po Przystani. Broda nadawała mu przyjazny wygląd, a wisząca na szyi lornetka nasuwała skojarzenia z obserwowaniem ptaków. Alex natychmiast go polubił. Nauczyciel zrobił krok w jego stronę i chłopiec pomyślał, że jego rękę też powinien uścisnąć, że może to wymóg na tych zajęciach, coś, co musi się nauczyć robić z większą nonszalancją, ale potem zrozumiał, że pan Everett stara się odczytać napis na przypince na pasku plecaka. Szybko zasłonił ją ręką.

Pan Everett spojrzał mu w oczy.

– Alex Espinosa?

– Tak. Uczył pan moją mamę.

Natychmiast po zapisaniu Alexa do Mission Hills Letty zadzwoniła do samego pana Everetta i poprosiła, żeby przyjął Aleksa na swoje zajęcia.

– To prawda.

Jeremy wytrzeszczył oczy.

– Co? Panie E, pan nie jest aż tak stary.

– To fakt. Letty Espinosa, inteligentna kobieta.

Czyżby? Po raz pierwszy usłyszał to od kogoś i nie wiedział, czy ma uwierzyć. Zawsze zakładał, że inteligencję ma po ojcu, a może po dziadku – czym obrażał matkę, uświadomił sobie. Poszedł w głąb klasy i wybrał sobie ławkę.

Nigdy jeszcze nie siedział w ostatnim rzędzie i kiedy klasa się zapełniła, dostrzegł, że taka sytuacja ma swoje plusy: mógł gorączkowo notować, nie narażając się na kpiny, mógł gapić się na kolegów, nie będąc przez nich obserwowany i (choć obiecał sobie, że nie zrobi tego pierwszego dnia) mógł nawet podnieść rękę i opuścić ją, gdy nauczyciel go wezwie do odpowiedzi, więc kiedy inni się na niego obejrzą, będzie to wyglądało, jakby został wyrwany, a nie że sam się zgłosił. Ale kiedy zaczęli się pojawiać nowi uczniowie, Alex zrozumiał, jak odmienne będzie jego życie w Mission Hills. Wszyscy przyszli punktualnie. Dziewczyna z pierwszego rzędu wyjęła grubą, zaczytaną książkę *Nano: kielkująca nauka nanotechnologii* i otworzyła ją na założonej stronie przy końcu. Dwaj chłopcy obok niego rozmawiali o *Atlasie zbuntowanym* i *Źródle*, które przeczytali w lecie (najwyraźniej dla przyjemności) i co do których żarliwie się ze sobą nie zgadzali. Zrozumiał, że po raz pierwszy w życiu nie będzie jedynym uczniem w klasie znającym odpowiedź, a może nawet okaże się jedynym, który jej nie zna.

Po dzwonku Alex przeliczył uczniów: szesnaścioro. W poprzednim życiu nawet nie wiedział, że szesnaście osób może się obudzić przed siódmą rano, nie mówiąc o tym, że już mogły siedzieć w klasie z otwartymi książkami, w dodatku ładnie pachnąc. Zrozumiał jednak: kto by chciał pędzić do szkoły, żeby zobaczyć kolejnego nauczyciela na zastępstwie albo skserowany test? Tutaj wszystko było inne, a zajęcia nawet jeszcze się nie zaczęły.

– Dzień dobry o tej wczesnej porze – powiedział pan Everett, wstając.

Klasa odpowiedziała przytaknięciami i tłumionymi ziewnięciami.

– Miło was widzieć. Powiedziałbym, że fantastycznie się bawiłem na wakacjach, ale wiecie, że odliczałem dni do rozpoczęcia roku szkolnego. – On chyba żartuje, prawda? Alex był beznadziejny w łapaniu żartów. Ale jedno wiedział na pewno: niezależnie od tego, jak minęły panu Everettowi wakacje, widok uczniów autentycznie go ucieszył.

– Ci, którzy chodzili już na moje zajęcia, wiedzą, co ich czeka. Wygłaszam ten sam monolog pierwszego dnia szkoły niemal od dwudziestu lat. – Pan Everett spojrzał na Aleksa, a ten zrozumiał, że nauczyciel myśli o Letty, która pewnie słyszała jedno z pierwszych jego przemówień. – Więc jeśli wiecie, co zamierzam powiedzieć, mówcie ze mną! Na koniec po raz pierwszy i ostatni w tym roku odczytam listę obecności, a potem zabierzemy się do pracy. Ale najpierw najważniejsze. To zajęcia nadobowiązkowe, a to znaczy...? Rachel.

Rachel podniosła głowę znad zeszytu w twardych okładkach.

– To znaczy, że przychodzi się na nie z własnej woli.

– Właśnie. A to z kolei znaczy, że spodziewam się po was takiego zachowania, jakbyśmy chcieli tu przychodzić każdego dnia, punktualnie, by działać i myśleć jak naukowcy. Nie mam cierpliwości do narzekaczy i chytrusów, to znaczy osób skąpiących informacji. Jeśli się czegoś dowiedziałeś, podziel się. A to prowadzi do następnego punktu.

Nauczyciel zrobił pauzę i powiódł wzrokiem po uczniach, dając im czas, żeby wpadli mu w słowo lub nadażyli za nim, Alex nie był pewien. Po jego prawej stronie dziewczynka z ciemną opalenizną, ubrana w jaskrawożółtą bluzkę, kiwała głową jakby w rytmie słów pana Everetta. Kędzierzawe brązowe włosy splotła w luźny warkocz, który spływał na blat ławki. Dziewczynki z tej klasy pochłaniały jego uwagę niemal tak samo jak nauka – wszystkie były piękne. Pomyślał o Yesenii i poczuł wyrzuty sumienia.

Dziewczynka, na której zeszycie widniał podpis „Julianna Skye”, odezwała się w końcu:

– Rywalizacja.

– Dziękuję. Rywalizacja. – Pan Everett skinął głową. – Tu jej nie ma. Nie ma wyścigu o stopnie ani o wyniki. Wszyscy, którzy chodzą na moje zajęcia, dostaną piątkę. Jesteście oceniani tylko i wyłącznie za jedno: miłość do nauki. A dla tych,

którzy są tu nowi i – lub jeszcze – nie złapali naukowego bakcyła, mam świetną metodę, prowadzącą do piątki z moich zajęć – jeśli tego nie czujecie, to udawajcie. Ze wszystkich sił udawajcie miłość, a pewnego dnia to uczucie niespodziewanie przestanie być udawane. A zatem jest tak: przychodźcie na zajęcia i kochajcie nauki ściśle albo udawajcie, że je kochacie, a dostaniecie piątkę. Nie ma czwórek ani szóstek, więc o nie nie proście.

Powiódł ciężkim spojrzeniem po klasie, zatrzymując wzrok na szczupłej blondynce z pierwszego rzędu, która pewnie miała coś takiego na sumieniu.

– No dobrze. – Pan Everett zrobił pauzę, a wszyscy uczniowie sięgnęli do plecaków i wyjęli sterty najrozmaitszych podręczników. Alex przestraszył się, że coś przegapił – może mieli zadaną jakąś pracę domową na wakacje, a Sara nie zauważyła powiadomienia wysłanego na jej adres i mu go nie przesłała? – Czekajcie. Już kończymy. Zwykle ten temat wypływa dopiero w grudniu, ale ostatnio zacząłem o nim wspominać wcześniej, żeby uprzedzić wypadki. Pomóż mi, Jeremy, dobrze?

Jeremy zamknął książkę, którą otworzył w połowie przemówienia o stopniach.

– Pewnie. Pytanie brzmi: jak można mówić o braku konkurencji, skoro jedynym celem tych zajęć jest zakwalifikowanie się do stanowej olimpiady naukowej i wygranie jej?

Dobre pytanie, pomyślał Alex. Był ciekaw, jak odpowie na nie pan Everett.

– A zatem... W grudniu będziemy mieć wewnętrzny konkurs. Nie o najlepsze wyniki, lecz o najlepszy pomysł na projekt. Wygrają trzy osoby, a reszta klasy zostanie przydzielona do każdego z tych trzech projektów. Wszyscy wezmą udział w olimpiadzie stanowej.

Klasa przetrwała tę wiadomość w milczeniu.

– A pieniądze trafią do... – odezwał się Jeremy tonem nadmiernie entuzjastycznego prezentera telewizyjnego.

– Kierownika projektu – wyjaśnił pan Everett. – Jeśli któryś z zespołów wygra stypendium na stanowej olimpiadzie, pieniądze trafią do głównego naukowca. A teraz zaczynamy.

Wizja pieniędzy przemówiła do Aleksa mniej niż ten tytuł: główny naukowiec. Spodobało mu się, że mógłby mieć zespół uczniów starszych od siebie, pracujący nad jego projektem, ale kiedy się rozejrzył, a potem posłuchał przedstawiających się uczniów, zrozumiał, że ma dużo do nadrobienia.

Miraya Ahmed z przodu klasy – pierwsza na liście – mówiła o zaburzeniach funkcji wykonawczych, o których Alex nigdy dotąd nie słyszał, a których najwyraźniej była znawczynią. Pan Everett dalej wyczytywał uczniów, którzy mówili coś o swoich naukowych zainteresowaniach. Alex słuchał z otwartymi ustami, gdy Nathan Allen opisał swój pomysł wykorzystania marnotrawionej

energii cieplnej silnika do napędu samochodu, Rachel Burke mówiła o swoim zainteresowaniu sposobami przetwarzania standardowych ocen testów, a Sophia Joyce Chen nakreśliła plan leczenia szczurów z wysokim poziomem cholesterolu czymś, co nazwała inhibitorami reduktazy HMG-CoA.

Powinien sobie zaplanować, co powie, ale tak go pochłonęło słuchanie, że nawet przez chwilę nie pomyślał o własnych naukowych zainteresowaniach. Kiedy pan Everett wyczytał jego imię, Alex skamieniał. Cała klasa obejrzała się na niego, a on po raz pierwszy w swojej szkolnej karierze oblał się rumieńcem i pożałował, że został wywołany do odpowiedzi. Wszyscy czekali. Musiał coś powiedzieć.

– Kocham nauki ściśle – wykrztusił.

Wszyscy parsknęli śmiechem. Nie złośliwie, z rozbawieniem, a on dopiero wtedy przypomniał sobie, co pan Everett powiedział o kochaniu nauki. Klasa uznała to za żart. Alex spojrzał na pana Everetta w nadziei, że chociaż on nie uważa tego za próbę rozbawienia obecnych. Nauczyciel nie był rozbawiony, ale i nie był zły.

Alex nabrał powietrza w płuca.

– I ptaki też kocham. – Zastanowił się, usiłując dobrać jakieś mądre słowa, żeby zrobić wrażenie na kolegach, ale potrafił myśleć tylko o ptakach z zatoki. Wyrecytował je w porządku alfabetycznym, tak jak zrobiłby to dziadek. – Czyż złotawy, dzięciur żółodziowy, jaskółka dymówka, kamusznik czarnogłowy, muchołap mysi, pójdzka ziemna, rudaczek kalifornijski, siewnica, strzyżyk myszaty, szablodziób amerykański... no wiecie.

– Wiem – oznajmił pan Everett, unosząc lornetkę w jego stronę. – Ja też lubię ptaki.

Opuścił lornetkę i odwrócił się do klasy.

– O to chodzi, no nie? Wszyscy się śmialiście, ale Alex trafił w dziesiątkę – kocha naukę i kocha ptaki. I najwyraźniej ma bazę informacji, której większość z nas nie ma. Chcę, żebyście pomyśleli właśnie o tym, zanim zaczniecie zastanawiać się na projektem. Co kochacie i co wiecie? A potem – czego jesteście ciekawi? Wszyscy w tej klasie mają wyjątkową historię, wyjątkowe zainteresowania i właśnie tym powinniście się kierować w swoich badaniach. Więc jeśli macie problem ze znalezieniem swojej sfery zainteresowań, poświęćcie trochę czasu na rozmyślanie o tym, co wiecie i kochacie i co was odróżnia od innych. Im bardziej się odróżniacie, tym lepiej.

Alex słuchał tego z uśmiechem. Oto dowód, gdyby go potrzebował: urodził się, żeby być naukowcem.



Alex obiecał Yesenii, że spotka się z nią nad wodą od razu po szkole, ale na lekcji angielskiego pani Davis spytała, czy ktoś może zostać, żeby pomóc

poukładać tegoroczne lektury, a jego ręka odruchowo sama wystrzeliła w górę. Uporządkowanie zaczytanych na śmierć książek zajęło im więcej niż godzinę, a potem, choć powtarzał sobie, że nie powinien, poszedł okrężną trasą koło domu Wesa i zajrzał we wszystkie okna, po raz pierwszy odważając się przejść podjazdem aż na tyły domu. Teraz – o ile Yesenia jeszcze czeka – mogli mieć tylko parę chwil dla siebie, zanim ona będzie musiała wrócić na obiad.

Jego cień był już długi, kiedy wreszcie ujrzał Yesenię, siedzącą w kostiumie kąpielowym na końcu pomostu, ze zmiętymi ubraniami i ciężkimi czarnymi butami leżącymi obok. Tani dezodorant go zawiódł. Alex przycisnął mocno ręce do boków i usiadł.

– Cześć – odezwał się cicho.

– Cześć – odpowiedziała, obracając w dłoni płaski kamień. Wrzuciła go do wody.

Widzieli się zaledwie dwadzieścia cztery godziny wcześniej, ale Alex poczuł nagłe onieśmienie. W jeden dzień przeżył całe życie i martwił się, że się zmienił, a ona to zauważy.

– Ładnie wyglądasz.

– Dzięki.

Przysunął się jak najbliżej mógł, zważywszy na zawodny dezodorant.

– Jak było? – spytała.

– Tęskniłem za tobą – odparł, unikając odpowiedzi. Powiedzenie prawdy wydawało się naruszeniem świętości. To był najlepszy dzień jego życia. Ale naprawdę za nią tęsknił. – A w Bayshore?

– Przetrwałam.

– Co?

Wzruszyła ramionami. Nie miała ochoty rozwijać tematu.

– Dlaczego tak powiedziałaś?

– Nie wiem. Było inaczej. W zeszłym roku, jeśli siedziałam cicho, nikt się do mnie nie odzywał. Ale teraz, z tymi wszystkimi nowymi...

Urwała i spojrzała na wodę.

– Co mówili? – spytał z narastającym niepokojem.

Odwróciła wzrok i zmieniła temat.

– Dotrzymałeś słowa?

Spochmurniał. Obiecał, że tego pierwszego dnia nie podniesie ręki. Ale nie było to takie łatwe, jak mu się wydawało.

– Prawie. Nie do końca.

Yesenia parsknęła śmiechem.

– Nie wysilaj się. – Przysunęła się bliżej. – Nigdy nie będziesz normalny.

– Dzięki... chyba.

– To był komplement.

– W takim razie dziękuję.

Pokręciła głową, opryskując mu twarz i wargi słonymi kropelkami wody, i spojrzała na niego.

– A co w kółku naukowym? Byłeś jedynym pierwszakiem?

Przytaknął.

– Było super. Powiedział, że im bardziej różnisz się od innych, tym lepiej.

– To fajnie. A co zrobiłeś?

– Tylko opowiedziałem trochę o sobie. Chciał, żebyśmy się zastanowili, co mamy w sobie takiego, czego nie ma nikt inny.

– To proste.

Miała rację. Alex pomyślał o wielkich szufladach z piórami, ułożonymi kolorami, gatunkami i datami, a potem o wiadomości od dziadka: stwórz skrzydła. Niemal tak, jakby zostawił je specjalnie w tym celu, jakby wiedział. Alex będzie miał okazję, żeby je wykorzystać, żeby opracować projekt, dzięki któremu wygra, i ta wygrana zabierze go gdzieś daleko od ich wspólnego życia. Żałował tylko, że dziadek mu nie pomoże; przerażała go myśl, że będzie musiał to zrobić sam.

– No dobrze – odezwała się Yesenia, wyjmując nogi z wody i odwracając się do niego z łobuzerskim uśmieszkiem. Alex siedział po turecku, a ona usiadła mu na kolanach i oplótła go nogami. – Co takiego masz, czego nie ma nikt inny?

Była tak drobniutka, że nawet kiedy siedziała mu na kolanach, musiał się pochylić, żeby spojrzeć jej w oczy.

– Ciebie? – spytał z nadzieją.

Wargi miała wilgotne. Wyciągnęła szyję, żeby go pocałować, a potem objęła go obiema rękami, a on objął ją, lekko przesuwając dłońmi po jej nagich plecach, bokach i nogach. Zawahał się, a potem ujął jej stopy w dłonie.

Wzdrygnęła się lekko i cofnęła się, wpatrzona w miejsce, którego dotknął.

– Mogę?

– Tak.

Trwała nieruchomo, kiedy przesunął palcami od dużego palca po piętę obu idealnie kształtnych stóp o skórze białej i pomarszczonej od wody.

– Co się stało?

Yesenia położyła dłonie na jego rękach.

– Nie wiem. Mama nie chce o tym mówić.

To go zdziwiło – po wizycie u Carmen nie potrafił sobie wyobrazić, żeby matka i córka miały przed sobą tajemnice.

– Wada wrodzona?

Pożałował tych słów natychmiast, gdy je wypowiedział, ale ona nie zareagowała.

– Nie sądzę. Zawsze tak uważałam, ale parę lat temu w sklepie zobaczyłyśmy dziecko, niemowlę, z gipsem na obu nóżkach i twarzą, która

wyglądała, jakby upadło na nią coś bardzo ciężkiego – była czarnosina. Mama odwróciła się i wyszła. Czekałam ponad godzinę, ale nie wróciła. Musiałam iść do domu sama, a kiedy dotarłam na miejsce, stała w kuchni, udając, że nic się nie wydarzyło.

Alex omal nie zwymiotował na myśl o Yesenii w niemowlęctwie, na myśl, że ktoś mógłby ją skrzywdzić.

Dziewczynka pochyliła się do niego i zamknęła mu powieki palcami.

– Nie myśl o tym – szepnęła, pocałowała go mocno i nie przestała całować.

Letty wylała do zlewu alkoholową Bloody Mary, którą zrobiła, choć klient zamawiał bez alkoholu. Nie popełniła tylu błędów od tamtego pierwszego tygodnia, gdy przyprowadziła Lunę do pracy. I po co zgodziła się spotkać z Rickiem? Pewnie nawet się nie pojawi. Próbowała sobie wyobrazić, co będzie dalej – kinowe wieczory z Luną wciśniętą między nich, wspólne odwiedziny z dwójką jej zaniedbanych dzieci u jego rodziców w tym ich jakimś pałacu w Mission Heights... To nierealne. Wkraczając niedbałym krokiem do McDonalda w samo południe, Letty powtarzała sobie, że nie powinna czuć się zawiedziona. Jeśli Rick ją wystawi, w ten sposób oszczędzi jej katastrofy.

Tego ranka ubrała się w najstarsze dżinsy i czarną bluzkę z plamami od wybielacza, żeby Rick – kiedy pokaże się w pracy o czwartej z jakimś słabym usprawiedliwieniem – przekonał się na własne oczy, że niczego się po nim nie spodziewała.

Za pięć dwunasta umyła ręce, poprosiła kierownika, żeby zastąpił ją na czas obiadu, i wyszła z Flannigan's. Przechodząc szybko koło McDonalda, zerknęła do środka i z zaskoczeniem przekonała się, że Rick już czeka, wpatrzony w drzwi. Poderwał się, gdy Letty wcisnęła się w niszę obok niego.

- Poproszę zestaw drugi – powiedziała. – Z colą.
- Chyba nie myślałaś, że naprawdę tu zjemy, prawda?
- Dlaczego nie? Nie mów, że jesteś jakimś kulinarnym snobem.
- Chyba jestem.
- To dokąd idziemy?

Rick uniósł torbę z szarego papieru.

- Chodź ze mną.

Zaprowadził ją na koniec terminalu, ruchomymi schodami w dół, przez długi korytarz, u którego wylotu stały w rzędzie samoloty ekspresowe, czekające na start o piątej po południu, do drugich schodów, których dotąd nie zauważyła. Wywiozły ich do okrągłego oszklonego pomieszczenia z niskimi czarnymi ławami pod ścianami. Prowadziły do niego tylko jedne drzwi. Może kiedyś była tu bramka, wejście do jumbo jetów, które po recesji przestały latać, ale teraz drzwi były zamknięte i pomieszczenie służyło jedynie do podziwiania widoków. A widok ciągnął się aż do San Francisco.

– Jak znalazłeś to miejsce? – spytała. – Myślałam, że znam każdy centymetr tego lotniska.

- Przeprowadziłem małe rozpoznanie, kiedy przekonałem się, że jestem

ograniczony do drugiego terminalu.

Nieźle mu to wyszło. Odwróciła się od majestatycznego widoku miasta i podeszła do okien wychodzących na południe. Po drugiej stronie ogrodzenia, na skraju zatoki, przycupnęły trzy bloki Przystani.

– Usiłowałam się przeprowadzić – powiedziała, gdy Rick wyjął z torby kartonowe pudełka. – Nie miałeś racji.

– Tak? A co?

– Nie spełniam warunków.

– Dlaczego? Nie masz zdolności kredytowej?

– Wcale. – Pomyślała o obietnicy, którą złożyła Aleksowi: „Przeprowadzimy się na drugą stronę autostrady, kiedy tylko będzie mnie na to stać”, a teraz, w goryczy rozczarowania, znowu przez chwilę bawiła się myślą o wyprowadzce z dziećmi do Meksyku. – Nie mam pojęcia, jak długo to może potrwać. Zanim mi się uda, Alex pewnie skończy szkołę.

Rick położył na ławce między nimi prawdziwe sztuczce, postawił dwa kieliszki do szampana i dwa pudełka z jedzeniem. Otworzył kciukiem miniaturową buteleczkę prosecco i nalał trochę wina do kieliszków.

– Podoba im się w nowych szkołach?

– Są zachwyceni. A Luna nigdy nie znosiła szkoły.

Podał jej kieliszek i uniósł swój, czekając, aż Letty się z nim stuknie.

– Zatem było warto. Postąpiłaś jak należy.

Wypiła alkohol jednym haustem. Kiedy się skończył, spojrzała tęsknie na pustą buteleczkę.

– Chciałem przynieść drugą, ale nie mogłem pozwolić, żebyś się teraz upiła.

– Słusznie.

Dobrze wiedział, że Letty potrzebuje tej pracy, a kierownik nie wybaczyłby jej takiego wyskoku.

Otworzyła pudełko z jedzeniem: wielka rozpołowiona krewetka, ociekająca czymś, co wyglądało jak masło z chili, leżąca na gniazdku sałaty w wianuszku plasterków awokado i papryczek jalapeños.

– Super – powiedziała z pełnymi ustami. Nie wiedziała, czy to działanie szampana (zupełnie wystarczająca dawka, jak się okazało, zapewniająca poczucie szczęścia bez ograniczonej poczytalności), czy też fakt, że nie jadła śniadania, ale uznała, że w życiu nie jadła nic lepszego. – Co to?

– *Al mojo de ajo* – powiedział z tak cudownym akcentem, że pożałowała, iż nie mówi lepiej po hiszpańsku. – Z Avila's. Pracowałem tam.

– Naprawdę? I dlaczego przestałeś? – Avila's była najlepszą meksykańską restauracją na półwyspie. Stwierdzenie, że praca we Flannigan's jest dla Ricka krokiem wstecz, byłoby eufemizmem stulecia.

– To długa historia.

Letty spojrzała na zegarek.

– Mam dwadzieścia pięć minut. Mów szybko.

Rick przełknął kawałek awokado i otarł usta serwetką.

– Restauracja należy do mojego taty. Pracowałem w niej, odkąd skończyłem trzynaście lat.

– Co? – Zaskoczenie Letty nie było tak wielkie, jak być mogło – za bardzo skupiła się na jedzeniu. Usta miała pełne krewetki i trzech różnych rodzajów salsy i bardzo się pilnowała, żeby nie wznosić oczu ku niebu z rozkoszy. Zjadła jeszcze kęs, kiwając głową do taktu jego słów: ojciec miał zamiar przekazać restaurację Rickowi, swojemu najstarszemu dziecku, ale dopiero po okresie terminowania od pomywacza przez pomocnika kucharza, kucharza liniowego, recepcjonistę i kelnera. Za studia Rick płacił z pensji zastępcy szefa kuchni.

– No to gdzie popełniłeś błąd?

– Tata chciał mnie wygonić z kuchni. Nie życzył sobie, żebym przez resztę życia śmierdział smaženiną i zarywał noce w pracy. Powiedział, że nigdy nie znajdę żony, a on nigdy nie rozkręci interesu. Dlatego kazał mi iść do szkoły biznesu.

– I poszedłeś.

– I byłem nieszczęśliwy. Kocham restauracje, bo kocham jedzenie, nie dlatego, że kręca mnie wzrost podaży, marża i zwroty podatku.

Kiedy rzucił studia, ojciec wylał go z pracy. Letty wysłuchała historii do końca, wybierając kciukiem z pudełka resztki sosu czosnkowego.

– Więc dlaczego pracujesz we Flannigan's? – spytała, gdy skończył. Tylko ta część jego historii nie miała sensu. Po tylu latach w Avila's mógłby dostać pracę w o wiele lepszym miejscu. To, co powiedział przy pierwszym spotkaniu – że gdzieś musi zacząć – nie było prawdą.

– Mój tata poprosił wszystkich swoich przyjaciół restauratorów, żeby mnie nie zatrudniali. Chyba myślał, że zmądrzeję, jeśli nie znajdę pracy. Właściwie zatrudniłem się tu jemu na złość.

– Przestaliście gadać ze sobą?

– O nie, gadamy bez przerwy. Jest moim ojcem, kochamy się. To tylko próba.

– Próba czego?

Rick milczał przez chwilę, wyglądając przez okno. Mężczyźni w pomarańczowych kamizelkach dawali znaki samolotom, machając rękami jak wiatraki.

– Mojej pasji. Sprawdza, ile poświęcę. Bo to nie jest łatwe życie, zwłaszcza jeśli chce się mieć rodzinę.

Mówiąc to, odwrócił wstydliwie wzrok, jakby sugerował, że chce założyć tę rodzinę z nią.

– Co twoja mama myśli o tej rodzinnej waśni?
– Nie miesza się. Ma wystarczająco dużo na głowie.
– Co robi?
– Ma dziesięcioro dzieci. Czwórka nadal w domu.
– Dziesięcioro? – powtórzyła wstrząśnięta Letty, choć to wyjaśniało lukrecjową wstążkę i jego wprawę w pertraktacjach z sześciolatkami. Rick był najstarszy z tej dziesiątki. – Ja nie daję sobie rady nawet z dwójką.

– Masz rodzeństwo?

Letty pokręciła głową.

– Jestem tylko ja. Wszystkie rozczarowania moich rodziców ładnie spakowane w jedną niedużą paczkę. – Wytarła dzinsy, na które skapnął dressing z przeciekającego pudełka.

– Zachowujesz się, jakby praca we Flannigan's stawiała cię w jednym rzędzie z narkomanami i pedofilami. Nie jest tak źle.

– Pracujesz w nocy. Przynajmniej zarabiasz przyzwoite pieniądze.

– Przyzwoite. Ledwie starcza na podręczniki.

– Myślałam, że rzuciłeś studia?

– Rzuciłem program MBA. Ale jestem na pierwszym semestrze w Kalifornijskiej Akademii Kulinarnej.

– Ha! – Letty uśmiechnęła się zwycięsko, zadowolona ze swojej intuicji. – Więc naprawdę jesteś kulinarnym snobem.

– Ale tobie mój snobizm się spodobał – zauważył Rick, zabierając pudełko, które prawie wylizała, i wyrzucając je do kosza wraz z pozostałymi pojemnikami i torbami.

Ten widok nasunął Letty pewną myśl.

– To skąd to miałeś, skoro już nie pracujesz w restauracji?

– Nadal znam ludzi w kuchni. Idę do nich, a oni robią mi wszystko, czego chcę. Jestem jak ten pies z *Zakochanego kundla*.

– Tramp?

– Właśnie. Tramp. Smakowało ci?

– Było świetne. Ale zjadłabym drugie tyle.

– Nadal jesteś głodna? – spytał rozczarowany. Wstała i obróciła się wokół własnej osi, prezentując się w obcisłych dzinsach.

– Takiej figury nie zawdzięcza się krewetkom i sałacie. – Rick zaczął przeproszać, ale ona pociągnęła go ku schodom ruchomym. – Teraz ty chodź ze mną.

Wrócili dawną trasą do małego plastikowego stolika w McDonalddie, gdzie spotkali się zaledwie pół godziny wcześniej.

– Zaczekaj – poleciła i wróciła po chwili z małą porcją lodów. Usiadła naprzeciwko niego, zjadła wielką łychę, a potem nabrała na nią równą porcję

waniliowej masy i gorącego sosu kajmakowego i podała mu. Rick przyjrzał się nieufnie przysmakowi.

– Nigdy tego nie jadłeś, bo nie patrzyłbyś takim wzrokiem.

– Nie jadłem.

– No więc mi zaufaj. To dobre.

– Wiesz, że te ich lody nawet nie są robione z mleka? To jakaś mieszanka oleju i wody, która się nie roztopia. Jeśli się ją zostawi na słońcu, po prostu się rozwarstwa.

Wmusiła w niego łyżkę.

– Kto przy zdrowych zmysłach zostawiłby coś takiego na słońcu?

Rick zamilkł i zajął się smakowaniem wanilii i czekolady. Oczy zaszklily mu się z przyjemności. Przełknął.

– Racja.

Podzieliła się z nim sprawiedliwie porcją. Po ostatniej, wyjątkowo obfitej łyżce Rick zadrzał mimowolnie.

– Dziękuję za uświadomienie mi zalet deserów z McDonalda.

Letty parsknęła śmiechem.

– Dzięki za obiad.

Nastąpiła niezręczna chwila, którą powinien wypełnić pocałunek, gdyby to była prawdziwa randka w prawdziwej restauracji, z odwiezieniem dziewczyny do domu, a nie taka, po której trzeba pędzić do pracy. Letty wyrzuciła plastikowy kubeczek i odwróciła się do Ricka, żeby się pożegnać.

– Hej – powiedział niespodziewanie. – Nie chcę się wtrącać, ale jestem pewien, że znalazłbym ci mieszkanie do wynajęcia po drugiej stronie autostrady. Wszyscy przyjaciele moich rodziców mają domki gościnne. A wielu z nich nawet nie mieszka w swoich rezydencjach.

Nie był to świat, który Letty by rozumiała, te niezamieszkane rezydencje i domki gościnne, ale skoro Rick chciał ją do niego zaprosić, mogła się tylko cieszyć.

– Wtrącaj się, ile chcesz – powiedziała, wstając. – Potrzebuję wszelkiej możliwej pomocy.

Na resztę popołudnia Letty wróciła do dawnych nawyków. Porzuciła listę specjalnych koktajli i lała drinki prosto z blendera do mrożonej margarity. Była zbyt rozkojarzona, żeby zdobyć się na tę chłodną precyzję, której nauczył ją Rick. Chciała tylko poruszać się za barem jak zawsze, automatycznie, żeby mogła rozmyślać o Ricku. Ricardo Lorenzo Moya. Odtwarzała w pamięci każdą chwilę ich spotkania, każde zdanie, każdy kęs jedzenia, jego minę, kiedy przemocą nakarmiła go lodami, i jego nadal głodne spojrzenie, kiedy się z nią żegnał. Miała taki zamęt w głowie, że zapomniała poprosić w kuchni o resztki, i po raz pierwszy od powrotu z Meksyku opuściła bar z pustymi rękami.

A teraz stała z Luną i wpatrywała się w pustą lodówkę. Żałowała, że Alex nie ma komórki. Mogłaby go poprosić, żeby wstąpił do sklepu. Kiedy Luna wróciła już do domu, żadna łapówka nie skłoniłaby jej do ponownej jazdy autobusem.

Letty zamknęła lodówkę i zajrzała do zamrażarki. Jej wzrok przykuło coś płowego, ukrytego pod lodem w dalekim kącie. Dziabła nożem skamieniałą bryłę tak długo, aż uwolniła z niej tamala. Jeśli dopisze jej szczęście, znajdzie drugiego albo nawet trzeciego i czwartego i nie będzie musiała się martwić także o kolację dla Aleksa.

Rzuciła tamala na talerz i podeszła do mikrofalni, ale Luna wyrwała jej go z ręki.

- Ja je lubię tak.
- W tej postaci nie da się ich zjeść.
- Da się!

Luna wzięła tamala, rozwinęła liść kukurydzy i ssała twarde ciasto. Letty patrzyła ze zgrozą, jak jej córka owija naleśnik papierowym ręcznikiem i idzie z nim na sofę. Była brudna. Poszły do domu skrótem z przystanku autobusowego i Luna szalała. Ochlapała się błotem od łydek po czubek głowy. Letty powinna kazać jej się wykąpać albo przynajmniej zmienić spodnie, ale wszystkie ich meble przez te parę miesięcy od wyjazdu Marii Eleny postarzały się o dziesięć lat, więc czy trochę więcej błota mogło im zaszkodzić? Luna usadowiła się na białych poduchach, a Letty włączyła telewizor, szukając czegoś, co by jej zapewniło pół godziny spokoju.

Właśnie znalazła odpowiedni program i zajęła się wyrąbywaniem tamali z lodu, kiedy Luna zawołała z salonu:

- Mamo, ktoś przyszedł!

Letty wytarła ręce w fartuch, zamknęła zamrażarkę i podeszła do drzwi. Od

osoby stojącej po drugiej stronie oddzielał ją szereg zasuw, po jednej na każde dziesięciolecie na Przystani. Złodowaciałe, śliskie palce Letty poruszały się opornie, a gdy w końcu udało jej się otworzyć drzwi, omal nie zamknęła ich z powrotem.

Za progiem stał Wes.

Nagle zabrakło jej powietrza. Oparła się o framugę, usiłując wyglądać nonszalancko i modląc się, żeby nogi nie ugięły się pod nią.

– Cześć.

Przez łomot serca ledwie usłyszała własny głos. Luna podkręciła dźwięk w telewizorze tak, że zatrzęsły się ściany.

– Luna! – rzuciła Letty. – Co ty wyprawiasz! To za głośno!

Luna całkiem wyciszyła dźwięk i w zapadłej ciszy Letty ujrzała w oczach Wesa całe swoje życie: ją samą w barowym fartuszk, nadal mieszkającą u rodziców i wrzeszczącą na brudną dziewczynkę na brudnej kanapie, pożywiającą się zamrożonym tamalem jak lizakiem. Tyle razy wyobrażała sobie powrót Wesa, ale nigdy w ten sposób. W wyobraźni widziała siebie z dyplomem ukończenia studiów lub w eleganckiej garsonce, z umyтыми, grzecznymi i uśmiechniętymi dziećmi. Tylko Wes wyglądał jak prosto z jej snów, co jeszcze pogarszało sprawę. Stał przed nią przystojniejszy, niż zapamiętała, a może po prostu przystojniejszy niż kiedyś. Jasne włosy mu pociemniały, ale nadal miały wybielone przez słońce pasemka, a jego szerokie ramiona napinały cienką bawełnę szpitalnego uniformu. Stał się mężczyzną z cieniem zarostu i zmarszczkami wokół oczu.

– Co tu robisz? – spytała.

– A co ty tu robisz?

– Jak to co? Mieszkam.

– Nie wyprowadziłaś się?

– Wpadłeś, żeby mi uświadomić, jak bardzo przegrałam życie? – Letty uniosła rękę w geście desperacji. Drugą trzymała na drzwiach, jakby zamierzała je zamknąć.

– Przepraszam, nie. Tylko... – Urwał, spojrzał nad jej ramieniem na Lunę, a potem do kuchni, po czym dodał ciszej: – Jest taki chłopiec... Od wielu tygodni kręci się wokół mojego domu, a wczoraj poszedłem za nim i zobaczyłem, że wszedł tutaj, do twojego dawnego bloku. A im dłużej o tym myślałem... no, musiałem to sprawdzić.

– Co sprawdzić?

– Naprawdę muszę spytać? – A gdy Letty nie odpowiedziała, pochylił się do jej ucha i szepnął: – Czy ja mam dziecko?

Letty zerknęła na podsłuchującą ich Lunę.

– To nie twoja córka. – Minęła go, wyszła na galerię aż do miejsca, gdzie niespełna miesiąc temu upiła się z Alekssem, a prawie szesnaście lat wcześniej Wes

zakradł się z butelką wina, żeby pić z nią i płakać z powodu lotu o szóstej rano do Nowego Jorku, gdzie miał zacząć studia na Columbi. Nie wiedziała wtedy o swojej ciąży – ani tego wieczora, ani przez następne trzy miesiące, a kiedy wreszcie to do niej dotarło, przez resztę ciąży była pochłonięta martwieniem się, jaki wpływ na dziecko miała ta noc pijaństwa.

Wes stanął obok niej i przez długą chwilę ciszy wydawało jej się, że to już koniec, że on spytał, ona odpowiedziała i że choć nie skłamała, to i nie powiedziała prawdy.

– Nie jest moja – odezwał się w końcu Wes. – To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Letty przełknęła ślinę. Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy. Gdzieś rozległ się warkot odrzutowca, zakreślającego szeroki łuk i zmierzającego na północ. Wes ścisnął mocno żelazną balustradę. Jego palce, kiedyś gładkie, dziś były porośnięte włoskami. Letty pomyślała o wszystkich miejscach, w których te palce ją dotykały, i odwróciła się, płonąć rumieńcem.

– Nie jest.

– Jak mogłaś mi nie powiedzieć?

– Chciałam, ale się bałam, a kiedy tamtego lata nie wróciłeś...

– A potem tak jakoś minęło czternaście lat? – Wes położył jej rękę na ramieniu, zmuszając ją do spojrzenia mu w oczy.

– Nie całkiem tak było. – Odwróciła się.

– Właśnie że całkiem.

– Nie masz pojęcia, jak było – warknęła. – Zrobiłam wszystko, co mogłam.

– Nie twierdzę, że nie. Ale powinnaś mi była powiedzieć.

– No więc nie powiedziałam.

Wes cicho westchnął. Nie był wojownikiem. Mógł dyskutować godzinami, ale kiedy Letty wpadała w gniew, natychmiast się wycofywał i pozwalał jej wygrać. W liceum ją to wkurzało, choć jednocześnie budziło jej wdzięczność, i to samo poczuła w tej chwili.

– Zastanawiam się, jak cię znalazł – powiedziała.

– Nie wiem. Ale znalazł. Pewnego dnia na wiosnę... a może to było lato, nie pamiętam... wróciłem z pracy do domu i zobaczyłem chłopaka zaglądnącego mi do okna.

– I co?

– Nic. Spytałem, w czym mogę pomóc, a on uciekł. Nie myślałem o tym długo, ale parę tygodni później zauważyłem, że siedział za mną do sklepu. Wyglądał dziwnie znajomo, choć byłem pewien, że go nie znam, a potem nagle sobie przypomniałem, co powiedziałaś podczas naszej ostatniej rozmowy telefonicznej.

Było to zaledwie tydzień po wyjściu Aleksa ze szpitala. Pracownik opieki społecznej sprawdzał, czy Letty nie dopuściła się zaniedbania, a ją nawiedzały

ataki paniki jak spazmy, każdy gwałtowniejszy od poprzedniego. Maria Elena odebrała telefon i przyłożyła słuchawkę do ucha córki. Letty nie przypominała sobie, dlaczego Wes zadzwonił ani co powiedział, ale pamiętała własne słowa: „Proszę, daj nam spokój”. Usiłowała to zatuszować, szybko dodając: „Proszę, nie dzwoń już do mnie”. I nie zadzwonił, ale po tylu latach nie zapomniał jej pomyłki. „Daj nam spokój”, powiedziała, a miała na myśli: „Uratuj nas”. Ale on usłyszał tylko jej słowa, nie ich znaczenie – i zrobił to, o co prosiła.

Westchnęła.

– Jest do ciebie bardzo podobny.

– Oczywiście – powiedział Wes i przez chwilę wydawało jej się, że wygłosi jej wykład o genetyce, ale on tylko pokręcił głową i dodał: – Jak mogłaś pozwolić mi wyjechać na studia?

Zrobiła coś okropnego, ale nadal czuła to dawne przerażenie i wstyd. Te wszystkie lata w Mission Hills, to, co mówili mieszkańcy dzielnicy o dziewczynach z Bayshore. I to, jak bardzo się starała nie być taka jak one. A potem zaszła w ciążę.

– Co miałam robić? Wiesz, co powiedzieliby ludzie, gdybyś został.

Powiedzieliby, że przyszła do Mission Hills tylko po to, żeby go złapać na dziecko. Wes słyszał te ostrzeżenia ze strony przyjaciół, nauczycieli, nawet rodziców, odkąd zaczęli ze sobą chodzić. Wtedy zawsze jej bronił. Ale teraz, patrząc na samą siebie jego rozczarowanymi oczami, podejrzewała, że tego żałował.

W końcu odezwał się, powoli kręcąc głową.

– Ale ja nigdy bym tak nie powiedział. Przecież wiesz. – Znowu wróciła, ta miłość, którą czuła przed laty, wypełniała jej serce. Chciała się od niej odwrócić, ale on przysunął się bliżej i kiedy znowu przemówił, poczuła jego oddech na czole. – Zostałbym.

– Wiem – szepnęła. – Zrezygnowałbyś ze wszystkiego i zostałbyś, bobyś musiał, a ja nie chciałam dla ciebie takiego życia. Ani dla siebie.

Nie chciała, żeby mówiono, że uwięziła Wesa, ale sama też nie chciała dać się mu uwięzić. Chciała, żeby odszedł i wrócił z własnej woli, i chciała, żeby zastał ją jako szczęśliwą kobietę sukcesu. W swoich fantazjach wyobrażała sobie, że idzie na uniwersytet Berkeley i oddaje Aleksa do przedszkola – i widziała też, że kiedy Wes wróci z dyplomem, pokocha ją żarliwie za wszystko, co dla niego zrobiła, i za wszystko, co pozwoliła mu zrobić, ale zamiast chodzić na zajęcia, balowała co noc, a potem musiała zdobyć pracę i następną, i nic nie potoczyło się tak, jak planowała.

Wes zrobił krok w stronę drzwi. Patrzyła, jak się rozgląda. Nie zmieniło się tu przez czas jego nieobecności. Ta sama kanapa, teraz wytarta, ten sam kanciasty telewizor. Jediną różnicą była nieobecność jej rodziców.

– Co powiedziałaś mamie?

Letty zerknęła na półkę z książkami w głębi pokoju, gdzie trzymała ostatnie dziesięć nieotwartych listów od Marii Eleny. Chciała je przeczytać, ale ją przytłaczały, niekończące się rady i pouczenia, dowód, że wszystko robi źle. Dlatego gromadziła je, nieprzeczytane, i wysyłała krótkie odpowiedzi z pieniędzmi, które zdołała uciułać.

Wes nadal czekał na jej odpowiedź. Obejrzała się na niego i powiedziała szczerze:

– Że zerwałeś ze mną, kiedy się dowiedziałeś.

– Żartujesz? – Ta cicha chwila więzi prysła, a zamiast niej pojawił się gniew.

Wes kochał Marię Elenę, a ona jego. To, co powiedziała Letty, złamało jej serce. – Gdzie ona jest?

Zaczął chodzić po korytarzu, jakby chciał ją znaleźć i natychmiast wszystko wyjaśnić.

– Wróciła do Meksyku. Napiszę do niej. Powiem prawdę.

– Nie. Ja to zrobię.

W tej chwili dostrzegła błysk światła na kędzierzawych włosach i oboje odwrócili się i spojrzeli na tyczkowatego chłopca z plecakiem, pędzącego przez parking na dole.

– To on – rzucił Wes na poły twierdzącym, na poły pytającym tonem.

Letty skinęła głową.

– No. To Alex.

Alex nie był pewien, czego się spodziewał. Może łez albo usprawiedliwień bądź zawiłych wyjaśnień – ale przez te dni, tygodnie i miesiące, kiedy śledził swojego ojca, ani razu nie wyobrażał sobie tej niezręcznej prezentacji, jazdy w milczeniu i siedzenia naprzeciwko niego przy stolczku w Zen Sushi, restauracji w centrum Mission Hills, całej w bambusie i białym świetle.

Alex zerkał ukradkiem na ojca znad menu, w którym widniały tajemnicze słowa *unagi*, *udon* i *yuzu ponzu*. Z bliska jasne włosy Wesa okazały się siwe na skroniach, a błękitne oczy ujawniły orzechowe plamki.

– Wiesz, na co masz ochotę? – spytał Wes.

Alex znowu wrócił do menu, potem poddał się i pokręcił głową.

– Możesz zamówić za mnie. Nie znam się na sushi.

– Na pewno?

Alex skinął głową, a kiedy zjawił się kelner, Wes wyrecytował listę tak długą, że chłopiec przestraszył się, że nie zdążą tego zjeść do zamknięcia. Potem rozejrzeli się po restauracji i w tym samym czasie sięgnęli po dzbanek z wodą, stojący na środku stolika.

– Przepraszam.

– Nie, to ja przepraszam.

Wes nalał wodę do dwóch szklanek i wypili w milczeniu. Wes odstawił swoją.

– No, to co u ciebie?

– Dobrze. A u ciebie?

– Dobrze.

Wes znowu napił się wody. Alex też. Zegar na ścianie odliczał sekundy.

– Dziwnie w końcu cię poznać – rzucił Wes. – Chyba nie wiem, od czego zacząć.

Zapadła długa cisza. Alex czekał, aż jego ojciec coś powie... coś jeszcze. Ale milczał, więc chłopak spróbował mu pomóc:

– Mógłbyś mnie spytać, jak mi minął dzień czy coś w tym rodzaju.

– Jak ci minął dzień?

Alex parsknął śmiechem – nerwowa reakcja – i pomyślał o tym dniu. Wszystko szło świetnie, dopóki nie zajrzał po zajęciach do klasy pana Everetta, żeby mu podziękować za książkę o ptakach wędrownych, i w nagrodę został posadzony przy biurku przed listą uczniów. Jego nauczyciel od miesiąca nie sprawdził listy obecności i właśnie dostał za to burę od sekretarki.

– Dobrze. Musiałem zostać po lekcjach, żeby pomóc panu Everettowi z listą obecności.

– Pan E! – Wes uśmiechnął się na to wspomnienie. – Uwielbiałem go, choć nie wiem, czy z wzajemnością. Możliwe, że to przeze mnie zakazał konkurencji na swoich zajęciach.

Alex uśmiechnął się, przypomniawszy sobie przemówienie pana Everetta z pierwszego dnia szkoły.

– Mnie się wydaje, że on lubi wszystkich.

Znowu zamilkli. Alex przyglądał się akwariom w głębi restauracji. Do szklanych ścianek przywarła cienka warstwa glonów. Zastanowił się, czy te ryby są do zjedzenia czy do ozdoby, i zrobiło mu się trochę niedobrze.

Wes zaczekał, aż Alex wróci do niego wzrokiem, a potem spytał:

– Czy twoja mama powiedziała ci, dlaczego wyjechałem?

Alex pokręcił głową.

– Nie spytałeś jej?

– Nie mamy takich układów – powiedział Alex i natychmiast tego pożałował. Nie chciał, żeby Wes źle myślał o mamie. – Ale raz spytałem dziadka.

Alex dobrze pamiętał tę rozmowę. Siedział przy oknie na kolanach dziadka i przyglądał się rudaczkom, unoszącym się nad karmnikami.

– I co on na to?

– Właściwie nic. Ale opowiedział mi o migracji w kierunku przeciwnym do standardowego. – Alex zrobił pauzę, żeby sprawdzić, czy Wes zna ten temat, a kiedy ojciec pokręcił głową, wyjaśnił: – Taka migracja zachodzi, kiedy małe ptaki – nie te duże, które uczą się tras migracyjnych od rodziców, ale małe, które mają trasę zaprogramowaną genetycznie... no więc kiedy coś idzie nie tak i te trasy okazują się zaprogramowane sto osiemdziesiąt stopni w stosunku do właściwego kierunku. Więc ptaki, które mają zimować w Azji Południowo-Wschodniej, lądują w Europie Zachodniej.

– I co się z nimi dzieje?

– Na ogół giną, ale czasem udaje im się przetrwać i następnej zimy zmieniają trasę. – Alex zamilkł, czekając, aż Wes na nowo napełni szklanekę. – Dziadek chciał w ten sposób powiedzieć, że pewnego dnia możesz wrócić.

– O ile nie wyzionę ducha w Finlandii.

– Właśnie.

Uśmiechnęli się i spojrzeli sobie w oczy; zaraz potem Wes odwrócił wzrok.

– Przepraszam, że zajęło mi to tyle czasu.

– Nie szkodzi. Przepraszam, że cię śledziłem.

– Cieszę się, że to zrobiłeś. Ale mam nadzieję, że nie liczysz na karierę w CIA. Nie jesteś niezauważalny.

Zapadła długa chwila ciszy. Alex wziął pałeczki i wyjął je z papierowego

opakowania, ale nie umiał się nimi posługiwać, więc schował je z powrotem.

– A gdzie moi dziadkowie? – spytał.

Wes spuścił oczy.

– Zginęli rok temu w wypadku samochodowym.

Alex wiedział, że powinien coś powiedzieć, że ta tragedia jest straszniejsza dla Wesa niż dla niego, ale pomyślał tylko, że spóźnił się o rok. Już ich nie pozna.

– Dlatego wróciłem – dodał Wes. – Pracowałem wtedy w Ugandzie. Chciałem tu posiedzieć parę tygodni, żeby zająć się uporządkowaniem wszystkiego. Ale potem poznałem kogoś w Stanford Center for Global Health i w końcu dołączyłem do ich zespołu.

– I zamierzasz tu zostać?

Wes poruszył się nerwowo i zanim jeszcze otworzył usta, Alex zrozumiał, że odpowiedź brzmi: „nie”.

– Złożyliśmy wniosek o grant badawczy w Światowej Organizacji Zdrowia, co będzie wymagało pracy w terenie. Ale pewnie go nie dostaniemy.

Alex mu nie uwierzył – z tego, co wiedział o swoim ojcu, wynikało, że nie jest to osoba, której odmawia się grantu. Kelner postawił jedzenie na stole, dziesiątki odmian sajonek na długim półmisku, ale Alex stracił apetyt. Chciał natychmiast wyjść i opowiedzieć o wszystkim Yesenii. Odnalazł ojca, a teraz znowu go straci.

I nagle sobie przypomniał. Yesenia. Miał się z nią spotkać, kiedy zauważył na parkingu samochód ojca i zboczył do domu, a potem zapomniał o wszystkim. Miał dobry powód, pierwsze w życiu spotkanie z ojcem, ale nie znosił wykrętów, tak jak Yesenia. Wystawił ją.

Dziabął widelcem sajonki z awokado i zjadał je pospiesznie, a potem czekał wieczność, aż ojciec skończy jeść. Jeśli Wes zauważył jego zniecierpliwienie, to tego nie okazał. Gadał bez końca o swojej pracy i wypytywał o Letty (Czy poszła na studia? Wyszła za męża? Gdzie pracuje?), zanim w końcu zapłacił i odwiózł go do domu. Nastąpiła niezręczna chwila, kiedy Wes siedział w samochodzie i czekał, aż Alex wejdzie do domu, a Alex stał z ręką na klamce, czekając, kiedy ojciec odjedzie, żeby móc ruszyć biegiem w przeciwnym kierunku. Było już po ósmej, zapadł zmrok. Według ojca prawdopodobnie było tu niebezpiecznie. W końcu Alex otworzył drzwi wejściowe bloku C i czekał na korytarzu, aż warkot samochodu ucichnie, a potem wyszedł i pobiegł.

Yesenii nie było nad wodą. Zrobiło się za późno. Biegając, usiłował sobie wyobrazić, co robi – ogląda telewizję w salonie lub odrabia pracę domową w swoim pokoju – ale kiedy dotarł do jej mieszkania, ujrzał okna ciemne jak nocne niebo. Carmen pewnie poszła już do pracy. Yesenia albo śpi, albo na złość jemu udaje, że nie ma jej w domu.

Zawołał ją, tylko raz, a potem obiegł budynek, wszedł po schodach, zapukał

do drzwi i znowu zawołał. Usłyszał kroki i serce mu załomotało, ale kiedy się zbliżyły, uświadomił sobie, że dochodzą od strony schodów. Minęła go grupa chłopców w szkolnych mundurkach. Rozejrzał się, usiłując znaleźć jakiś sposób, żeby wejść do środka. Gdyby Yesenia nie mieszkała na drugim piętrze, zdołałby jakoś wspiąć się do jej okna jak Romeo. Gdyby wiedział, gdzie pracuje jej matka, poszedłby do niej i poprosił o pożyczenie klucza. A tak mógł tylko pukać, co też uczynił, przykładając ucho do drzwi. Pukał i czekał, pukał i czekał. Ale minęła godzina, a Yesenia się nie zjawiała.

Nie chciała go widzieć, to było jasne. Nie pozostało mu nic innego, jak iść do domu. Ale nie chciał, nie miał ochoty stawić czoła matce, która pewnie czeka na niego i zarzuci go pytaniami o wszystkie szczegóły życia ojca, więc przez jakiś czas włóczył się pomiędzy tym, co zostało z centrum Bayshore – Western Union, zamknięty bank i sklep z alkoholem – liceum Cesara Chaveza i brzegiem, gdzie podnosił kamienie i wrzucał je do zatoki.

Więc tak się czują źli faceci, pomyślał i uświadomił sobie, że taka rola przypadła mu po raz pierwszy. Przez całe życie starał się żyć według cudzych zasad, choćby były nie wiadomo jak szalone czy niemożliwe. Aż do dziś nigdy nikogo nie zawiódł. A teraz się stało, i to akurat z Yesenią, ostatnią osobą na świecie, która na to zasługiwała. Wyobraził ją sobie, jak leży skulona pod kołdrą, żeby nie słyszeć jego pukania.

Ale zaraz potem ten obraz zastąpił inny: Yesenia siedząca na końcu pomostu, okryta kocem bielszym od księżyca, z twarzą wtuloną w kolana, tak że widać tylko jej wysoki kucyk.

Alex ruszył sprintem. Kiedy dopadł do dziewczynki, ukląkł i położył rękę na łagodnym wygięciu jej pleców w miejscu, w którym jej kręgosłup powinien być prosty, ale nie był.

– Bardzo, bardzo, bardzo przepraszam – powiedział. – Nie przyszedłś do domu na kolację?

Yesenia pokręciła głową.

– Twoja mama będzie się martwić.

Wzruszyła ramionami, jakby jej to nie obchodziło, choć wiedział na pewno, że tak nie jest, i to właśnie jej powiedział. Wtedy usiadła prosto i spojrzała na niego.

– Nie mogę wrócić do domu.

Coś się stało z jej twarzą.

Jej prawy policzek był spuchnięty tak bardzo, że prawie zasłonił oko. Na szczęście i szyi miała też zadrapania, blad różowe kreski, ledwie widoczne w słabym świetle odbijającym się od wody. Jej wargi miały fioletowy odcień, ale nie wiedział, czy z zimna, czy dlatego, że były posiniaczone.

Ze ściśniętym żołądkiem usiłował znaleźć jakieś słowa. I w końcu zapytał:

– Co się stało?

– Biłam się – odpowiedziała, ale ton jej głosu nie brzmiał wojowniczo. Yesenia rysowała po szkole, czekając na autobus, kiedy jakaś dziewczynka rzuciła jej szkicownik na ulicę. Yesenia usiłowała go odzyskać, ale nie była dość szybka, potknęła się, a inna dziewczynka rzuciła jej szkicownik dalej. Kiedy Yesenia po raz drugi chciała go podnieść, obie dziewczynki ją przewróciły. Nie musiała wyjaśniać, co było dalej, bo miała to wypisane na twarzy.

– To pierwszy raz? – spytał Alex, kiedy umilkła.

Nie odpowiedziała. Serce mu się ścisnęło. Najwyraźniej to się już zdarzało. Jak mógł nie zauważyć?

– Twoja mama wie?

– Nie mogę jej powiedzieć. Wiesz, jak mówi po angielsku, i boi się, że jeśli pójdzie do szkoły, ktoś ją spyta o dokumenty. Nie chciałam, żeby się martwiła.

Tak nie powinno być. Yesenia cierpiała i to samotnie. Rozumiał, dlaczego nie powiedziała Carmen: nie mogła jej postawić przed wyborem, czy chronić córkę, czy też życie, które tu zbudowała. Ale jednego nie pojmował.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Yesenia długo patrzyła na morze, zanim wreszcie odwróciła się do niego.

– Byłeś taki szczęśliwy. Dlaczego miałbyś być z kimś tak żalnym?

Alex dotknął jej spuchniętego policzka.

– Chcę być z tobą, jakakolwiek byś była.

Położył się na wznak i spojrzał w niebo, a ona przytuliła się do niego, z kolanami na jego biodrze i głową na jego piersi. Otoczył ją ramionami i objął mocno, a wtedy zaczęła się trząść, z zimna, płaczu lub jednego i drugiego. Przykrył ją kocem i zacieśnił uścisk. Po raz pierwszy od początku roku szkolnego gorzko pożałował zmiany szkoły i tego, że zostawił ją na pastwę liceum w Bayshore. Powinien trwać u jej boku. Nigdy nie uważał jej za słabą, bo taka nie była – ale była delikatna, a on ją zostawił.

Yesenia znieruchomiała. Podniosła do niego twarz.

– Pocałujesz mnie?

Pochylił się, pocałował jej zlodowaciałe wargi, a kiedy zaczął płakać, przytuliła go tak mocno, jak on ją. Zostali tak przez całą noc aż do rana, kiedy zjawiała się Carmen i zaniósła Yesenię do domu.

Część trzecia

Wes wrócił. Wtargnął w ich życie bez ostrzeżenia, zjawił się przed drzwiami, uścisnął dłoń Aleksowi i zabrał go na kolację. „Zostałbym”. To słowo raz po raz odzywało się echem w głowie Letty. Trzeba było całej butelki wina, żeby zmyć wizję życia, które mogłaby mieć, gdyby został. Przez to wino o czwartej nad ranem obudziły ją mdłości. I zaraz przeżyła drugi szok: Alex nie wrócił do domu. Już miała dzwonić na policję, kiedy drzwi otworzyły się i jej syn wtoczył się do mieszkania, z przekrwionymi oczami i piaskiem we włosach. Spędził całą noc z Yesenią.

Tego było za wiele.

Wes, Alex, Yesenia – wszystko. Stojąc w mroku przedświt przed swoim synem, Letty miała wrażenie, że ściany zaczynają pulsować. Chwyciła się sofy, gdy Alex minął ją w drodze do łóżka. Jego ruch poruszył powietrzem; poczuła powiew na twarzy, chłodny i świeży, i usiłowała nim odetchnąć, żeby oprzytomnieć, ale wtedy Alex zniknął w sypialni i jakby zabrał ze sobą całe powietrze.

Osunęła się na kanapę. Co on robił przez całą noc? Umiała to sobie wyobrazić aż za dobrze i na samą myśl o tym pokój zawirował jej przed oczami, a mdłości się nasiliły. Wszystko, co starała się zrobić, przyszło trochę za późno. Nowa szkoła, oszustwo, do którego się posunęła, żeby go do niej posłać, to wszystko przestało mieć znaczenie. Ich rodzinna historia znowu się powtarzała, a jej niemrawe wysiłki, żeby nadać jej nowy kurs, były niczym w porównaniu z mocą przeznaczenia. Nawet Maria Elena nie zdołała z nim wygrać. Letty schowała twarz w poduszce sofy, wcisnęła czoło w brudną tapicerkę. Powinnam nastawić budzik, pomyślała, ale nawet nie drgnęła. Zresztą co za różnica, jeśli odpuszczą sobie dzień, a nawet tydzień szkoły? To niczego nie zmienia.

Ale w chwili, gdy już miała zasnąć, usłyszała płacz Luny, niosący się echem po pogrążonym w ciszy mieszkaniu i coraz głośniejszy. Idź do niej, pomyślała błagalnie Letty, kierując tę prośbę do Aleksa, ale nie usłyszała jego kroków, żadnych szeptanych słów pocieszenia, tylko płacz Luny, torujący sobie drogę w tym beztlenowym powietrzu.

Musiała wstać. Dźwignęła się z posłania i poszła po omacku do sypialni. Luna była strasznie wyziębiona. Zgubiła koce. Letty podniosła je i otuliła nimi córkę, a potem usiadła obok niej, masując jej plecy, aż się uspokoiła. Alex po drugiej stronie pokoju siedział na łóżku twarzą do okna, patrząc, jak pierwsze promienie słoneczne kładą się na podjeździe. Przy każdym ostrożnym oddechu

kołnierzyk jego koszuli drżał. W końcu położył się i zasnął, twarzą w twarz ze wschodzącym słońcem.

Letty także się położyła. Przytuliła się do córki i poczuła na piersi bicie jej serca. Każde uderzenie było jak wstrząs elektryczny, ładowało jej baterie. Nie mogła się poddać. Na jakimkolwiek innym etapie życia załamałaby się, ale nie miała już komu oddać dzieci, nikt by nie gotował obiadów, nie pakował drugiego śniadania ani nie karmił jej śmietankową roladą, żeby mogła leżeć na wznak i przyglądać się sufitowi. Nieważne, że jej świat stanął na głowie. Dzieci mimo to będą marznąć i czuć zmęczenie. Wkrótce się obudzą i zechcą jeść.

Po jakimś czasie usiadła i przebrała się w ciemnościach. W kuchni cicho wyciągnęła wszystko z lodówki, szukając czegoś, co mogłaby podać na śniadanie. Znalazła ser i stare tortille, a z szafki wyjęła puszkę zielonych papryczek i słoik salsy. Znalazła w jednej z książek kucharskich matki hasło *chilaquiles*, a pod nim kilkanaście przepisów, wymieniających wszystkie składniki, od siekanej cebuli i pieczonej miechunki po świeży ser Oaxacan. Ale ona nie miała nic z tych rzeczy, więc spróbowała zrobić potrawę, którą przyrządzała jej matka – smażone paski tortilli z papryczkami, salsą i serem. Wyszła jej paćka, nie idealne warstwy potrawy Marii Eleny, ale przynajmniej ładnie pachniało.

Właśnie postawiła na stole trzy duże miski, kiedy Luna wpadła do kuchni. Jej wielkie, pytające oczy świadczyły, że spodziewała się powrotu babci, ale zamiast się rozplakać, usiadła przy stole.

– Da się zjeść? – spytała Letty, gdy córka wepchnęła do ust wielką łychę potrawy. Sama także sobie nałożyła, ale nie wiedziała, czy jej wzburzony żołądek utrzyma coś poza wodą sodową.

– Mmmhmm – wymamrotała Luna z pełną buzią.

Z sypialni dobiegł je łomot, potem przekleństwo, a następnie trzaśnięcie drzwi do łazienki. Letty pozwoliła im zasnąć – Alex nie zdąży na zajęcia dodatkowe, a może nawet na te obowiązkowe. Minutę później wszedł do kuchni; ubrał się już i umył twarz, ale nie na wiele to pomogło. Od skroni do brody biegła mu smuga błota.

– Dlaczego mnie nie obudziłaś?

– Bo wróciłeś o czwartej rano! – Odsunęła krzesło i wskazała, żeby usiadł. – Zrobiłam ci śniadanie.

– Nie mam czasu.

– Już się spóźniłeś. Zjedz śniadanie.

Alex naburmuszył się, ale usiadł. Wziął łyżkę i zaczął przesuwając paski tortilli po misce, wydłubując spomiędzy nich długie pasmo przypalonego sera.

– Nie jesteś głodny?

Wzruszył ramionami. Letty przyjrzała mu się uważniej. Nie tylko był brudny i zmęczony. Wyglądał okropnie, cały spięty. Przepowiedziała sobie tekst, który

zamierzała mu wygłosić przy śniadaniu („Nie myśl nawet przez sekundę, że ucieszę się, kiedy zostanę babcią w wieku trzydziestu trzech lat. Nie jestem Marią Elena!”), ale patrząc na niego, nie potrafiła tego z siebie wydusić. Może i włączył się gdzieś dobre siedem godzin dłużej, niż powinien, ale także po raz pierwszy spotkał swojego ojca i najwyraźniej ciężko to przeżył. Usiadła przy stole i naląła mu szklankę oranżady.

– Wszystko w porządku? – Czekwała, aż na nią spojrzy, ale tego nie zrobił. Odłożył widelec i palcami ułożył paski tortilli, tak jak zrobiłaby to Maria Elena. Ale nadal nie zjadł ani kęsa. – Alex?

Skinął głową i wyjrzał przez okno, uciekając wzrokiem.

– Nie musisz się dobrze czuć, wiesz? To było coś ważnego. – A potem, kiedy nadal nie odpowiedział, dodała: – Możesz się na mnie gniewać.

– Za co?

Odwrócił się do niej zdziwiony i dopiero wtedy zrozumiała: Wes mu nie powiedział. Nie miała pojęcia, jak wyjaśnił tę swoją kompletną nieobecność w życiu syna, ale nie powiedział mu prawdy. Luna skończyła swoją porcję i sięgnęła po miskę Aleksa, ale ten przytrzymał ją i zaczął jeść. Letty patrzyła, jak usiłuje przełknąć kęs. Miała nadzieję, że usłyszy od niego więcej o tym wieczorze. Kiedy było jasne, że tak się nie stanie, zaczęła naciskać.

– To co o nim myślisz?

Alex wzruszył ramionami.

– Był trochę skrępowany.

Letty nie mogła się nie roześmiać, słysząc coś takiego z ust chłopca tak podobnego do swojego ojca.

– Ale jest inteligentny – dodał Alex. – Wiedziałaś, że pojechał na Haiti po tym trzęsieniu ziemi? Był jednym z pierwszych lekarzy, którzy się tam znaleźli.

Letty prychnęła.

– Jakoś mnie to nie dziwi. Zawsze usiłował ratować świat.

– A ja go lubię – oznajmiła Luna i Letty obejrzała się na nią z zaskoczeniem. Mała nawet nie została przedstawiona Wesowi. – Też chciałam iść, ale mama nie pozwoliła.

– Nie spodobałoby ci się – odparł Alex. – Jedliśmy sushi.

– Co to sushi?

– Surowa ryba.

– Fuuuu!

Luna wstała i włożyła swoją miskę do zlewu. Leżąc na kuchennym blacie komórka zaczęła dzwonić. Luna podała ją Letty, a potem usiadła jej na kolanach. Numer kierunkowy wskazywał adres Wesa w Nowym Jorku. Sam widok tego numeru sprawił, że jej żołądek zrobił fikołka. Tak samo czuła się przy każdym dzwonku telefonu, gdy Wes wyjechał na studia.

– Nie odbierzesz? – rzucił Alex ze zniecierpliwieniem.

Nie miała zamiaru. Wczoraj szok sprawił, że Wes nie wpadł w gniew. Nie ma szansy, żeby przez noc rozmyślał o Aleksie ten gniew nie zmienił się w furję. Nie chciała, żeby wrzeszczał na nią w obecności jej dzieci – ani w ogóle, jeśli miała być szczerą.

– Nie.

Alex wyjął jej komórkę z rąk. Przez chwilę sądziła, że odbierze, ale położył ją na drugim końcu stołu i rzucił gwałtownie:

– Nadal przeprowadzamy się do Mission Hills?

Luna przesunęła się wzdłuż stołu, żeby wziąć telefon i podać matce po raz drugi. Letty spojrzała zaskoczona na Aleksa.

– Dlaczego?

– Chcę wiedzieć.

– Pracuję nad tym. Wczoraj otworzyłam konto w banku.

– Wkrótce?

– Mam nadzieję.

Wziął kolejny pasek tortilli i zjadł. Wyglądało to tak, jakby potrzebował wszystkich sił, żeby go przełknąć – i żeby wydusić z siebie cichą, rozpaczliwą prośbę:

– A czy wtedy Yesenia i Carmen mogą z nami zamieszkać?

– Co? – Tego się nie spodziewała. – Na pewno nie.

Mięśnie szczęk mu zadrgały.

– Dlaczego nie? – spytał przez zaciśnięte zęby.

Sytuacja była absurda – to, że w ogóle o to poprosił, ta jego fascynacja Yesenią następnego ranka po tym, jak ojciec pojawił się w jego życiu. Ale Alex był bardzo poważny, patrzył na nią nieruchomo, z napięciem. Letty pomyślała o wszystkich powodach, dla których Yesenia i jej matka nie mogłyby z nimi zamieszkać, włącznie z tym, że liczyła najwyżej na jednopokojowe mieszkanie, a także z faktem, że zrobiłaby wszystko, żeby Alex nie spędzał zbyt dużo czasu ze swoją dziewczyną. Ale nie chciała się kłócić, więc powiedziała tylko to, co było najbardziej oczywiste:

– Nawet ich nie znam. A jest jeszcze wiele, wiele innych powodów.

– Czy mogłyby przynajmniej używać naszego adresu?

– Przeprowadzamy się, żeby przestać oszukiwać, a nie zacząć kłamać w innej sprawie! Co się z tobą dzieje?

Telefon w jej ręce znowu zadzwonił, ale tym razem to nie był Wes, tylko Rick. Zaledwie parę dni temu była samotną matką, samiuteńką na tym świecie, a teraz jej komórka nie przestaje dzwonić, a dwaj mężczyźni domagają się od niej dwóch różnych rzeczy: Rick związku, Wes wyjaśnienia. Otworzyła telefon, a potem go zamknęła, rozłączając się. Odwróciła się do Aleksa, ale było za późno.

Odsunął krzesło i wstał. Skończył rozmowę.

– Muszę iść – powiedział, zdejmując plecak z wieszaka na drzwiach. – Nie czekaj.

– Słucham?

Paski ciężkiego plecaka wpiły mu się w łopatki, więc zdjął go, wyjął parę rzeczy i znowu zarzucił go sobie na ramiona.

– Powiedziałem, żebyś nie czekała. Po szkole idę do Yesenii.

– Niedawno się z nią widziałeś.

– I zobaczę się znowu.

Luna bez ostrzeżenia rzuciła się na wznak, spodziewając się, że matka ją złapie. Letty skoczyła ku niej, ratując ją przed upadkiem na głowę. Alex stał, czekając na reakcję matki, jednocześnie uparty i niepewny. Chciał jej pozwolenia, ale nie prosił o nie. I choć Letty chciała mu je dać, dawać mu wszystko, czego chciał, raz po raz, żeby wynagrodzić mu to, czego mu nie dała – nie mogła tego zrobić. Nie mogła znieść myśli o tym, że będzie sam zmagać się ze światem, powtarzając jej błędy.

Miała tylko szesnaście lat, kiedy zaczęła uprawiać seks z Wesem. Zakradł się w środku nocy z latarką i kocem i zaprowadził ją na wzgórze, na dach kościoła. Ten płaski metalowy dach wchłonał ciepło słońca; nawet teraz dokładnie pamiętała jego ciepło wnikające w jej plecy, jakby był żyjącym ciałem. Czuła się bezpieczna, blisko Wesa i Boga, a potem modliła się żarliwie, żeby słońce nigdy nie weszło, żeby zostali tu do końca życia, nadzy i złączeni ze sobą.

Jej syn nadal patrzył na nią wyczekująco. Pokręciła głową. Nic z tego. Nie przyłoży do tego ręki.

– Co?

– Nie. Nie możesz. Chcę, żebyś wrócił do domu na kolację.

Alex napiął szelki plecaka tak mocno, że pewnie odciął sobie dopływ krwi do ramion.

– Dlaczego?

– Jesteś za młody.

Alex spuścił wzrok na buty – lśniące czarne trampki do kostek, które wybrała Yesenia. Miały sznurówki zawiązane na potrójny węzeł.

– Słuchaj – dodała łagodniej. – Nie chcę ci dokopać. Opiekuję się tobą.

– Jak wtedy, kiedy mnie upiłaś? – Podniósł wzrok, ośmielając się rzucić jej wyzwanie. – Albo kiedy zostawiłaś nas samych i pojechałaś do Meksyku?

– Alex! – syknęła Luna. Odwróciła się na kolanach Letty i objęła ją rękami i nogami.

– Tak było! Nie może nagle się pojawić i postanowić, że będzie mamą.

Luna przywarła do matki, jak tarcza chroniąca ją przed atakiem.

– Nieprawda!

Alex przez chwilę milczał, przyglądając się im. W chwili, gdy Letty myślała już, że odejdzie, powiedział:

– Masz rację. Nie postanowiła być mamą. Została zmuszona. Pewnie codziennie żałuje, że nie jest w Meksyku.

Jego słowa zraniły Letty. Luna zaczęła płakać – głośny, rozpaczliwy szloch – i Letty przytuliła ją mocno, wciskając nos we włosy córki. Minęło tyle miesięcy, a mała nadal pachniała Marią Eleną. Odetchnęła tym zapachem i nagle poczuła niespodziewany przypływ sił.

– Przepraszam – oznajmiła – ale nie pozwolę ci spędzać wszystkich nocy z dziewczyną. Nie ma mowy.

Alex odwrócił się i wyszedł przez drzwi kuchni. W salonie odwrócił się do niej.

– Nie musisz się martwić – powiedział cicho. – Nie zamierzam skończyć tak jak ty.

– No myślę.

Przynajmniej w tym jednym byli zgodni.

Wes znowu zadzwonił, kiedy odwoziła Lunę do szkoły, a potem trzeci raz, gdy szła do pracy. Mogła odebrać, ale nie miała czasu się zastanowić. Przez cały ranek, przygotowując się do pracy i szykując Lunę do szkoły, powtarzała sobie: muszę mieć czas na zastanowienie. Choćby jedną godzinkę w samotności, w ciemnym pokoju, żeby pomyśleć, jak rozmawiać z Alekssem o pierwszej miłości, a potem drugą, żeby rozstrzygnąć, jak mu wyjaśnić, dlaczego zataiła jego istnienie przed Wesem. Wes mógł mu jeszcze nie powiedzieć, ale nie miała wątpliwości, że wkrótce to zrobi, a wtedy chciała mieć gotowe wyjaśnienie. Nie znalazła jednak nie tylko spokojnej godziny, ale nawet minuty.

Wydawało jej się, że zaledwie wczoraj zrobiła swój pierwszy koktajl, a rytm jej pracy już się zmienił. Od dziesiątej rano, gdy przychodziła, do baru waliły tłumy. Rick miał rację. Ludzie szukali baru, w którym można wypić porządnego drinka, a lotnisko było jednym z niewielu miejsc, w których widok całej sali biznesmenów przybyłych z Frankfurtu, Barcelony czy Bagdadu i pijących martini o jedenastej rano nie stanowił niczego szczególnego. Ale zaskoczyło ją, jak szybko rozeszły się wieści. Letty przypisywała tę zasługę swojej tablicy, na której wypisywała zapożyczone z *Księgi koktajli Savoya* nazwy drinków, takie jak Silver Bullet, Bijou, Rattlesnake i Corpse Reviver 2, z własnymi dodatkami (świeża mięta, szałwia i koper włoski), a także fenomenowi, za którego sprawą puste restauracje pozostają puste, a pełne są pełne.

Ernie Thompson, mężczyzna, który wypił jej pierwszego Old Fashioned, częściowo przyczynił się do powodzenia baru. Pił równie intensywnie jak

podróżował. Jako specjalista wysokiej klasy zjawiał się na lotnisku co najmniej raz w tygodniu, często z całą swoją ekipą, piętnastoma mężczyznami, którzy pili tyle samo co on. Na ogół zjawiali się i znikali bez zapowiedzi, lecz tym razem się zaanonsowali. Zespół Erniego leciał do Austin, ale przedtem mieli spotkanie z grupą z Singapuru. „Zjawi się ich około dwudziestu – powiedział Ernie – koło drugiej po południu”. Spytał, czy Letty zdoła przygotować dla wszystkich po jednym (a raczej dwa lub trzy, przetłumaczyła sobie Letty, znająca Erniego) koktajlu z miętą. Uwielbiał dziką miętę, którą Letty zrywała nad zatoką w drodze do pracy. Rick nauczył ją uderzać gałązką o szklanekę, zanim przybrała nią drinka – dziwnie agresywny gest, który wyzwalał słodką, delikatną woń.

Po zastanowieniu Letty postanowiła zrobić Southside Fizz i cały poranek przeznaczyła na przygotowania: wyciskała limonki, przycinała miętę i próbowała różnych odmian ginu. Następnie nakryła długi stół, stawiając na nim dzbanki z wodą i serwetki. Gdy pojawił się Ernie, zabrała się do pracy („Bądź o krok przed wszystkimi” – usłyszała głos Ricka), odmierzając, mieszając i nalewając i bez przerwy odpowiadając na pytania o historię drinka (Klub Sportowców z Południa, Long Island) oraz pochodzenie ginu (pędzony w San Francisco, nuty cytrusów i ziół). Gdy tylko pojawili się inni, usiedli i wzięli się do roboty, a Letty uznała, że odniosła sukces, kiedy wszyscy zamówili następną kolejkę, nie prosząc o pokazanie karty drinków.

Właśnie skończyła się żegnać z gośćmi i dziękować Erniemu, kiedy ujrzała Ricka. Nie spodziewała się go tutaj. Nie miał dzisiaj zmiany, przyszedł w prywatnym ubraniu, džinsach i szarej koszulce polo z szeroko rozchyłonym postrzępionym kołnierzykiem. Wolałaby go tu nie widzieć – zbyt wiele się wydarzyło, a ona nie miała siły tego wyjaśniać – ale jej wzrok sam pobiegł do tatuażu na jego obojczyku. Przyciągał ją jak magnes. Zaczęła zbierać naczynia ze stołu, czując, że serce podchodzi jej do gardła.

– Była impreza? – spytał.

– Znowu Ernie. I jacyś biznesmeni z Singapuru.

– Miło.

– Tak. – Zajrzała do czarnej okładki, w której został wydruk z karty kredytowej. Ernie zostawił jej sto dwadzieścia pięć dolarów – największy napiwek jej życia. Zniosła tacę pełną brudnych szklanek do baru. Rick poszedł za nią ze stertą talerzy.

– Dzwoniłem do ciebie.

Zamilkł, czekając na wyjaśnienie, dlaczego nie odebrała. Nawet nie wysłuchała jego wiadomości w poczcie głosowej. Dziś nie miała do tego głowy, a choć bardzo by chciała wrócić do punktu, w którym przerwali – kiedy na siłę karmiła go lodowym deserem i czuła nerwowe podniecenie początku – zbyt wiele się zmieniło.

– Przepraszam – powiedziała w końcu. – Po prostu... musiałam odwiedzić dzieci do szkoły.

Góra brudnych szklanek dostarczyła jej jakże potrzebnego pretekstu. Letty całą uwagę poświęciła wkładaniu ich do zmywarki. Potem schowała się za barem, udając, że szuka płynu do zmywania, choć stał na podłodze dokładnie naprzeciwko niej. Kiedy w końcu naląła go do zmywarki i włączyła ją, zaczęła wycierać cały bar. Rick przesiadał się ze stołka na stół, więc gdy w końcu podniosła głowę, spojrzała mu w oczy.

– Hej... wszystko dobrze?

Westchnęła. Nie było dobrze. Ale zanim zdołała mu to jakoś wytłumaczyć, zadzwonił telefon. Nikt inny nie mógł go odebrać. Odwróciła się od Ricka i zdjęła zamontowaną na ścianie słuchawkę.

– Flannigan's.

– To ja. – Natychmiast rozpoznała ten głos. Starszy, niższy, bardziej gniewny – i zupełnie pozbawiony tęsknoty i samotności z tamtych pierwszych rozmów ze studiów – ale wciąż taki sam. Zerknęła przez ramię na Ricka.

– Nie możesz tu dzwonić – rzuciła. – Ja tu pracuję.

– To co mam zrobić? Komórki nie odbierasz.

Alex musiał mu powiedzieć, gdzie ją znajdzie. Letty owinęła długi sznur wokół palca, czekając, co powie Wes. W myślach zaklinała Ricka, żeby wstał, wziął sobie szklankę wody, poszedł do łazienki lub zrobił cokolwiek, byle tylko tu nie siedział, wbijając wzrok w jej kark.

Wes czekał na jej odpowiedź.

– Nie wiem, co masz zrobić – warknęła. A potem, wbrew zdrowemu rozsądkowi, żeby tylko się rozłączył, dodała: – Wiesz, gdzie mieszkam.

Rick odkaszlnął, a kiedy się na niego obejrzała, uniósł brwi. Kto to? – spytał bezgłośnie, ale pokręciła głową i odwróciła się do ściany.

– Nie chcę rozmawiać w obecności dzieci – odparł Wes. – A musimy porozmawiać.

– Co chcesz usłyszeć? – spytała zdesperowana. – Już cię przeprosiłam.

– O Boże, Letty, jak możesz tak mówić? – Tak podniósł głos, że przestraszyła się, iż Rick to usłyszy. Przykryła dłonią słuchawkę. – Mam syna! To nie jest coś, za co można przeprosić. To cholernie ważne!

– Nie mówię, że nie.

Zerknęła na stół, na którym siedział Rick, ale już go tam nie było. W tej samej chwili poczuła jego ręce na ramionach, ciepło jego ciała jak mur za jej plecami. Oparła się o niego, słuchając, jak Wes walczy ze sobą po drugiej stronie linii. Gdy w końcu się odezwał, miał głos jak zagubione dziecko.

– Co mam teraz zrobić? Nie mogę zabrać mojego syna do restauracji, a potem odwiedzić ci go i wrócić do dawnego życia. Wszystko się zmieniło.

– Wiem. – Letty westchnęła, ciężko i przeciągle. Wes był wściekły, a jednak szukał u niej rady i aprobaty. Całkiem jak Alex. Ogarnęła ją fala czułości – za ten jego ból, w całości spowodowany przez jej złe decyzje.

– Słuchaj – rzuciła, zdesperowana – nie wiem, co powinieneś zrobić. Naprawdę. Powiedziałabym ci, gdybym wiedziała.

Zamilkli. Wes po jednej stronie, Letty po drugiej, Rick stojący cicho za nią.

– Musisz mi coś powiedzieć. Nie możesz się do mnie nie odzywać.

– Przecież się odzywam, prawda?

– Ale nic mi nie mówisz.

Wymagał od niej decyzji, jak ma postąpić w sprawie swojego syna. Chciała mu pomóc, ale nie mogła zdecydować za niego.

– Porozmawiaj z Alekssem – oznajmiła. – Jeśli chcesz być ojcem, spytaj go, czy on tego chce. Powie ci prawdę. – Koło restauracji przeszedł tłum hałaśliwych studentów. Letty odsunęła słuchawkę od ucha, żeby podkreślić hałas. – Przepraszam, mamy tu ruch. Zadzwoń później.

Pożegnała się, zanim Wes zdołał zaprotestować, i odwiesiła słuchawkę.

– O co chodzi? – spytał Rick. Letty sięgnęła po brudną ścierkę i wytarła już wytarty bar. Dygotała. Rick patrzył na jej niezdarne, roztrzęsione ruchy, a potem podszedł bliżej, przykrył obiema dłońmi jej dłonie. Trzymał je tak długo, aż znieruchomiały i tylko jej serce nadal łomotało. – Wszystko dobrze?

Zdołała tylko kiwnąć głową. Jeszcze trochę i mogłaby się rozpląnąć jak kałuża na tym czystym barze. Widziała, że Rick chce się dowiedzieć, co się dzieje, ale kiedy wydawało jej się, że zacznie ją wypytywać, odsunął się od niej. Sięgnął za nią i rozwiązał jej fartuch. Jej zmiana się skończyła.

– Podbij kartę – powiedział. – Zabieram cię w jedno miejsce.

Kwadrans później Letty siedziała obok Ricka w SUV-ie, ukołysana drogą prowadzącą ich coraz głębiej w las. Powietrze wpadające przez opuszczone szyby przepelniało jej płuca i natychmiast przypominała sobie, co najbardziej podobało się jej w Mission Hills: drzewa. Te drzewa – inaczej niż trawiaste mokradła Bayshore lub przecinające się cementowe ramiona lotniska San Francisco – stanowiły świadectwo pór roku. Niemal nagie gałęzie otoczyły ich rozbłyskami czerwieni i złota.

– Tylko sobie nic nie obiecuj – uprzedził Rick, kiedy skręcili w długi, zadrzewiony podjazd. – To nie jest pierwszy dom.

Pierwszy dom, który zobaczyła, był oślepiająco biały, przycupnięty wśród drzew. Piękny, ale nie taką urodą, do jakiej przyzwyczała się w Heights. Na całym półwyspie wyburzano małe, skromne domki i budowano nowe, za pieniądze z branży IT, ale tu, gdzie było dużo miejsca, zrobiło się jeszcze bardziej

ekstrawagancko: architekci projektowali włoskie wille albo efekciarskie śródziemnomorskie budowle ze sztukateriami na ścianach i kilometrami dachówek. Ten dom był inny. Wyglądał jak letnia rezydencja któregoś z pierwszych bogaczy, Letty wyobrażała sobie budowniczego kolej albo poszukiwacza z czasów gorączki złota. Najwyraźniej pozostał nietknięty. Był utrzymany w zwykłym wiktoriańskim stylu, z dachem o dwóch szczytach i biegnącą między nimi platformą z balustradką – widok z niej musiał zapierać dech w piersiach – oraz szerokimi schodami prowadzącymi na ganek. Drzwi wejściowe były osadzone między dwoma łukowymi oknami. Przez jedno z nich Letty widziała parkiety i białe ściany, ale mebli nie było. Na okrągłym żwirowanym podjeździe przed domem stała ciężarówka firmy przeprowadzkowej.

– Wprowadzają się czy wyprowadzają? – spytała Letty.

– Ani to, ani to. Musieli wszystko wynieść z pomieszczeń na parterze, żeby wymienić posadzkę. Zgniła.

– Dlaczego?

– To drugi dom. Właściciele nie byli tu pół roku, a kiedy wrócili, okazało się, że lodówka przecieka. Podłoga, boazerie – wszystko do wymiany. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, ile to kosztuje.

Letty nie znała się na problemach posiadania drugiego domu – ani nawet pierwszego. Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby tak piękne miejsce mogło stać puste.

– To dla ciebie dobry moment – oznajmił Rick. – Kiedy spytałem mamę, czy zna kogoś, kto by chciał wynająć domek gościnny, wyjaśniła, że akurat postanowili zaangażować konserwatora.

– Jak to konserwatora? – Miała nadzieję, że ta funkcja nie wymaga używania młotka. Starania Enrique, by nauczyć ją obchodzenia się z narzędziami, nie zakończyły się dobrze.

– To znaczy tyle, że trzeba co parę dni obchodzić cały dom i sprawdzać, czy nic nie przecieka. Wnosić do środka paczki, takie sprawy. W zamian za wyjątkowo niski czynsz.

– Czy „wyjątkowo niski” oznacza dla ciebie to samo co dla mnie?

– Kilkaset dolarów miesięcznie.

– No nie!

Rick zaparkował za domem i wysiadł z samochodu. Wypielęgnowany żywopłot okalał ścieżkę prowadzącą przez ogród różany, w którym kwitły kwiaty wszelkich odmian i kolorów. Szeroka połać trawnika oddzielała ogród od małego domku. Wyglądał jak lustrzane odbicie głównego domu, ale był niemal wielkości domku dla lalek, z malutkim dachem o podwójnym szczycie i biegnącym dokoła gankiem. Z jednej strony rosło drzewo granatu, uginające się od popękanych owoców.

– To on? – spytała Letty z sercem łomoczącym z przejęciem.

– On. – Rick włożył klucz do zamka i otworzył drzwi.

Wewnątrz chatka była jeszcze mniejsza, niż się wydawała. W salonie zmieściły się tylko dwa wielkie fotele i stolik do kawy, ustawione przy ławeczce pod oknem. Ścianę wokół okna pokrywały półki, regaliki i szufladki. Wszystkie meble były z ciemnego, starego drewna. Przypominały staroświeckie szafki katalogowe albo skrzynki z narzędziami. Letty otworzyła jedną z szuflad i przekonała się, że to drugie przypuszczenie było trafniejsze – szufladkę wypełniały gwoździe, śrubki, nakrętki i śrubokręty, uporządkowane według rozmiarów i odmian.

W tym miejscu, tak oddalonym od jej życia, stres trochę odpuścił i Letty pozwoliła się oprowadzić po chatce. Rick szedł, trzymając rękę na jej plecach. Trzy kroki krótkim korytarzem i stanęła w pierwszej sypialni – dwa podwójne łóżka i biurko pod oknem. Przez otwarte drzwi łazienki widziała kolejną sypialnię po jej drugiej stronie. Ona i Luna musiałyby dzielić pokój, ale Lunie by to nie przeszkadzało, pewnie nawet byłaby zadowolona, a zanim zapragnie własnej przestrzeni, Letty zdobędzie już tyle pieniędzy i taką zdolność kredytową, że będzie mogła się przeprowadzić, gdzie tylko zechce. Jeśli zechce. Przebywała w tym domu zaledwie pięć minut, a już nie wiedziała, czy ma zamiar go opuścić. Podobało jej się to ciemne drewno, okna stanowiące obramowanie ruchomych leśnych pejzaży, szuflady pełne narzędzi, które mogła zastąpić drobiazgami, zabawkami, zdjęciami i pamiątkami, życiem posegregowanym w małych przegródkach.

– Co sądzisz?

Rick usiadł na łóżku i podskoczył na nim jak chłopiec.

– Jestem zachwycona.

– Trochę tu ciasno.

– Miniaturowo. Ale idealnie.

– Tak uważasz? – Rick uśmiechnął się tak szeroko, jakby własnoręcznie zbudował dla niej tę chatkę.

– Tak. Biorę, jeśli oni wezmą mnie.

– O, na pewno cię wezmą. – Rick oblał się rumieńcem. Nie chciał, żeby to zabrzmiało dwuznacznie, ale zabrzmiało, i sypialnia stała się nagle za mała, a stojące obok siebie łóżka zbyt sugestywne. Chwyciła Ricka za rękę i pociągnęła go przez dom na ganek, ale dopiero na dworze dotarło do niej, że wcale nie chciała wyjść.

Przysiadła na górnym schodku; Rick usiadł obok niej, tak blisko, że stykali się biodrami. Czuła, że jej skóra rozgrzewa się od jego dotyku.

– No tak... – odezwał się cicho i spytał po raz trzeci tego dnia: – Wszystko dobrze?

– Już lepiej – powiedziała. Chciała na tym poprzestać, ale byłoby niesprawiedliwie, gdyby mu tego nie powiedziała, zwłaszcza teraz, kiedy zadał sobie tyle trudu, żeby pomóc jej i dzieciom. Zastanowiła się, od czego zacząć, ale wszystko, co się wydarzyło – pukanie do drzwi, późny powrót Aleksa, telefon do baru – wydawało się bardzo odległe, jakaś opera mydlana, w której występowała inna Letty. Nie ta Letty, siedząca w tej chwili przed domkiem dla lalek w towarzystwie przystojnego, wytatuowanego mężczyzny, patrząca, jak ciepłe popołudniowe światło rzuca splątane cienie w ogrodzie różanym. To nie mogło być jej życie... a jednak było. Musiała mu o tym powiedzieć.

Rick patrzył na nią cierpliwie.

– Wes wrócił – rzuciła. A potem, uświadomiwszy sobie, że to imię nic dla niego nie znaczy, dodała: – Ojciec Aleksa. Pojawił się wczoraj wieczorem, tak po prostu.

– Po jakim czasie?

Letty policzyła w pamięci.

– Po szesnastu latach.

– Myślałem, że Alex ma tylko piętnaście.

– Ma. – Rick zamilkł, a Letty przyjrzała się jego skórze na policzku, tak gładkiej, że chyba się ogolił po obiedzie, przed spotkaniem z nią.

– I co, niepokoisz się?

Troska w jego głosie brzmiała szczerze i Letty uświadomiła sobie, co musiał myśleć. Mężczyzna, który porzucił syna i wrócił po szesnastu latach, nie może mieć dobrych intencji. Ale oczywiście nie było tak.

– Nie, nie martwię się, skąd – zapewniła. – To dobry człowiek.

Miała dodać, że to lekarz i że zanim tu wrócił, leczył dzieci na całym świecie jako wolontariusz, ale wyraz twarzy Ricka ją powstrzymał. Nie chciał, żeby Letty coś groziło, ale najwyraźniej nie chciał też, żeby Wes był dobrym człowiekiem. W jego oczach malowały się ból i oszołomienie. Usiłowała to jakoś cofnąć, żeby zetrzeć ten wyraz z jego twarzy, ale nic jej nie przyszło do głowy i w tym zmieszaniu pochyliła się i pocałowała go mocno usta.

Rick cofnął się gwałtownie, z oczami rozszerzonymi zaskoczeniem.

– Przepraszam – powiedziała.

Lekko pokręcił głową. Uśmiech powoli uniósł mu kąciki ust.

– Nie przepraszaj – szepnął. Przesunął palcami po jej wargach, by ją uciszyć, a potem, przyciągnąwszy ją bliżej, pochylił się i oddał jej pocałunek.

Za ciemnym polem samoloty czekały w milczącej kolejce przy swoich bramkach. Gdyby nie rozlegające się czasem gęganie lecącej na południe bernikli kanadyjskiej, nocnej ciszy nic by nie mąciło. Przystań była pusta, jak przez całe życie Aleksa. Chłopak tęsknił za dziadkami. Po kłótni z matką zaczął sypiać w ich pokoju, sądząc, że zapach wosku i perfum babci pomoże mu zasnąć, ale było odwrotnie. Zapach Marii Eleny obudził w nim poczucie winy tak intensywne, że budził się co godzina w wilgotnej od potu pościeli, a słowa, które rzucił matce, wisiały w powietrzu jak zapach potraw, które teraz nieustannie gotowała.

Nie tak wychowała go babka.

Nauczyła go wystrzegać się cukru, zawsze przychodzić na spotkanie wcześniej i mocno ścisnąć dłoń na powitanie, a nie pyskować, podważać autorytety czy spędzać całą noc ze swoją dziewczyną. To, że powiedział matce, żeby nie czekała, dowodziło, jak daleko odszedł od wyznaczonych przez babcię standardów, a fakt, że umiał małpować nastoletnie fanaberie, którymi zawsze pogardzał, wstrząsnął nim do głębi. Nie był chłopakiem, który się piekli albo mówi coś, żeby sprawić komuś ból. To, że matka nie załamała się pod ciężarem tego, co jej powiedział, nie zmniejszyło jego wyrzutów sumienia, a nawet je powiększyło. Pewnie uważała, że zasłużyła na wszystko, co od niego usłyszała.

O czwartej nie potrafił już wytrzymać w łóżku. Nocne samoloty zaczęły lądować na lotnisku, rycząc w przewidywalnym rytmie. I tak już by nie zasnął. Namacał w ciemnościach dzinsy z dziurą na kolanie, które Yesenia lubiła najbardziej, a także jakiś nieśmierdzący podkoszulek. W cichej kuchni spakował plecak. Dziwne, że matka przez cały ten tydzień wstawiała niemal tak wcześnie jak on, ale dziś nadal spała, gdy wkładał buty i wykradał się z mieszkania.

Chciał się spotkać z Yesenią, ale wiedział, że nie powinien. Carmen pewnie właśnie wróciła z pracy, a poza tym jego troska zaczęła działać Yesenii na nerwy. Powtarzała, że nic jej nie jest, i dzięki grubej warstwie podkładu tak właśnie wyglądała – jakby mogła kiedykolwiek zapomnieć, co się wydarzyło. Alex wiedział, że on nie zapomni. Nie potrafił siedzieć na zajęciach dodatkowych, zgłaszać się do odpowiedzi i wyglądać na zainteresowanego genami powodującymi raka lub programem szczepień, kiedy za autostradą Yesenia jest wyśmiewana, zastraszana, a może nawet krzywdzona. To zmieniało wszystko.

Przeszedł na drugą stronę autostrady i ruszył w długą drogę do szkoły. Nadal było ciemno, za wcześnie nawet na pana Everetta, więc na Elm Street wybrał okrężną trasę. Nie widział ojca od tego wspólnego wieczoru w restauracji. Nie

wiedział, czy Wes znowu zadzwonił, ale na pewno do nich nie zajrzał, i Alex zaczął się zastanawiać, czy to już – krótka kolacja w atmosferze skrępowania i rozejście się w dwie różne strony. Ale kiedy przeszedł przez ulicę i spojrzał w górę, z zaskoczeniem przekonał się, że na parterze się świeci. Wes siedział w oknie kuchennym, pijąc kawę i wyglądając na zewnątrz. Czekał na niego. Zanim Alex zdążył podjąć decyzję, czy chce mu się pokazać, Wes poderwał się z miejsca i zniknął, by po chwili pojawić się na ganku. Miał na sobie kraciaste flanelowe spodnie od piżamy i rozciągnięty podkoszulek. Był boso.

– Idziesz do szkoły?

Alex skinął głową. Żaden z nich nie skomentował faktu, że jest piąta rano, za wcześnie nawet dla najpilniejszego ucznia.

Wes brzęknął kluczykami.

– Chcesz się przejechać?

– Pewnie.

Wes najpierw otworzył drzwi od strony pasażera, a potem wsiadł sam. W milczeniu wyjechał z podjazdu. Na końcu ulicy zatrzymał się i rozejrzał w obie strony. Ulica była pusta, ale nie ruszył. Alex opuścił szybę i odetchnął świeżym porannym powietrzem.

– Nie mogłeś spać? – spytał Wes.

– Nie.

– Ja też.

Spojrzał przed siebie, nie udając już, że zamierza jechać dalej. Alex przyjrzał się jego profilowi, włosom w nieładzie, częściowo opadającym na jedno oko, gładkiej skórze z piegami na skroni. Jak to jest być Wesem, zajęтым mężczyzną z ważną pracą i niespodziewanym synem? Pewnie niełatwo. Potrząsnął głową, usiłując się pozbyć tej myśli. Przez całe życie martwił się o matkę, a teraz o Yesenię. Nie miał już miejsca w sercu na nikogo innego.

Wes włączył radio – huknęły wiadomości, a potem jazz – i zabębnił palcami o kierownicę.

– Wiesz, co nie pozwalało mi zasnąć? – spytał. Alex pokręcił głową. – Nie rozumiem, dlaczego nie jesteś na mnie wściekły.

Alex zastanowił się nad tym. Byłaby to normalna reakcja nastolatka na bardzo wiele rzeczy, które go ostatnio spotkały: porzucenie przez matkę, decyzja dziadka o powrocie do domu, niespodziewane zjawienie się ojca. Opuścił osłonę przeciwsloneczną i spojrzał na siebie w małym lusterku, usiłując dostrzec choć mgnienie irytacji, niechęci, furii, czegokolwiek. Zobaczył tylko swoją twarz z troską w szeroko otwartych oczach. Przez całe życie pragnął powrotu ojca. Teraz chciał tylko, żeby Wes z nim został.

Podniósł osłonę.

– Nie jestem i już.

– Ale dlaczego?

Alex nie odpowiedział. Nie znał odpowiedzi.

Wes przyjrzał mu się uważnie. Po jakimś czasie podjął:

– Nie wiem, dlaczego się nie wściekasz, bo cię nie znam. I choć powtarzam sobie, że życie jest długie i nie powinienem niczego przyspieszać, te słowa ciągle do mnie wracają – nie znam cię – a nawet gdybym cię poznał, to i tak przepadły mi lata twojego dzieciństwa. – Głos mu się załamał i zupełnie ucichł. Wes uruchomił silnik, hałaśliwy wyraz wszystkiego, czego nie potrafił wypowiedzieć, wrzucił bieg i ruszył na czerwonym świetle, ostro skręcając, aż zatrzymał się przed szkołą.

– Żałuję – odezwał się po długiej chwili. – Bardzo, bardzo żałuję.

Alex wyjrzał przez okno. Teren szkoły nadal tonął w mroku; tylko nad basenem paliły się światła. Pływacy wstawali jeszcze przed naukowcami.

Alex podniósł plecak, położył go sobie na kolanach i otworzył drzwi.

– W porządku – powiedział w końcu. – Cieszę się, że teraz jesteś.

Wes odetchnął głęboko.

– Jestem – rzucił, a cały rozpęd i udręka jego wcześniejszego monologu ulotniły się, ustępując miejsca spokojowi tego słowa. – Jeśli mnie chcesz, jestem.

Alex skinął głową i choć nie patrzyli na siebie, wiedział, że Wes to widzi – ciche porozumienie. Jego ojciec zamierzał tu zostać. Cokolwiek mówił o zagranicznych podróżach, badaniach, teraz, jeśli Alex zechce, deklarował swoją obecność. A Alex chciał.

Chłopiec wstał i włożył plecak.

– Dzięki za podwózkę.

– Polecam się – mruknął Wes i opierając się o fotel pasażera, żeby spojrzeć w oczy syna, dodał: – I wiesz, pamiętam, jak to jest mieć piętnaście lat. Sobotnich wieczorów nie wypełnią ci tylko spotkania z ojcem. Nie musisz się bać, że się obrażę, jeśli będziesz miał inne sprawy.

– Znasz moją matkę – odparł Alex, marszcząc brwi na wspomnienie Letty, zakazującej mu wszystkiego, co miało związek z Yesenią. – Nie mam żadnych innych spraw.

Wes uśmiechnął się do niego.

– W takim razie przyjadę po ciebie w sobotę. I narobimy dymu w mieście!

To było tylko takie powiedzenie, ale Alex wyobraził sobie, jak obaj czymś kopną między budynkami, ubrani w takie same kraciaste piżamy. Pomachał na do widzenia i odwrócił się do już oświetlonego skrzydła szkoły. Plecak nagle przestał mu ciążyć.

Pan Everett podskoczył nerwowo, kiedy Alex wszedł do klasy jako pierwszy, mimo tej długiej jazdy i skręcania w niewłaściwe ulice. Zamknął za nim

drzwi i postawił przy swoim biurku krzesło, które wskazał chłopcu.

– Właśnie ciebie chciałem zobaczyć.

– Powiniennem się martwić?

– Ja się martwię.

Alex z trudem przełknął ślinę, przygotowując się na wykład, którego mógł się spodziewać. Za trzy tygodnie mieli przedstawić pomysły na projekt, a on nawet nie zaczął. Zamierzał zabrać się do niego w tym tygodniu, ale po wszystkim, co się wydarzyło, mógł tylko wytrzymać w klasie przez cały dzień, nie zasypiając.

– Chciałem zacząć, ale... – Rozpiął plecak i zaczął w nim szperać w poszukiwaniu jakiegoś dowodu swoich dobrych intencji. Nic nie znalazł. Nie przyniósł ani jednej książki.

– Nie martwię się o twój projekt. Martwię się o ciebie.

Czy ta zmiana w nim aż tak rzucała się w oczy? Uświadomił sobie, że na tym polega problem z byciem wiecznym optymistą, wiecznym pracusiem – wszyscy zauważają, kiedy obniżasz poziom.

Nauczyciel zaczekał, aż Alex opuści plecak i podniesie głowę.

– Słuchaj. Nie możesz pozwolić, żeby to na ciebie wpłynęło.

Alex drgnął. Skąd się dowiedział? Matka zadzwoniła do szkoły? Ale przecież nie wiedziała... przynajmniej tak mu się zdawało. Stał w rozterce, usiłując wymyślić jakąś wymówkę, i czekał, aż pan Everett rozwinie temat. I w końcu to zrobił.

– Wiem, że konkurencja jest ostra – powiedział. – Choć z nią walczę, co roku sytuacja się powtarza. Ale nie możesz pozwolić, żeby na ciebie wpłynęła. Jeremy góruje nad tobą, jeśli chodzi o ego, ale nie o rozum. Nie pozwól, żeby myślał inaczej. I Miraya... ma wspaniały pomysł, ale nie zdoła go wcielić w życie. Zajmuje się zbyt wieloma innymi sprawami i nie ma cierpliwości do zbierania danych, których wymaga jej projekt.

Alex skinął głową, przepelniony zrozumieniem i ulgą: pan Everett mówił o konkurencji, nie o Yesenii. Uważał, że Alex załamuje się pod presją. To dobrze. Mylił się, ale nie szkodzi, bo w taką historię można uwierzyć.

– To trudne – powiedział, nie patrząc nauczycielowi w oczy. Mówił o czymś zupełnie innym. Przed tą sprawą z Yesenią gorąca atmosfera w klasie dodawała mu skrzydeł. Cieszyła go i presja, i gra o wysoką stawkę. Zobojętniał na to tylko dlatego, że Yesenia została pobita, a nie dlatego, że przejmował się cudzym ego czy pomysłami innych.

– Więc poproś o pomoc. Pierwszego dnia powiedziałem wam, żebyście się zachowywali jak naukowcy, a to nie znaczy, że macie wszystko robić samodzielnie. Nawet nie powinniście. Najlepsi naukowcy umieją współpracować. – Zamilkł na chwilę, ale kiedy Alex się nie odezwał, mówił dalej: – Zróbmy burzę mózgów. Pomyślmy, jaki masz materiał do pracy.

– Jak to?

– Powiedz mi, co wiesz, co kochasz, czym się interesujesz, i od tego zaczniemy. Opowiedz mi o ptakach.

Alex nie chciał o tym mówić, nie chciał o tym nawet wspominać, ale widział w oczach nauczyciela, że nie pozbędzie się go, dopóki nie porozmawiają.

– To przez dziadka – oznajmił w końcu. – Pracuje z piórami... pracował. Wyjechał w zeszłym roku.

– Jak to „pracował z piórami”?

Alex zdziwił się, że pan Everett, który uczył mamę, nie wie o piórach dziadka. Ale Letty się nimi nie interesowała tak jak on. Pewnie o nich nie wspominała.

– Jest artystą. Robi mozaiki z ptasich piór. Niefarbowanych. Kiedy wrócił do domu, zostawił mi swoje pióra.

– Jak są posegregowane?

– Według koloru, daty znalezienia i gatunku. Dziadek zbierał je od trzydziestu lat.

Pan Everett gwizdnął cicho.

– No więc masz już projekt. Przede wszystkim musisz zrobić spis wszystkiego, co wiesz o piórach. Długość tej listy zapewne cię zdziwi.

Pan Everett spojrział na niego przenikliwie, czekając na potwierdzenie, że po tej rozmowie Alex znowu stanie się uczniem takim jak wcześniej. Dawanie konkretnych rad stało w sprzeczności z jego zasadami. Nieraz powtarzał, że znalezienie właściwych pytań jest ważniejsze od znalezienia właściwych odpowiedzi. Ale Alex potrzebował wskazania kierunku i był za to wdzięczny.

– Dobrze – powiedział. – Dziękuję.

Pan Everett skinął głową.

– Świetnie. A teraz daj mi spokojnie popracować, bo pani Faye znowu na mnie nakrzyczy za niesprawdzanie listy. Usiłuję to nadrobić.

– Pomóc panu?

– Wiesz, że nie odrzucę propozycji wsparcia w tej dłubaninie. – Pan Everett uśmiechnął się, otworzył szufladę i wyjął paczkę musujących cukierków. – Masz. Naukowo udowodniono ich wpływ na wydolność mózgu.

– Serio?

– Nie. Ale cukier pomaga, nie sądzisz? A poza tym nie pozwolą ci zasnąć.

Alex wziął garść różowych cukierków i położył jeden na języku. Zamknął oczy, kiedy w jego ustach nastąpiła mała eksplozja. Piekło, ale przyjemnie, a kiedy pan Everett poczęstował go znowu, wziął całą torebkę.

Na ekranie komputera widniała lista obecności – biała przestrzeń ze spisem zajęć pana Everetta w grafiku po lewej stronie. Zaczynały się od zajęć nadobowiązkowych – to mógł wypełnić, nie pytając nauczyciela o nieobecności.

Rzadko się zdarzało, żeby ktoś nie przychodził, a jeśli, Alex sam pamiętał nazwiska. Ale kiedy najechał myszką na rubrykę i kliknął, wyskoczyło okienko o zakończeniu sesji. Pan Everett musiał się znowu zalogować.

– Możesz to zrobić za mnie? – Nauczyciel był po drugiej stronie klasy. Otwierał pudełka z modelami cząsteczek. – Wystarczy moje nazwisko, a hasło to moje nazwisko i numer sali bez spacji.

Po zalogowaniu system przekierował Aleksa na stronę główną, ze stronami dla nauczycieli, administracji, rekrutacji. Kliknął na zakładkę „nauczyciele”, znalazł pana Everetta i wreszcie wrócił do miejsca, w którym zaczął, zajęcia nadobowiązkowe, nauki ścisłe. Zaznaczył obecność wszystkich z wyjątkiem Sophii, która nie przyszła w poniedziałek, ponieważ była na wycieczce szkolnej.

„Usprawiedliwiona”, zaznaczył obok jej nieobecności, nawet przez chwilę nie myśląc, że mógłby nie dać jej usprawiedliwienia po prostu dlatego, że miał taką możliwość, za karę, bo zawsze była taka idealna.

Po szkole Alex wrócił biegiem do mieszkania Yesenii. Nie wolno mu było się już z nią spotykać sam na sam. Letty kazała mu wrócić prosto do domu, a Carmen zmieniła godziny pracy, żeby się upewnić, że Yesenia bezpiecznie dociera ze szkoły. Ale Alex i tak do niej poszedł i czekał za pozbawioną kół przyczepą kempingową na parkingu, aż Carmen wsiądzie do samochodu i odjedzie.

Kiedy wszedł po schodach, drzwi były już otwarte.

– Jak tam w szkole? – rzucił natychmiast, badając wzrokiem twarz Yesenii.

– Świetnie.

Powiedziała to za szybko, żeby mógł uwierzyć.

– Naprawdę?

– Przestaniesz pytać? Nie jesteś moim tatą.

Alex przypomniał sobie własnego ojca – owłosione palce u stóp na hamulcu, ręka drżąca na dźwigni zmiany biegów.

– Dziś rano widziałem się znowu z Wesem.

– Naprawdę? – spytała Yesenia. Jej twarz się zmieniła. – Fajnie.

– Może mogłabyś z nim zamieszkać.

Yesenia wzniosła oczy ku niebu i westchnęła gwałtownie.

– Przestaniesz w końcu? Powiedziałam, że nic mi nie jest.

Łamali wszystkie zakazy, żeby się zobaczyć, a kiedy już się spotykali, bez przerwy się kłócili. Yesenia wciągnęła go do mieszkania, żeby sąsiedzi ich nie widzieli, bo wtedy donieśliby matce. Przyjrzała mu się przy świetle jarzeniówki w salonie i spochmurniała.

– Wyglądasz strasznie.

– Dzięki.

– Mówię serio.

Alex usiadł na kanapie, pod szeregiem uśmiechniętych Yesenii. Prawdziwa Yesenia się nie uśmiechała.

– Nie za dużo spałem.

– Nie sądzę, żebyś to o mnie powinien się martwić.

– Nie ty pierwsza mi to dzisiaj mówisz. – Pochylił się, żeby rozwiązać but. Podwójnie zasupłane sznurówki stawiały opór; mówił dalej, walcząc z nimi: – Pan Everett mnie zahaczył przed lekcją. Pytał, jak się miewa mój projekt.

– I jak się miewa?

Sznurówki pierwszego buta zacisnęły się na mur. Alex dał za wygraną i zabrał się do drugiego buta, który rozwiązał bez trudu. Zdjął go.

– Nijak.

Ze stopy w skarpetce buchnął kwaśny odór. Yesenia cofnęła się trochę.

– Serio? A tak się cieszyłeś. Co się dzieje?

Alex poczuł na twarzy wpełzające ciepło, rumieniec zażenowania i frustracji jednocześnie

– Naprawdę mam to wyjaśniać? Akurat tobie?

Yesenia założyła ręce na piersi i podeszła tak blisko, że poczuł jej pachnący miętą oddech.

– Nie, ale musisz się wziąć w garść. – Nastąpiła długa chwila pełna napięcia, kiedy Yesenia czekała na odpowiedź Aleksa, na obietnicę, że pozbiera się i zacznie pracować, a on nie odpowiadał. W końcu wstała. – Lepiej już idź. Wyśpij się, popracuj nad projektem czy coś. Nie chcę chodzić z żywym trupem.

– Dobra. – Wstał, ale myślał, że opuści Yesenię, choć dopiero przyszedł, zatrzymała go. – Pójdiesz ze mną? Nie poznałaś jeszcze mojej mamy.

– Nie mogę wyjść. Obiecałam.

– Ja też, ale przyszedłem.

Yesenia rzuciła mu spojrzenie mówiące: „Może nie powinieneś” i Alex odwrócił się, zgarnął ten jeden but, który udało mu się zdjąć, i pomaszerował do drzwi. Skoro chciała, żeby wyszedł, to bez łaski. Zbiegł po dwa stopnie naraz, chwiejąc się na jednej obutej nodze. Yesenia roześmiała się, patrząc, jak zмага się z tym, co było jej codziennością – jedną nogą krótszą od drugiej. Ale on był zbyt wkurzony, żeby dostrzec w tym coś zabawnego. Dobiegł do domu, na parkingu zdarł zabłoconą skarpetkę i wpadł bez tchu do mieszkania.

– Gdzieś ty się podziewał? – spytała Letty, wyglądając z kuchni. Luna siedziała przed telewizorem, jak zawsze po szkole. W domu pachniało cebulą.

– Nigdzie.

Nalał sobie w kuchni szklankę wody i zaniósł ją do pokoju dziadków. Letty wyłączyła gaz na kuchence i poszła za nim. Myślał, że zacznie na niego naciskać, ale ona usiadła na łóżku, jedząc przypaloną cebulę z drewnianej łyżki.

– Spróbujesz? – spytała, podsuwając ją w jego stronę. Pokręcił głową. – Wszystko dobrze?

Jęknął. Chciałby, żeby ludzie przestali mu zadawać to pytanie. Odstawił szklankę na szafkę i rzucił się twarzą na łóżko. Najwyraźniej nie wszystko było dobrze.

– Nie.

Odwrócił się i spojrzał na matkę, która oblizywała łyżkę i czekała, aż rozwinie temat. Nie rozwinął.

– Chodzi o Wesa?

– Nie.

Nie mógł jej opowiedzieć o kłótni z Yesenią – matka stanęłaby po jej stronie i powiedziała mu, żeby się wziął w garść. Ale nie znała sytuacji.

– Więc o co?

O moje życie, pomyślał, nagle bezradny. Rodzina, dziewczyna, szkoła – ta trójca była jak suchy lód w butelce, gotowy ją rozsadzić. Ale jego matka by sobie z tym nie poradziła, więc wyjawiał jej tylko najmniej skomplikowaną, najbardziej nagłą z tych trzech spraw.

– Jeszcze nie zacząłem projektu.

Letty odłożyła łyżkę na szafkę obok szklanki.

– Co musisz zrobić?

– Właśnie jeszcze nie wiem. Chodzi o to, żeby opracować eksperyment.

Spojrzała na niego spod ściągniętych brwi.

– Całe życie obmyślasz eksperymenty. W czym problem?

Alex westchnął.

– Inni pracują nad swoimi pomysłami od roku, a chodzi o stypendium – jeszcze nie za te konkretne projekty, ale w końcu...

Jego spojrzenie powędrowało ku piórom. Letty też popatrzyła w tę stronę.

– Tęsknisz za dziadkiem, co?

Gdyby dziadek tu był, sam by otworzył te szuflady i wyjawiał przed nim tajemnice piór. Ale zostawił Aleksa, a bez niego wszystko było zbyt trudne.

Letty przysunęła się bliżej. Delikatnie odwróciła mu głowę, zmuszając, żeby przestał patrzeć na segregatory z piórami.

– Przypuszczam, że nie ma ani jednej rzeczy, o którą nie spytałbyś go dziesięć razy.

Alex westchnął smętnie, wspominając siebie jako małego chłopczyka, uczonego poły koszuli dziadka i zamęczającego go setkami pytań o szlaki ptaków, sezonowe migracje i rozpoznawanie młodych.

– Pewnie tak.

– O co byś go spytał, gdyby tu był?

Alex zastanowił się głęboko. Chciał wiedzieć tylko jedno.

– Spytałbym go, co jest tak wyjątkowego w piórze.

– A co on by odpowiedział?

Alex przycisnął dłoń do serca. Tęsknota bolała, ale i sprawiała przyjemność.

– Chwyciłby mnie za ucho, doprowadził do mozaiki i spytał, jak mogę go o to pytać, a wtedy ja bym mu powiedział, że nie chodzi mi o dzieło sztuki, tylko o naukę, a on by odparł, żebym poczytał sobie na temat pozyskiwania keratyny i o sygnaturach izotopowych, a ja na to, że już czytałem co najmniej pięć razy.

Letty parsknęła śmiechem.

– Brzmi prawdopodobnie. Więc co jest takiego wyjątkowego w piórze?

Zmusiła go, żeby odpowiedział na własne pytanie. Westchnął.

– Że to znacznik czasu. Idealnie zachowana relacja o tym, kiedy i gdzie przebywał ptak, a także o tym, jakie przyjmował pokarmy, wodę i toksyny.

– Skąd się to wszystko wie?

– Nie mam pojęcia.

– No to chyba od tego powinienes zacząć, nie?

Alex usiadł i przejrzał zbiory piór, znajdując swój ulubiony kolor, a potem chowając go przed spojrzeniem matki. Między piórami nadal spoczywała kartka od dziadka. Nigdy nie rozmawiali o jego decyzji pozostania w Meksyku i nie wiedział, czy matka zdaje sobie sprawę, że Enrique zaplanował tę swoją ucieczkę.

– Myślisz, że dziadek nie miałby nic przeciwko temu, żebym ich użył?

– Przecież zostawił je dla ciebie, prawda? Nie podejrzewał, że nagle staniesz się artystą.

Oboje uśmiechnęli się, wspominając jego beznadziejne próby stworzenia mozaiki. Alex zamknął szufladę i odwrócił się do Letty.

– Mamo? Przepraszam... za to, co powiedziałem.

Letty wstała i wzięła łyżkę, którą lekko pacnęła go w głowę.

– W porządku. – Przystanęła, wyjrzała przez okno i dodała: – Wiesz co? Znalazłam nam dom. W Mission Heights.

– Naprawdę? – Alex nie wiedział, co powinien poczuć. Z jednej strony – będzie legalnie mieszkać w Mission Hills. Z drugiej – znajdzie się dalej od Yesenii, akurat teraz, kiedy jest jej potrzebny. – Kiedy się przeprowadzamy?

– W ten weekend.

– Kurczę.

– No. Trochę nagle. Ale chyba ci się spodoba. – Ruszyła do kuchni. – Zawołam cię na obiad.

Alex położył się na łóżku. Poleżę tylko minutkę, a potem zacznę pracować nad projektem, obiecał sobie, ale kiedy kwadrans później Letty go zawołała, spał już twardo. Zmęczenie i ulga pogrążyły go we śnie, w którym Yesenia miała na głowie stroik z czarnych piór i tańczyła przy dźwiękach śmiechu jakiegoś starca. Alex płażał wokół niej, usiłując wyrwać jej pióro, ale kiedy wreszcie zdobył jedno,

długie i atramentowoczarne, zmieniło się w smołę i zakleiło mu drżące wargi.

Letty stała sama w pustej sypialni. Zajęło im to cały dzień, ale razem z Sarą zdołały opróżnić mieszkanie, zostawić meble na stercie koło śmietnika, a worki z ubraniami, zabawkami i książkami wepchnąć do samochodu. Sara właśnie odwoziła pierwszą partię rzeczy. Alex i Luna zostali, żeby strzec reszty przed panią Starks, która siedziała na leżaku i im się przyglądała. Alex już musiał odbić swoją kołdrę ze „sklepu” pani S, więc był bardzo czujny. Letty przyglądała się z okna jego pilnowaniu, Lunie biegnącej od pudła do pudła i pani Starks na zmianę wstającej i siadającej. Alex miał oko na nie obie. Bawił się z siostrą w Gwiazdne Wojny i unosił kij od szczotki jak miecz świetlny, kiedy tylko pani Starks zawędrowała zbyt blisko pudeł.

Letty powiedziała dzieciom, że musi po raz ostatni przejrzeć mieszkanie, ale tak naprawdę weszła po schodach, żeby się pożegnać. Oprócz paru nocy, które spędziła u Sary albo z Wesem, w tym małym pokoju upłynęło całe jej życie. Jej ślady były wszędzie – odciski palców na szybach i białych ścianach, plamy po butach wszelkich rozmiarów na wykładzinie pod stopami. Podeszła do okna i spojrzała na ten sam widok, który oglądała jako małe dziecko znad balustrady łóżeczka. Nie pamiętała tego, ale ojciec uwielbiał jej opowiadać, jak raz przyszedł do niej, żeby wziąć ją na ręce po drzemce, i zastał ją stojącą i wskazującą samoloty. „Głośnie ptaszki” – powiedziała, kiedy ojciec wziął ją na ręce, i przez resztę jej dzieciństwa przy każdym szczególnie głośnym odrzutowcu, przelatującym obok ich domu, rodzice przerywali to, co właśnie robili, i powtarzali: „Głośnie ptaszki”.

Zastanawiała się, co w tej chwili porabiają rodzice w Oro de Hidalgo. W końcu znalazła w sobie siłę, żeby otworzyć listy. Pierwsze brzmiały tak, jak się spodziewała – spisy rzeczy, o których Letty zapomniała albo o których nie wiedziała. Ale w ostatnich Maria Elena opisywała już swoje życie w Meksyku. Pisała, że Enrique znowu zaczął pracować i że odnowiła kontakt z koleżanką z liceum, która teraz miała trzydzieścioro sześcioro wnucząt. „Chyba postanowiła pójść na ilość” – napisała matka, jak zwykle zostawiając niedopowiedziane to, co naprawdę miała na myśli: żadne z nich nie umywało się do Aleksa i Luny. Odpiszę, jak się tylko rozpakujemy, postanowiła Letty. Opowie rodzicom o przeprowadzce i nowych szkołach Aleksa i Luny. Miała nadzieję, że będą z niej dumni.

Rzuciła ostatnie spojrzenie na podjazd, zatokę i ptaki, o których zawsze będzie myślała jako o własności ojca, po czym sprawdziła resztę mieszkania, szybko przemierzając pokój rodziców i salon. W kuchni się zatrzymała. Otworzyła i zamknęła lodówkę i wszystkie szafki. Wybrała suche fasolki, ryż i drobne monety

spod papieru, którym jej matka tak starannie wyłożyła szuflady przed laty.

Kiedy wkładała do kieszeni ostatnią monetę, na schodach rozległy się kroki. To pewnie Luna, pomyślała – Alex nigdy nie zostawiłby pudeł bez dozoru – ale kiedy się odwróciła, ujrzała Wesa, idącego przez pusty salon. Miał na sobie szpitalny uniform. Luźne niebieskie spodnie były ściągnięte sznurkiem, bluza wyrzucona niedbale na wierzch.

– No, no – odezwał się, ogarniając wzrokiem puste przestrzenie.

– Wyprowadzka.

– Widzę. Nie miałem pojęcia. Wiesz co, musisz zacząć mi mówić o takich sprawach.

W tym stwierdzeniu brzmiała pewność siebie, której nie słyszała, kiedy zadzwonił do restauracji. Może już rozmawiał z Alekssem? I co usłyszał?

– Zamierzałam – oznajmiła Letty. – Trochę nagle to wyszło.

– Domyślam się. Kiedy powiedziałem Aleksowi, że zabiorę go w sobotę, nie wspomniał, że będzie trzymać straż przed górą pudeł.

A więc rozmawiali. Alex nie miał telefonu, co znaczyło, że Wes gdzieś się z nim spotkał. Po tej nocy z Yesenią starała się być surowa dla Aleksa, ale nie mogła kontrolować każdego jego kroku. Pracowała i nadal nie miała samochodu. Przeważnie musiała mu pozwolić samotnie poruszać się po świecie.

Wes podszedł do okna w kuchni i wyjrzał. W dole, na parkingu, Alex odstraszał panią Starks, wywijając kijem od szczotki jak w sportach walki.

– Dokąd się przeprowadzacie?

– Do Mission Heights.

Wes uniósł jedną brew, prawie niezauważalnie. Wiedziała, co myśli, i że usiłuje to sformułować tak, żeby nie zabrzmiało pogardliwie.

– Jak to załatwiłaś?

– Dzięki chłopakowi, z którym pracuję, Rickowi. Wiedział, że chcę uciec z Bayshore, a jego znajomy akurat szukał kogoś do opieki nad domem.

– Miło.

– Owszem. Ale trochę tam daleko. Będę musiała kupić nowy samochód. – Ugryzła się w język i zaczęła się modlić, żeby Wes nie spytał, co się stało ze starym. Nie była gotowa go w to wtajemniczyć. Nie spytał, więc dodała: – Już prawie na niego odłożyłam.

– Brawo.

Wes odwrócił się, jakby chciał wyjść, ale poszedł do jej dawnego pokoju. Letty podeszła razem z nim do okna i patrzyła, jak przesuwając palcami po parapecie. Łuszcząca się farba nadal nosiła pomarańczowe ślady wosku w miejscu, w którym stawiała świeczki z dyni, jej sygnał dla niego, że nie śpi i czeka. Widział ich płomyki z kładki dla pieszych i przybiegał, wspinał się po sznurze i kładł się obok niej z łomotem serca i przez długi czas żadne z nich się nie odzywało ze strachu, że

Maria Elena usłyszy. Ale nigdy nie usłyszała. A może słyszała, ale nie zwracała na to uwagi, bo kochała Wesa i bezgranicznie mu ufała. Letty zawsze się nad tym zastanawiała.

– Wydaje się, że minęły wieki, co? – odezwała się.

– Właśnie nie.

Zdrapała trochę pomarańczowego wosku i strzepnęła go na podłogę. Jego ramię w porównaniu z jej ręką było różowe, zaczerwienione od słońca i piegowate. Pamiętała, jak leżeli i porównywali kolory swojej skóry w świetle księżyca, wymyślając nowe słowa na ich opisanie.

– Pamiętasz „cynoceaniczny”?

Błękit jego oczu z cynobrowymi obwódkami wokół tęczówek.

Skinął głową.

– Jeszcze czuję ból stóp.

Wymyślili to słowo w lecie, kiedy urządzili sobie konkurs biegania bosu. Widziała go jak dziś, jak leżał na swoim ganku, ze stopami opartymi o huśtawkę, gdy pomarańczowożółte światło zachodu słońca wsączało się promieniście w błękit jego tęczówek. Nigdy wcześniej ani później nie widziała takich oczu.

– Cynoceaniczny. To moje najulubieńsze ze wszystkich naszych słów.

– Ja lubiłem „akwacielisty”.

Mówiąc to, odwrócił wzrok i już wiedziała, że przypomniał sobie noc, w której stworzyli to słowo. Przeskoczyli przez ogrodzenie licealnego basenu i pływali w nim nago, wymyślając słowa opisujące kolor ich skóry pod wodą.

– Nie – odparła. – Brzmi, jakby chodziło o ciełą.

Wes parsknął śmiechem i odwrócił się do niej, zaglądając jej w twarz, jakby usiłował porównać Letty ze swoich wspomnień z tą, która stała przed nim.

– Byłaś kompletnie szalona. Pamiętasz ten drut kolczasty? Nie wiem, jak mnie namówiłaś.

– Ja też. – Drut zaczepił się o wystrzępiony brzeg jej dżinsowych szortów i zostawił krwawą krechę na wewnętrznej stronie jej uda, ale nie przestała się wspinać i przekonała Wesa, żeby też to zrobił. – Niczego się nie bałam.

Zdziwiły ją te słowa. Spróbowała sobie przypomnieć, jak to było – być tamtą dziewczyną, łamiącą zakazy i obnażającą ciało przed Wesem, nie mówiąc już o wszystkich ewentualnych przechodniach. Życie ją zmieniło. Teraz bała się bardzo wielu rzeczy, ale od samego wspomnienia coś się w niej zmieniło, wielkie szczęki strachu rozluźniły chwyt i przez chwilę poczuła iskierkę podniecenia, jakby znowu była w liceum, a świat czekał, aż ona zechce go zdobyć.

W oddali samochód Sary skręcił w Mile Road. Pora uratować Aleksa przed panią Starks i zacząć pakować ostatnią partię. Odwróciła się niechętnie do wyjścia.

– Chcesz za nami pojechać? Zobacysz nasz nowy dom i odbierzesz Aleksa.

Wes skinął głową. Letty zaczęła, aż zejdzie po schodach, po czym

zamknęła drzwi do pokoju, następnie do pokoju rodziców, aż w końcu po raz ostatni zamknęła drzwi wejściowe mieszkania 31C.

Tuż po wyładowaniu rzeczy Sara pożegnała się, spocona i spóźniona na pierwszą randkę, i zostawiła im rozpakowanie pudeł i toreb leżących na frontowym ganku. Luna rzuciła się do zabawek, ale znudziła się po paru minutach. Wołała układać swoje zwierzątka na parapecie i robić wokół nich płot ze śrub i podkładek z malutkich szufladek. Alex przywłókł bagaże do swojego pokoju, a potem wybebeszył wszystkie pudła w poszukiwaniu telefonu, który podłączył obok łóżka. Letty i Wes podsłuchiwali jego szeptaną rozmowę z Yesenią, wnosząc oznakowane pudła do domu. Letty poruszała się szybko; myślami wróciła do ich rozmowy na Przystani i uświadomiła sobie, że chciała ją podjąć tam, gdzie skończyli.

Gdy wnieśli ostatnie pudło, Letty zdjęła znad lodówki swój nowy sprzęt barmański. Był to prezent od Ricka, zostawiony pod drzwiami z liścikiem: „Zrób mi drinka”. Letty schowała karteczkę do kieszeni, zanim Wes ją zobaczył. Ustawiła rzędem sitko, miarkę i długą, lśniącą łyżkę barmańską, po czym sięgnęła do szafki po słoik z napisem SYROP IMBIROWY. Rick sam go zrobił i przyniósł do baru z myślą o swoich specjalnych koktajlach, a ona zwinęła nie całkiem opróżniony słoiczek pod koniec swojej zmiany. Syrop był gęsty, wypływał powoli. Gdy w końcu go wygarnęła, dodała wódki i wody gazowanej, a potem otworzyła lodówkę. Rick napełnił ją lodem Hishizaki, tak kosztownym, że te kostki powinny być zrobione z czegoś więcej niż wody. Letty czuła na sobie spojrzenie Wesa, kiedy mieszała drinki, wlewała je do kieliszków i wciskała do nich cząstkę limonki.

– Jestem samochodem – przypomniał, kiedy Letty podała mu drinka.

– Tu jest niecała uncja wódki – odparła. Usiadła przy stole zamocowanym przy ścianie i pociągnęła łyk. Imbir miał mocny smak; wyobraziła sobie, jak bardzo piekł Ricka w palce podczas obierania, ścierania i wyciskania.

Wes uniósł kieliszek do nosa.

– Fajny zapach.

– Smak też fajny.

Z głębi korytarza dobiegł ich podniesiony głos Aleksa. Przez chwilę wydawało się, że kłóci się z Yesenią, ale potem znowu zaczął szeptać. Letty usłyszała: „dla ciebie wszystko” i z rumieńcem na policzkach przypomniała sobie, jak po pijanemu uczyła syna bycia trudnym do zdobycia. Nie udało się jej.

Pociągnęła kolejny łyk i dała znak Wesowi, żeby usiadł naprzeciwko.

– Kiedy wróciłeś do Mission Hills?

Nie odpowiedział. Ze zmienionym wyrazem twarzy potrząsnął głową i odwrócił się od niej. Zaniósł nietknięty koktajl nad zlew i przechylił kieliszek, wylewając cenny płyn. Letty miała ochotę zerwać się i uratować swoje dzieło, ale

tylko wypić swój koktajl.

Wes oddał jej pusty kieliszek.

– Słuchaj – rzucił, wzdychając ciężko, ze zmęczeniem. – Nie chcę przez resztę życia wściekać się na ciebie. Naprawdę. Ale nie mogę siedzieć w twojej kuchni, popijać i gawędzić. Nie pogodziłem się z tym, co zrobiłaś. Szczerze mówiąc, wątpię, czy kiedykolwiek się pogodzę.

Wiedziała, że to za dobre, żeby było prawdziwe – te nostalgiczne pogaduszki w ostatnich chwilach w jej dawnym pokoju. No i stało się. Wreszcie dowiedziała się, co mu leży na sercu. Postawiła swój pusty kieliszek obok tego, który jej oddał. Jej był umazany szminką i z odciskami palców, jego – lśniący czystością.

– Zrozum, chciałabym cofnąć to, co zrobiłam. Przysięgam. – Wstała i zaniósła oba kieliszki do zlewu. Zalała je ciepłą wodą, która przelała się przez ich krawędzie. – Ale miałam osiemnaście lat! I kochałam cię. Wiem, że zrobiłam coś złego, ale nawet dziś, kiedy wszedłeś w tym uniformie do mojego mieszkania, przez ułamek sekundy myślałam, że postąpiłam słusznie.

– Nie.

Postawiła kieliszki na ścierce, żeby obciekły, i odwróciła się do niego.

– Może i nie – powiedziała, nie cofając się przed jego gniewnym spojrzeniem. – Ale podarowałam ci twoje życie. Temu nie zaprzeczysz.

– Jakie życie? Może nie takiego życia chciałem.

Letty prychnęła z desperacją.

– Pamiętasz, jaki byłeś w liceum? Chciałeś dokładnie takiego życia, jakie masz. – Odwróciła się do zlewu. W oknie nad kranem świat był ciemny i napierający, liście, konary i niebo zbliżały się do nich. Nagle ogarnęła ją klaustrofobia. Otworzyła okno najszerzej jak mogła, odwróciła się i podjęła: – Pamiętasz, jak po raz pierwszy wyszliśmy razem?

Wes skinął głową, choć określenie „wyszliśmy” było trochę naciągane – tak naprawdę wymknęli się z przyjęcia na cześć klubu sportowego i wspięli się po schodach przeciwpożarowych z miniaturowymi buteleczkami tequili, które poprzedniej nocy Letty ukradła pijanemu sąsiadowi. Podchmielony już po jednym łyku Wes oznajmił, jak będzie wyglądała jego przyszłość.

– Powiedziałeś mi, że będziesz żyć jako singiel, bo inaczej nie zdołasz dokonać tego wszystkiego, co chcesz osiągnąć. Powiedziałeś, że chcesz umrzeć samotnie.

Wes wzniosł oczy do sufitu i pokręcił głową nad szesnastoletnim sobą.

– Naprawdę tak powiedziałem? Dziwię się, że od razu mnie nie rzuciłaś.

Teraz brzmiało to idiotycznie, ale kochała tamtego Wesa. Mądrego, zdeterminowanego. I tak bardzo pewnego siebie.

Wzruszyła ramionami.

– Miałaś plany.

– Ty też – przypomniał jej. – No... bo... nie myślałaś...

Spojrzenie Letty sprawiło, że głos zamarł mu w gardle.

– O czym? Żeby nie urodzić?

– Mam prawo spytać.

Miał, ale nie w tej chwili, nie tutaj, gdzie z sąsiedniego pokoju dobiegał ich głos Aleksa.

– Dowiedziałam się za późno.

Wes bawił się nerwowo sznurkiem od uniformu. Zaciągnął go i zawiązał na podwójny supeł. Nie odzywał się, ale Letty wiedziała, że zastanawia się nad jej słowami, odtwarza swoje życie: college, studia, praca na czterech kontynentach. Kiedy Sara dowiedziała się o jego powrocie, sprawdziła go w internecie. Radził sobie. W nowojorskiej szkole medycznej został wybrany do towarzystwa naukowego Alpha Omega Alpha, a przed trzydziestką opublikował artykuł w „The Journal of The American Medical Association”.

Przeszła przez kuchnię i znalazła się w zasięgu jego wzroku. Wes z trudem przełknął ślinę i uniósł rękę, powoli, aż jego palec wskazujący – niepewny, nieruchomy – dotknął jej podbródka. „Mój dziwny ptaszek”, lubił ją tak nazywać, udając, że mierzwi jej pióra, i choć wtedy ją to drażniło, teraz pragnęła znowu tego zaznać. Przycisnęła mocno jego dłoń do swojej szyi.

– Gdybyś został, to by się nie mogło wydarzyć – szepnęła. – Nigdy.

Jej słowa sprawiły, że Wes oprzytomniał.

– Nie mów tak – rzucił, oblewając się rumieńcem. – Ta decyzja nie należała do ciebie. I nie ma już odwrotu.

– Chciałbyś wrócić? Naprawdę? – Ogarnął ją nagły gniew. – Więc zdejmuj te ciuchy – warknęła. – Wróćmy. Możesz zrezygnować ze studiów i przyglądać mi się, jak buszuję po kraju z wielkim stypendium. – Coś w niej pękło i teraz już nie potrafiła się powstrzymać, choćby chciała. Musiała wypowiedzieć litanię spraw, których jej brakowało, gdy tak utknęła na Przystani, pracując na trzech posadach, gdy on uczył się w college’u, a potem studiował i śmigał po całym świecie, ratując ludziom życie. W połowie przemowy usłyszała tupot małych stópek i trzaśnięcie drzwi na końcu korytarza.

– Przestań – rzucił Wes. – Nie będę tego robić w ich obecności.

– Wiesz co, Wes, weź oprzytomniej, bez nich się nie da. Nie znikną. Tak to już jest z dziećmi. No, kurwa, nie chcą zniknąć.

Wes zasłonił jej usta ręką, powstrzymując ją przed powiedzeniem czegoś jeszcze. W nagłej ciszy zaczęła nasłuchiwać głosu Aleksa, ale przestał rozmawiać, a ta głucha cisza zdradziła jej, że dzieci wszystko słyszały.

Rozpłakała się.

– Przepraszam – szepnęła. – Bardzo, bardzo, bardzo, bardzo przepraszam.

Wes przeczekał w milczeniu jej płacz, a potem chwilę, gdy uspokajała

oddech. Później zaprowadził ją do stołu w kuchni i pomógł jej usiąść. Wytarła oczy, a on usiadł naprzeciwko niej i położył odwrócone wierzchem do góry dłonie na szorstkim drewnie, tuż obok jej rąk. Przez chwilę przyglądali się swoim dłoniom w milczeniu, jakby odczytując z nich przyszłość.

Po długim milczeniu pochyliła się i szepnęła, żeby dzieci nie usłyszały:

– Dlaczego mu nie powiedziałaś?

Wes wzruszył ramionami z rezygnacją.

– Jesteś dla niego wszystkim. A jeśli nigdy ci nie wybaczy? Nie mogę mu odebrać jedyne go rodzica, jakiego zna.

Potraktował ją lepiej, niż na to zasługiwała. Łzy znowu napłynęły jej do oczu na myśl o Marii Elenie i wszystkim, co zrobiła – a także wszystkim, co powinna zrobić ona sama.

W korytarzu rozległy się kroki. Letty podniosła głowę i zobaczyła Aleksa ściskającego pudełko z piórami.

Nie patrzył jej w oczy.

– Gotowy? – spytał Wes i wstał, gdy Alex kiwnął głową. W drzwiach przystanął i obejrzał się na Letty.

– Dzięki za drinka – rzucił, patrząc na nią. W jego oczach coś mignęło, jeśli nie przebaczenie, to pogodzenie się z sytuacją i chęć pójścia dalej.

– Polecam się.

Wstała, podeszła na uginających się nogach do drzwi i odprowadziła ich wzrokiem, kiedy odjeżdżali.

Potem długo stała na frontowym ganku, przyglądając się głębokim koleinom w żwirze, zostawionym przez opony samochodu Wesa. Z mieszkania dochodziły stłumione mamrotania Luny, rozmowa jednego zwierzątka z drugim. Letty była obolała, jakby ktoś wyrwał jej serce, przyjrzał się mu, a potem brutalnie znowu wtłoczył je do jej klatki piersiowej. Osunęła się po balustradzie na schodki i znalazła się twarzą w twarz ze wspomnieniem Ricka. Siedzieli tutaj, dokładnie w tym miejscu, tego pierwszego wieczora, kiedy zobaczyła domek. Z ukłuciem tęsknoty i żalu przypomniała sobie swój nagły pocałunek i przeprosiny, które doprowadziły do drugiego pocałunku. Nie powinna go całować, zwłaszcza teraz, kiedy Wes wrócił, a ona miała szansę naprawić sytuację z jedynym człowiekiem, którego kochała.

Luna wyszła na zewnątrz. Usiadła i oparła główkę z warkoczami o ramię Letty.

– Pojechali?

– Tak. Pojechali.

Luna rozchyliła piąstkę, ukazując leżące na dłoni dwie plastikowe krowy,

dużą i małą.

– Mamo?

– No?

– Czy mój tata wróci?

Letty pokręciła głową.

– Nie. Nie wróci.

– Ale nie wiesz na pewno, prawda? Myślałaś, że Wes nie wróci.

– Na pewno.

Luna osunęła się niżej. Jej głowa znalazła się na kolanach matki. Letty usiłowała wymyślić, jak jej wytłumaczyć, skąd ta pewność, kiedy w jej kieszeni rozdzwoniła się komórka. Na ekranie wyświetlił się zagraniczny numer.

– Halo?

– *Mija.*

Zalała ją fala ulgi, jakby głos oddalonej o tysiące kilometrów Marii Eleny miał moc naprawiania jej świata. Odetchnęła głęboko, z uśmiechem.

– Cześć.

– Cześć, dziecinko.

To powiedział jej ojciec. Wyobraziła sobie, jak stoją stłoczeni w budce w małym *zocalo*, z jedyną linią telefoniczną łączącą tę wioskę z resztą świata.

– Cześć, tato.

– Nie odzywałaś się od jakiegoś czasu, zaczęliśmy się martwić.

Nie po raz pierwszy próbowali się do niej dodzwonić. W zeszłym tygodniu dzwoniли do niej trzy razy, kiedy była w pracy, ale nie mogła odebrać.

– Nic mi nie jest, tylko mam dużo pracy. Chciałam do was napisać. – Luna pociągnęła ją za rękę, prosząc o telefon, ale Letty jeszcze nie skończyła rozmowy.

– Nigdy nie zgadniecie, gdzie w tej chwili stoję.

– Gdzie?

– Na ganku mojego nowego domu. W Mission Heights.

Maria Elena wydała okrzyk zaskoczenia, a ojciec powiedział dokładnie to, czego się spodziewała:

– Zostawiłaś moje ptaki?

– Ty je zostawiłeś – odparła. – Ale Alex zabrał twoje pióra.

Opowiedziała im o Ricku, o tym, jak nauczył ją robić drinki i znalazł jej tę malutką, idealną chatkę.

– Ale co z Wesem?

Serce zabiło jej mocniej. A więc Wes napisał do jej matki. Parę tygodni temu zadzwonił i spytał o adres jej rodziców, ale potem o tym nie wspominał, a ona miała nadzieję, że zapomniał. A matka oczywiście zadzwoniła i wepchnęła się w sam środek tej sytuacji, jak to ona. Ale znacznie łatwiej było ją ignorować na odległość, co też Letty zrobiła.

– Masz – rzuciła, wciskając telefon w rękę córki. – Porozmawiaj z babcią.

Luna zaczęła entuzjastycznie opisywać swój nowy pokój, nowy ogródek, nową szkołę, nową nauczycielkę i nowe koleżanki. Letty słuchała jej jednym uchem, myśląc o Wesie i usiłując wyobrazić sobie minę Marii Eleny po przeczytaniu jego listu. W tej chwili cieszyła się, że dzieli je ponad trzy tysiące kilometrów.

– Szyje mi sukienkę na Boże Narodzenie! – zawołała Luna i oddała telefon matce. Zawirowała na ganku, jakby już miała na sobie nowy strój.

Na Wigilię – *Nochebuena* – Maria Elena zawsze szyła Lunie sukienkę, a Aleksowi kamizelkę i krawat, które wkładali na sławne świąteczne przyjęcie babki. Impreza ta, pod każdym względem odbiegająca od wszystkiego, co robiła Maria Elena, wywodziła się z Oro de Hidalgo i w swoich początkach wymagała udziału matki i wszystkich kuzynek z rodu Espinosa, ubranych w identyczne futra – widok, który Letty potrafiła już sobie wyobrazić, odkąd zobaczyła rodzinny dom ojca. Przygotowania zaczynały się w październiku od zrobienia słodkich tamali, które Maria Elena liczyła i zamrażała. W początkach grudnia dom wyglądał już jak muzeum szopek. Przez parę pierwszych lat Maria Elena wysyłała oficjalne zaproszenia wszystkim znajomym z kościoła, ale odkąd Letty pamiętała, znajomi – a nawet wielu nieznajomych – pojawiali się w domu bez zapowiedzi. Dziwnie będzie obchodzić Boże Narodzenie bez przyjęcia matki. Był to jedyny rytuał jej dzieciństwa.

– Wyślij sukienkę do nowego domu – powiedziała Letty i zaczęła, aż matka weźmie długopis i kartkę i zapisze adres.

– Co zrobisz w tym roku na święta? – spytała Maria Elena.

– Nie myślałam o tym. Może wyprawię przyjęcie.

– Wygląda na to, że przyjdą tłumy – rzuciła matka. Letty wyobraziła sobie jej spojrzenie z uniesioną brwią, skierowane go ojca.

– Mamo, przestań. – I dodała, żeby zmienić temat: – Prześlesz mi przepis na słodkie tamale?

– Wiesz, jak je robić. Rodzynki, ananas i ciasto. I trochę *canela*. Goździków. I to wszystko, ale prześlę przepis.

Maria Elena mówiła dalej, lecz Letty myślała o przyjęciu, o tym, co ugotować i jakie ozdoby zrobić, skoro większość pudeł z napisem NAVIDAD zostawiła pani Starks. W chatce nie było miejsca na nic z wyjątkiem absolutnie niezbędnych rzeczy. Kiedy znowu zaczęła słuchać monologu Marii Eleny, uświadomiła sobie, że matka nie mówi już o przyjęciu, lecz o pracy ojca. Z tego, co Letty zdołała zrozumieć, Galeria de Arte Mexicano, pierwsza i nadal jedna z najlepszych galerii w mieście Meksyk, kupiła jedno dzieło Enrique i zamówiła dwa inne, powierzając mu także doskonale płatne zadanie odnowienia kilku mozaik z kolekcji. Najwyraźniej wracała moda na pióra.

– To mnóstwo pieniędzy – skończyła matka. – Wystarczy na remont basenu. I na waszą wizytę.

– O kurczę – powiedziała wstrząśnięta Letty. – Coś wspaniałego. Naprawdę moglibyście nas do siebie ściągnąć?

Luna pisnęła i rzuciła się na nią, pytając, czy mogą jechać dziś albo najpóźniej jutro.

– Nie teraz – odparła Letty, uciszając ją. Maria Elena westchnęła ciężko.

– Tęsknię za nimi. Codziennie.

– Wiem. Wyrobię im paszporty.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem jej chłodna, oficjalna matka wydała dźwięk, który mógł oznaczać tylko jedno – że przytuliła usta do brudnej, pełnej zarazków słuchawki publicznego telefonu. Letty roześmiała się i oddała pocałunek, a potem włączyła się telefonistka, żądająca kolejnej opłaty, a matka pożegnała się, przekrzykując ją.

– Kocham cię – powiedziała Letty i połączenie zostało przerwane.

Na siedzeniu pasażera leżała paczka, mała, kwadratowa, owinięta brązowym papierem i taśmą klejącą, z napisanym na niej imieniem Aleksa. Alex wziął ją i potrząsnął, a potem położył na kolanach. Wyjechali ze zwirowego podjazdu na jezdnię.

– Nie otworzysz?

– A chcesz?

– Oczywiście, że chcę.

Alex odgiął papier na rogu paczki. Taśma klejąca oderwała część opakowania, ukazując krawędź smukłego białego pudełka ze zdjęciem iPhone'a. Alex zerwał resztę papieru, otworzył pudełko i wyjął telefon.

– To dla mnie?

Wes skinął głową z uśmiechem, patrząc to na drogę, to na telefon w dłoniach syna. Alex nigdy w życiu nie trzymał w ręku iPhone'a. Paru kolegów z Cesara Chaveza chwaliło się nimi nieustannie na przerwach, ale on się z nimi nie zadawał. Przesunął palcami po krawędzi telefonu, usiłując go włączyć. Wes wyciągnął rękę i dotknął okrągłego przycisku z przodu. Czarny ekran rozbłysnął. Alex nigdy nie miał do czynienia z ekranem dotykowym, ale odblokował go i zaczął się poruszać po aplikacjach, jakby robił to przez całe życie. Przesunął palcem po ikonce odtwarzacza, aparatu fotograficznego i albumu zdjęć i w końcu znalazł klawiaturę. Chciał natychmiast zadzwonić do Yesenii, a potem do matki, ale nie wiedział, czy pozwoliłaby mu przyjąć ten prezent.

– Spytałeś mamę?

– Nie – przyznał Wes. – Ale jej się to spodoba. Wiesz, że nie lubi, kiedy chodzisz gdzieś sam. Teraz będzie mogła do ciebie zadzwonić.

– Ale czy to nie jest drogie? – spytał, przewidując zarzuty Letty.

– O to nie musisz się martwić. Dodałem cię do mojego planu wydatków.

W tym stwierdzeniu, niedbałym i władczym jednocześnie, było coś takiego, że Alex poczuł ścisnienie gardła. Chciał podziękować, ale nie mógł wydusić z siebie głosu. Zresztą Wes nie oczekiwał od niego żadnych słów; włączył radio i muzyka wypełniła puste miejsce po wyrazach wdzięczności Aleksa. Na światłach Wes spojrzał w lusterko wsteczne na leżące z tyłu pudło, które Alex przypiął pasami.

– Co tam jest?

Alex przełknął ślinę z wysiłkiem i odzyskał głos.

– Pióra dziadka.

– Po co je zabrałeś?

– Nie wiem. – Chwytał je niemal bez zastanowienia, pierzastą zbroję, w której stanął przed kłócącymi się rodzicami. Ale teraz ich obecność wydała mu się zrzędzeniem losu. – Pracuję nad projektem naukowym. Może mógłbyś mi pomóc.

Światło zmieniło się z czerwonego na zielone i Wes ruszył.

– Co to za projekt?

Alex opowiedział mu – tak jak matce – o świecie zaklętym w każdym piórze, o informacjach o migracji, diecie, źródłach wody i setce innych spraw.

– Sygnatury izotopowe.

– Właśnie! – Co to za radość, że ktoś z rodziny ma taką wiedzę jak on. Po raz pierwszy nie poczuł się jak podrzucony do rodziny Espinosów przybysz z kosmosu. Teraz widział, skąd mu się to wzięło.

– Problem z moim pomysłem polega na tym, że potrzebuję spektrometru masowego – oznajmił.

– Tylko tyle? – Wes zerknął na niego z uśmiechem, unoszącym mu kącik ust. Niespodziewanie szarpnął kierownicą, tak że Alex wpadł na drzwi. Zawrócili w stronę, z której przyjechali. – Wiem, gdzie go znaleźć.

Podróż do Stanfordu zajęła im dwadzieścia minut. Wes zatrzymał się na parkingu dla pracowników i poprowadził syna przez kampus. Alex przez całe życie mieszkał dwadzieścia pięć kilometrów od tego prestiżowego uniwersytetu, ale nigdy go nie odwiedził. Za to widział zdjęcia, setki pocztówek na stacjach benzynowych i w sklepach. Teraz, idąc przez Palm Drive, nie mógł się nadziwić, jak bardzo zdjęcia kampusu były realistyczne. Doświadczenie nauczyło go, że rzeczywistość zwykle rozczarowuje, nie dorasta do wyretuszowanych reklam – ale w Stanfordzie było na odwrót, wszystko wyglądało bardziej imponująco niż na papierze. Budynki były symetryczne i wspaniałe, palmy rozmieszczone w równych odstępach i nawet ich liście wisiały tak, jakby ułożył je ogrodnik. Nie wspominając już o szkarłatnych kwiatach, które chyba posadzono tego dnia, z kompletem nietkniętych płatków.

Alex i Wes minęli plac i Memorial Church z mozaikami lśniącymi w mroku. Skręcili w prawo i szli tak długo, aż dotarli do kanciastego budynku z dachem krytym dachówkami. W oknach paliło się światło. Weszli przez drzwi frontowe.

Ściany w holu pokrywały plakaty. Wes stanął na środku pomieszczenia, przeglądając kolorowe płachty metr na metr pięćdziesiąt z nazwami kursów, takimi jak: „Wiek Gór Skalistych”, „Poziom arsenu w wodach gruntowych Bangladeszu” lub „Możliwy wzrost częstości gwałtownych burz w związku z efektem cieplarnianym”. Sprawdził wszystkie afisze w holu i na dwóch korytarzach, aż wreszcie na szczycie schodów znalazł to, czego szukał: afisz o używaniu stabilnych izotopów do określania rozrodności koticzaków

niedźwiedziowatych.

– Oni będą go mieli – oznajmił, wskazując zamknięte laboratorium.

– Skąd wiesz, gdzie szukać? Myślałem, że jesteś lekarzem.

– Jestem. Ale pracowałem z wieloma naukowcami, więc coś tam wiem o różnych laboratoriach w uczelni.

– To co właściwie robisz? – spytał Alex, uświadamiając sobie, że właściwie nic o tym nie wie.

– Pracuję w zespole, który stara się ulepszyć diagnozowanie gruźlicy u pacjentów z HIV. To trudne, bo HIV ma wpływ na układ odpornościowy, więc reakcje chorych na zwykłe testy skórne nie są miarodajne. Otrzymuje się wiele fałszywych wyników, tak negatywnych, jak i pozytywnych. Pracujemy nad czymś nowym, co można by wykorzystać w ubogich rejonach, gdzie przeprowadzenie badania krwi jest niemożliwe.

Brzmiało to ciekawie, ale Aleksowi nie spodobały się te „ubogie rejony”. Ojciec chyba nie mówił o Bayshore.

– Myślisz, że kiedyś będziesz zwyczajnym lekarzem?

Wes znieruchomiał z ręką na klamce laboratorium.

– Może – powiedział po zastanowieniu. Zdjął smycz z identyfikatorem i przyjrzał się swojemu zdjęciu, jakby mógł z niego wyczytać odpowiedź na pytanie syna. Schował go do kieszeni i wzruszył ramionami. – Kto wie? Mam parę własnych projektów naukowych. No i czekam na decyzję. Zobaczymy, dokąd mnie to zaprowadzi.

Alex przypomniał sobie grant, o którym wspomniał ojciec podczas pierwszego spotkania przy kolacji, i poczuł drgnienie paniki. „Gdzie mnie to zaprowadzi” – czy to przenośnia? Ale zanim zdążył spytać, Wes otworzył laboratorium i przedstawił się doktorantowi, pochylonemu przed komputerem. Doktorant potwierdził, że należy do zespołu pracującego nad koticzakami niedźwiedziowatymi, a wówczas Wes w paru słowach przedstawił projekt Aleksa i spytał, czy mógłby skorzystać z ich spektrometru masowego.

– Oczywiście.

Doktorant zaprowadził ich do imponująco skomplikowanego mechanizmu. Wyglądał jak dwie zestawione pod kątem prostym zmywarki z ogromnym srebrnym cylindrem przytwierdzonym do jednej z nich i niezliczonymi przewodami łączącymi wszystko to w całość. Każdy typowy licealista zniósłby tłumaczenie, czym jest spektrometr masowy, najwyżej przez trzy minuty, ale Alex w ciągu pierwszych trzydziestu sekund wyraźnie dał do zrozumienia, że nie jest typowym licealistą. Chciał zobaczyć, udokumentować i zrozumieć każdy etap tworzenia izotopowej sygnatury, a doktorant się nie spieszył, wyjaśniał mu to jak koledze po fachu. Alex wyjął z kieszeni nowiutki telefon i zaczął robić zdjęcia, zaczynając od chemicznego procesu izolowania keratyny, a kończąc na analizie,

w jaki sposób następuje spalanie keratyny i określanie stosunku ciężkich izotopów do lekkich za pomocą magnesu.

– Ja cię – odezwał się Alex z podziwem, kiedy skończyli. – Niesamowite.

– Też tak pomyślałem, kiedy to zobaczyłem po raz pierwszy – odparł doktorant. – Masz szczęście. Ja miałem wtedy prawie trzydzieści lat.

– Naprawdę mam szczęście.

– Nie mogę ci pozwolić na użycie go, bo nie masz upoważnienia Stanfordu. No i chemia jest bardzo skomplikowana. Ale możemy zrobić dla ciebie parę prób.

Na twarzy Aleksa odmalowało się takie rozczarowanie, jakby święty Mikołaj wpadł przez komin i wyrwał mu z ręki jego prezenty.

Wes pokazał swój identyfikator. Wyjaśnił, że nie pracuje na wydziale nauk o Ziemi, ale może mogliby zrobić wyjątek, na co doktorant wręczył mu wizytówkę dyrektora laboratorium.

– Proszę go spytać – oznajmił. – A jeśli się nie uda, dajcie znać, jak mogę wam pomóc.

– To się musi udać – powiedział Alex, kiedy znowu szli przez plac. – Nie chcę, żeby ktoś robił testy za mnie. – Spróbował sobie wyobrazić, jak siedzi w domu, czekając, aż ktoś powiadomi go o wynikach. – Czy mógłbym przynajmniej tu być? Tylko obserwować?

– Zrobię, co będę mógł. – Wizytówka rysowała się pod cienkim materiałem kieszeni Wesa. Alex zapragnął ją wyjąć i od razu zadzwonić, tu i teraz. Ale dochodziła dziewiąta i była sobota. Wes wepchnął kartonik głębiej do kieszeni, jakby czytał w myślach syna.

– Zadzwonię do niego w poniedziałek z samego rana, obiecuję.

Alex westchnął.

– Niech będzie.

W milczeniu wsiedli do samochodu.

– Myślisz, że powinienem przetestować ptaka z każdego roku? – spytał, kiedy skręcili w Palm Drive.

– Nie sądzę. Chyba lepiej je podzielić na okresy, na przykład pięcioletnie. Potrzebujesz co najmniej od dziesięciu do piętnastu próbek na każdy okres. W ten sposób będziesz mógł zbadać, czy różnice między nimi są przypadkowe, czy też stanowią znaczące zmiany w piórach.

Alex zapisał to w notesie.

– Możesz mnie podwieźć do Yesenii? – rzucił, nie podnosząc głowy.

– Nie chcesz zjeść kolacji?

– Raczej nie. – Zażenowany swoją nagłą szczerością Alex poczuł na policzkach ciepło rumieńca. – To znaczy... zjem, jeśli chcesz.

– A nie mówiłem! Wiedziałem, że nie ma opcji, żebyś zechciał spędzić ze starym sobotni wieczór.

– Nie chodzi o to... – zaczął Alex, ale Wes mu przerwał.

– Nie szkodzi, naprawdę. – Lekko trącił go w skroń. – Żartowałem. Idź i baw się dobrze.

Alex markotnie pilotował Wesa do domu Yesenii i wyskoczył z samochodu, ledwie się zatrzymali.

– Hej! – zawołał za nim Wes. – Jak dotrzesz do domu?

– Jakoś dojdę.

– Na pewno? – Alex skinął głową. Wes przyjrzał mu się uważnie. W jego oczach malowała się niepewność. Nie wiedział, co mu wolno, a czego nie, i nie zamierzał dzwonić do Letty, żeby ją spytać o zdanie. W końcu wyjął ze schowka na rękawiczki flamaster, podwinął rękaw syna i napisał mu na przedramieniu numer. Wyglądało to jak tatuaż.

– Wpisz sobie do telefonu – rzucił – i zadzwoń, jeśli trzeba będzie cię podwieźć. Bez względu na porę.

W pokoju Yesenii paliło się światło. Alex widział je z ulicy i przez chwilę chciał zadzwonić do niej z nowego telefonu, ale w końcu wbiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz, i zapukał do drzwi.

– Kto tam?

– Ja.

Drzwi skrzypnęły. Yesenia miała na sobie piżamowe szorty w żółte motylki. Były to bardzo krótkie szorty i Yesenia nerwowo je obciągnęła, a potem poprawiła bluzę z kapturem, którą narzuciła na bluzkę.

– Myślałam, że się wyprowadzacie.

– Już to zrobiliśmy. A potem pojechałem z Wesem do laboratorium, no i mieliśmy iść na kolację, ale wołałem spotkać się z tobą. – Wyjął z kieszeni telefon. – Patrz.

– Od niego? – Yesenia wciągnęła go do swojego pokoju i zamknęła drzwi na klucz, choć matka była w pracy. – Pokaż.

Położył telefon na jej niepościelonym łóżku, a ona przesunęła go na poduszkę między nimi, usadowiła go jak trzecią osobę. Jego ekran był czarny i lśniący, bez skazy. Alex wytarł go, wchodząc po schodach. Yesenia odblokowała ekran i przejrzała puste kontakty, a potem znalazła w ustawieniach dzwonki. Zmieniła sygnał na elektroniczne ptasie trele, niepodobne do głosu żadnego znanego Aleksowi ptaka.

– Szkoda, że ty też takiego nie masz – powiedział Alex. – Moglibyśmy odbywać wideorozmowy.

Yesenia odłożyła telefon na poduszkę.

– Mama raczej nie uwzględniła w budżecie iPhone’a dla mnie.

Alex poczuł się jak idiota. I po co się z tym wyrwał? Carmen wypruwała sobie żyły dla córki, ale nigdy nie byłoby jej stać na komórkę. Nagle zawstydził się swojego bogactwa i schował telefon głęboko do kieszeni, byle usunąć go z pola widzenia. Rzucił się na wznak na łóżko i spojrzał w sufit. Yesenia przysunęła się do niego, wtulając brzuch w jego bok.

– Co robiłeś z Wesem? – spytała.

Alex westchnął z ulgą, że zmienili temat. Odwrócił się w jej stronę.

– Pracowaliśmy nad moim projektem.

– Tak? W jaki sposób?

– Zabrał mnie do laboratorium w Stanfordzie. W budynku nauk ścisłych, obok miejsca jego pracy, mają spektrometr masowy. Wes stara się o pozwolenie, żebym mógł z niego skorzystać.

Wzięła jego rękę, wsunęła ją sobie pod bluzkę, przesunęła nią po brzuchu aż do stanika.

– Co chcesz z nim zrobić?

Okazało się, że znacznie trudniej to wyjaśnić z ręką pod stanikiem.

– Pracuję nad sygnaturami izotopowymi – zaczął, ale potem jego ręce same sięgnęły na jej plecy, rozpinając stanik, i stracił jasność myśli.

Odsunęła go.

– No co, sama zaczęłaś – powiedział, usiłując utrzymać ją w objęciach.

Wymknęła mu się i usiadła.

– Ale nie potrafisz mówić i dotykać jednocześnie – odparła i dodała: – Najpierw mów. Potem dotykaj.

Alex westchnął, usiadł i odsunął się od niej. Ta odległość jakoś rozjaśniła mu w głowie.

– Rzecz w tym, że ptaki są tym, co piją. Woda, którą piją jako pisklęta, zostaje w piórach, które nie zmieniają się z czasem, więc kiedy się je analizuje, można dokładnie określić, gdzie przebywał ptak i czym się odżywił.

– Twój dziadek byłby zachwycony.

Alex wyszedł na korytarz, gdzie zostawił pudło z piórami, i położył je na łóżku. Zdjął przykrywkę i zaczął grzebać wśród kopert.

– Nie jestem taki pewien. To niszczące badanie. Nie sądzę, żeby chciał, aby zniszczono jego kolekcję, nawet w imię nauki.

Yesenia pokręciła głową.

– Skrzydła, pamiętasz? – Alex drgnął; aż do tej chwili nie przypominał tego sobie. Yesenia była przy nim, kiedy znalazł liścik – tego wieczora, gdy się dowiedział, że dziadek wyjechał na zawsze. Coś ścisnęło mu się w piersi, jak zawsze na myśl o dziadku. Yesenia też to poczuła. Zeskoczyła z łóżka, stanęła za

nim i objęła go w pasie. Była tak niska, że wsunęła mu głowę pod pachę, nie pochylając się. – Dziadek nie chciał, żebyś zrozumiał go dosłownie.

Mitu o Ikarze uczyli się w szóstej klasie. Alex przypomniał go sobie, zobaczył w wyobraźni ciężkie skrzydła z piór i wosku, skok z okna i lot ku słońcu.

– Przecież wiem.

Yesenia dotknęła jego zanurzonych w piórach dłoni.

– Czego szukasz? To znaczy... co spodziewasz się znaleźć?

– Jeszcze nie wiem. Wiem tylko, że chcę odnotować zmiany, jakie zachodziły w czasie. No wiesz, każdy może iść nad zatokę, wyrwać pióro czapli białej i poddać je jakimś zaawansowanym technicznie procesom, żeby stwierdzić, gdzie czapla była rok wcześniej. Ale nie wszyscy mogą uzyskać wyniki na podstawie badań piór tego samego gatunku, zebranych w tym samym miejscu w dwa tysiące piątym, tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym lub osiemdziesiątym piątym roku.

Właśnie to jedno wyróżniało kolekcję dziadka, który zgromadził pióra nawet sprzed trzydziestu lat, zebrane w tym samym miejscu i pracowicie opisane.

– Są aż takie stare?

– Aha.

– Niesamowite.

Yesenia w milczeniu wyjęła koperty i ułożyła je na łóżku.

– Mógłbyś poszukać toksyn.

– Tak myślałem. Ale ktoś pewnie ma w laboratorium całą kolekcję próbek gleby, które dowodzą obecności lub nieobecności toksyn lepiej niż pióra.

Yesenia zamilkła, układając pióra jedno za drugim, długi czerwony łańcuch.

– Naprawdę pióro zdradza, gdzie przebywał ptak?

– Tak sędzę.

Alex narysował na stole kształt kontynentu, jakby dzięki temu jego wyjaśnienia mogły stać się bardziej przejrzyste, ale Yesenia patrzyła tylko w okno, na nocne niebo.

– Więc możesz określić, gdzie migrują ptaki. Czy to, co się słyszy, jest rzeczywiście prawdą.

– Co?

– Że na Ziemi jest coraz cieplej.

Zmiana klimatu. To był dobry pomysł, nawet genialny. Patrząc na Yesenię, zastanowił się – nie po raz pierwszy – kim stałaby się w Mission Hills jako uczennica pana Everetta. Byłaby taka jak wszyscy jego koledzy, tylko lepsza, a tymczasem tkwiła w Bayshore, otępiła z nudy i strachu, i zajmowała się kolorowanką z planetami.

Znowu spojrzął w zeszyt.

– Zatem hipoteza wyjściowa brzmi tak, że nie ma żadnych zmian. –

Otworzył pudełko i zaczął się rozglądać za piórem jakiegoś gatunku, które dziadek mógł znajdować co roku od trzydziestu lat. Rudaczek kalifornijski. Karmniki zapewniały nieustanny dopływ czerwonych piórek. Przerzucił zawartość, aż na samym końcu pudełka znalazł kopertę z napisem „szkarłat V744, rudaczek kalifornijski, czerwiec 1995”. – A założenie jest takie, że jeśli ptaki lecą na południe, żeby dotrzeć do rejonów o pewnej konkretnej temperaturze, to może nie będą musiały już pokonywać takich dalekich dystansów.

– Właśnie – powiedziała Yesenia. – Ale żeby to stwierdzić, musiałbyś przeprowadzić eksperyment.

– Jeśli wygram. Cały eksperyment będę mógł przeprowadzić, tylko jeśli wygram.

Yesenia rozchyliła dłoń, w której ukryła dwa piórka, dokładnie w kolorze swoich włosów. Każde uniosła za ucho.

– Wygrasz. Jak mógłbyś nie wygrać, mając taką asystentkę?

– E, mogę ich potrzebować! – Wyciągnął rękę, ale odskoczyła, uciekła w jeden kąt pokoju, potem drugi, a kiedy przyparł ją do ściany, cofnęła się do łóżka i pozwoliła się na nie przewrócić. Alex jedną ręką odebrał jej piórka, a drugą ścisnął oba jej nadgarstki. Skrzywiła się z bólu.

– Przepraszam. – Puścił ją, cofnął się i ujął jej obie dłonie. Chciał podwinąć mankiety jej bluzy z długimi rękawami.

– Nie.

Wyrwała się mu.

– Pozwól mi zobaczyć.

– To nic takiego.

– Więc pozwól mi zobaczyć.

Unieruchomił ją i odchylił bandaż, żeby zobaczyć to, co zakrywał – długie zadrapanie, otoczone kółkiem żółtozielonych strupków – kolor infekcji. Natychmiast zrobiło mu się niedobrze, a żołądek się skręcił.

– Musisz iść do lekarza – powiedział, przypominając sobie własną infekcję, ale Yesenia potrząsnęła gwałtownie głową i cofnęła się.

– I właśnie dlatego nie chciałam ci tego pokazać. Nie chcę, żebyś się martwił. Nie chcę, żeby to w ogóle istniało! – W jej głosie zabrzmiała desperacja, a oczy zwilgotniały. – Chcę tylko, żebyśmy byli razem – dodała szeptem. – Tak jak przedtem.

Jak parę chwil temu, zanim jej ból wymusił wspomnienia. Chciała, żeby zapomniał, ale jak by mógł? Była taka malutka, a liceum w Bayshore takie wielkie. Położył się na łóżku i wciągnął ją na siebie, przytulił mocno, unieruchamiając ją. Całym sobą pragnął być z nią, chciał ją ochraniać.

I nagle do niego dotarło: mógł ją ściągnąć do Mission Hills. Nie do wiary, że do tej pory to mu nie przyszło do głowy. Tak bardzo pochłonęły go wyrzuty

sumienia, że przeoczył oczywistość. A gdyby zaczęła chodzić do szkoły razem z nim, mógłby ją chronić w każdej minucie dnia, codziennie.

Uniósł jej głowę i zajrzał jej w oczy.

– Chcę, żebyś chodziła do Mission Hills.

– Ja też. Ale wiesz, że nie mogę. Moja mama nie jest taka jak twoja.

Ale Carmen nie miała z tym nic wspólnego. Alex znalazł inny sposób.

– Mogę załatwić, żebyś tam chodziła.

Pokręciła głową.

– Nie możesz.

– Mogę. – Już to zobaczył, wyobraził sobie siebie i Yesenię biegnących do szkoły, logujących się do komputera za pomocą hasła pana Everetta i tworzących jej konto ucznia. – Musimy tylko powiedzieć, że mieszkasz ze mną.

– Ale dlaczego miałabym z tobą mieszkać?

– Możemy powiedzieć, że jesteś moją kuzynką. I właśnie się tu wprowadziłaś.

– Fuj.

– Nie byłoby „fuj”, gdybyś nie była moją dziewczyną.

Jakie zajęcia jej przydzielić? Byłoby zbyt oczywiste, gdyby na wszystkie chodzili razem. Prawdopodobnie. Ale nie uśmiechało mu się zostawienie jej samej nawet na godzinę. Uczniowie z Mission Hills byli pilniejsi, ale nie miłsi, a wielu było po prostu głupich. I nie tylko. Im dłużej o tym myślał, tym mocniej sobie uświadamiał, że w Mission Hills Yesenia byłaby tak samo prześladowana jak w Bayshore, z jedną różnicą: on mógł ją chronić. Więc będzie miała ten sam plan lekcji, dokładnie ten sam co on.

Yesenia przypełzła wyżej, tak że ich czoła znalazły się blisko siebie.

– Nie twoją dziewczyną? – powtórzyła. – Alex, czy ty ze mną zrywasz?

Ja z tobą nie zrywam, pomyślał. Ja cię ratuję.

Ale nie powiedział tego, tylko spytał:

– Wchodzisz w to?

Zagryzła wargę, a potem nabrała oddechu i uśmiechnęła się do niego.

– Kiedy zacznę?

Światło wpadające przez zachodnie okno pozwalało zaledwie dostrzec profil Luni na poduszce. Było nadal wcześnie, ale Alex wyszedł co najmniej godzinę temu. Nastawił sobie budzik i podgrzał jajecznicę, którą Letty schowała do lodówki poprzedniego wieczora. Odkąd się przeprowadzili, rzadko go widywała. Codziennie zostawał w szkole, żeby pracować nad projektem, a potem dzwonił do niej z nowej komórki, żeby ją powiadomić, że jedzie autobusem do Stanfordu, do Wesa – co Letty nauczyła się rozumieć jako: „jadę do Bayshore do Yesenii”, albo przynajmniej połączenie jednego i drugiego.

Powinna obudzić Lunę, ale jej się nie chciało i nie chciała też iść do pracy. Przez cały miniony weekend pracowała do spółki z Rickiem, co oznaczało, że była w restauracji dziewięć dni z rzędu, w tym dwa z córką. Rick prawie całe popołudnia spędzał w hali z Luną, więc nie była sama, ale i tak przeszkadzała, wdrapywała się mu na ramiona i zjeżdżała po plecach, ściagała się z nim do schodów ruchomych i z powrotem, podczas gdy Letty usiłowała się skupić na odmierzaniu alkoholu, co ciągle szło jej niezręcznie, i sprawdzaniu skomplikowanych przepisów, których nadal nie znała na pamięć. Teraz była zmęczona. Potrzebowała przerwy, a jeszcze bardziej czasu, żeby się rozpakować i zbadać tę skrzynię skarbów, jaką był jej nowy dom. Właściciele nie wynieśli z niego mebli i w każdej szufladce czekała inna niespodzianka: haftowane ściereczki do naczyń, ubranka dla lalek w szafie i cała apteczka pełna muszli. Ale najbardziej lubiła szuflady z narzędziami w salonie. Oprócz młotków, gwoździ i śrub najróżniejszych rodzajów znalazła kolekcję kryształów, suchych wianków i słoniopodobnego bożka z ciężkiego metalu. Słoń stał teraz na parapecie, a słońce odbijało się w jego złocistym grzbiecie.

Luna ziewnęła i przeciągnęła się, po czym przetoczyła się na skraj materaca i wstała. Dotarła chwiejnie do łóżka Letty, wpełzła pod kołdrę i wcisnęła kościsty tyłeczek w miękki brzuch matki.

– Zmarzłam.

Letty otoczyła ją ramionami i otuliła kocem po brodę. To najbardziej lubiła w ich nowej sypialni: powietrze, które przesączało się przez szpary we framugach, pachniało lasem, a nie spalinami. Odetchnęła głęboko, napęlniając płuca.

– Chcesz iść dziś do szkoły?

– Nie – odparła Luna z przyzwyczajenia. W ciszy Letty czuła, jak córka zastanawia się nad swoją szybką odpowiedzią – czy nadal jest aktualna. Codziennie przy kolacji Luna dodawała kolejny punkt do długiej listy spraw, za które uwielbia

swoją nauczycielkę – kolor jej włosów (nazywała go kolorem cytrynowego sorbetu), to, jak czyta opowiadania na głos, jej kolekcję szalonych kapeluszy. W końcu dziewczynka podniosła głowę z poduszki i spojrzała na Letty. – Mówisz, że mogę zostać w domu?

Letty opuściła jedną brew.

– Tylko nie myśl, że tak będzie ciągle – zastrzegła, a potem uśmiechnęła się konspiracyjnie. – Ale jeśli chcesz, to tak. Twoja babcia pozwalała mi na jeden dzień wolny. Tylko jeden w roku, jeśli miałam doskonałe stopnie – żeby pomóc jej zrobić tamale. Co byś powiedziała na to, że sprawdzimy, gdzie kończy się podwórko, a potem pomożesz mi w przygotowaniach do świątecznego przyjęcia?

– Wyprawimy świąteczne przyjęcie?

Tych dobrych wiadomości było za dużo. Luna wyskoczyła z łóżka, rzuciła się na swój materac, a potem wróciła do Letty.

– Oczywiście. A teraz włóż coś ciepłego, a ja zrobię śniadanie.

Po wielkich miskach owsianki z brązowym cukrem (albo w przypadku Luny brązowego cukru z owsianką) Letty zgłosiła w pracy, że jest chora, i usprawiedliwiła nieobecność Luny w szkole. Włożyły gumowce, których nie nosiły od wyjazdu z Przystani, i ruszyły do lasu. Letty chciała się przekonać, czy posiadłość otacza jakieś ogrodzenie, czy też las ciągnie się bez przeszkód na szczyt góry, a potem po jej drugim zboczu aż po ocean. Idąc krok przed Luną, prowadziła ją przez płataninę mącznic w stronę sekwoi. Ich buty stąpały cicho po podłożu, a Luna nieustannie zeskakiwała ze ścieżki i stawała na jednej nodze, jakby spodziewała się, że zacznie tonąć. Ale tutaj grunt był twardy.

Letty prowadziła córkę za rękę, zasypując ją pytaniami, żeby ją zająć i skłonić do marszu. Podstęp sprawdzał się przez jakiś czas, Luna trąkotała i szła bez sprzeciwów. Ale dziesięć minut później oznajmiła, że chce wracać. Nogi ją bolały i jest głodna. Znowu. Już.

– Masz.

Letty wyjęła z kieszeni paczkę gumisiów i wysypała je w stulone dłonie Luny.

– Ale to nie wystarczy – wybełkotała Luna ustami pełnymi gumowatych słodczy.

– Na razie nie możemy wrócić. Dopiero zaczęliśmy. – Letty zauważyła już kubański szpinak i dopiero teraz zrozumiała, dlaczego chciała się rozejrzeć: w jej ogródku rosły prawdopodobnie dziesiątki, jeśli nie setki ziół. Zamierzała się zorientować, czym dysponuje. Zastanowiła się, co mogłoby zająć Lunę, i powiedziała pierwsze, co przyszło jej do głowy:

– Nawet nie znalazłyśmy jeszcze jeżyn.

– Jeżyn? – O tej porze roku nie było szans na jeżyny, ale Luna o tym nie wiedziała i myśl o nich pozwoliła jej jeszcze przez pięć minut iść i szukać

wzrokiem kolczastych zarośli, które znała z ogródka pani Puentes na Przystani.

– Nigdy ich nie znajdziemy – powiedziała po chwili głosem niebezpiecznie zbliżającym się do kwękania.

– Na pewno nie znajdziemy, jeśli się poddamy.

Luna jęknęła. Stała i wdrapała się na kamień, na którym przewyższała matkę o dobre dwie głowy. Założyła ręce na piersi i rozstawiła szeroko nogi. Nie zamierzała się stąd ruszyć.

– No chodź, jeszcze tylko parę kroków.

– Już zrobiliśmy parę kroków.

– Jeszcze parę.

Luna potrząsnęła głową. Jej warkoczyki świsnęły jak bicze.

– Pobawmy się, że zgubiliśmy się w lesie i będziemy musiały znaleźć sobie następny posiłek.

– Nie mogę. Umrę z głodu.

– Proszę bardzo – warknęła Letty, poddając się bezradnej wściekłości. To miał być idealny wspólny dzień. – Ja idę na wyprawę. A ty tu zostań i umrzyj z głodu.

– A umrę! – wrzasnęła Luna. – Patrz!

Upadła dramatycznie, z głową zwieszoną ze skały, oczami wywróconymi białkami do góry i językiem wystającym z kącika ust. Letty wbrew sobie parsknęła śmiechem.

– O, nie umieraj! – załkała i Luna także zaczęła się śmiać. Wyrwała się z niby rozpaczliwych objęć matki i sturlała z kamienia. Letty upadła na nią, przygniatając ją do ziemi. Splątane w uścisku zaśmiewały się gwałtowniej, niżby to usprawiedliwiała sytuacja, z ulgi, że przestały się kłócić tego jednego wolnego dnia w roku.

Kiedy się uspokoiły, Letty spróbowała ostatni raz.

– Jeszcze tylko pięć minut, daję słowo. Szukam czegoś.

– Czego?

– Składników. Do jedzenia.

Luna zerwała się bez chwili wahania.

– Dokąd idziesz? – zawołała Letty, ale dziewczynka już zniknęła. Pobieгла w stronę, z której przyszły. Letty rzuciła się za nią. – Ej! Jak możesz tak szybko biec, skoro bolą cię nogi?

W odpowiedzi Luna zrzuciła gumki i biegła dalej. Letty zatrzymała się, żeby je podnieść, i popędziła za nią. Gdy wreszcie ją dogoniła, Luna leżała na plecach w wypielęgnowanym ogrodzie różanym między chatką a dużym domem. Jej pierś unosiła się i opadała pod naszywaną cekinami bluzą.

– Jadalne! – wysapała z uśmiechem, wskazując otaczające je róże.

Letty uśmiechnęła się do siebie. Sama ją tego nauczyła pierwszego dnia

w ich nowym domu. Płatki, owoce – czerwone, zwarzone na mrozie – to wszystko nadawało się do jedzenia.

Upadła na ziemię obok córki.

– Sama jesteś jadalna! – rzuciła, udając, że skubie zębami jej policzek. Niebo było jasne i bezchmurne; ostatnie kwiaty wisiały nad nimi jak papierowe pompony na błękitnym tle.

Leżały tak, aż ich oddechy się uspokoiły. Później Letty zniknęła za chatką i wróciła po paru minutach z sekatorem i kubelkiem. Zebrała płatki róż z krzaków, a Luna zerwała ostatnie owoce granatu z drzewa, a potem spędziły bałaganiarski poranek przy kuchennym stole. Letty zrobiła grenadynę z granatów według przepisu z książki kucharskiej, a potem zalała wódką kwiaty mniszka i igły sosnowe. Gdy skończyły, ustawiły swoje dzieła na parapecie; słońce prześwietliło ciemnopurpurową grenadynę i unoszące się w płynie rośliny.

– Ładne.

– Tak. I będą smaczne.

– Mogę spróbować?

– Możesz spróbować tego – oznajmiła Letty, wskazując grenadynę. – Kiedy będzie gotowe.

– Dlaczego nie teraz?

– Bo nie jest gotowe. Poza tym musimy zrobić ciasteczka.

Najpierw zjadły obiad, a potem zajęły się pieczeniem ciastek z kawałkami czekolady. W chwili gdy Luna zaczęła wylizywać prawie pustą miskę, na zwirowym podjeździe zatrzymał się samochód. Luna pisnęła, a Letty w pierwszym (irracjonalnym) impulsie pomyślała, że to rodzice wrócili, ale kiedy wybiegła na ganek, zobaczyła Ricka wysiadającego z toyoty highlander. Luna skoczyła mu w ramiona i usiłowała go nakarmić mokrą pecynką ciasta, skapującą jej z lepkiego palca. Rick odwrócił głowę i zaczął ją łaskotać.

– Skąd wiesz, gdzie mieszkamy? – spytała mała, kiedy postawił ją na ziemi.

– Mały ptaszek mi powiedział.

Luna wytłumaczyła sobie jego odpowiedź.

– Mój dziadek?

Rick zmarszczył brwi i spojrzał na Letty, pytając o wyjaśnienie, ale ona tylko wzruszyła ramionami. Tak dużo czasu spędziliśmy ostatnio razem, pomyślała, ale tak wielu rzeczy o mnie nie wie. Luna wzięła go za rękę i weszli do domu.

– Podobno zachorowałaś – powiedział.

Letty pokręciła głową.

– Na lenia.

Weszła do środka. Rick poszedł za nią. Zdjął buty i ustawił je przy drzwiach wejściowych obok gumiaków Luny.

– Znam to uczucie.
– A ty dziś nie pracujesz?
– Dopiero o piątej. Chcieli, żebym cię zastąpił, ale powiedziałem, że jestem zajęty.

– Czym?
– A nie widać? Odwiedzaniem ciebie.

Odwróciła się, żeby ukryć uśmiech, i poszła do kuchni, gdzie powitał ich bałagan na stole.

– Co to? – spytał Rick.
– Przygotowania do świąt.
– Już?

– Moja mama zawsze robi tamale i je zamraża. Też chciałam, ale przypomniałam sobie, że właściwie ich nie lubię. Więc zrobiłyśmy ciastka. I napoje.

– To niewiele jak na świąteczną kolację.

Pomyślała o tym już wcześniej, piekąc ciastka. Rzuciła Rickowi chytry uśmiech.

– Nie mówiłam ci? Ty zrobisz kolację.
– To mam nadzieję, że będą też jakieś dobre drinki.

Rick pomógł jej zanieść brudne talerze do zlewu i stanął obok niej, kiedy odkręciła wodę. Muskał rękami jej ramiona, zanim Luna wpadła do kuchni. Cofnął się szybko i poprosił, żeby opowiedziała, jak im minął ten poranek. Dziesięć minut później, gdy Letty skończyła zmywać, nadal słuchał, siedząc przy stole z Luną na kolanach.

– Mniem – powiedział, gdy wyliczyła składniki z obu butelek. – Podzielisz się?

Luna zmarszczyła nos.

– Zastanowię się – oznajmiła niechętnie, na co Rick zaczął ją łaskotać, aż krzyknęła bez tchu: – Tak, tak, tak! Dobrze. Ale jeszcze nie są gotowe. Tak powiedziała mama.

– No, mama tu rządzi – odparł Rick, mrugając do Letty i wypuszczając Lunę z objęć.

Dziewczynka wspięła się na palce, umyła lepkie ręce i odeszła, kapiąc z nich wodą. Letty dogoniła ją ze ścierką.

– Co teraz będziemy robić?

– Robimy placek – odparła Letty, spoglądając na Ricka, który skinął głową.

– Chcesz pomóc?

– Już się zmęczyłam – pożaliła się Luna.

– No to jesteś zdana na siebie.

– Ale ja nie mam co robić. – Skarżyła się na to od przeprowadzki. Letty nie

zabrała starego telewizora, ponieważ wielkie pudło nie zmieściłoby się w domku, ale także dlatego, że czuła się winna. Przez tyle miesięcy sadzała córkę przed telewizorem, żeby móc coś zrobić albo odpocząć – to drugie częściej. Maria Elena rzadko pozwalała dzieciom oglądać telewizję i jakoś dawała radę. Ale dzisiaj, po całym ranku z córką, a teraz z Rickiem w kuchni, Letty zatęskniła za taką opcją.

– Mam propozycję – zaczęła. – Jeśli udowodnisz, że potrafisz się bawić bez telewizora, pomyślę o nim. Na wyjątkowe okazje, kiedy naprawdę nie będzie nic do roboty. Czyli prawie nigdy.

Luna skinęła poważnie głową i wyciągnęła rękę, żeby przybić umowę.

– To uciekaj na dwór. Zbuduj fort. Poszukaj ptaków. Cokolwiek.

Drzwi z siatki otworzyły się i zamknęły z trzaskiem.

– Tylko tak, żebym cię widziała! – zawołała za nią Letty, ale Luna nie odeszła dalej niż przed schodki ganku i zaczęła dłużyć palcem w ziemi koło stopnia, gdzie lubiły się gromadzić zwijające się w kulkę pędraki. Letty wróciła do kuchni i wyjęła składniki na placek: jabłka, mąkę, masło, cukier, cynamon. Przetarła miskę, a Rick umył ręce i otworzył torbę mąki. Był już ubrany w czarną koszulę, którą nosił w pracy. Mąka uniosła się białym obłokiem i osiadła smugami na czerni.

– Pozwolisz? – spytał i rozpiął koszulę, pod którą miał białe podkoszulek.

– Oczywiście – powiedziała Letty, ale serce jej załomotało. Pamiętała ich pierwszy pocałunek i drugi, trwający na tyle długo, że spóźniła się po Lunę – błąd, który kosztował ją piętnaście dolarów kary. Rick odwiesił koszulę na krzesło i pochylił się nad książką kucharską. Zza wycięcia jego podkoszulka wyzierały ozdobne litery tatuażu.

– Nie wyglądasz na kogoś z tatuażem – odezwała się Letty, włączając piecyk i pochylając się nad przepisem obok Ricka.

– Wiem. Chciałem go sobie usunąć, ale mam go tak długo... nie wyobrażam sobie siebie bez niego.

– Kiedy go zrobiłeś?

– Jako osiemnastolatek. Więc mam go prawie dwanaście lat.

Letty pomyślała o zdjęciu w prawie jazdy Ricka. Wręczyła mu obieraczkę i torbę zielonych jabłek.

– Wyjaśnij mi, co to znaczy?

Rick odchylił dekolt podkoszulka, żeby mogła przeczytać łaciński napis. Podeszła bliżej. Litery miały rozmyte krawędzie – niewprawna ręka lub tani tusz – ale i tak jej się podobały, zielononiebieska tajemnica, zdobiąca jego ciało.

– Może – odparł, unosząc brew. – Zależy.

Podszedł do niej, wziął jej rękę i zbliżył ją do swojej skóry. Muskając nią delikatnie kolejne litery, przetłumaczył słowa, po których przesunął się jej palec wskazujący: „Nasza tożsamość rodzi się z miłości”.

Luna wpadła do kuchni. Letty opuściła rękę, ale Luna zdążyła to zobaczyć, z czerwonymi policzkami popędziła do swojej sypialni i wróciła z niej z kocem. Trzasnęła drzwiami i już jej nie było.

Letty zaczęła robić ciasto. Odmierzyła mąkę do miski, w milczeniu dodała sól i masło, a potem kolejne łyżki wody. Rick precyzyjnie obierał jabłka.

– No więc o co chodzi? – spytała w końcu.

Westchnął.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Tak.

Odłożył obrane do połowy ostatnie jabłko i opowiedział: znał pewną dziewczynę, właściwie kobietę. Poznał ją w restauracji ojca tuż po swoich osiemnastych urodzinach.

– Oszalałem dla niej. Tak jak można oszaleć tylko w młodości, wiesz?

– O, wiem.

Natychmiast pożałowała, że to powiedziała. Rick spojrzał na nią.

– Ile miałaś lat?

– Szesnaście, kiedy się zesłaliśmy. Osiemnaście, kiedy wyjechał na studia.

Zaczęła zagniatą ciasto, czekając, aż Rick podejmie opowiadanie, a kiedy tego nie zrobił, poprosiła:

– Opowiedz mi o niej.

– Była piękna. Choć czasem zastanawiam się, czy nadal bym tak uważał.

Letty pomyślała, jak wyglądał Wes, kiedy wrócił – splątane włosy zasłaniające jedno oko, gładka, piegowata od słońca skóra.

– Pewnie tak.

– Może. Ale była dziesięć lat starsza ode mnie. Kucharz zmianowy, kiedy ja byłem tylko pomocnikiem. Nie była klasyczną piękną, ale miała wielką wiarę w siebie. Rozbierała się do naga pod jarzeniówkami w spiżarni jak w mroku hotelowego pokoju, a jak się pyszniła swoim ciałem... Boże, uwielbiałem to. Dziewczyny z mojej szkoły wyglądały jak patyki, co tydzień robiły sobie paznokcie i zawsze były odstawione jak do kościoła, ale Mel – tak miała na imię – była nieporządna. I gadatliwa, i zabawna. Ja też stawałem się przy niej zabawny, dowcipny, odważny i romantyczny. Wydobyła ze mnie wiele cech, o które się nie podejrzewałem, dopóki jej nie poznałem. Stąd ten tatuaż.

– Ciężki przypadek bycia osiemnastolatkiem. – Letty uśmiechnęła się, myśląc o sobie i Wesie w tym samym wieku. Też mieli skłonność do takich profetycznych deklaracji.

– Coś w tym stylu.

– Pewnie byśmy się polubili. – W cieście nadal znajdowały się grudki mąki, ale jakoś się trzymało. Letty wyjęła z szafki deskę do krojenia i oprószyła ją mąką.

– A potem co?

– A potem wyjechała do Connecticut ze swoim mężem.

– Oj.

Nastąpiła chwila ciszy. Rick dokończył obieranie ostatniego jabłka i wyrzucił skórkę do kosza.

– Więc dlaczego zachowałeś ten tatuaż? Czemu go od razu nie usunąłeś?

– Nie wiem – powiedział z namysłem. – Chyba wydawało mi się, że to prawda, mimo tego, co zrobiła.

– Bo to prawda. I to twoja historia. Powinieneś go zachować.

Podawała mu nóż i patrzyła, jak pedantycznie kroi jabłko w kostkę. Z miejsca, w którym stała, widziała tylko słowo „amor”. Miłość.

– Spotkaliście się jeszcze?

Rick pokręcił głową. Letty z roztargnieniem wyrzuciła do zlewu grudkę wilgotnego ciasta.

– Ja nigdy nie sądziłam, że jeszcze zobaczę Wesa. – Spory przeskok, z jego problemu na jej. Rick skinął głową. – Po paru pierwszych latach przestałam nawet sobie wyobrażać, jak to wytłumaczyć.

– Co?

Powiedziała to celowo. Pragnienie oczyszczenia było silniejsze niż chęć ukrycia swojego mrocznego ja. Zanim zdążyła przemyśleć tę decyzję, usłyszała słowa, lejące się z jej ust. Nieplanowana ciąża, szok na wieść o niej i odejściu Wesa, to, jak chciała mu powiedzieć, i wszystkie powody, dla których nie mogła się na to zdobyć, a potem wstyd, i to, jak okropną była matką.

– To była głupia, zła, egoistyczna decyzja. Teraz, kiedy jestem matką – prawdziwą matką – rozumiem, co mi zrobiłam. I niedobrze mi się robi.

– Jak to „prawdziwą”?

– O Boże, Rick, nie pamiętasz, jaka byłam, kiedy mnie poznałeś? Nie miałam pojęcia, co robię. – Rick wrzucił jabłka do cukru i cynamonu, a wówczas wyjawiała mu drugi sekret, ten, którego nie potrafiła przekazać Wesowi – że całymi latami nie interesowała się dziećmi, a jej obowiązki przejęła matka. Że ominęło ją wszystko, co ważne. Nie powiedziała tego nikomu, nigdy, a teraz poczuła, jakby uwolniła się od fizycznego ciężaru.

Kiedy skończyła, Rick umył ręce i odwrócił się do niej.

– Teraz wszystko rozumiem. Kiedy po raz pierwszy kupiłem Lunie lukrecjową wstążkę, spojrzałaś na mnie, jakbym dokonał jakiejś czarodziejskiej sztuczki.

– Bo dokonałeś – odparła, a potem, przypomniawszy sobie, dodała: – O rany, pamiętasz tamten dzień?

– NIC nie jest w porządku! – zawołał Rick, przedrzeźniając Lunę i uderzając się pięściami w uda dokładnie tak jak ona. Letty zaczęła się zaśmiewać, aż Rick musiał ją podtrzymać, a kiedy ją wreszcie puścił, miała załzawione oczy.

– Rick, nie mam pojęcia, co bym bez ciebie zrobiła.

Otarł jej kciukiem łzę. Cofnęła się, aż wpadła na blat, a on wparł się w nią całym ciałem. Bez przekonania usiłowała mu się wyrwać, ale nie mogła i nie chciała – więc zaczął ją całować, a ona jego, z żarem, który został w jej ciele, gdy wreszcie zdołała się zmusić, by go odepchnąć.

– Co się stało? – Wyrzwał przez okno, gdzie pod zaporą z krzaków róż widać było tylko stopy Luny.

Letty westchnęła, szukając właściwych słów.

– Nie chcę tego spać.

– Dlatego mnie odtrącasz?

– Nie odtrącam – odparła, ale przecież na jego piersi nadal było widać mączne ślady jej dłoni, biel na bieli. – Tylko dbam, żeby cię nie wciągnąć w to bagno. Przynajmniej do chwili, kiedy jakoś się ogarnę.

– Na to już za późno. – Mąka osypała się z jego podkoszulka na czarne skarpetki. – To przez Wesa?

Skinęła głową, a potem zaprzeczyła.

– Nie wiem.

– Musisz wiedzieć.

– Ale nie wiem.

Rick zajrzał jej głęboko w oczy, szukając prawdy.

– A ja wiem – oznajmił i zaczął, aż spyta, ale ona tego nie zrobiła, bo nagle ogarnęło ją przeświadczenie, że wie, co teraz nastąpi. – Zakochuję się w tobie – szepnął. Jego nieproszone słowa zawisły w powietrzu. Letty wyrwała przez drzwi, usiłując dostrzec Lunę w krzakach róż, a Rick zrobił krok naprzód i podjął: – Ale nie będę siedzieć i czekać, aż załatwisz sprawę z innym. Nie będę twoim wyjściem awaryjnym.

– Nie chcę, żebyś nim był.

– Więc czego chcesz?

Czego chciała? Nie wiedziała. Wiedziała tylko, że wszystkie dobre rzeczy, które spotkały ją przez ostatnie miesiące, wydarzyły się dzięki Rickowi. Gdyby nie on, nadal tkwiłaby w robocie, przygotowując okropne drinki, nie zarabiając i mieszkając w opuszczonym bloku na Przystani. A on wszedł w jej życie, zobaczył ją, ledwie sobie radzącą, nieuporządkowaną, niekompetentną, i jakoś, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, pokochał ją taką, jaka była.

Odwróciła się od niego i spojrzała na przepis, szukając jakiegokolwiek oparcia, ale następna wskazówka prowadziła donikąd: „zamrozić na cztery godziny”. Poddała się, wcisnęła miskę z kulą ciasta do lodówki i zatrzasnęła drzwi. Spojrzała na Ricka, położyła mu rękę na brzuchu, a potem na pasku dżinsów, przyciągając go do siebie.

– Chcę ciebie – powiedziała. – Tylko tyle wiem. I potrzebuję.

Rick westchnął, rozluźniając się pod jej dotykiem.

– Czego potrzebujesz?

Stojąc tak blisko, że czuła na czubku głowy jego drapiący podbródek, pomyślała o wszystkim, czego potrzebowała i czego nie mogła wyjawiać. Potrzebowała jego wiedzy, jak postępować z jej dziećmi, odwracać ich uwagę, zajmować czymś innym i rozśmieszać, potrzebowała jego umiejętności robienia drinków, wyznaczania celu i zmierzania do niego, a nade wszystko potrzebowała jego obecności w domu, jego piersi, której mogłaby dotknąć, bicia jego serca pod jej dłońmi, tego powolnego, miarowego rytmu.

– Żebyś przyszedł na moje przyjęcie świąteczne – szepnęła. Rick przyjrzał się jej uważnie. Miała nadzieję, że zobaczył w jej oczach te wszystkie inne sprawy, których potrzebowała i o których nie mogła mu powiedzieć. – I coś ugotowałam.

Rick stał, wyraźnie niezdecydowany. W końcu odezwał się cicho, głosem zachrypniętym z emocji:

– Dobrze. Przyjdę.

Wziął koszulę, zapiał ją w milczeniu i włożył buty. W ogrodzie pożegnał się z Luną, która skoczyła mu na szyję, oplatając go nogami w pasie. Błagała, żeby jeszcze został. Letty patrzyła na nią, rozpaczliwie żałując, że nie ma sześciu lat i nie może się tak zachować.

Bo nie mogła.

Była trzydziestotrzylatką, kobietą i matką, i mogła tylko siedzieć w milczeniu i patrzeć, jak Rick odchodzi.

Alex musiał pożyczyć klucze pana Everetta. Pracując nad projektem, sprawdzał stosunek miejsca pobytu nauczyciela do jego kluczy z uwzględnieniem pola widzenia wszystkich w klasie. Ale nadszedł ostatni tydzień przed feriami zimowymi, a on nadal obserwował i czekał i ani na krok nie zbliżył się do swojego celu.

Tego dnia w klasie panował wyjątkowy gwar i chaos. Uczniowie spierali się wśród porzucanych sztyftów z klejem i pisaków, wykańczając projekty. Alex zostawił swój w domu – rząd piór, które przykleił, nadal nie wysechł – więc siedział przy stoliku, dzieląc uwagę między książkę o migracjach kolibrów a komórkę. Czekał na SMS-a od Wesa. Pan Everett pozwalał na używanie telefonów (dopóki służyły jako pomoce naukowe, a nie pomoc w plotkowaniu czy podrywaniu), więc nie musiał go ukrywać tak jak na innych zajęciach. Wyjął iPhone'a i przejrzał historię SMS-ów do ojca.

Pierwsze były krótkie i niezręczne. „Co tam?”. „Nic”. Potem dwa dni milczenia i: „Kolacja?”. „Tak”. Ale w miarę rozwoju projektu ich rozmowy stały się dłuższe. Kiedy Alex wysłał ojcu pierwsze pytanie naukowe, Wes odpowiedział ośmioma SMS-ami, dwoma zdjęciami i linkiem do laboratorium w Purdue. Od tej pory prawie nie przestawali ze sobą rozmawiać przez całe dni. Raz Wes przysłał mu wiadomość w środku nocy: „Musimy pogadać o poziomie istotności”, a potem: „Przepraszam, nie wiedziałem, że to ta godzina!”, na co Alex odpowiedział: „Nie śpię! I myślę o tym samym!”.

Właśnie zajął się książką, kiedy komórka na jego ławce zawibrowała. Przyszedł oczekiwany SMS. Wes znalazł naukowca słynącego z map przedstawiających zawartość stabilnych izotopów w wodzie we wszystkich rejonach planety i wysłał Aleksowi link do najnowszej mapy Ameryk. Alex kliknął na niego i otrzymał zbliżenie wybrzeża kalifornijskiego. Otworzył zeszyt, żeby sprawdzić swoje wyniki – czekając na decyzję w sprawie użytkowania laboratorium, Wes zapłacił za przeprowadzenie paru testów na próbkach.

– Ha! – zawołał, widząc, że liczby się zgadzają. – Ha!

Stojący za jego plecami pan Everett zaśmiał się cicho. Alex nie uświadamiał sobie, że krzyknął.

– Pracuj dalej – powiedział nauczyciel. – Nie zwracaj na mnie uwagi.

Wrócił do regału, trzymając w objęciach ciężkie pudło, a w dłoni – klucze. Położył je na półce i zaczął wyjmować z pudełka lśniąca kolby stożkowe. Potem wrócił za biurko, niosąc puste pudło.

Klucze zostawił.

Alex wstał, żeby wyjść do łazienki, zgarnął pęk kluczy i zniknął za drzwiami.

Zatelefonował do Yesenii natychmiast po lekcjach. Dzwonił raz po raz, aż wróciła ze szkoły i oddzwoniła.

– Mam!

Nie powiedziała: „Wreszcie!”, choć wiedział, że to pomyślała. On też. Te tygodnie ciągnęły się w nieskończoność. Myślał, że będzie łatwiej, kiedy wszyscy skupią się nad projektami, ale zaczął się już przedświąteczny tydzień. Ich wielkie prezentacje miały się odbyć następnego dnia.

– Gdzie mam się z tobą spotkać? – spytała.

– Na kładce dla pieszych. O jedenastej?

Przytaknęła i rozłączyli się. Alex, którego roznosiła nerwowa energia, postanowił ugotować kolację dla matki i siostry i przetrząsnął kuchnię, szukając składników na coś, co potrafiłby przyrządzić. Zdecydował się na jajka sadzone z bekonem i sałatkę owocową. Przygotował całe fury jedzenia, zanim dotarło do niego, że do tej pory nigdy nie gotował dla matki, ani razu, więc zamiast nakryć do stołu, wyrzucił jedzenie do śmieci, wyniósł je i w każdym pokoju zapalił dziesięć zapalek, żeby stłumić zapach jedzenia. Kiedy Letty wróci do domu, nic nie może odbiegać od normy – nie chciał, żeby choć przez chwilę zaczęła go podejrzewać.

Ale jeśli Letty coś poczuła, to tego nie skomentowała. Przyszła wieczorem do domu z chińszczyzną na wynos, którą zjedli ze styropianowych pudełek na ganku. Letty była wyczerpana, ale usiłowała pytać go o projekt, żeby przygotować go na następny dzień. Niepotrzebnie, był już przygotowany. Odpowiedział na wszystkie pytania, a potem zaczął odrabiać inne lekcje, zaś matka położyła Lunę do łóżka. Letty zasnęła w połowie kołysanki, a wówczas Alex wyszedł z domu, nie chcąc, żeby Yesenia przyszła na kładkę pierwsza i czekała na niego w ciemnościach.

Ale droga z nowego domu zajęła mu ponad godzinę i kiedy dotarł na miejsce, już czekała, oparta o siatkę. Była ubrana na czarno – dobry pomysł, uświadomił sobie, choć sam na to nie wpadł. Nie pomyślał o tym, bo aż do tej chwili nie docierało do niego, że łamiał prawo. Nikogo nie krzywdził, niczego nie kradł, tylko pożyczał klucze, hasło i komputer nauczyciela. Ale to prawdopodobnie było niezgodne z prawem.

– Cześć – odezwała się Yesenia ze strachem i radosnym oczekiwaniem jednocześnie.

– Gotowa?

– Chyba tak.

– Nie musisz iść, wiesz? – Po drodze przeanalizował wszystko i postanowił, że jeśli cokolwiek w operacji „Szkoła dla Yesenii” zacznie się psuć, każe jej poczekać na ulicy.

– Ale chcę.

W drodze do szkoły milczeli. Z każdym krokiem ich zdenerwowanie rosło. Alex usiłował się uspokoić, wyliczając wszystkie powody, dla których nie zostaną przyłapani: jest środek nocy, ciemno, a on ma klucz. Zna hasło i orientuje się w pracy szkolnego systemu komputerowego. Wszystko zajmie góra dziesięć minut.

W skrzydle sztuk pięknych paliły się światła; za trzymetrowymi oknami Alex widział pana Mendozę, który szedł przez pracownię ceramiczną, ciągnąc kubek na śmieci na kółkach. Alex ucieszył się z jego obecności – to znaczyło, że alarm, jeśli istniał, nie został włączony. O nim także nie pomyślał aż do tej chwili i sama ta możliwość sprawiła, że serce zabiło mu mocniej – co jeszcze przegapił? Szedł dalej z Yesenią wzdłuż ściany budynku, obok stołów, przy których codziennie jadł obiad, długimi krużgankami skrzydła nauk ścisłych.

Yesenia stanęła na czatach na końcu krużganka, a Alex otworzył drzwi. Wezwał ją skinieniem głowy. Razem wkradli się do klasy. Yesenia trzymała go za pasek, kiedy po omacku przesuwiał się przez pomieszczenie. Sięgnął pod biurko pana Everetta i włączył jego komputer.

System ładował się w nieskończoność. Ekran z czarnego stał się niebieski, a potem nastąpiła ciągnąca się jak wieczność chwila, kiedy wszystko wyglądało normalnie, ale kursor myszki nie chciał się ruszyć. Gdy w końcu drgnął, Alex otworzył program i przejrzał tabelę uczniów, by stworzyć profil nowej uczennicy: Yesenii Lopez-Vazquez, płeć: żeńska, wiek: 15 lat, adres: 7 Woodbridge Court. W miejscu, w którym powinien się znajdować numer jej komórki, Alex wpisał dziesięć przypadkowych cyfr. Formularz był o wiele dłuższy, niż się spodziewał, i wymagał nieznanego mu informacji, w tym zaświadczeń o szczepieniach i dat. Alex wpisał datę pod każdym szczepieniem, początkowo usiłując sobie przypomnieć, kiedy sam je miał, a potem, gdy to okazało się zbyt czasochłonne, zmyślając. Pod kartą szczepień znajdowało się puste miejsce na opis chorób ucznia. Spojrzał pytająco na Yesenię, a kiedy pokręciła głową, wpisał „brak”. Gdy wypełnił profil, system przekierował go do wyboru zajęć. Wpisał własne z tego semestru: od pierwszej lekcji angielskiego po ostatnią gimnastyki. Już uprzedził Yesenię, że będzie musiała poczekać w bibliotece zajęcia przed lekcjami – umieszczenie jej w klasie pana Everetta bez jego zgody byłoby zbyt ryzykowne.

Miała zacząć w styczniu, pierwszego dnia po przerwie świątecznej. Nie wzbudzi niczyjej ciekawości. On przedstawi ją wszystkim i powie znajomym, że Yesenia właśnie się wprowadziła, i nikt nie będzie dociekać, dlaczego ani skąd przybyła, bo jego też nikt o to nie pytał. Po prostu stał się jednym z nich i ona wkrótce będzie także. Skończył i kliknął „drukuj” – z drukarki pod przeciwległą

ścianą wysunęła się pojedyncza kartka. Alex wręczył ją Yesenii.

– I to już? – szepnęła.

Skinął głową i wyszedł z programu. W zimnym świetle komputerowego ekranu poszli cicho do drzwi i zamknęli je za sobą na klucz.

Całą drogę do Bayshore pokonali biegiem. Yesenia biegła szybko jak jeszcze nigdy w życiu. Kładki dla pieszych dopadli zziębnięci, ale nabuzowani adrenaliną. Ich milczenie rozładowało się w głośnym śmiechu. Udało się! Yesenia przyłożyła swój plan zajęć do siatki zabezpieczającej i odczytała go w światłach przejeżdżających w dole samochodów.

– Dziękuję – powiedziała niepotrzebnie. Przecież zrobili to razem.

– Jesteś zmęczona?

Pokręciła głową. W domu nikt na nią nie czekał. U Aleksa także nikt nie zauważyłby jego nieobecności. Trzymając się za ręce, zeszli po schodach i ruszyli przez Mile Road koło Przystani aż na brzeg.

Upłynęło sporo czasu, odkąd spotykali się na molo; oceaniczne powietrze było zimniejsze, niż zapamiętał, i wilgotne. Usiedli, Alex zdjął kurtkę, a potem, po chwili, także bluzę. Rozłożył bluzę na ziemi i położył się na niej.

– Nie zimno ci? – spytała Yesenia.

– Nie będzie. – Chwycił ją i pociągnął na siebie. Przykrył ich oboje kurtką. Teraz było mu już ciepło, ale byłoby cieplej, gdyby ona także zdjęła bluzę, gdyby ich nagie ciała się dotknęły. Ona pewnie pomyślała to samo, bo pozbyła się kolejnych warstw ubrań, spod których ukazał się stanik. Wówczas położyła się na Aleksie i mocno do niego przywarła.

– Co to?

W kieszeni nadal miał klucze pana Everetta. Przesunął Yesenię, włożył rękę do kieszeni i wyjął je.

– Chciałem je odłożyć na miejsce przed wyjściem...

– A co z odciskami palców? Lepiej zniszczyć dowód.

– Oglądasz za dużo telewizji – odparł i nagle pomyślał o Marii Elenie. Jej dezaprobata uderzyła go gwałtownie i niespodziewanie.

– Jednak mam rację. – Wskazała głową zatokę.

Może i tak było. Nie chciał narobić kłopotów panu Everettowi, który musiałby dorabiać nowe klucze, ale jeszcze bardziej nie chciał dać się złapać. Usiadł i rzucił klucze do wody, zanim zdążył się rozmyślić. Patrząc, jak kręgi na wodzie stają się falami, a klucze opadają na dno zatoki.

Kiedy odwrócił się do Yesenii, była naga od pasa w górę. Przeraziło go to i podnieciło jednocześnie – widok jej ciała w blasku księżyca. Piersi i brzuch nad paskiem czarnych dżinsów miała nieskazitelne, bez blizn, które przecinały się na

jej krzyżu i nogach. W równym stopniu chciał na nią patrzeć i okryć ją, ukryć, żeby nikt oprócz niego nie mógł jej takiej widzieć, nigdy. Pociągnął ją w dół i przygniótł swoim ciałem, gwałtownie całując. Rozpięła mu guzik dzinsów. Jeszcze nigdy nie była tak śmiała, ale nie zatrzymywał jej, starał się ją naśladować i zaczął się siłować z zapęciem jej spodni przez ciągnącą się w nieskończoność krępującą chwilę, aż wreszcie zdjęła mu spodnie, a potem pozbyła się swoich.

Po raz pierwszy leżeli nadzy. Ich nogi wyglądały spod kurtki, jego długie, jasne i owłosione, jej krótkie, smagłe i idealne tylko w jego oczach. Nagle ogarnęło go onieśmienie, ale jego ciało było odważne, dążyło do kontaktu. Odsunął się, lecz przetoczyła go na plecy i znowu się na nim znalazła, więc nie pozostało mu nic oprócz kapitulacji.

Ujęła jego twarz i pocałowała go delikatnie, a on odpowiedział pocałunkiem i omal się nie rozplakał, takie to było idealne, choć nie miał pojęcia, czym jest to „to”. I miał nadzieję, że to jeszcze nie wszystko. Obiecał sobie, że nie będzie uprawiać seksu nie tylko dopóki nie wezmą ślubu, ale dopóki nie zechce mieć dziecka, żeby to jego dziecko nigdy, nawet przez chwilę, nawet w momencie poczęcia nie czuło się niechciane – ale zgodziłby się, gdyby ona tego pragnęła, żeby jej udowodnić, że zrobi dla niej wszystko.

Yesenia poruszała się na nim, ocierała się o niego rytmicznie, wilgotnie i nie wiedział, czy chce, żeby w nią wszedł, czy nie. Pocałowała go w ucho, a on otworzył oczy i usiłował myśleć o gwiazdach, o ptakach, o swoim projekcie, o czymkolwiek, byle nie o niej. Sięgnął w dół, myśląc, że musi być coś, co mógłby dla niej zrobić, coś, co sprawiłoby jej przyjemność, ale kiedy jej dotknął, natychmiast stoczyła się z niego i odetchnęła głęboko.

– Przepraszam.

– Dlaczego? Nie, nie o to chodzi. O nic nie chodzi.

Czuł, że usiłuje mu coś przekazać. Miał nadzieję, że nie to, że zrobił wszystko nie tak, bo to było całkiem możliwe. Od chwili, gdy zobaczył ją nagą, myślał tylko o sobie, a powinien skupić się na niej.

W końcu oderwała wzrok od nieba i spojrzała na niego.

– Chcesz?

Nie chciał. Ale mógł to zrobić. Dla niej zrobiłby wszystko.

– A ty?

Powoli pokręciła głową.

Pocałował ją mocno, z ulgą, ale i zaciekawieniem i nadal martwiąc się, że coś zrobił nie tak, że jakoś ją zniechęcił.

– Chodzi o Boga? – spytał.

Uśmiechnęła się szeroko, a on w tej chwili zobaczył w niej Carmen, jej sprytną pewność siebie, jakby już dawno temu matka, córka i Bóg zawarli jakąś umowę.

– Nie. O dzieci.

To miało sens. Pod tym względem oboje byli tacy sami: dwoje niechcianych dzieci, bojących się powołać do życia następnego pokolenie. Pocałował ją znowu.

– Zaczekajmy – szepnął z ustami przy jej wargach i znowu ją pocałował, w usta, w policzek, w ucho.

Cofnęła się, żeby spojrzeć mu w oczy z psotnym uśmiechem.

– Ale możemy zrobić coś innego.

Serce Aleksa załomotało, gdy zanurzyła głowę pod jego kurtkę.



Następnego dnia Alex poszedł do szkoły w garniturze. Yesenia znalazła go w zaułku za sklepem z używanymi rzeczami, wraz z białą koszulą i jasnozielonym krawatem. Myślał, że tylko on będzie taki wystrojony, ale nie. Dziewczynki wystąpiły w spódniczkach i bluzkach lub surowych sukienkach pod szyję, a jedynym chłopcem, który nie miał garnituru, był Jeremy, który przyszedł w muszce, szelkach i rozpiętym białym fartuchu laboratoryjnym. Ale efektowny kostium nie wystarczy, żeby wygrać: jego projekt należał do najslabszych w klasie.

Tego ranka Wes podwiózł Aleksa do szkoły, z prezentacją bezpiecznie złożoną w bagażniku i próbkami piór oprawionymi w szklaną ramkę. Alex spodziewał się, że ojciec wyrzuci go przy krawężniku w pobliżu skrzydła nauk ścisłych, ale Wes zatrzymał samochód na parkingu dla uczniów i odprowadził go aż do klasy.

Przyszli dwadzieścia minut za wcześnie, ale klasa była już pełna uczniów, studentów i sędziów. Wszystkie ławki zsunięto na środek, żeby zrobić miejsce na stoły, które wniesiono i ustawiono pod ścianami. Alex znalazł swoje nazwisko i położył projekt w chwili, gdy Miraya podeszła z pudełkiem pączków. Wziął dwa, z jabłkowym dżemem, podał jeden Wesowi i obaj zjedli je, ustawiając tablicę Aleksa. Na jej środku znajdował się tytuł, który wymyślili w zeszłym tygodniu, czytając kilka prac, a który po każdej pracy stawał się dłuższy: „Wykorzystanie sygnatur stabilnych izotopów do prześledzenia wpływu zmiany klimatu na trasy migracyjne rudaczka kalifornijskiego”. Poniżej znajdowała się hipoteza oraz zdjęcie katalogu dziadka, otwartego na czerwieniach i prezentującego system segregowania. Było tego prawie za dużo, żeby pomieścić wszystko na jednej tablicy – opis procesu tworzenia sygnatur izotopowych, zdjęcie spektrometru masowego oraz map izotopowych Kalifornii i Meksyku, a także oprawione w ramkę pióra z oznaczeniem miejsca, z którego zamierzali pobrać próbki. Na tablicy było już tak ciasno, że Alex musiał wydrukować swoje spodziewane wyniki („Jeśli moja hipoteza jest słuszna, pióro z każdego wcześniejszego roku będzie nosiło sygnaturę z terenów położonych bardziej na południe”) czcionką ósemką i przykleić kartkę do dolnego prawego rogu tablicy, żeby sędziowie jej nie

przegapili.

Ale dał z siebie wszystko i był z tego dumny. Widział, że Wes – który okrążył szybko klasę i po powrocie serdecznie poklepał go po plecach – także. Alex uściskał ojca i podziękował mu, a potem sam obszedł pomieszczenie, oglądając finalne prezentacje pomysłów, o których trochę słyszał przez cały ten semestr.

Do tablicy przypięto plakat wyglądający jak dzieło zawodowców. O projekcie Julianny Skye mówili wszyscy. Okazało się, że urządziła w swojej piwnicy domowe laboratorium, w którym pracowała nad wyhodowaniem glonów o tak wysokiej zawartości oleju, żeby mogły się stać ekonomicznym i łatwo dostępnym źródłem biopaliwa. Laboratorium ekologiczne jakoś dowiedziało się o tym projekcie (inni uczniowie powiedzieli, że tata Julianny jest jego kierownikiem, ale trudno było uwierzyć, że to prawda, patrząc na tego faceta w dżinsach i klapkach, który jej towarzyszył) i dało jej budżet i miejsce do pracy. Wyniki już teraz wyglądały obiecująco. Sam pomysł był fantastyczny – nie tylko stanowił punkt wyjścia świetnego projektu, ale także naprawdę zmieniłby świat na lepsze, gdyby zakończył się sukcesem. Julianna była murowaną zwyciężczynią.

A to znaczyło, że oprócz niej szansę mają tylko dwie osoby. Sześciu zaproszonych przez pana Everetta naukowców z uniwersytetów i laboratoriów w całym rejonie zatoki San Francisco chodziło z notatkami i skserowaną listą uczniów, na której coś pisali. Jeden otworzył szklaną ramkę Aleksa i obejrzał wszystkie piórka po kolei. Alex wpatrywał się w niego z napięciem, zaklinając go w myślach, żeby już je odłożył. On sam nauczył się od dziadka postępowania z piórami, jeszcze zanim zaczął chodzić, i teraz wzdrygał się, widząc, jak mężczyzna nieumiejętnie przesuwa palcami po promieniach.

Godzinę później sędziowie wyszli, żeby się naradzić, a w klasie zapanowała cisza. Alex spodziewał się nerwowej gadaniny, ale wszyscy wrócili do swoich ławek, udając, że czytają książki lub przeglądają foldery. Nikt nie patrzył na nikogo. Rywalizacja w klasie była zabroniona, a jednak wszyscy myśleli tylko o niej. Gra szła o wysoką stawkę.

Sędziowie wrócili po pięciu minutach. Wręczyli panu Everettowi zapieczętowaną kopertę, zaś nauczyciel rozerwał ją gestem zbyt dramatycznym jak na te okoliczności i wyjął kartkę.

– Zaprezentuję zwycięskie projekty w porządku przypadkowym. Pierwszy...
– Tu urwał, a Alex, znowu zirytowany tą efektowną pauzą, zaczął tupać nogą pod ławką.

– Julianna Skye: „Stworzenie dostępnego ekonomicznie biopaliwa z glonów”.

Wszyscy posłusznie zaklaskali, a Alex pomyślał – podobnie jak reszta klasy – że porządek na pewno nie jest przypadkowy. Projekt Julianny bił wszystkie inne

na głowę. Pan Everett bez dalszych przerw ogłosił drugą zwyciężczynię, Sophie Joyce Chen, za pracę nad inhibitorami cholesterolu i reduktazy.

Tu pan Everett przerwał i potoczył wzrokiem po zebranych. Zostało już tylko jedno miejsce.

– Teraz chcę wam o czymś przypomnieć. Wszyscy tu obecni są zwycięzcami. Przed przerwą świąteczną podzielicie się na zespoły i każdy z was przez następne dwa tygodnie będzie poświęcać wszystkie siły tym projektom jak własnym.

– Litości! – wybuchnął Jeremy i natychmiast zasłonił sobie usta ręką. Przecież chyba nie liczył na zwycięstwo, prawda? Ale Alex tak. Miał szansę. Jego projekt był tak samo dobry jak wszystkie pozostałe, wiedział o tym.

– Dobrze. – Nauczyciel schował kartkę do koperty. Wodził powoli wzrokiem po zebranych, aż znalazł Alexa. – „Wykorzystanie sygnatur stabilnych izotopów do prześledzenia wpływu zmiany klimatu na trasy migracyjne rudaczka kalifornijskiego”. Alex Espinosa – gratulacje!

Wygrał! Koledzy bili mu niechętnie brawo. Był pierwszakiem, nikt się z nim nie liczył. Klepano go po ramionach i plecach. Kilka osób spytało, czy mogą pracować w jego zespole, ale wszystko to działo się za szybko, nie zapamiętał tych, którzy się do niego odezwali. Natychmiast pomyślał o ojcu. O godzinach spędzonych wspólnie w laboratorium i jego gabinecie, o tych nocnych SMS-ach, wydrukach map i zdjęć oraz matematycznych równaniach, które przynosił po pracy. Alex nie dokonałby tego bez niego, nie zdołałby tego osiągnąć, gdyby ojciec nie wrócił do niego dokładnie wtedy, kiedy wrócił.

Pan Everett wyłączył światło, gdy pakowali swoje prezentacje. W pomieszczeniu zrobiło się cicho. Wszyscy znieruchomieli.

– Czy ktoś widział moje klucze? Wczoraj mi zginęły.

Chór zaprzeczeń, potrząsanie głowami.

– Dziwne.

Alex wbił wzrok w podłogę. Wstrzymał oddech, serce przestało mu bić. Milczenie nauczyciela, spoglądającego na uczniów, ciągnęło się w nieskończoność.

– No to będę musiał dorobić nowe – oznajmił w końcu pan Everett. Znowu włączył światła. – Jeszcze raz gratuluję zwycięzcom i całej klasie wspaniałych osiągnięć naukowych.

Znowu wrócił gwar i zamieszanie, a serce Aleksa zaczęło bić.

Stało się.

Pan Everett zgubił klucze i dorobi drugi komplet.

Wygrał i upiekło mu się, a wszystko tego jednego niewiarygodnego dnia.

Podczas przygotowań do *Nochebuena* Letty wielokrotnie usiłowała sobie przypomnieć, co w nią wstąpiło, że postanowiła wydać przyjęcie, w którym mieli wziąć udział Wes i Rick w towarzystwie jej najlepszej przyjaciółki i dzieci. Nie tak to planowała. Ona zaprosiła Ricka, a Alex – Wesa, a kiedy to do niej dotarło, było już za późno na odwołanie imprezy, bo zepsułaby święta dzieciom – pierwszą Gwiazdkę bez dziadków. Przyjęcie, jej rodzice i Boże Narodzenie – dla jej dzieci była to jedność, uczta o północy z prezentami, gośćmi, tańcami i przysmakami, zwieńczone radosnym kacem wyczerpania w bożonarodzeniowy poranek. Nawet Letty nie mogła znieść myśli o tym, że mieliby tkwić w Święta we trójkę w tym domku dla lalek, więc robiła zakupy, gotowała, ozdabiała i odpowiadała na niekończącą się litanię pytań Aleksa o jedzenie, drinki i muzykę. Denerwował się prawie tak jak ona; po raz pierwszy miała zobaczyć tę tajemniczą dziewczynę, która zajmowała jej synowi tak wiele czasu.

Rick zjawił się o ósmej z naręczem zakupów. Rozmawiali tylko w przelocie w pracy i Letty czuła między nimi napięcie, kiedy podał jej torby i dał się pociągnąć korytarzem Lunie, która chciała mu przedstawić Aleksa.

– Luna ciągle o panu mówi – powiedział Alex, ściskając mu rękę, a potem znowu zajmując się mokrymi, ociekającymi włosami, które bez powodzenia usiłował rozczesać.

– Miło cię poznać – powiedział Rick, zdejmując z siebie Lunę, która próbowała wdrapać się po nim jak po drzewie.

Letty zaprowadziła dziewczynkę do sypialni.

– Włóż sukienkę.

Było na to za wcześnie, ale tylko taki znalazła sposób, żeby odczepić córkę od Ricka. Luna natychmiast posłuchała, a Letty poszła za Rickiem do kuchni.

– Co zrobisz?

– Linguini z sosem małżowym – odparł, wyjmując dużą torbę małży, nadal w skorupkach. Sąsiadka z dołu przynosiła je na przyjęcie matki co roku, a kiedy się wyprowadziła, wszyscy za nimi tęsknili, więc Maria Elena sama nauczyła się je robić. Pewnie Luna mu powiedziała, choć Letty nie miała pojęcia, kiedy zdążył ją spytać.

– Alex i Luna oszaleją ze szczęścia – powiedziała. – Uwielbiają to, choć w inne dni roku za nic nie wezmą do ust owoców morza.

Rick nie patrzył jej w oczy. Podszedł do zlewu i umył ręce. Letty poczuła, że narasta w niej strach. Przypomniała sobie, co powiedział, kiedy ostatnio stał w jej

kuchni. Nie będę twoim wyjściem awaryjnym. Nie zamierzał czekać spokojnie, a ona nie wiedziała, ile ma czasu na decyzję. Chyba niewiele, myślała, robiąc kolejną koktajli French 75 i ustawiając w lodówce butelki szampana, żeby dodać go po przyjściu gości.

Rick, oddalony od niej, jak tylko było to możliwe w tej mikroskopijnej kuchence, ustawił deski do krojenia i siekał ostrym nożem czosnek i natkę pietruszki.

– Pomóc ci? – spytała.

Pokręcił głową, nie odrywając wzroku od natki, więc wyszła, żeby zajrzeć do Luny.

– Patrz! – zawołała córka na jej widok. Rozłożyła ręce i zawirowała z piskiem; lawendowa koronka sukienki od Marii Eleny owinęła się wokół jej kolan.

– Ale piękna! – pochwaliła Letty. – Pozwól, że cię uczeszę.

Wyszczotkowała jej włosy długimi pociągnięciami. Luna dotykała koronki i dekoltu na karku, gdzie w sukience ze sklepu powinna się znajdować wszywka. Maria Elena wyhaftowała tam czarną nitką imię Luny i datę, tak jak co roku, a tym razem dołączyła słowa: „Kocham, Babcia”. Luna przesuwiała palcem po gładkim hafcie, gdy Letty czesała ją w koronę. Potem stanęły w milczeniu przed lustrem, podziwiając długą sukienkę i idealnie splecione włosy Luny.

Brakowało tylko jednego.

– Zaczekaj tutaj – poleciła Letty i podeszła do szafy. Zaczęła szukać na górnej półce, aż w końcu wygrzebała inną paczkę od rodziców. Znajdowały się w niej prezenty dla Aleksa i Luny, a także list od matki i ostatni czek, który im wysłała. Zwrócili go. „Enrique nadal pracuje – napisała matka – a ostatnio skontaktowało się z nim muzeum w Hiszpanii w sprawie bardzo skomplikowanej renowacji”. Do czeku dołączony był numer z Western Union – Maria Elena przesłała pieniądze na trzy bilety samolotowe do Meksyku. Ojciec jako niespodziankę narysował symboliczne bilety, które Letty miała dać pod choinkę Aleksowi i Lunie. W tej chwili, zdenerwowana, żałowała, że nie są prawdziwe i na dzisiejszy dzień. Na nic nie miała większej ochoty niż na szybką ucieczkę.

– No co? – spytała Luna, niecierpliwie pociągając ją za rękaw.

Letty schowała bilety i wyjęła kopertę z imieniem Luny.

– To od twojego dziadka, na Gwiazdkę – powiedziała, podając ją córce. – Ale chciałby, żebyś to włożyła już teraz.

Dziewczynka rozdarła kopertę i jęknęła z zachwytem. Na delikatnym złotym łańcuszku przysiadł miniaturowy złoty ptaszek, nie większy od paznokcia małego palca Luny. Mrugnął do niej tęczowym oczkiem.

– Brylantowe oko – szepnęła mała z podziwem.

Oczywiście brylant nie był prawdziwy, ale Luna nie musiała o tym wiedzieć.

– Babcia i dziadek cię kochają – powiedziała Letty. – I tęsknią za tobą.

– Chciałabym, żeby tu byli – westchnęła Luna.

Letty z uśmiechem zapięła jej wisiorek, myśląc o jutrzejszych prezentach, biletach na samolot – a potem szybko się ubrała, nie w suknię z długimi rękawami, którą przysłała jej matka, lecz w prostą, czarną koktajlową sukienkę na cienkich ramiączkach, z dużym dekoltem na plecach. Postanowiła się uczesać w wysoki kok i poświęciła trochę czasu na ułożenie luźnych kędziorków w misterny chaos. Gdy w końcu obie były gotowe, przez ostatnią godzinę biegały po domu, wieszając lampki i ozdoby na małej choince, którą postawiły na stole, i zapalały świece w blaszanych lampionach na ciemnym podjeździe.

Pierwszy zjawił się Wes, tuż po jedenastej. Luna już zaczęła tańczyć i otworzyła mu drzwi spocona i zdyszana. Kiedy chwyciła go w objęcia, jej splecione włosy wymknęły się spod wsuwek i opadły na jedno ucho. Letty przywitała się z nim szybko, pobiegła korytarzem, chwyciła pudełko spinek i zrobiła w kuchni dwa drinki z bąbelkami. Rick nawet nie podniósł głowy znad garnków.

Letty zamknęła drzwi między kuchnią i salonem, trzymając oba drinki w jednej ręce. Spotkanie tych dwóch było nieuniknione, ale im dłużej się odwlekało, tym lepiej.

– Wesołych świąt – powiedziała do Wesa, oddychając ciężko i podając mu drinka. Stuknęli się kieliszkami; Letty bardzo się starała pić małymi łykami, ale drink był zbyt smaczny, a jej stres zbyt wielki. Odstawiła na parapet prawie pusty kieliszek.

– Śliczne światełka.

Wes wskazał ścianę z szufladkami, gdzie na uchwytych zawiesili girlandy kolorowych lampek, biegnące w górę i w dół, krzyżujące się chaotycznie, przez co ściana wyglądała jak elektryczny obraz Jacksona Pollocka.

– To dzieło Luni – oznajmiła, dając córce znak, żeby usiadła na ławeczce pod oknem.

Luna wskoczyła na nią, Alex usiadł obok, spojrzął na zegarek i zerknął na ciemną drogę. Letty upinała córce włosy. Drink i ta prosta czynność rozładowały jej napięcie. Nie spieszyła się, rozplotła i splotła koniec warkocza, po czym umocowała wszystkie niesforne pasemka spinkami. Wes stanął obok niej, w jednej ręce trzymając drinka, drugą położywszy na ramieniu Aleksa. Letty poczuła przyływ ciepła – od koktajlu lub tego, że tak stali we czwórce w oknie, czekając na przybycie gości. Wyobraziła sobie wyraz twarzy Sary, kiedy nadjedzie i zobaczy ich, Lunę i Aleksa na pierwszym planie, Wesa i Letty za nimi, ustawionych niczym do idealnego portretu amerykańskiej rodziny.

W chwili gdy wsunęła ostatnią spinke we włosy Luni, na podjeździe pojawił się samochód.

– Yesenia! – zawołała Luna, zeskakując z ławeczki. Rzuciła się do drzwi i popędziła po żwirze. Na zajęciach w szkole zrobiła dla dziewczyny swojego brata artystyczny wisior, dzwoneczek i bransoletkę z jedwabnych róż, a kiedy wkładała ją na rękę Yesenii, za nimi zatrzymał się drugi samochód. Luna pobiegła, żeby uściskać Sarę i pociągnęła ją do domu, dając znak Yesenii i jej matce, żeby szły za nimi.

Wszyscy zgromadzili się w salonie i choć było ich tylko siedmioro, ledwie się pomieścili. Letty odsunęła meble pod ściany, a Luna wskoczyła na ławeczkę pod oknem. Alex przysunął się blisko Yesenii, rzekomo po to, żeby zrobić miejsce innym. Położył dłoń na jej plecach w geście otuchy, na którego widok żołądek Letty się ścisnął.

Sara zauważyła jej minę i stanęła w jej polu widzenia.

– Trzymaj się, mamó niedźwiedzico – mruknęła. – Chyba pora na drinka.

– Drugiego – dodała Letty i Sara parsknęła śmiechem.

Poszły do kuchni, gdzie na stole stał parujący półmisek linguini i małży. Obok znajdowały się dwie sałatki i szklanka z widelcami. Sara podkrađła z tacy jednego małża i włożyła go do ust.

– Sama to zrobiłaś? – spytała z niedowierzaniem.

– No coś ty – prychnęła Letty. Zawołała Ricka, ale nie odpowiedział, więc ustawiła drinki na tacy i poszła do salonu za Sarą. Miała się rozejrzeć za Rickiem, ale Alex odciągnął ją na bok.

– Mamó, to Yesenia – oznajmił. – I jej mama Carmen.

– Jestem Letty – przedstawiła się, podając Carmen drinka.

Kobieta upiła łyk; ciepły uśmiech rozświetlił jej okrągłą twarz.

– *Gracias por invitarnos* – powiedziała, ściskając ramię córki.

– Dziękujemy za zaproszenie – przetłumaczyła Yesenia. – Bardzo mi miło panią poznać.

Jej silny, pewny siebie głos – niepasujący do malutkiego ciała – zaskoczył Letty. Alex wziął płaszcz Yesenii, a potem pochylił się i pomógł jej zdjąć czarny żakiet. Uprzedził matkę, że Yesenia jest malutka, ale kogoś tak drobnego się nie spodziewała. Jej czerwona aksamitna sukienka miała bufiastą spódnicę, jak sukienka Luni – pewnie uszyto ją na dziesięciolatkę – ledwie zakrywającą cholewki ortopedycznych butów. Ale ta sukienka była bardziej twarzowa, niż mogłaby być. Letty przyjrzała się jej uważnie i dostrzegła przeróbki: szeroki łódkowy dekolt i zwężony stanik, który podkreślał krągłość piersi.

Letty podniosła wzrok i przekonała się, że Carmen przygląda się jej z dumą.

– *Te ayudo?* – spytała, a Letty przytaknęła.

W kuchni Letty nakładała jedzenie na talerze, a Carmen nosiła je do salonu. Kiedy wszyscy otrzymali swoją porcję, Letty zaniósł dwa ostatnie talerze, dla siebie i Ricka. Ale kiedy weszła do salonu, nadal go tam nie było. Postawiła talerze

na stole, zajrzała do kuchni, a potem poszła krótkim korytarzykiem. Drzwi łazienki były uchylone. Otworzyła je, ale małe pomieszczenie było puste. Gdzie on się podziewa? Pomyślała o jego kamiennej twarzy, kiedy siekał czosnek, i przeszło ją ukłucie paniki. Czy to możliwe, że skończył, postawił kolację na stole i odszedł? Czy naprawdę uważał, że zaprosiła go tylko po to, żeby odegrał rolę szefa kuchni? Serce jej załomotało; rzuciła się pędem przez puste sypialnie, przemknęła przez salon i wypadła na zewnątrz.

Rick siedział w swoim samochodzie z wyłączonym silnikiem. Letty poczuła tak wielką, tak niespodziewaną ulgę, że sił wystarczyło jej tylko na to, żeby nie przewrócić się na tym żwirowanym podjeździe.

– Rick? – Otworzyła drzwi od strony pasażera. – Co ty tu robisz?

Przebrał się. Na fotelu pasażera leżały jego tenisówki, na nich złożone dżinsy i podkoszulek, a na nich wieszaki. Letty odsunęła tę stertę i wsiadła do samochodu. Przesunęła dłonią po jego rękę w marynarce. Rick patrzył prosto przed siebie, w mrok nocy.

– Hej – spróbowała jeszcze raz. – Zaczynamy jeść.

W ogrodzie różanym coś zaszeleściło. Rick włączył reflektory, ale to coś zniknęło w mroku. W ogrodzie panowała cisza i bezruch. Rick wyłączył światła i odwrócił się do niej.

– Co ja tu robię? – spytał cicho.

Letty odetchnęła głęboko. Po raz pierwszy poczuła, jak mało brakuje, żeby go straciła, i aż zamknęła oczy. Przełknęła z trudem ślinę. Cisza trwała między nimi jak mur. Letty chciała coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Prawda wyglądała tak, że nie wiedziała; wiedziała tylko, że nie chce, żeby Rick odszedł.

– Słuchaj – powiedział w końcu Rick. – Masz tam skomplikowaną sytuację. Nie wiem, czy znajdzie się dla mnie miejsce.

– Oczywiście, że tak.

Rzuciła to natychmiast i bez wahania. Rick zmierzył ją przenikliwym wzrokiem, jakby usiłował ocenić szczerłość tego pospiesznego wyznania.

– Jesteś pewna?

Letty spojrzała mu w oczy. Wiedziała, że szukał potwierdzenia, ale nie mogła mu go dać, nie teraz, nie tak, jak chciał. Po prostu nie miała pewności. Wszystko działo się zbyt szybko. Więc powiedziała jedyne, co przyszło jej do głowy:

– Na pewno jest tam talerz gorącego jedzenia, specjalnie dla ciebie, i krzesło obok mnie. – Wzięła go za rękę. – Czy to za mało?

Rick znowu spojrzał na ogród. Po długiej chwili kilka razy powoli pokiwał głową.

– Na dziś wystarczy.

Ale nie na jutro. Jutro będzie musiała podjąć decyzję, powiedział jej bez słów, a perspektywa jego odejścia obudziła w niej gwałtowne pragnienie, całkiem nowe, które zagłuszyła. Wsiadła z samochodu, obeszła go, otworzyła drzwi od strony Ricka i przyjrzała mu się, ubranemu w czarny garnitur, białą koszulę i jedwabny czerwony krawat. Jego przygładzone na skroniach włosy pachniały czymś słodkim.

– Oto prawdziwy katolik – oznajmiła, wyciągając go z samochodu.

– Mówisz jak moja matka.

Uśmiechnęła się. Tak mawiała Maria Elena, jakby moda i wyznanie jakoś się łączyły. Ale nie chodziło o pobożność, właśnie to zrozumiała, lecz o szacunek. Ubierał się elegancko dla Boga i dla niej. Matce spodobałby się ten Ricardo Lorenzo Moya, którego Letty teraz wzięła za rękę i zaprowadziła do domu.

Wes spojrzał na nich, kiedy weszli do salonu. Wszyscy pozostali, ściśnięci w malutkim salonie, jedli, trzymając talerze na kolanach, ale Wes nie tknął swojej porcji. Czekał. Teraz uniósł kieliszek, jakby w toaście, ale zanim ktoś zwrócił na niego uwagę, Rick stuknął widelcem w swój kieliszek.

– Za gospodynię – powiedział, gdy wszyscy na niego spojrzeli – która przygotowała ten wspaniały posiłek.

Letty miała sprostować – przecież kolację zrobił on – ale dotknął jej ust palcem, uciszając ją. Nie chciał przypisywać sobie za to zasług.

W ciszy, która zapadła po toaście, Alex zrobił krok na środek pokoju. Letty podniosła głowę w samą porę, żeby zobaczyć, jak Yesenia cofa rękę z jego pleców. To ona go popchnęła.

– Chciałem coś powiedzieć – oznajmił i wszyscy spojrzeli na niego wyczekująco. Alex, stojący na środku zatłoczonego pokoju, wyglądał na zdenerwowanego, ale kiedy zerknął na ojca, na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Hura! – zawołał Wes, przyskakując do niego i klepiąc go po ramieniu. – Hura, hura, hura! A nie mówiłem? – Zaczął skakać po pokoju jak nastolatek, a Alex parsknął śmiechem.

– Co? – spytała Letty. – Co się stało?

Wes przestał tańczyć, a Alex odkaszlnął i przejechał rękami po wymiętej koszuli.

– Wygrałem – powiedział cicho.

– Co? – Nie do wiary, wiedział i nie pisał ani słowa. Konkurs odbył się ostatniego dnia szkoły przed świętami, a kiedy on nic o nim nie wspominał i nie odbierał telefonów od ojca, Letty założyła, że nie wybrano jego projektu. A teraz, widząc Aleksa, który patrzył z uśmiechem na nią, na ojca, a potem znowu na nią, zrozumiała: chciał to ogłosić całej rodzinie. Nie wyjawiał tego żadnemu z nich, bo chciał, żeby świętowali razem.

– Serio? – spytała. – To fantastyczne!

– To dopiero pierwszy krok – powiedział i uśmiechnął się z zakłopotaniem. – Ale pan E powiedział, że w historii jego zajęć jeszcze nigdy żaden pierwszoklasista tego nie osiągnął. Nigdy.

– No pewnie! – zawołała Sara. Poszła do kuchni i wróciła z drugą butelką szampana. Napełniła wszystkim kieliszki. Do dwóch naląła po centymetrze alkoholu dla Aleksa i Yesenii. – Wiesz, niejedna osoba w tym pokoju się zdziwiła, ale jesteśmy z ciebie dumni.

Letty skinęła głową, unosząc kieliszek.

– Bardzo dumni.

Alex wypił szampana jednym haustem i włączył muzykę na pełny regulator, żeby zagłuszyć głosy innych. Nie wiadomo kiedy zdażył zjeść, on i Wes odstawili talerze i zaczęli tańczyć, straszliwie niezgrabna płatanina łokci i ramion, na którą Letty niemal nie mogła patrzeć, ale musiała, bo miłość do syna rozsadzała jej serce i wypełniała pokój po brzegi. Udało mu się. Wygrał dzięki pomocy Wesa i teraz z nim świętował. Widziała, jak pod koniec piosenki pochylił się do ojca, żeby mu podziękować. Stanowili zespół, a choć jej nie przypadł udział w jego chwale, wiedziała, że ona także do niego należy. To za jej sprawą znalazł się w tej klasie, w tej szkole, to ona go tam wysłała. Nie wygrałby, gdyby nie ona, i to jej zawdzięczał, że nikt mu nie odbierze tego zwycięstwa.

Jadła powoli, oparta o Ricka, i patrzyła, jak miniaturowy parkiet się zapełnia: najpierw Alex z Wesem, potem Alex z Yesenią, następnie Carmen z Wesem. Sara i Luna także się dołączyły; mała kazała tyle razy się obrócić, że w końcu wyczerpana Sara osunęła się na ławeczkę pod oknem. Wtedy Luna uczepliła się ręki Aleksa i tak długo na niej wisiała, aż podniósł ją i podjął zadanie porzucone przez Sarę. Letty pewnie też by się dołączyła, ale Alex akurat zmienił muzykę na coś wolniejszego. Zrozumiała to jako sygnał dla siebie i poszła zmywać. Za nią wkroczyła do kuchni Carmen z naręczem pozostałej zastawy.

– Dzięki – powiedziała Letty, przejmując naczynia.

Carmen wskazała salon, w którym pochyłony Alex tańczył nos w nos z Yesenią.

– *No puedo verlos así.* – Nie mogła znieść tego widoku. Przynajmniej tak to rozumiała Letty.

– Ani ja. – Letty wzdrygnęła się i zamknęła drzwi. Carmen postawiła talerze na blacie. Długie pasmo włosów spadło na jej okrągłą twarz, a kiedy założyła je za ucho szybkim, dziecinny gestem, Letty uświadomiła sobie jej młody wiek. Carmen miała idealną cerę, jej skóra nie marszczyła się nawet w grymasie.

– Ile miałaś lat? – spytała Letty, wskazując zamknięte drzwi, za którymi tańczyła Yesenia.

– *Catorce años* – powiedziała Carmen, odkręcając kran. Podwinęła rękawy i dodała płynu do wypełniającej zlew wody.

Letty zmarszczyła brwi. Czternaście? Carmen chyba nie rozumiała pytania.

– Kiedy urodziła się Yesenia? – spróbowała jeszcze raz. – *Cuantos años tenias?*

– *Sí, catorce años* – potwierdziła Carmen. Przelotnie spojrzała Letty w oczy, po czym włożyła stos talerzy do parującej wody. Letty patrzyła na nią, usiłując sobie przypomnieć siebie w wieku czternastu lat. Dopiero zaczęła chodzić do Mission Hills, mała dziewczynka, która samotnie jadała obiady, zanim poznała Sarę, zanim poznała Wesa, zanim znalazła swoje miejsce w kompletnie obcym świecie, do którego została wrzucona.

– Nieźle – powiedziała. – Ja miałam osiemnaście. I nawet wtedy to mnie przerosło. Wszystko robiła za mnie mama.

Wtedy przez twarz Carmen przemknął cień i Letty zrozumiała, że z nią było inaczej. Zerknęła na drzwi, sprawdzając, czy są zamknięte.

– *Es por eso que venimos aquí* – szepnęła i Letty znowu pożałowała, co jej się często zdarzało, że rodzice przestali mówić po hiszpańsku, kiedy poszła do przedszkola. Musiała się bardzo skupić, żeby zrozumieć słowa Carmen, a i tak nie była pewna, czy dobrze odgadła.

– *No entiendo* – rzuciła. – Co to znaczy?

Carmen odwróciła się do zlewu. Woda była gorąca, parzyła. Jej przeguby od wewnętrznej strony zaczerwieniły się, gdy raz po raz sięgała w mydliny po kolejne talerze.

– *Estaban locos* – wykrztusiła w końcu, a potem podjęła cicho, w rytmie zmywania. Letty nie rozumiała wszystkich słów, ale dotarło do niej, że rodzice Carmen wściekli się, kiedy zaszła w ciążę. W dniu, w którym przyniosła Yesenię do domu, jej ojciec upił się i skrzywdził niemowlę. *Casi se murió*, usłyszała Letty – prawie umarła. Ale Carmen wzięła dziecko na ręce, otuliła jego malutkie, połamane nóżki i uciekła. Dojechała dwoma autobusami i pociągiem do granicy, gdzie przeszła pieszo przez rzekę. Potem dotarła autostopem do szpitala w Stanfordzie, ponieważ ktoś jej powiedział, że tam pracują najlepsi specjaliści. Tamtejsi lekarze uratowali życie jej córki.

– Jak przetrwałaś? – spytała Letty, kiedy już pogodziła się z szokującą świadomością, że w jej kuchni znajduje się całkiem zwyczajnie wyglądająca superbohaterka. Pamiętała pustą drogę pod Tijuana, ogrodzenie z trumienkami; usiłowała sobie wyobrazić obolałą po porodzie czternastolatkę, która idzie tą drogą z noworodkiem. Nie potrafiła. Sama miała diametralnie różne doświadczenia. Maria Elena zajęła się dosłownie wszystkim, nie zostawiła jej nic do roboty. – Jak się wyżywiłaś?

Woda skapywała ze sterty czystych talerzy na podłogę. Carmen znowu zerknęła na drzwi. Denerwowała się.

– *Trabajaba en el hospital* – szepnęła. Doktor załatwił jej pracę na nocnej

zmianie przy sprzątanu szpitala i do tej pory ją miała. Sprzątała szpital jak pałac samego papieża, ponieważ tam uratowano jej malutkie dziecko.

Carmen przeszła nad powiększającą się kałużą na podłodze i wzięła ścierkę, którą zaczęła wycierać talerze. Letty do tej pory tylko słuchała i nagle się zawstydzila – Carmen zrobiła za nią wszystko. Wzięła drugą ścierkę i zgarnęła stertę naczyń, wytarła je pospiesznie i poukładała w szafkach.

Carmen skończyła, złożyła ścierkę i położyła ją na blacie. Spojrzała na drzwi, a potem na Letty, jakby chciała coś powiedzieć, ale Letty zrozumiała bez słów: Yesenia nie wie. Nic nie wie.

– Nie martw się – rzuciła. – Nic nie powiem.

– *Te lo agradesco*. – Carmen uściśliła ją mocno i otworzyła drzwi.

W salonie nadal leciała wolna piosenka. Rick trzymał Lunę, obracając ją w powietrzu jak niemowlaka, Alex i Yesenia siedzieli na ławeczce pod oknem. Na ich twarzach płasła poświata choinkowych światełek. Alex dotknął czołem czoła Yesenii i oboje zamknęli jednocześnie oczy.

Letty westchnęła.

– Co my z nimi zrobimy?

Carmen nie odpowiedziała. Co mogła powiedzieć? Alex i Yesenia byli szczęśliwi i zakochani, a jeśli istniał moment, kiedy ich matki mogły temu zapobiec, to minął dawno temu.

Letty poszła do łazienki, żeby jeszcze przez chwilę odwlec konfrontację z Wesem i Rickiem. Spędziła przed lustrem parę minut: umalowała usta, poprawiła włosy i kiedy wreszcie otworzyła drzwi, ujrzała za nimi opartego o ścianę Wesa.

Przez chwilę wydawało jej się, że czekał na łazienkę, ale kiedy odsunęła się, żeby go wpuścić, nie drgnął. Czekał na nią. Trzymał dwa kieliszki szampana wypełnione po brzegi. Pociągnęła długi łyk i przygotowała się na to, co zamierzał powiedzieć.

– Mam wrażenie, że cały wieczór mnie unikasz – zaczął. Upił łyk szampana i zanim zdążyła znaleźć odpowiedź, wskazał na zdjęcie, wiszące na ścianie naprzeciwko.

– Ależ był słodki, co?

Fotografia przedstawiała Aleksa jako kilkulatek, pijącego z ptasiego poidełka Enrique. Pogodne błękitne niebo i okrągła buzia Aleksa odbijały się w lustrze wody, jego rozradowana mina razy dwa, a w tle śmiejąca się Letty z odrzuconą głową i otwartymi ustami.

– Tak – przyznała. – Aha, gratuluję wygranej.

Wes pokręcił głową.

– To wszystko Alex.

– On mówi co innego. Od tygodni muszę wysłuchiwać przy kolacji peanów na cześć twojego geniuszu.

– Jest zbyt łaskawy.

Letty upiła kolejny łyk szampana.

– Witaj w moim życiu.

Wes spojrzał na nią pytająco, ale ona opróżniła kieliszek jednym haustem, a potem, w przypiływie pijackiej odwagi, wciągnęła go do sypialni.

– Siadaj – rzuciła, wskazując łóżko. Powinna to zrobić bardzo dawno temu. – Mam coś dla ciebie.

Wyjęła z pudełka po butach pod łóżkiem grubą kopertę. Widniały na niej ślady brudnych palców; teraz zrozumiała, jak Alex znalazł ojca. Wskazała te odciski, ale Wes zobaczył tylko swoje nazwisko i adres, napisane przez nią przed dziesięcioma laty. Wziął kopertę i rozdarł ją wzdłuż krawędzi.

W środku znajdowała się kolekcja zdjęć z pierwszego roku życia Aleksa. Letty ułożyła je w porządku chronologicznym, każde z datą i opisem na odwrocie. Przez całe miesiące po jego urodzeniu metodycznie je gromadziła. W swoim charakterze pisma widziała determinację, żeby powiedzieć Wesowi, staranie na własny, dziwny sposób, żeby to wyjaśnić. Miała nadzieję, że on też to zobaczy.

Wes wziął pierwsze zdjęcie, wymiętą fotkę Aleksa w czapeczce w niebiesko-różowe paski. Zrobiono mu ją w szpitalu parę minut po urodzeniu. Już wtedy wyglądał jak skóra zdarta z ojca. Wes odwrócił zdjęcie, nie potrafiąc znieść tego widoku. Na odwrocie Letty zapisała czas i miejsce narodzin, wagę i wynik w skali Apgar.

– Był idealny – powiedział Wes. Letty nie wiedziała, czy chodziło mu o wygląd, czy o wyniki, ale skinęła głową.

– Był.

Wes odwrócił zdjęcie i zbliżył je do twarzy, jakby chciał poczuć zapach niemowlęcia.

– Tęsknię za nim – szepnęła. – W nocy śnię o nim, o sześciolatku z podrapanymi kolanami, płaczącym – a potem staje się jednym z moich pacjentów, umiera, a ja budzę się zlny potem. Co noc jest w innym wieku.

Zemdliło ją na myśl o tym, co mu odebrała, ale nie mogła tego cofnąć, nie mogła sprowadzić tu Aleksa w wieku sześciu, ośmiu, dziesięciu, dwunastu lat. Dlatego usiadła obok Wesa i zaczęła od początku, opowiadając mu cicho o każdej fotografii. Opowiedziała mu, jak Alex rzucił się na pierwszą łyżkę kleiku, o tym, że upadł po pierwszym kroku i nie zrobił drugiego przez miesiąc. Opowiedziała mu wszystko, co pamiętała, ale tak wielu rzeczy nie wiedziała i żałowała, że nie ma tu Marii Eleny, która uzupełniłaby luki. Maria Elena wiedziała wszystko.

Kiedy skończyła, Wes starannie włożył zdjęcia do koperty i spojrzał jej prosto w oczy.

– Może powinniśmy spróbować – powiedział cicho. – Może tak będzie najlepiej... dla nas wszystkich.

Z salonu dobiegały świąteczne piosenki. Wyobraziła sobie płonący na kominku ogień, wielką choinkę w wielkim oknie, taki dom i rodzinę, jakich pragnęła w dzieciństwie, na długo przed pójściem do Mission Hills, poznaniem Wesa, urodzeniem Aleksa. Kochała Wesa. Wyobrażenie sobie, że mogłaby go znowu pokochać, nie wymagało aż takiego wysiłku. Ich życie byłoby dobre. I tak by należało zrobić ze względu na Aleksa. To by mu chociaż trochę wynagrodziło tę lawinę błędów, którą mu zafundowała w jego krótkim życiu.

Ale kiedy muzyka ucichła, a ona podniosła głowę, zobaczyła w drzwiach Ricka ze śpiącą Luną w ramionach.

– Przepraszam – powiedział zaskoczony. – Nie chciałem przeszkadzać.

Luna osunęła się mu w objęciach; poprawił chwyt. Jej głowa z otwartymi ustami opadła do tyłu.

– Nie przeszkadzasz – rzuciła Letty, zrywając się z miejsca. Nie spojrzała na Wesa, ale wyobrażała sobie jego minę, zranioną, niedowierzającą, zagubioną. Podniosła kołdrę na łóżku Luny, a kiedy się odwróciła, ani Rick, ani Wes się nie ruszyli. Mięśnie Ricka napięły się pod ciężarem jej córki, Wes ścisnął kopertę pobielającymi palcami.

Boże, co ona wyprawia? Patrząc na nich, przypomniała sobie o swojej matce w Meksyku, przygniecionej piórami, szkłem i ciężarem decyzji. Letty też musiała teraz podjąć decyzję i każdy jej wybór oznaczał stratę.

Wzięła Lunę z ramion Ricka, położyła ją do łóżka i otuliła mocno kołdrą. Sara zawołała ją z salonu, żeby się pożegnać. Letty spojrzała na Ricka, potem na Wesa i znowu na Ricka.

– No, to chyba już – powiedziała w końcu i uciekła na korytarz. – Impreza się skończyła.

Poszli za nią na ganek, gdzie pożegnała się ze wszystkimi jednocześnie. Gdy ostatni samochód odjechał, Alex pocałował ją w policzek i poszedł spać. A ona nie chciała wracać do domu. Zimne powietrze ją paraliżowało. Usiadła na schodach.

Do bożonarodzeniowego poranka zostało tylko parę godzin.

Musiała zapakować prezenty, włożyć je do skarpet. Nie było sensu próbować zasnąć. Oparta o balustradę odetchnęła głęboko i zamknęła oczy, słuchając oddalającego się warkotu samochodów, potem skrzeczenia płomyków, a potem, bardzo długo, ciszy.

Alex i Yesenia byli jeszcze nabuzowani świętami, wystrojeni w nowe ubrania i buty, z nowymi plecakami, gdy piątego stycznia, pierwszego dnia po feriach, spotkali się u stóp kładki dla pieszych. Zamierzali przyznać się matkom, co zrobili, kiedy będzie za późno, żeby zabrać Yesenię z nowej szkoły. Dlatego na razie tajemnica należała tylko do nich. Yesenia usiłowała ukrywać uśmiech, tak jak Alex swojego pierwszego dnia w Mission Hills, ale szczęście biło z jej oczu, z tych wielkich czarnych otchłani, które spoglądały to na niebo, to na Aleksa. Fale tej radości docierały do niego tak mocne, że zastanowił się, czy niebo także ją czuje.

Yesenia wyglądała pięknie. Carmen kupiła jej na Gwiazdkę różowy puchaty sweter, obcisły gdzie trzeba, pasek z logo jakiejś drogiej marki, której Alex nigdy nie potrafił zapamiętać, i ciemne džinsy, na tyle długie, że zakryły prawie całe ortopedyczne buty. Yesenia uczesała się tak, jak Alex lubił najbardziej – długie, proste pasma z podwiniętymi końcówkami, a to czerwone z przodu podpięła brylantową spinką, więc mógł ją całować bez obaw, że włosy wejdą mu do ust. Pocałował ją; ładnie pachniała, inaczej, jakby przeczuła, że w Mission Hills unosi się ta chmura aromatów, choć pewnie po prostu dostała perfumy pod choinkę.

– To już ostatni – powiedziała. – W szkole jestem twoją kuzynką, pamiętasz?

– Tylko jeśli ktoś spyta – odparł, marszcząc brwi. – Odczekamy parę dni, a jeśli nikt się nie będzie interesować, powiem wszystkim, że jesteś moją dziewczyną. Nie chcę, żeby mi cię ktoś poderwał.

– Nikt mnie nie poderwie.

– Sama zobaczysz. W tej szkole faceci nie przepuszczą ładnej dziewczynie.

Yesenia uśmiechnęła się, wzięła go za rękę i ruszyli w długą drogę do szkoły. Rozmawiali o świętach. Yesenia opisała mu prezenty, jakie dostała, i filmy, które obejrzały podczas pierwszej od zawsze świątecznej przerwy Carmen, Alex opowiedział o ekstatycznym szale, który się rozpełtał, gdy znaleźli pod choinką narysowane bilety lotnicze. Bliżej szkoły zaczęli rozmawiać o Mission Hills i Alex opowiedział Yesenii o wszystkim, co przyszło mu do głowy: gdzie siedzi na zajęciach pana Everetta, o najnowszych postępach swojego projektu naukowego (w czasie ferii trzykrotnie odwiedził laboratorium razem z ojcem) oraz o najsilniejszych konkurentach i że pan Everett nie pozwala na rywalizację. O tym, co właśnie skończyli czytać na angielskim i co mają zacząć, o kolegach, o Nathanie, Bobbym i Sophii, która, już to zdecydował, będzie jej najlepszą przyjaciółką (obie lubiły słoną wodę, czy to nie wystarczy?), oraz o stertach prac domowych i o ciężarze podręczników.

– Możemy się podzielić moją szafką – zaproponował. – I będę nosić twoje książki.

To pierwsze przyszło mu do głowy, kiedy zaczął obmyślać plan pod tytułem: „Yesenia podbija Mission Hills” – że będą chodzili na te same zajęcia i że on będzie nosić jej książki.

Wyszli zza zakrętu i Mission Hills znalazło się w ich polu widzenia, białe i imponujące, ze słońcem oświetlającym je jak reflektor. Yesenia stanęła i zapatrzyła się w milczeniu.

– Denerwujesz się?

Pokręciła głową.

– Nie. – Uśmiechnęła się i ucisnęła jego rękę, ale potem zreflektowała się i puściła ją. – Po prostu jestem szczęśliwa.

Alex wsunął palec w szlufkę jej džinsów w opiekuńczym geście. On też był szczęśliwy. Zrobili wspólnie coś wielkiego i śmiałego, a teraz byli bezpieczni, razem, i pozostaną razem do końca liceum, a potem... no, potem też. Pociągnął ją delikatnie za sobą, długim podjazdem, a potem otoczonymi kolumnami schodami do wielkiego holu wejściowego.

Było wcześniej. Przyszli na zajęcia pozalekcyjne – Yesenia musiała poczekać w bibliotece – ale szkoła już żyła i Alex po raz kolejny dał się zaskoczyć temu gwarowi. Grupa uczniów pana Everetta opierała się o szafki, głośno, z ożywieniem rozmawiając o feriach. Alex miał coś powiedzieć do Yesenii, skomentować tę energię o tak wczesnej porze, jedną z pierwszych rzeczy, które odróżniały tę szkołę od ich starej, i spytać, czy ona także tak uważa, ale kiedy na nią spojrzął, patrzyła w innym kierunku: na mężczyznę w garniturze, który zbliżał się do nich szybkim krokiem. Pan Daniels.

– Dzień dobry, Alex.

Zdziwił się, że dyrektor zna jego imię, ale może nie powinien – nie należało do tajemnic, że Alex jest jednym z ulubieńców pana Everetta, a niejeden nauczyciel pamiętał i jego matkę. Alex nie wiedział, jak długo dyrektor pracuje w tej szkole, ale był na tyle stary, że mógłby pamiętać Letty.

Ale pan Daniels nie patrzył na Aleksa, lecz na Yesenię.

– Ty musisz być Yesenia Lopez-Vazquez – dodał, dając znak ochroniarzowi przy drzwiach. Aleksowi przez chwilę wydawało się, że obaj chcą powitać nową uczennicę, pokazać jej, że się cieszą z jej przyjścia, że świetnie się nią zaopiekują i nigdy nie pozwolą, żeby spotkało ją to, co w poprzedniej szkole.

Ale oni patrzyli na nich bez sympatii i Alex poczuł ściskanie w żołądku, bo zrozumiał, że się pomylił, bardzo się pomylił, i że jest za późno: pan Daniels odszedł, prowadząc ze sobą Yesenię. Alex pospieszył za nimi. Ochroniarz zaprowadził ich do kancelarii i znajdujących się za nią zamkniętych drzwi.

Pan Daniels je otworzył.

W środku znajdował się stół. Przy stole czekało na nich dwóch policjantów w cywilu.

Część czwarta

Letty szła za funkcjonariuszem długim, ciemnym korytarzem. Ciężkie drzwi zamknęły się za jej plecami, przed nią znajdowały się drugie, zaryglowane. Funkcjonariusz przesunął identyfikator przez czytnik i drzwi się otworzyły, ukazując za sobą kolejny ciemny korytarz i następny. Od pisków czytników Letty zakręciło się w głowie; chciała usiąść, ale nie było żadnego krzesła, a funkcjonariusz ciągle szedł. Gdyby za nim nie nadążyła, utknęłaby na zawsze między drzwiami, nie mogąc się wydostać. Skupiła się na tym, żeby stawiać kolejne kroki, przełknęła żółć podchodzącą jej do gardła, której posmak mieszał się z zapachem potu i brudnej wykładziny, aż w końcu otworzyły się przed nią ostatnie drzwi i weszła w oświetloną przestrzeń aresztu.

Za oknem na dziedziniec wjechał radiowóz. Stalowa brama opadła za nim, więc samochód znalazł się w zamknięciu, zanim policjant otworzył jego drzwi. Skuty kajdankami chłopiec, który z niego wysiadł, nie był Alexem. Alex siedział tu od kilku godzin – godzin, które Letty spędziła w poczekalni, ubiegając się o pozwolenie na widzenie. Stała przy oknie, pochłonięta sceną rozgrywającą się na dziedzińcu – policjant przyciskał chłopca kolanem do samochodu – ale funkcjonariusz warknął na nią i zaprowadził ją za biurko, do rzędu cel z grubego szkła. Jakiś gruby, ostrzyżony na jeża nastolatek leżał na wznak na drewnianej ławie, oparty o szybę i Letty pomyślała o zwierzętach w zoo, hipopotamach o grubej skórze, nosorożcach i słoniach, leniwie przechadzających się przed zwiedzającymi. Ten chłopiec nie podniósł głowy, kiedy go minęła, ale odprowadził ją wzrokiem, tak jak zwierzęta, bez zainteresowania ani wstydu. Nie siedział tu po raz pierwszy.

Zatrzymali się przed kolejnymi zamkniętymi drzwiami; prowadziły do ogromnego pomieszczenia w kształcie podkowy, ze schodkami zbiegającymi w dół jak w amfiteatrze. Na dole przed ciemnym ekranem telewizora stał rząd pustych krzeseł. Siedzący przy biurkach na górze funkcjonariusze czuwali nad ruchami wszystkich obecnych w sali. Policjant wskazał stolik w rogu i zostawił przy nim Letty, po czym podszedł do rzędu drzwi i pukał. Chłopcy w granatowych spodniach i podkoszulkach wychodzili z nich kolejno, brali buty i znikali za drzwiami, żeby je włożyć. Przy jednym z pomieszczeń funkcjonariusz zatrzymał się i zamienił parę słów z kimś w środku. Letty wstrzymała oddech sądząc, że to Alex, ale funkcjonariusz ryknął tylko coś o odmowie zeznań, po czym trzymający tablicę z klipsem mężczyzna z identyfikatorem psychologa odwrócił się i opuścił pomieszczenie.

Zaczęli wychodzić. W butach, z koszulkami wpuszczonymi w spodnie, z pochylonymi głowami. Szli z rękami na plecach, jakby byli skuci i dopiero kiedy pierwszy z nich minął Letty, zauważyła, że jego rąk nic nie krępuje. Ale pewnie tego wymagały zasady, bo gdy chłopiec ze środka rzędu podniósł palec, żeby podrapać się w obojczyk, funkcjonariusz krzyknął i ręka natychmiast wróciła na miejsce.

Niektórzy chłopcy szli ociężale, inni sztywno. Przyglądając się im, Letty rozpoznawała po strachu w ich oczach, jak długo tu siedzą i czy to ich pierwszy raz. Chłopak, który szedł nonszalancko, luźno trzymając ręce, zrobił szeroki łuk, podchodząc do policjantów tak blisko, na ile mu starczyło odwagi, zanim zszedł po schodach w stronę stojących w dole krzesel. Siedząca za biurkiem czarna kobieta o krótkich siwych włosach zawołała za nim:

– Przechodzisz obok mnie i nic?

Chłopak odwrócił się i rzucił jej krzywy uśmiech.

– No właśnie, lepiej się uśmiechnij! Znam go, odkąd skończył trzynaście lat – dodała cicho, a Letty nie od razu zrozumiała, że mówi do niej. – Powiedziałam mu, że będę go odwiedzać na wolności, żeby nie dawał się pudłować tylko po to, żeby się ze mną spotkać.

Chłopak usiadł obok pozostałych, twarzą do czarnego ekranu. Letty ze swojego miejsca widziała tylko jego potylicę, ale po pozycji ramion poznała, że się uśmiecha i po raz pierwszy od tego porannego telefonu poczuła, że ucisk w jej piersi trochę zelżał. Ale nagle pojawił się Alex, ostatni z długiego szeregu chłopców, gniewny i przestraszony. Żołądek Letty się skręcił. Zakryła usta, zamknęła oczy i nie otworzyła ich, dopóki Alex nie usiadł przy stoliku naprzeciwko niej. Jego krzesło szurnęło o linoleum; usłyszała, jak jego zaciśnięte pięści opadają na blat.

W poczekalni przysły jej do głowy miliony rzeczy, które chciała mu powiedzieć, najróżniejsze błagania i oskarżenia, ale kiedy otworzyła oczy, nie mogła sobie niczego przypomnieć. Miał zdartą skórę na czole; wyobraziła sobie, że policjant albo jakiś aresztant pchnął go na betonową ścianę. Ten obraz sprawił, że żołądek skręcił jej się jeszcze bardziej. Przełknęła z trudem ślinę i zmusiła się, żeby się odezwać.

– Jak się czujesz? – spytała głupio. Chłopcy poniżej zachichotali złośliwie. Alex nie odpowiedział. Nie patrzył na nią i strach Letty szybko przerodził się w gniew. Przysunęła się bliżej i szepnęła:

– Coś ty sobie wyobrażał? Nie można się włamywać do komputera i zapisywać do szkoły uczniów, którzy nie mieszkają w Mission Hills.

Uświadomiła sobie swoją hipokryzję, zanim jeszcze Alex podniósł wzrok. Jego wyzywające spojrzenie zmusiło ją, żeby sobie przypominała. Stał obok niej w kuchni Sary, kiedy podpisywała fałszywą umowę, czekał z nią w kolejce, żeby

zmienić adres i kod pocztowy okolicy, o jakiej nie mogła nawet marzyć. Przecież wzorował się na niej, na całej tej starannie obmyślonej akcji dla niego. Jedyna różnica polegała na tym, że on wpadł.

– Na każdym korytarzu jest kamera – powiedziała. – Wszystko się nagrało. Nawet gdybyśmy mieli pieniądze na prawnika, nie wygalibyśmy.

Alex westchnął. Siedział jak ofiara; wiedział, że nie ma szans, jeszcze zanim Letty się odezwała.

– Dlaczego oskarżają mnie o włamanie? – spytał. – Niczego nie wziąłem.

– To nieważne. Wszedłeś do szkoły z zamiarem popełnienia innego przestępstwa. Więc to się liczy jako włamanie.

– Ale ja się nie włamałem!

– Cicho! – warknął funkcjonariusz z kąta. Letty wzdrygnęła się, spłoszona, ale Alex nawet nie mrugnął. Minęło tylko parę godzin i już się przyzwyczał, a widząc to, Letty zapragnęła wziąć go za rękę i uciec. Nie powinien tu siedzieć, pomyślała, nie on – ale drzwi za biurkiem znowu trzasnęły, a zamek kliknął głośno. Nigdzie nie uciekną.

Alex pochylił się do niej.

– Nie włamałem się – szepnął. – Miałem klucz.

– Nielegalnie.

Grupa chłopców u stóp schodów wstała jednocześnie i wyszła. Letty przyglądała się im, zaglądała im w twarze, kiedy ją mijali, i usiłowała sobie wyobrazić ich matki, siedzące na jej miejscu. Czy one także myślały, tak jak ona teraz, że ich synowie tu nie pasują? Że nie przypominają innych chłopców? Może. Ale ci młodzi mężczyźni, którzy ją mijali, przeważnie mieli to puste, błakające się spojrzenie pozbawionych matek dzieci, z którymi dorastała na Przystani, dzieci, których matki przedawkowały, siedziały albo nie poczuwały się do swoich obowiązków. Alex pod tym względem różnił się od innych, tak jak i ona się różniła, i wiedziała z doświadczenia, że przez to świadomość, iż się zaważyło sprawę, boli jeszcze bardziej.

W pomieszczeniu została tylko siwowłosa kobieta. Wstała i przeszła na krzesło najdalsze od miejsca, w którym siedzieli – akt takiej dobroci, że do oczu Letty napłynęły łzy. Zacisnęła zęby i zaczekała, aż wzruszenie minie. Dopiero potem spojrzała na syna.

– Dlaczego to zrobiłeś? – szepnęła. – Nie rozumiem. Widujesz ją codziennie po szkole.

Alex uniósł brwi z zaskoczenia. Myślał, że matka nie wie o jego spotkaniach z Yesenią, ale tak było. Po prostu nie wiedziała, jak zareagować. Wzruszył ramionami, nic nie mówiąc.

– Nie mogłeś zaczekać do trzeciej? Naprawdę? Musiałeś poświęcić to wszystko?

Alex gwałtownie pochylił się do niej i uciszył ją głosem, który brzmiał jak syk:

– Przestań! Nie zrobiłem tego, żeby się z nią widywać.

– Więc dlaczego?

Osunął się bezwładnie na krzesło. Siły, dzięki którym to wszystko w sobie ukrywał, opuściły go w jednym głębokim wydechu.

– Bo ją bili, jasne? A ona nie mówiła mamie i nie wiedziałem, co z tym zrobić.

Letty osłupiała, choć powinna się tego spodziewać. To jasne, że dziewczynka taka jak Yesenia nie jest bezpieczna w liceum w Bayshore. Tam nikt nie był bezpieczny, dlatego tak bardzo się starała, żeby wydostać stamtąd Aleksa.

– Dlaczego nie przyszedłeś do mnie? – Alex spojrzał jej w oczy i przypomniała sobie – przyszedł, znękany, proszący, w dzień po powrocie Wesa, ale była tak roztargniona, że odtrąciła go, nie rozumiejąc jego natarczywości. – Przyszedłeś. Przyszedłeś, cholera, a ja cię zlekceważyłam. – Ciężar tej świadomości przygniótł ją tak, że osunęła się na blat, przytuliła policzek do gładkiego plastiku. – Boże, przepraszam. Bardzo przepraszam.

– Przestań – warknął. Ton jego głosu sprawił, że się wyprostowała. – To ja to zrobiłem. Włamałem się, zapisałem Yesenię i... – przesunął dłonią po zadrapaniu na czole – nawrzucałem policjantowi. – Oczy mu się zaszklily. Zagryzł dolną wargę, mocno, usiłując powstrzymać niepowstrzymane łzy. – Nie wiem, co się ze mną dzieje.

Pochylił się nad stołem, tak jak przed chwilą ona. Milczał, ale jego pierś gwałtownie się poruszała. Letty położyła mu na ramionach obie ręce.

– Tęsknię za babcią – szepnął ledwie słyszalnie. Letty przypomniała sobie Lunę łkającą na fotelu na lotnisku. Alex miał niższy głos, ale brzmiał w nim identyczny ból.

– Ja też – westchnęła. – Ale damy radę. Dasz radę.

– Nie.

– Tak. Mogłeś zrobić coś głupiego, ale zrobiłeś to, bo uważałeś, że tak trzeba. Zrobiłeś to dla Yesenii.

Wtedy rozplakał się na dobre, nawet nie próbując się powstrzymać. Letty rozejrzała się nerwowo, myśląc o tym, co zrobią z jej chudym, wrażliwym synem po jej wyjściu. Ale sala opustoszała. Wszyscy gdzieś poszli, na lekcje albo na spacer, więc siedziała spokojnie i słuchała jego płaczu, głaszcząc go po plecach, aż się uspokoił. Delikatnie dotknęła jego karku, sprawdzając, czy ma gorączkę.

Kiedy podniosła głowę, obok niej stała siwowłosa kobieta.

– Czas się skończył, mamó.

Letty pocałowała Aleksa w głowę, a potem ujęła wyciągniętą rękę kobiety, pozwalając się podnieść i zaprowadzić do drzwi. Obejrzała się; Alex siedział

wyprostowany, z wytartą twarzą i rękami za plecami, czekając na rozkazy.

Zatrzymała się w progu.

– Chcesz, żeby przyszedł Wes? Kazał mi spytać.

– Powiedziałaś mu?

– Oczywiście.

Alex pokręcił głową.

– Dobrze, powtórzę.

– I... mamó? Przepróś go ode mnie. Carmen też. Powiedz im, że to był mój pomysł, tylko moja wina. Powiesz jej?

Miała ochotę wrócić do niego, ścisnąć tak długo, aż wyrzuty sumienia i rozpacz go opuszczą, unieść mu głowę wysoko, ale drzwi były już otwarte, a ona musiała wyjść.

– Tak – rzuciła. – Kocham cię, Alex. Pamiętaj.

Drzwi zatrzasnęły się za nią i Alex zniknął.

Letty siedziała z Luną na schodach Courtyard Terrace, czekając, aż Carmen wróci do domu. Na parkingu dwie dziewczynki grały w klasy, narysowane grubymi kredowymi krechami. Luna co parę chwil podchodziła, żeby sprawdzić, co robią, podskakiwała raz, drugi, a potem przypominała sobie o wszystkim, wracała pędem do matki, siadała na schodach i czekała z ponuro zaciśniętymi wargami.

Carmen przyszła w końcu późnym popołudniem. Uśmiech, z jakim wysiadła z samochodu, potwierdził obawy Letty: nic nie wiedziała. Yesenia nie zadzwoniła. Nie podała policji numeru matki, pewnie nawet nie wyjawiała im swojego nazwiska. Wszyscy bali się *la migra*, a Letty znała już Yesenię na tyle, by wiedzieć, że robi wszystko, żeby ochronić matkę. Znowu ogarnęła ją fala mdłości na myśl o Yesenii i Aleksie w mrocznym labiryncie tych pancernych drzwi, zupełnie samych.

Na widok twarzy Letty Carmen przestała się uśmiechać. Spytała o coś głośno i ze strachem po hiszpańsku. Letty nie zrozumiała, ale ktoś w mieszkaniu obok to usłyszał. Jakaś głowa wyjrzała na korytarz; Letty czuła te wszystkie uszy nastawione w zatłoczonym bloku, podsłuchujące. Pokręciła głową – nie tutaj – i weszła po schodach do mieszkania Carmen, która otworzyła drzwi.

Yesenia była w tym mieszkaniu wszędzie. Na półkach oprawione wypracowania, świadectwa szkolne przyklejone do lodówki, zdjęcia uśmiechające się ze wszystkich ścian – jej nieobecność była jak żywe, oddychające stworzenie, kradnące tlen sprzed nosa Letty. Zanim doszła do salonu, poczuła zawroty głowy z braku powietrza.

– *Dónde está mi hija?*

Gdzie moja córka? W głosie Carmen brzmiała panika.

Luna wyciągnęła ręce i Letty wzięła ją w ramiona. Mała przywarła do niej

jak lemur. Letty przeszła przez pokój i otworzyła okno.

– Mają kłopoty.

Carmen chwyciła się za brzuch. Letty myślała, że kobieta zwymiotuje, ale potem zobaczyła jej ruchy, rysujące wypukłość ciążowej sylwetki. Pokręciła głową.

– Nie, nie to. Z policją.

– *La policia?*

Niedowierzenie zwarzyło miękkie rysy Carmen w twarde linie. To niemożliwe, mówiły jej oczy. Yesenia nie jest taka. Ani Alex. Letty posadziła Lunę na wykładzinie. Potrzebowała wszystkich sił, żeby to wyjaśnić. Ledwie знаła te prawnicze określenia po angielsku, a opowiedzenie wszystkiego wymagało paru podejść. Włamali się do szkoły w środku nocy, wprowadzili Yesenię do systemu komputerowego, używając adresu Aleksa, wszystko zostało nagrane przez kamery ochrony.

– Nie wiadomo, co zdecyduje sąd – zakończyła. – Tak powiedział ten policjant. Mogą być sądzeni za wykroczenie lub przestępstwo, a fakt, że w aktach zapisano to jako przestępstwo, nie oznacza, że nie mogą dostać łagodniejszej kary albo w ogóle kary w zawieszeniu.

Nie wiadomo, czy Carmen zrozumiała to ostatnie, ale najwyraźniej skapitulowała. Z wielkim wysiłkiem dobrnęła do kanapy, runęła na poduszki. Luna rzuciła się ku niej i przykryła ją sobą jak koc. Tego było za wiele – dowiedzieć się o stracie córki, mając w objęciach córkę innej kobiety, czując dotyk jej świeżej skóry, zapach splątanych włosów, słyszeć jej miarowy, płytki oddech. Carmen zasłoniła twarz poduszką i wybuchnęła płaczem. Chude ciało Luny trzęsło się od jej szlochu. Dziewczynka uściśnęła Carmen mocniej.

Letty stała przy oknie, patrząc na zbierające się chmury. Od jej świątecznej imprezy, kiedy wszyscy wznosili toasty, upłynęły dwa tygodnie, ale wydawało się, że to przyjęcie odbyło się w innym życiu. Wszystko się zmieniło. Alex i Yesenia byli w areszcie. Carmen nie miała dokumentów i nie władała językiem na tyle, żeby choćby odwiedzić córkę. Letty po raz pierwszy zrozumiała, jak bardzo różnił się ich los. Przez całe życie czuła się jak outsiderka, ale prawdziwą outsiderką była Carmen. Prawo tego kraju broniło Letty, dawało jej szansę na sukces, nawet jeśli nie zawsze się to udawało, ale to prawo nie obejmowało Carmen. Matka Yesenii była nie tylko samotna – była niewidzialna.

Letty oderwała się od okna. W pokoju panowała cisza. Luna leżała nieruchomo. Letty rozejrzała się, znalazła koc, przyniosła go i otuliła nim dokładnie Carmen. Wyciągnęła Lunę z jej ramion.

Wyłączyła światło.

– Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebować – szepnęła, wychodząc. Na skrawku papieru nagryzmoła swój numer. – Daję słowo, że ją wydostanę.

Carmen odwróciła się twarzą do ściany. Jej pomruk zgody był ledwie słyszalny.

W domu Letty paliły się wszystkie światła, malutki płomyk na tle czarnego horyzontu. Początkowo sądziła, że wybiegając w popłochu, zostawiła je włączone, ale idąc z Luną podjazdem, zobaczyła zaparkowane obok siebie samochody Wesa i Ricka. Nie rozmawiała z żadnym z nich od tej gwiazdkowej imprezy, ale kiedy dostała telefon w sprawie Aleksa, natychmiast powiadomiła ich obu. Stąd ich obecność. Przedtem wpadłaby w panikę, widząc ich samochody obok siebie, ale rozmowa z Alekssem i Carmen wyczerpała wszystkie jej uczucia. Jak odrętwiała weszła z Luną po schodach.

W domu pachniało imbirem. Nie intensywną, lepką słodyczą syropu imbirowego Ricka, ale czymś gorącym i zdrowym. Czuła też cebulę i marchew. W kuchni Rick mieszał zupę. Wes siedział przy stole, dmuchając w małą miseczkę i rozmawiając przez komórkę.

Na widok Ricka Luna wybuchnęła płaczem. Od chwili gdy Letty odebrała ją ze szkoły, usta małej były zaciśnięte w cienką linię, a ona tuliła matkę, a potem Carmen, demonstrując im swoją siłę. Letty nie zdawała sobie z tego sprawy, dopóki jej córka nie rzuciła się w ramiona Ricka, który podniósł ją, wtulił jej twarz w swoją szyję i kołysał, nie przerywając mieszania zupy.

– Ćśśś, ćśśś, ćśśś – szeptał. Wskazał Wesa i przyłożył palec do ust. – Wes go wyciągnie.

– Na pewno? – szepnęła przez łyżę.

– Na pewno – powiedział Rick, ale w jego spojrzeniu, które skierował na Letty, nie było pewności. Bał się tak samo jak ona. Zanurzył palec w garnku i pomazał zupą wargi Luny jak pomarańczową szminką. Zlizła i otworzyła buzię, chcąc jeszcze.

Letty usiadła przy stole.

– Z kim rozmawiasz? – spytała bezgłośnie.

– Z panem Everettem – odpowiedział Wes. Kiwał głową powoli, stukając łyżką o miskę. – Wiem – powiedział.

Letty słyszała tylko jego część rozmowy: „Tak, dziękuję” i „Tak, powiem jej”, a potem, po długim milczeniu, potwierdził coś w związku z czwartkiem i pożegnał się.

Odłożył komórkę z westchnieniem.

– No, no – odezwał się Rick, nalewając zupę do trzech misek i siadając obok Wesa. – Było ostro.

– Czuje się strasznie – powiedział Wes ze zmęczeniem.

– I dobrze. – To pan Everett powiadomił dyrektora o zniknięciu kluczy

i o tym, że jego komputer włączył się w środku nocy.

– Nigdy by nie zadzwonił, gdyby wiedział, że chodzi o Aleksa – odparł Wes.

– Sam by się tym zajął.

– To nam nie pomoże.

– Tak mu powiedziałem.

Rick postawił talerz przed Letty. Choć przez cały dzień miała mdłości i czuła, że nigdy już niczego nie zje, uniosła łyżkę parującej zupy do ust. Płyn rozgrzał jej usta, gardło, pierś; zjadła kolejną łyżkę i następną.

Wes podniósł swoją miseczkę i wypił resztę zupy.

– Porozmawia z dyrektorem i zrobi wszystko, co może, żeby nie dopuścić do wyrzucenia Aleksa. Chciał, żebym ci to powiedział. Musimy się stawić na zebraniu w czwartek o ósmej rano.

– Alex też?

Wes skinął głową. Nastąpiła chwila milczenia. Wszyscy liczyli dni do czwartku i obliczali szanse na to, że Alex zostanie do tego czasu wypuszczony.

– Wyjdzie – powiedziała Letty, udając pewność, której nie czuła. – Prawo wymaga, żeby stanął przed sędzią w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin.

Zerknęła na Ricka, który uścisnął Lunę i skinął głową. Odwiezie ją rano do szkoły. Letty nawet nie musiała pytać. Zalała ją fala ulgi, kiedy Rick wstał, żeby nalać dokładkę Lunie i Wesowi.

– Dzięki – powiedział Wes. Wziął miskę i spojrzał Rickowi w oczy. Letty poczuła, że między nimi pojawiło się coś, czego nie było na imprezie. Nie wiedziała, czy pogadali ze sobą przed jej przybyciem, ale jedno było pewne: to już nie miało znaczenia.

Czuł się, jakby grał w jednym z tych filmów, których Maria Elena nie pozwalała mu oglądać. Ciemne, kręte korytarze, uzbrojony strażnik, znudzony, pogardliwy sędzia. „Badania statystyczne dowodzą, że znowu popełnisz przestępstwo. Nie rób tego” – powiedział. Jego ton świadczył, że los Aleksa jest mu całkowicie obojętny. Czytał gotowy tekst, mówił to, co miał powiedzieć, i Alex zachował się tak samo. „Tak, wysoki sędzie, tak, wysoki sędzie, rozumiem, wysoki sędzie”. Letty siedziała na galerii skamieniała z napięciem, z zaciśniętymi zębami. Alex niemal czuł tępy ból szczęk matki, powstrzymującej się przed powiedzeniem czegoś.

Gdy sesja dobiegła końca i wyznaczono następną datę rozprawy, Letty wpadła na salę przez niskie wahadłowe drzwi i chwyciła Aleksa za rękę. Jego kurator chciał coś powiedzieć, ale Letty pociągnęła syna do wyjścia.

– Może pan mówić na świeżym powietrzu – warknęła i Alex wraz z kuratorem musieli przyspieszyć, żeby za nią nadążyć. Ledwie udało im się wskoczyć do windy, zanim Letty wcisnęła guzik zamykający drzwi.

Światło dnia poraziło rozszerzone źrenice Aleksa. W całym tym budynku nie było ani jednego okna. Kiedy w nocy leżał w łóżku, dmuchał sobie na górną wargę i wyobrażał sobie, że to powiew wiatru. Żeby się uspokoić, recytował nazwy ptaków w kolejności alfabetycznej, a teraz ptaki zjawiły się, żeby go powitać: stado głodnych gołębi skalnych, uporczywie stukający w wysokie drzewo dzięcioł. Alex przyglądał się dziwuszcze ogrodowej z czerwonym kuperkiem, podskakującej w swoim najeżonym patyczkami gnieździe, podczas gdy kurator referował warunki jego zwolnienia. Potem spytał, czy mają jakieś pytania. Letty zażądała zwrotu plecaka Aleksa.

– To wzorowy uczeń – oznajmiła i choć to nie było już prawdą, zawieszono go bowiem na pięć dni, a szkoła prawdopodobnie zamierzała go wyrzucić, Alex poczuł małe drgnienie nadziei, że ten jego błąd, choć gigantyczny, nie położy kresu znanemu mu życiu.

– Wydadzą państwu w depozycie – odparł kurator, prowadząc ich z powrotem do budynku. – Musicie podpisać dokumenty.

W depozycie Alex wziął siatkę na zakupy, którą mu wręczono. Pachniała perfumami Yesenii. Żołądek mu się skręcił na wspomnienie, jak jechali ściśnięci w tyle radiowozu, jak jej włosy trzepotały dziko od podmuchu grzejnika, a ona nie mogła odsunąć ich z twarzy, bo ręce skuto im na plecach. Ją pierwszą wywleczono z samochodu i jeśli usiłowała się odwrócić, jeśli mu pomachała albo coś szepnęła,

to on o tym nie wiedział. Widząc, jak odprowadzają ją do oddziału kobiecego, zgiął się wpół i upadł na podłogę z twardego plastiku.

Z ulgą ujrzał, jak matka wyjmuje ze swojej ogromnej torby zmianę ubrania. Nie dałby rady nosić rzeczy pachnących Yesenią. Letty wcisnęła mu je w ręce i wskazała głową łazienkę.

– Idź się przebrać – powiedziała. – Ja to wypełnię.

Kiedy wrócił, miała na ramieniu jego plecak. Formularz zwolnienia włożyła do okrągłej kieszeni na zewnątrz, tej na butelkę.

– Gotowy? – spytała i odwróciła się do wyjścia, ale pokręcił głową.

– Chcę się zobaczyć z Yesenią.

Jej imię utkwilo mu w gardle, wielki kłęb smutku, który utrudniał przełykanie, a jeszcze bardziej oddychanie.

Młoda kobieta za biurkiem nie podniosła wzroku znad klawiatury.

– Mówisz o tej małej dziewczynce, która przyjechała z tobą?

Letty uniosła brwi. Alex odpowiedział, nie dopuszczając jej do głosu.

– Yesenia Lopez-Vazquez. Mogę się z nią spotkać? Czy wie pani, kiedy ma sprawę w sądzie?

– Wiem wszystko – odparła kobieta. Poprawiła odznakę i wyjęła z szuflady pilnik do paznokci, nadal nie podnosząc wzroku. – Ale jeśli nie jesteś jej tatusiem, nie mogę ci nic powiedzieć.

Letty jęknęła z desperacji. Przez ostatnie siedemdziesiąt dwie godziny dzwoniła do wszystkich możliwych osób, ale nic nie zwojowała. Teraz oparła się obiema rękami o biurko.

– To jest urząd – rzuciła. – Nikt nam nie zabroni siedzieć tu przez cały dzień.

– Więc proszę siedzieć – odparła kobieta. Zerknęła na strażnika przy drzwiach. To spojrzenie znaczyło coś konkretnego i nic dobrego. Mężczyzna gwizdnął cicho, a ona skinęła głową. – Proszę sobie swobodnie siedzieć, siedzieć i siedzieć.

– Co? Co się z nią stało? – Alex pomyślał jednocześnie o wszystkim, o czym starał się nie myśleć: dziewczyny za tymi murami, przeważnie zatrzymane za przemoc, a między nimi Yesenia. Gniew i frustracja pchnęły go do biurka, tak blisko, że czuł zapach kosmetyków we włosach kobiety. Letty jednym szarpnięciem pociągnęła go w tył, ku sobie. Zobaczył w jej oczach prawdziwy strach i przypomniało mu się, co sędzia powiedział o powtórny złamaniu prawa. Od chwili aresztowania czuł się kimś innym. Najgorsze już się stało. Po co się wysilać, żeby być znowu dobrym.

– Przepraszam – powiedział cicho.

Dopiero teraz kobieta podniosła głowę, zaskoczona, i pewnie coś by powiedziała, gdyby z magazynu nie wyszła inna policjantka. Alex znał ją ze swojego oddziału – siedziała za biurkiem, kiedy Letty przyszła z wizytą. Spojrzała

w oczy Letty, prowadzącej szybko Aleksa do drzwi.

– Już jej tu nie ma – powiedziała cicho. Otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz. – Przykro mi. Urząd imigracyjny dawno ją stąd zabrał.

Alex nie musiał jej nawet prosić. Letty pobiegła na parking w takim tempie, że z trudem za nią nadążył. Otworzyła samochód Ricka, wskoczyła do środka i wycofała auto, zanim Alex zdążył zamknąć swoje drzwi. Jednym okiem patrzyła w lusterko wsteczne, drugim na ekran telefonu Aleksa. Znalazła adres urzędu imigracyjnego w San Francisco i usiłowała wyznaczyć trasę.

Ulice otaczające sąd były zakorkowane; foodtrunki tłoczyły się przy krawężniku, przechodnie przebiegali między samochodami, żeby kupić sobie przekąskę. Letty zmieniała pasy, nie odrywając wzroku od mapy w telefonie.

– Gdzie ona jest? – spytał Alex. Pośpiech Letty obudził w nim panikę. – Co się dzieje?

Letty wcisnęła mu telefon do ręki i przyspieszyła na autostradzie.

– Poszukaj jakiegoś adwokata od spraw imigracyjnych – poleciła. – Potrzebujemy go.

– Nie mamy pieniędzy.

– Mamy. – Nie była to prawda, chyba że Letty wygrała w totka przez te trzy dni, kiedy był zamknięty, ale Alex się z nią nie spierał. Fakt, akurat jechali nowym modelem toyoty highlander i mieli wrócić do domu w Mission Heights. Mogli nie mieć pieniędzy, ale teraz należeli do grupy ludzi, którzy w razie potrzeby mogli je znaleźć. A to była chwila potrzeby.

Alex wpisał w wyszukiwarce słowa „adwokat imigracyjny San Francisco”.

– Są ich miliony. – Pokazał telefon Letty, która przejrzała listę.

– Dzwon po kolei, aż znajdziesz dostępnego.

Zanim zdążył wybrać numer, komórka w jego dłoni zawibrowała. Nieznajomy numer.

– Ktoś dzwoni.

Letty skinęła głową. Alex odebrał i przyłożył telefon do jej ucha.

– Halo? – W telefonie rozległ się hałas, przenikliwy jazgot, który dotarł nawet do Aleksa. – Halo? – powtórzyła głośniejszą matką. – Halo? Kto mówi?

Chwyciła komórkę i przycisnęła ją mocniej do ucha, więc jeśli ktoś się odezwał, Alex tego nie usłyszał.

– Mów wolniej – powiedziała, dodała coś po hiszpańsku i Alex już wiedział, że to Carmen.

Potrząsnął ramieniem matki.

– Co się dzieje?

Letty odtrąciła jego rękę, bardzo skupiona. Jechała pasem szybkiego ruchu,

ale zwolniła. Z prawej mijały ich samochody, trąbiąc. Nie oglądając się do tyłu, zmieniła kolejne pasy i zatrzymała samochód na żwirowym poboczu drogi. Powiedziała po hiszpańsku coś, czego Alex nie zrozumiał, i rozłączyła się. Oparła głowę o kierownicę, trafiając w klakson, który ryknął, ale nie podniosła głowy.

Alex zmusił ją, żeby się wyprostowała.

– Mów, co się dzieje.

– Yesenia zadzwoniła do Carmen.

Fala radości, która go zalała, natychmiast ustąpiła miejsca strachowi.

– Jak się czuje? Gdzie jest?

Letty powoli odetchnęła.

– Nie wiem, jak się czuje – powiedziała w końcu – ale jest w Wirginii.

A więc zadziałał w tej okropnej sytuacji i znacząco ją pogorszył. Yesenia nie była już prześladowana, tylko aresztowana przez *la migra*. Aż do domu walczył z chęcią, żeby wyskoczyć z samochodu i rzucić się pod koła innych pojazdów. To on jej to zrobił, to w stu procentach jego wina. Podczas kolacji, którą zjedli w ciszy, torturował się myśleniem o innych decyzjach, jakie mógł podjąć: mógł zmusić ją, żeby powiedziała matce, powinien był powiedzieć Letty, Wesowi albo panu Everettowi. Powinien się uprzeć na powrót do Przystani, żeby chodzić do liceum Bayshore razem z nią. Usiłował sobie wyobrazić siebie, jak idzie niskimi, brudnymi korytarzami tego betonowego budynku, obrońca Yesenii. Ale kochał zajęcia z panem Everettem prawie tak bardzo jak Yesenię. I choć chciał jej pomóc, nigdy na serio nie myślał o poświęceniu swojej edukacji.

A teraz Yesenia przepadła, a jego i tak wyrzucą.

O siódmej rano następnego dnia Wes zapukał do drzwi, ubrany w garnitur i krawat. Alex rzadko widywał go w czymś oprócz szpitalnego uniformu, więc widok ojca tak starannie przygotowanego na spotkanie z dyrektorem Danielssem zdenerwował go jeszcze bardziej. Unikając jego spojrzenia, wetknął w spodnie za ciasną białą koszulę, której nie nosił od rozdania świadectw w ósmej klasie, i uniknął jego oczekujących na uścisk ramion, wsiadając od razu do samochodu.

Wyglądał przez okno podczas całej drogi z Mission Hills do szkoły. Było już po pierwszym dzwonku; Alex ze spuszczoną głową poprowadził rodziców do gabinetu dyrektora, bojąc się spotkania z kimś znajomym.

W gabinecie Letty przedstawiła się sekretarce, która zaprosiła ich do poczekalni. Alex z zaskoczeniem usłyszał głos pana Everetta. Nauczyciel powinien prowadzić zajęcia. Najwyraźniej zostawił uczniów samych. Alex wyobraził sobie, jak mówi na odchodnym: „Na tej lekcji waszym kierownikiem jest Jeremy”.

Smutek ścisnął go za gardło na myśl o innych uczniach pracujących bez niego nad swoimi projektami.

Drzwi do gabinetu dyrektora były uchylone; rodzice siedzieli obok siebie na ławce w poczekalni, ale Alex zbliżył się, na ile mógł, nie rzucając się w oczy.

Nauczyciel występował w jego obronie. Alex usłyszał ton jego głosu, jeszcze zanim rozróżnił słowa. Nachylił się bliżej, nasłuchując.

– To wykroczenie karane wyrzuceniem ze szkoły – powiedział pan Daniels.
– I to niejedno. Kradzież, włamanie, przestępstwo komputerowe. Nie wiem, jak mógłbym go nie wyrzucić... to kwestia polityki.

– Jak to polityki? Tu nie chodzi o politykę, tylko o przyszłość tego chłopca. Dobrego chłopca.

– Wierzę. Ale przez cały tydzień użeram się z zaniepokojonymi rodzicami, przeważnie rodzicami uczniów z pańskich zajęć nadobowiązkowych.

– Pani Burke.

Pani Burke była matką Rachel, której projekt na temat sposobu oceny egzaminów standaryzowanych zdobył czwarte miejsce. Gdyby Alex został wyeliminowany, Rachel weszłaby na jego miejsce. Nic dziwnego, że pani Burke była „zaniepokojona”.

– Nie tylko ona.

Zaszeleściły papiery, jakby pan Daniels przeglądał spis dzwoniących, ale pan Everett go zatrzymał.

– Nie musi pan wymieniać tych innych. Ahmed, Chen, Coker... choć Jeremy nie miał najmniejszej szansy i wie o tym.

Nastąpiła długa chwila milczenia, a po niej westchnienie i głos pana Danielsa:

– Będę z panem szczery. Nie chcę go wyrzucać. Ale ten chłopak złamał prawo. Musi zrozumieć konsekwencje swojego postępowania. Jeśli mam namawiać radę, żeby go nie wyrzuciła, muszę znaleźć inny sposób, żeby go ukarać.

– Taki sposób istnieje.

Alex, podobnie jak dyrektor, czekał ze ściśniętym sercem na to, co powie pan Everett. Nauczyciel milczał przez chwilę.

– Niech wycofa swój projekt z olimpiady. Proszę mi wierzyć, odczuje to. A rodzice, którzy na pana naciskają, odpuszczą.

Alex stał osłupiały, na uginających się nogach, nie wierząc w to, co słyszy. Jak pan Everett mógł mu to zrobić? Wolałby już uczyć się w domu, byle tylko nie wycofywać projektu. Tylko na nim mu zależało.

Rozmowa w gabinecie dyrektora trwała, mówiono o dodatkowych karach – zawieszenie, praca społeczna, korepetycje – a potem pan Everett wyszedł.

Alex bez namysłu rzucił się do ucieczki. Pan Everett wołał za nim, ale on się nie zatrzymał, biegł korytarzem, potem przez podwórko aż do sali gimnastycznej,

gdzie dogonił go pan Everett. Cały czas go wołał, a kiedy Alex się nie zatrzymał, chwycił go za kołnierz białej koszuli i przygniół do ściany. Przytrzymał go za ramiona. Alex nie zdawał sobie sprawy, że płacze, dopóki nie poczuł oddechu nauczyciela na swojej mokrej twarzy.

– Jezu, Alex. Przestań.

Zażenowany wytarł twarz. Wiedział, że przesadza, ale nie chodziło tylko o projekt. Chodziło o wszystko.

– Niech mi pan da spokój – warknął, odpychając nauczyciela. Schował się za wyjście przeciwpożarowe, z dala od spojrzeń przechodzących uczniów.

Pan Everett stanął obok niego w cieniu metalowej drabinki.

– Słuchaj... przepraszam.

Alex wzruszył ramionami.

– Nie obchodzi mnie ten głupi projekt.

Ale nauczyciel pokręcił głową.

– Obchodzi. Znam cię, Alex. Wolałbyś wylecieć ze szkoły niż go wycofać.

Alex podniósł na niego wzrok.

– Więc dlaczego pan to zrobił?

Pan Everett wyjął coś z kieszeni. Podał to Aleksowi.

– Dlatego. Znalazłem to dziś w skrzynce.

Alex wziął od niego złożoną kartkę i powoli ją rozłożył. Widniały na niej ślady po kroplach wody, jakby pan Everett niósł ją w deszczu. Gdzieś tam atrament zostawił zacieki jak rozbryzgi krwi.

Ale tekst dało się odczytać. Był to list od rady olimpiady naukowej, datowany poprzedniego dnia. Zaczynał się słowami „Z żalem powiadamy”... Alex przebiegł wzrokiem frazesy, aż dotarł do sedna sprawy. „Alex Espinosa, kierownik projektu” – serce przestało mu bić, kiedy przeczytał ten tytuł – „został wyeliminowany z konkursu”.

– Co? – rzucił. – Dlaczego?

Pan Everett wskazał ostatni akapit. „Powyższy projekt został zdyskwalifikowany z powodu nielegalnie pozyskanych piór dzikich ptaków”.

– Powinienem sam na to wpaść – powiedział nauczyciel. – Prawo zabrania nawet podniesienia piórka z chodnika. Ustawa o ptakach migrujących z tysiąc dziewięćset osiemnastego roku.

Alex stał jak ogłuszony. Informacja powoli do niego docierała. Zgniół list i wcisnął go do kieszeni. Nie mógł spojrzeć na pana Everetta.

– Bardzo mi przykro. – Nauczyciel dotknął jego ramienia, ale chłopak nadal na niego nie patrzył. – Nie tylko za to. Nie zgłosiłbym tego, gdybym wiedział to, co wiem teraz.

Alex milczał.

– Mam nadzieję, że mi wierzysz. Staram się to naprawić i nie dopuścić, żeby

cię wyrzucono. Zaproponowałem to panu Danielsowi tylko dlatego, że już odebrano ci ten projekt.

Już mu go odebrano.

Tyle pracy, tyle czasu spędzonego z ojcem... Ogarnęła go fala wyrzutów sumienia i smutku za to, że tak go zawiódł. Jak miał to powiedzieć Wesowi? Wszystko, na co pracowali, przepadło. Te SMS-y o północy, te burze mózgów... Co z niego za idiota. Szedł przez życie, jakby był kimś wyjątkowym, jakby mógł wygrać, a teraz mu to odebrano, zanim się w ogóle zaczęło.

Pomyślał o Yesenii, która tkwiła gdzieś w Wirginii, w areszcie, za drutem kolczastym, na betonowej podłodze, wśród setek dzieci, kulących się pod kocami obszytymi folią termiczną. Zdjęcia schroniska, które znalazł w internecie, nieustannie go dręczyły.

Yesenia zawsze się starała, jakby to miało jakieś znaczenie. Ale nie miało. Jej także odebrano przyszłe życie, i to na długo zanim się zaczęło.

Letty siedziała w salonie na ławeczce pod oknem. Komórka, nadal ciepła, leżała na jej kolanach. Prawe ucho paliło ją od długiej rozmowy; przycisnęła je do chłodnego szkła i patrzyła na ganek i zmarniały zimowy ogród różany.

Dzwonił Wes, który właśnie skończył rozmawiać z prokuratorem okręgowym i natychmiast, jednym tchem przekazał jej wiadomość: prokuratura wycofała oskarżenie. Po spotkaniu z nimi dyrektor postanowił zapomnieć o sprawie, a choć prokuratura i tak mogła ją podtrzymać, postanowiła ustąpić, uzasadniając to stanowiskiem szkoły i faktem, że nikomu nie stała się krzywda.

Były to dobre wieści, na tyle dobre, na ile można się było spodziewać w tych okolicznościach. Alex nie będzie notowany. Siedząc w południowym słońcu, Letty poczuła, że zalewa ją ulga, po której natychmiast nastąpiło przerażenie. Alex nie ucieszy się darowaniem kary. To tylko pogorszy jego samopoczucie. Yesenia nadal nie wróciła.

Zerknęła na zegarek. Dochodziła dwunasta. Rick powinien lada chwila przyjechać, żeby zabrać ich na spotkanie z Carmen i prawnikiem, specjalistą od spraw imigracyjnych. Jeśli miała przekazać Aleksowi wiadomości przed odjazdem, to teraz.

Wstała, poszła korytarzem i delikatnie zapukała do drzwi. Alex się nie odezwał, więc nacisnęła klamkę, ale drzwi po raz pierwszy okazały się zamknięte. Zapukała mocniej.

– Alex?

Nie odpowiedział. Gorączkowo usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz go widziała. Przed odprowadzeniem Luny do szkoły? Po? Tak czy tak, od tego czasu upłynęło wiele godzin.

– Alex! – Przyłożyła ucho do drzwi, ale z pokoju nie dobiegały żadne odgłosy. – Alex! Otwieraj!

W końcu drzwi się otworzyły. Letty ujrzała w ciemnościach jedno przekrwione oko.

Alex był pijany.

Ten smród uderzył ją najpierw. Ostry, skwaśniały, smród kojarzący się jej z mokrymi ścierkami w barze i niewytartymi kałużami alkoholu. Otworzyła drzwi z takim rozmachem, że Alex runął jak długi. Nawet nie próbował wstać. Przykucnęła przy nim i potrząsnęła nim mocno.

– Wstawaj! – ryknęła. W nogach łóżka leżała przewrócona butelka, z której tequila rozlewała się ciemną kałużą na pościel. Letty chwyciła ją, ale na dnie

pozostała tylko odrobina. Letty nie potrafiła ocenić, ile Alex wypił, ale sądząc po tym, jak leżał nieruchomo, z szyją skrzywioną pod kątem, który byłby bolesny dla każdego, kto nie otępiłby się prawie do nieprzytomności, oceniła, że o wiele za dużo. Chwyciła go pod pachy, posadziła i oparła o łóżko.

– Co ty wyprawiasz? – rzuciła.

Alex usiłował skupić wzrok na jej twarzy, ale jego spojrzenie wylądowało gdzieś w okolicach jej ucha. Głowa chwiała mu się na bezwładnej szyi. Wymamrotał coś niezrozumiale, sięgnął po pustą butelkę, uniósł ją, przyglądając się jej tak, jak wiele miesięcy temu menzurkom w pomarańczowym blasku żarówki na ganku. Serce Letty przestało bić. To jej wina. To ona pokazała mu alkohol jako drogę ucieczki. Miała ochotę wsadzić mu palec do gardła, żeby wyrzucił z siebie to wszystko, tu i teraz, na podłogę, ale powstrzymała się, poszła do kuchni i wróciła ze szklanką wody, którą przystawiła mu do ust.

– Pij – rozkazała.

Pociągnął długi łyk. Oczy wywróciły mu się białkami do góry. Kiedy opadł bezwładnie, Letty zabrała szklankę i chlusnęła mu wodą w twarz.

Drgnął, otworzył szeroko oczy. Krople skapywały mu z rzęs.

– Obudź się! – Potrząsnęła go za ramiona. – O Boże, Alex, mogłeś umrzeć przez takie picie!

Coś przemknęło przez twarz jej syna i zrozumiała, że już o tym myślał i że ta perspektywa nie była dla niego tak bardzo przerażająca. Odrętwiała poszła do kuchni po drugą szklankę wody, a kiedy wróciła, Alex siedział już wyprostowany na łóżku. Wypił wodę powoli. Gdy skończył, Letty wytarła mu twarz ręcznikiem.

– Przepraszam – powiedziała. – Przestraszyłeś mnie.

Skinął głową. Osuszyła mu twarz, ale jego oczy nadal lśniły wilgocią. Usiadła obok niego, żałując, że jej syn nie ma już dziesięciu lat i że nie może go objąć i sprawić, że troski znikną, tak jak robiła to Maria Elena, kiedy Letty była w tym wieku. Wtedy wszystko przestawało się liczyć, od kpin po stłuczone kolana. Szkoda, że to o wiele za poważna sprawa i zbyt dorosły Alex na takie pocieszenie, pomyślała, ale potem poczuła jego głowę na swoim ramieniu i usłyszała głośne, drżące westchnienie.

Przytuliła go do siebie.

– Żyjesz?

Wzruszył ramionami.

– Wycofano oskarżenie.

Kiedy nie odpowiedział, odchyliła się i uniosła ku sobie jego twarz, żeby odczytać jej wyraz. Jeśli zrozumiał, co oznaczają jej słowa, nie dał tego po sobie poznać. W jego oczach malowało się wyczerpanie i poczucie porażki; miała wrażenie, że znalazła się w przeszłości i patrzy na siebie w lustrze, obserwując swoje zmieniające się ciało i przekreśloną przyszłość, o jakiej marzyła. Wtedy –

i jeszcze wiele lat później – miała takie samo puste spojrzenie, jakie w tej chwili jej syn.

Westchnęła ciężko.

– Alex?

Minęła bardzo długa chwila, zanim odpowiedział.

– Tak?

– Chcę ci coś powiedzieć. I chcę, żebyś słuchał.

Kiwnął głową, nie odrywając jej od ramienia matki.

– Zrobiłeś błąd. Jeden wielki, głupi, jebany błąd.

Z gardła wydarł mu się dziwny dźwięk, jak czkawka skrzyżowana ze śmiechem. Letty poczuła nadzieję – to brzydkie słowo nadal potrafiło poruszyć jej syna. Uścisnęła go mocniej.

– Słyszałeś, co powiedziałam? Jeden błąd.

– Jeden wielki, głupi, jebany błąd – szepnął Alex.

– Dokładnie. Nic więcej. – Cofnęła się, wzięła go pod brodę i zmusiła, żeby na nią spojrzał. – Więc się z tym pogódź. Zaciśnij zęby i napraw to, a jeśli nie możesz naprawić, to żyj dalej. To jedyny sposób.

Alex westchnął. To nie takie łatwe, mówiło jego bezwładne ciało. Chciała go zapewnić, że rozumie, ale nie mogła, bo błędem, który ją wykoleił, był on. Pamiętała, jak powiedziała matce, że jest w ciąży, jak Maria Elena następnego dnia przyniosła jej rano śniadanie i jak nie wstawała z łóżka przez tydzień. To nie była wina jej matki. Maria Elena kochała ją w jedyny znany jej sposób, z nieskazitelną troską i niekończącą się serdecznością. Ale nigdy nie zmusiła jej do zaciśnięcia zębów i pójścia dalej. Letty chciałyby wiedzieć, jak wyglądałoby jej życie, gdyby matka to zrobiła.

Wstała i postawiła Aleksa na nogi. Miał na sobie te same rzeczy, w których wystąpił na wczorajszym spotkaniu, nadal był w butach. Uklękła, żeby na nowo zawiązać mu sznurówki.

– Uczesz się – rzuciła. – Jedziemy na spotkanie z prawnikiem.

– Ja? – Alex zachwiał się nagle. – Nie mogę.

Przyniosła z kuchni miskę i wręczyła mu ją. Teraz, kiedy wstał, jego twarz przybrała nienaturalny odcień żółci.

– Jedziesz – oznajmiła, a kiedy jęknął, brutalnie chwyciła go za ramiona, chcąc, żeby zrozumiał. To nie było zwykłe spotkanie. To było wszystko.

Spojrzał na nią zaskoczony. Sama też się zdziwiła. Miała głos jak Maria Elena domagająca się prasowania koszul, ale tym razem to była ona i domagała się czegoś znacznie ważniejszego: żeby zadbał o własne życie. Alex zgiął się wpół, dygocząc, i zwymiotował do miski czystą tequilą.



Dziesięć minut później Letty przyprowadziła nadal ociągającego się Aleksa do stojącego na jałowym biegu samochodu Ricka. Jej syn miał na sobie czysty podkoszulek. Uczesała mu włosy, ale szedł zygzakiem i tulił do piersi miskę. Rick otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Letty uciszyła go spojrzeniem. Otworzyła drzwi z tyłu i pomogła Aleksowi wsiąść.

– Cześć – powiedziała, siadając obok Ricka. Pochyliła się i poczuła jego zapach, zapach oleju do smażenia. Rick miał na sobie biały fartuch szefa kuchni i Letty przypomniała sobie, że miał tego ranka zajęcia. – Dziękuję, że po nas przyjechałeś – dodała. – To dla mnie wiele znaczy.

Wes pracował, Sara zrobiła wszystko, żeby znaleźć najlepszego prawnika, ale tego dnia wyjechała na konferencję, z której miała wrócić dopiero za tydzień. Kiedy Letty poprosiła Ricka o podwiezienie, zgodził się bez wahania, ale teraz nie przyjął jej wyrazów wdzięczności i powiedział tak cicho, żeby Alex nie usłyszał:

– Musisz wiedzieć... nie robię tego dla ciebie. Robię to dla Yesenii. I Carmen, i Aleksa, i Luny.

Jego słowa sprawiły, że przestała oddychać. Od wielu dni odbierał wszystkie jej telefony po pierwszym sygnale i choć nie odnosił się do niej jakoś wyjątkowo czule, to i nie był oziębły. Ale teraz, w tej pierwszej chwili niby-bliskości, wyjaśnił jej wszystko. Zbyt długo czekała. Osunęła się niżej na siedzeniu i pomyślała o tym dniu po świętach, kiedy przez cały ranek siedziała z komórką na kolanach, otwierając ją i zamykając, raz po raz. Decyzja: zadzwonić do Ricka czy Wesa, wydawała się jej wyborem między jej dwojgiem dzieci i choć w głębi duszy wiedziała, kogo pragnie, uważała, że nie zasłużyła na prawo słuchania swojego serca. Musiała zrobić to, co było dobre dla jej rodziny, a ponieważ nie wiedziała, co by to mogło być, nie zadzwoniła do żadnego z nich. Następnego dnia w pracy czekała nerwowo na Ricka, ale dowiedziała się, że wziął tydzień wolnego. Zamiast zadzwonić do niego z pytaniem, dlaczego to zrobił, przejęła jego zmiany, traktując je jak prezent gwiazdkowy.

A teraz było za późno.

– Musimy porozmawiać – wykrztusiła. Żal ścisnął jej gardło tak, że niemal nie mogła wydobyć z siebie głosu.

– Tak – przyznał z westchnieniem. – Ale to nie jest dobra pora.

Miał rację. Tragedia ich niedoszłego związku była niczym w porównaniu z tragedią Yesenii, którą wysłano pięć tysięcy kilometrów od matki. I choć chciała się wtulić w kuchenny zapach Ricka i rozplątać zaciśnięty supeł swoich obaw, wiedziała, że on ma rację. Nie pora na to. Teraz chodziło tylko o Yesenię.

Rick włączył radio. Letty patrzyła przez okno na drzewa, które rzedły, a potem całkiem znikły na odcinku od Mission Hills do Bayshore. Potem, gdy obok Aleksa usiadła odrętwiała Carmen, ruszyli do San Francisco.



Siedzieli we czwórkę, ściśnięci obok siebie w małym biurze na czwartym piętrze nijakiego budynku. Letty znajdowała się najbliżej jedyne go okna. Po drugiej stronie ulicy widziała schronisko urzędu imigracyjnego, parking ogrodzony siatką i rząd czekających białych, nieoznakowanych autobusów. Prawniczka – KATE MARTIN, głosiła tabliczka na jej biurku – zauważyła spojrzenie Letty i wskazała uzbrojonego policjanta, który prowadził do autobusu mężczyznę w średnim wieku.

– Dlatego wybrałam ten gabinet – powiedziała. – Żeby nie zapomnieć.

Carmen nie wytrzymała tego widoku. Zasłoniła usta ręką. Rick wstał i opuścił roletę. Alex łypnął na Kate spode łba, jakby była osobiście odpowiedzialna za los tego skutego mężczyzny na parkingu.

Letty zaklinała prawniczkę w myślach, żeby się pospieszyła i powiedziała im, co mają robić. Nie mogła znieść tego ciasnego gabinetu, poczucia winy Aleksa, strachu Carmen, skupienia Ricka, ale młoda kobieta się nie spieszyła. Powoli wodziła po nich spojrzeniem ciemnych, poważnych oczu, od Letty przez Ricka i Carmen do Aleksa, mówiąc z taką pasją, jakby Yesenia była jej własną krewną. Rick pochylił się do Carmen i tłumaczył każde jej słowo.

– Prawda wygląda tak – powiedziała Kate, wyjaśnwszy jak najprostszymi słowami, co stanie się z Yesenią – że nie powinno się to wydarzyć w taki sposób. Policjanci z aresztu są zobowiązani wzywać urząd imigracyjny jedynie w przypadku brutalnych przestępstw. Ale widywałam już dzieci deportowane po kradzieży zepsutego roweru, więc nie mogę powiedzieć, że jestem zaskoczona. Zwłaszcza w Mission Hills.

– Ale dlaczego wysłali ją do Wirginii? – rzucił Alex. – Deportują ją?

Carmen zamknęła oczy, słysząc to słowo. Zakołysała się na krześle. Patrząc na nią, łatwo było wyobrazić ją sobie z Yesenią w ramionach, łatwo było zobaczyć jej ciepło i siłę. Letty dostała mdłości na myśl o Carmen siedzącej samotnie w swoim mieszkaniu i czekającej na telefon Yesenii. Dziewczynka mogła dzwonić do matki, ale tylko dwa razy w tygodniu, i za każdym razem powtarzała, że nic jej nie jest. Carmen powiedziała Letty, że to nieprawda. Strach w głosie jej córki był wyraźnie słyszalny nawet z drugiego końca kraju. Nie rozumiała, gdzie się znalazła ani dlaczego; chciała tylko wrócić do domu.

Kate w odpowiedzi ułożyła dokumenty na biurku, wskazując na czerwone słowa „nieletnia bez opieki”.

– Yesenia nie chce podać nazwiska matki – oznajmiła. – To częsta sytuacja. Dzieci nie chcą, żeby ich rodzice mieli kłopoty z urzędem imigracyjnym, zwłaszcza kiedy to one nabroły. Dlatego do sprawy włączyło się Biuro Przesiedlenia Uchodźców i Yesenia została wysłana do Wirginii, ponieważ akurat tam mieli wolne łóżko dla postawionej w stan oskarżenia nieskłonnej do przemocy

piętnastolatki.

Letty zarejestrowała ich odmienne reakcje na słowa Kate: westchnienie Ricka, skulone ramiona Carmen, strach Aleksa. Letty wiedziała, co myśli jej syn: nieważne, że Yesenia znajduje się wśród osób nieskłonnych do przemocy. Beze mnie nigdzie nie jest bezpieczna.

Kate mówiła i mówiła o tym, co jest celem istnienia Biura Przesiedlenia Uchodźców, wyjaśniała, że dzieci imigrantów są w tym kraju najbardziej bezbronni wobec przestępców i że biuro ma je chronić przed złymi ludźmi. Letty potrząsnęła głową gwałtownie, błagając prawniczkę, by nie wdawała się w szczegóły co do tych „złych ludzi” ani tego, czego mogliby chcieć od Yesenii. Alex i tak już szalał ze strachu, jeszcze trochę i straci panowanie nad sobą.

Rick chyba pomyślał to samo, bo przerwał Kate, zanim zdążyła zacząć nowe zdanie.

– Spójrz na nas – powiedział, ledwie panując nad frustracją. Wykręcał palce, aż strzelały w stawach. – Jak możesz mówić, że Yesenia jest sama? Nie jest i nie była.

– Ja to wiem. – Kate pokręciła głową i spojrzała mu w oczy. – Jestem po waszej stronie, pamiętacie? Mam wam pomóc sprowadzić Yesenię do domu.

W gabinecie nagle zrobiło się gorąco. Kate podeszła do okna i podniosła rolety, otworzyła okno, na ile się dało. Do środka wsączył się szary dzień. Rick przez długą chwilę spoglądał w sufit, opanowując się.

– Przepraszam – powiedział. – Wiem.

Kate wyjrzała przez okno. W dole podjechał nieoznakowany autobus z przyciemnianymi szybami. Zabłyśły czerwone światła hamowania. Mężczyźni, kobiety, dzieci, niemowlęta – w tym autobusie mógł się znajdować ktokolwiek, w drodze do dokądkolwiek. Nikt by się nie dowiedział.

– W porządku – powiedziała. – Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, przez co przechodzicie.

Z westchnieniem obeszła biurko i wyjęła z drukarki komplet kartek. Podała je Carmen. Carmen, która nie odezwała się ani słowem, odkąd weszli do gabinetu, spojrzała na nią wielkimi oczami.

– Yesenia potrzebuje sponsora – oznajmiła rzeczowo Kate. Największą szansę miałyby, gdyby była to jej matka. Mężczyźni, przyjaciele rodziny – jednym spojrzeniem skreśliła Ricka – są niebezpieczni. Jeśli Carmen się nie ujawni, proces będzie o wiele dłuższy i trudniejszy.

Carmen patrzyła na nią z czystą paniką. Przez całe życie unikała wszystkiego, co miałyby związek z urzędami, a teraz musiała wypełnić plik dokumentów i pozwolić zdjąć sobie odciski palców. A to przecież nie wszystko. Letty wiedziała, co ją czeka w Meksyku.

– A ja? – spytała. Alex odwrócił się do niej z nadzieją, miłością

i wdzięcznością tak wielką, że omal nie zemdląca.

– Nie oddadzą ci jej – odparła Kate, kręcąc głową. – Alex był jej współnikiem. Jeśli nie ma żadnego innego krewnego, to naprawdę musi być Carmen.

Cała czwórka zamilkła. Od wywiezienia Yesenii gorsza była chyba tylko deportacja Carmen. Letty wyobraziła sobie, jak dziewczynka wraca do domu, nie znajduje matki i uświadamia sobie, że to jej wina. Tak się mogło stać. Czy ta prawniczka wiedziała, czego żąda? Ale Kate, jakby czytała w myślach Letty, wyszła zza biurka i kucnęła przed Carmen.

– Zrozum, wiem, że się boisz. Ale Biuro Przesiedlenia Uchodźców nie jest agencją sił porządkowych. Nie będą cię ścigać.

Bać się to mało powiedziane, świadczyło spojrzenie Carmen.

– Skąd wiesz, że nie będą? – spytał Rick. – Nawet jeśli to nie agencja sił porządkowych, to skąd pewność, że nie doniesie na Carmen do urzędu imigracyjnego?

Kate westchnęła.

– Znikąd, szczerze mówiąc. Zachowałabym się nieetycznie, cokolwiek wam obiecując. Ale mogę powiedzieć, że przez dziesięć lat mojej działalności nigdy się z tym nie spotkałam.

Alex odetchnął. Komuś tak młodemu dziesięć lat wydawało się okresem budzącym zaufanie, ale Letty i Rick mieli inne zdanie. Matka rzuciła Aleksowi ostrzegawcze spojrzenie, a on zerknął na Carmen, która siedziała z oczami wbitymi w podłogę. Dla niej to także było za mało.

Kate wręczyła jej dokumenty i wstała. Zrobiła już wszystko.

– Odnieście je wypełnione.

Ruszyła do drzwi, ale Alex podniósł się nagle.

– Czy kiedy wróci – spytał powoli, spoglądając w okno i z trudem dobierając słowa – będzie wolna?

Wszyscy wstrzymali oddech. Alex był taki dorosły, a jednocześnie nadal pozostał chłopcem. Potwierdź, błagała Letty jako matka, ale Kate za bardzo ceniła sobie swój profesjonalizm, żeby skłamać, nawet dla oszczędzenia komuś bólu. Yesenia nigdy więcej nie będzie naprawdę wolna. Będzie notowana. Może wywalczą zawieszenie wyroku, ale każde ich zwycięstwo w sądzie będzie tymczasowe.

– Nie wróci do schroniska – oznajmiła w końcu Kate, spoglądając Aleksowi w oczy. – Jeśli o to pytasz. Ale nie puszczą tego w zapomnienie. Będziemy wnioskować o odroczenie na mocy DACA – zarządzenia o osobach, które przekroczyły granicę USA przed ukończeniem szesnastego roku życia – ale nawet jeśli zostanie przyznane, Yesenia będzie musiała się o nie ponownie ubiegać co dwa lata. I modlić się, żeby nic się nie zmieniło.

– Jak to? – spytał Alex.

– DACA to zarządzenie wykonawcze, nie prawo. A to oznacza, że w każdej chwili może być cofnięte. Wystarczy, że wybierzemy nowego prezydenta i po sprawie.

Letty patrzyła, jak cień nadziei znika z twarzy jej syna, który pobladł upiornie i zaczął dygotać. Przypomniała sobie, że niedawno leżał pijany na podłodze. Trzeba było przynieść tu miskę, pomyślała, kiedy Alex chwycił się za brzuch i opadł na krzesło.

– Nie rozumiem, jak to możliwe – jęknął cicho. – To niesprawiedliwe. Ona się tu praktycznie urodziła.

Praktycznie. Cała przyszłość Yesenii zależała od tego słowa. Wiedziała o tym Letty i wiedział Alex, podobnie jak Carmen i Rick, ale żadne z nich nie mogło nic z tym zrobić. Rick podniósł Aleksa i delikatnie wyprowadził go z pokoju. Carmen poszła za nimi; ciężar dokumentów i tego, co usłyszeli, spowalniał jej ruchy.

Letty zatrzymała się w drzwiach.

– Ile czasu zajmie sprowadzenie jej do domu? – spytała.

Kate zastanawiała się przez chwilę, licząc coś na palcach.

– Nie mam wpływu na datę wypuszczenia dziecka – powiedziała. – Ale jeśli dziś wypełnicie dokumenty, zacznę nad tym pracować. I będziemy mieć nadzieję, że wszystko się ułoży.

– Dziękuję.

Letty czuła na sobie spojrzenie Kate przez całą drogę do windy i potem, kiedy szli do samochodu Ricka. Sara znalazła właściwą osobę, pomyślała. Inteligentną i zaangażowaną, choć nie całkiem rozumiała sytuację. Ale kto by ją zrozumiał? To, co się wydarzyło, było nie do pojęcia.

Wszyscy stanęli wokół samochodu Ricka, nie wiedząc, co robić. Do Bayshore mieli daleko, a po wypełnieniu druków musieliby wrócić do Kate. Rick wyjął ze schowka na rękawiczki długopis i otworzył drzwi z tyłu, dając Carmen znak, żeby rozłożyła dokumenty na siedzeniu. Nieopodal znajdowało się biuro z urządzeniem skanującym odciski palców. Pójdą do niego z wypełnionymi dokumentami, żeby zdjąć odciski Carmen. Letty oszacowała w pamięci czas, jaki na to zużyją. Powinni skończyć, nim będzie musiała odebrać Lunę ze szkoły.

Ale zanim Carmen wzięła długopis, Alex go przechwycił.

– Nie wiem, czy powinna pani to robić – powiedział. Był rozdarty, pragnął powrotu Yesenii do domu, ale wolał nie narażać Carmen. Nie chciał mieć na sumieniu kolejnej ofiary.

Carmen usiłowała odebrać mu długopis, Alex się cofał, trzymając go poza jej zasięgiem. Krążyli tak po całym parkingu.

– Proszę... – Głos mu się załamał z desperacji, malującej się też w jego

oczach. – Musi istnieć inny sposób. Ona by nie chciała, żeby pani to zrobiła.

Carmen opuściła rękę i znieruchomiła.

– *Es mi hija* – szepnęła.

Jej słowa zatrzymały rozgorączkowanego Aleksa. Yesenia była jej córką. A on nie miał prawa twierdzić, czego chciałyby lub nie, ani przeszkadzać jej w spieszeniu z pomocą. Płonące oczy Carmen świadczyły, że zrobiłaby wszystko dla swojego dziecka. Bez względu na konsekwencje.

Alex oddał jej długopis.

– Przepraszam – szepnął. – To wszystko moja wina. Wszystko.

Carmen przyjrzała się Aleksowi; Letty, wstrzymując oddech, czekała na jakiś znak przebaczenia: skinienie głowy, uśmiech, słowo. Ale Carmen nie odpowiedziała, wzięła długopis i odwróciła się od niego. To Rick wziął Aleksa za ramiona i przytulił go do siebie. Letty nie słyszała słów, które szepnął jej synowi do ucha, ale widziała, jak Alex kręci żarliwie głową: nie, nie, nie, nie. Całym ciałem opierał się Rickowi, ale ten trzymał go mocno i po długiej chwili Alex zamknął oczy i oparł się o niego, pokonany.

– *Me ayudas?* – spytała Carmen. Podąła długopis Letty. Jej twarz wyrażała niezdecydowanie, zagubienie i strach, uczucia, które Letty natychmiast zrozumiała. Ale teraz, widząc, jak stojący w tle Rick ściska Aleksa, po raz pierwszy poczuła, że niezdecydowanie ją opuszcza.

Dokładnie wiedziała, czego chce.

– Oczywiście – powiedziała, przejmując długopis od Carmen i wzdychając głęboko. – Sprowadźmy Yesenię do domu.

Alex przez cały tydzień nie odrywał spojrzenia od zegara podczas zajęć. Codziennie po szkole szedł znajomą drogą na Przystań do bloku C, a potem przez mokradła do ogrodzenia lotniska. Opierał się o siatkę i spoglądał w niebo, wypatrując przybywających z różnych stron samolotów. Wkrótce w jednym z nich znajdzie się Yesenia, która odbędzie podróż ze wschodu na zachód w eskorcie policjanta w cywilu, za którego bilet, podobnie jak za bilet Yesenii, miał zapłacić Rick.

W piątek Alex uciekł z ostatniej lekcji i poszedł prosto na swój posterunek nad wodą. Włożył kaptur i zaciągnął jego sznurek w ciasny supeł pod brodą, tak że było widać tylko mały krążek twarzy. Było zimno. Złowaciały grunt trzaskał i kruszył się pod jego krokami. Podeszedł do siatki, położył się na suchej trawie i wetknął sobie plecak pod głowę.

Kolejka na pasie startowym była długa. W dzieciństwie najbardziej lubił piątki. Siadywał wtedy przy pracującym dziadku i wymyślali weekendowe przygody ludzi z samolotów. Za najbardziej kreatywne lub skandaliczne historie przyznawali sobie punkty. Usiłował to powtórzyć, wyobrażał sobie pikniki w parku Yellowstone i wieczór w nowojorskiej operze, ale bez przekonania. Urok zabawy z dziadkiem polegał na tym, że potajemnie marzył, iż kiedyś jego życie będzie tak wyglądać, i choć matka upierała się, żeby się nie poddawał, żeby nie tracił nadziei, przyszłość wydawała mu się mglista i nieosiągalna. Książki pod jego głową, których ostre krawędzie i grube grzbiety niegdyś wydawały mu się prostą drogą naprzód, w tej chwili stały się tylko ciężarem.

W trawie, o parę kroków od niego, coś głośno zaszeleściło. Usiadł, myśląc, że to zając albo nawet lis, ale ujrzał idącego przez mokradła Wesa. Nie spodziewał się go. Nikomu nie powiedział, gdzie spędza popołudnia.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem?
- Najpierw poszedłem do szkoły – odparł ojciec. Alex czekał na reprimendę, ale Wes nie powiedział nic więcej, tylko podniósł go z ziemi.
- Chodź – ponaglił. – Samolot Yesenii ląduje za godzinę.

Kiedy przyjechali, na miejscu byli już wszyscy – Rick, Letty, Carmen i Luna. Stali u stóp ruchomych schodów. Skinęli głowami, ale się nie odezwali, zbyt przerażeni, żeby wydusić z siebie głos. Prawniczka zadzwoniła, kiedy Yesenia już leciała, ale nadal mieli wrażenie, że wszystko może się zdarzyć. Samolot mógł

się rozbić. Albo zawrócić, albo ci z urzędu mogli zmienić zdanie i skuć Yesenię tuż po wylądowaniu.

I raptem, niespodziewanie, ukazała się u szczytu schodów i płynęła w dół. Alex wyrwał się z tłumu, nie mogąc się powstrzymać, popędził w górę zjeżdżającymi schodami, potracając walizki, torebki, wysokie obcasy, aż wreszcie jej dopadł. Dotarł do połowy schodów, drapiąc sobie kostki o ostre metalowe stopnie, tak twarde, że rozdarły mu nogawki spodni. Obejmując Yesenię, czuł cienką strużkę krwi spływającą mu po nodze. Ale ból nic nie znaczył. Yesenia wtopiła się w jego pierś, pozwoliła mu się tulić, dopóki nie dotarli na dół, gdzie odsunęła się od niego i wpadła w ramiona matki.

Carmen rozsłochała się potężnym łkaniem ulgi. Wytarła twarz i zasypała córkę pytaniami, których Alex nie rozumiał. Yesenia gwałtownie kiwała głową, wyprostowana tak, jak jeszcze nigdy. Nic mi nie jest, powtarzała raz po raz, ale Alex widział, że Carmen w to nie wierzy, podobnie jak on. Jednak Yesenia z uporem obstawała przy swoim i w końcu odsunęła się od matki, ucisnęła kolejno Lunę, Letty, Wesa i Ricka. Carmen, nie odrywając wzroku od córki, podpisała formularze, które podał jej policjant z eskorty, przez łzy nie widząc wyraźnie liter. Kiedy skończyła i Yesenia oficjalnie znalazła się pod jej opieką, wzięła ją za rękę i zaprowadziła przez labirynt parkingów, gdzie wsiedli do samochodów i pojechali korowodem do Courtyard Terrace.

Alex martwił się, że Carmen zechce zostać sama z córką, ale ona była zbyt wdzięczna wszystkim za pomoc, żeby ich odesłać. Przez cały tydzień, wykazując niewiarygodny optymizm, planowała przyjęcie powitalne dla córki. Podczas gdy Yesenia brała prysznic i przebierała się, Carmen nalewała drinki, nakrywała do stołu i włożyła do piekarnika tacę z enchiladami.

Carmen właśnie zamknęła drzwiczki piekarnika, kiedy Yesenia wyszła ze swojego pokoju, ze świeżo umyтыми włosami zwiniętymi w nieporządny kok, pachnąc cudownie sobą, szamponem, talkiem i truskawkowym błyszczkiem. Pocałowała matkę, zostawiając jej na policzku lśniący ślad.

– Kiedy będzie kolacja? – spytała, spoglądając na zegar. Była dopiero czwarta.

– *Una hora* – odparła Carmen, nastawiając minutnik w kuchence.

Yesenia odwróciła się do Aleksa.

– Chcesz pójść nad wodę?

Carmen zaniepokoiła się – Alex podejrzewał, że tak będzie już zawsze, gdy Yesenia zechce cokolwiek zrobić albo zniknąć jej z oczu choćby na chwilę – ale nie zaprotestowała. Kiedy Alex skinął głową, Yesenia znowu pocałowała matkę i powiedziała po hiszpańsku, że wróci przed kolacją.

Poszli na mokradła. Skute lodem ścieżki były puste, ale Yesenia i tak rozglądała się nerwowo, jakby spodziewała się zobaczyć zaczajonych w krzakach

urzędników z biura imigracyjnego. Zmieniła się tak całkowicie, bez reszty, że nie potrafił sobie przypomnieć, jaka była tej nocy na kładce dla pieszych, odważna i zdeterminowana, z oczami rozświetlonymi emocjami.

Skręcili w milczeniu na przystań, gdzie w lecie siadywali razem boso, ze stopami w wodzie. Teraz było na to za zimno. Alex przytulił się do Yesenii na tyle, na ile mógł, i patrzył, jak z jej ust ulatują kłęby pary.

– Wszystko dobrze? – spytał w końcu.

Powoli skinęła głową i zadrżała.

– Na pewno?

Oderwała spojrzenie od wody i spojrzała na niego.

– To był najdłuższy tydzień mojego życia.

– Dwieście siedemdziesiąt jeden godzin i piętnaście minut. – Obliczył to na lotnisku, czekając, aż pojawi się u szczytu schodów. – Dla mnie też.

Chwycił jej ręce i wsunął je pod swoją koszulę, przytulił do swojego brzucha, żeby je ogrzać. Yesenia popatrzyła na lotnisko, a potem dalej, na coś, co widziała tylko ona. Oczy jej się zaszklily. Zacisnęła powieki.

Alex usiłował sobie wyobrazić, przez co przeszła. Żołądek skręcał mu się od tych myśli.

– Było strasznie?

Westchnęła.

– Nie gorzej niż w schronisku – powiedziała. – Grupa nastolatków, którzy znaleźli się w miejscu, w którym nie chcieli być, i bili się z nudów.

Unióśł jej twarz ku sobie, szukając śladów. Potem podwinął jej rękawy.

– Nic mi nie jest – zapewniła i dotknęła blednącego śladu na czole Aleksa w miejscu po zderzeniu ze ścianą. Strup już odpadł, ale blizna nie zniknęła. – Mam się lepiej niż ty.

– To nic takiego – rzucił szybko i schował czoło pod kapturem.

Yesenia uniosła brwi. Sama kiedyś starała mu się powiedzieć to samo. Może gdyby słuchał, gdyby uwierzył, że potrafi o siebie zadbać, nic by się nie wydarzyło. Odwrócił się od niej, zdjęty wyrzutami sumienia, ale przyciągnęła go bliżej i przerzuciła nogę przez jego kolana. Usiadła na nich, pochyliła się i przywarła czołem do jego czoła. Poczul jej oddech na meszku nad górną wargą. Bardzo długo milczeli, patrząc na siebie.

– O czym myślisz? – spytała w końcu.

Słowa wyrwały mu się z ust, zanim zdążył się nad nimi zastanowić.

– Myślę, że powinniśmy wziąć ślub.

Yesenia wzniosła oczy ku niebu, kręcąc głową.

– Aleksie Espinosa, po prostu chcesz mi się dobrać do majtek.

– Nieprawda – burknął, strasznie zawstydzony, ale Yesenia uśmiechnęła się i zachichotała cicho. Dobrze, magicznie było usłyszeć jej śmiech, wiedzieć, że

nadal ma ochotę z niego żartować.

– Nie skończyłeś jeszcze szesnastu lat – powiedziała. – To pewnie nielegalne.

– Prawie skończyłem. I to by wszystko naprawiło.

– Poza tym, że bylibyśmy małżeństwem. Poproś mnie o rękę znowu, kiedy będziesz mieć dyplom i pierścionek z brylantem.

Trochę go to zabolalo, że tak się przed tym broniła, jakby ślub z nim był czymś strasznym, kiedy on pragnął tylko spędzić z nią resztę życia, sprawić, żeby nikt mu jej nie zabrał. Ale nie dała mu się dąsać, przytuliła go i pocałowała w ucho, szyję, policzek, brodę, przesuając usta od ramienia po czubek palca. Poddawał się temu, zapamiętując ją w każdym pocałunku, zapachu, oddechu, smaku. Kiedy wróciła do jego warg, odsunął się nagle, uderzony nowym pomysłem.

– A może Wes mógłby cię adoptować. Albo Rick.

Yesenia wyprostowała się. Spojrzała w stronę mieszkania, gdzie Carmen pewnie sprawdzała temperaturę enchilad, szykowała widelce i serwetki, układała kwiaty w wazonie. Yesenia chciała tam już być.

– Przepraszam – powiedział Alex, żałując swoich słów. – To było głupie.

Pokręciła głową, odtrącając przeprosiny. Zsunęła się z jego kolan i odwróciła w stronę wody, spojrzała na drugą stronę zatoki, gdzie na tle szarego nieba migotały światła San Francisco.

– Gdzie mogliby mnie wysłać? – spytała cicho. – Nie znam nikogo w Meksyku.

– Nigdzie cię nie wyślą – zapewnił. – Nie pozwolę na to.

Jego słowa unosiły się między nimi, ulotna smużka kłamstw, na tyle błahych, że żadne z nich nie mogło się ich uchwycić. Alex był bezradny. Jeśli ludzili się, że jest inaczej, to teraz znali już prawdę. A mimo to nie potrafił się powstrzymać. Mówił dalej, odmalowując obraz życia, w jakie chciał uwierzyć.

– Będziesz mieszkać ze swoją mamą, pójdziesz do prywatnej szkoły i mój tata będzie za nią płacić, a kiedy ją skończysz, dostaniesz stypendium do najlepszych uczelni w kraju, i będziemy codziennie pisali do siebie listy, w święta będziemy się spotykać, a po studiach uklękne przed sobą z pierścionkiem wielkim jak gwiazda.

Yesenia westchnęła i dostosowała się do jego gry.

– I będziemy mieli dzieci – szepnęła. Z kącika jej oka spłynęła łza; Alex wytarł ją kciukiem. – Małą dziewczynkę. Nazwiemy ją Maria Carmencita i będzie się wychowywać w dobrej dzielnicy, chodzić do dobrych szkół i nigdy nie pozna tego wszystkiego.

Alex skinął głową, czując, że i jemu do oczu napływają łzy.

– Może – odezwała się po chwili, ale wiedziała i on wiedział, że przyszłość to coś, co jej zabrano. Za dwa tygodnie będzie musiała się stawić w sądzie. Jej

adwokatka wniesie o złagodzenie wyroku na mocy DACA i pewnie sąd się przychyli. Ale to tylko tymczasowe rozwiązanie. Wszystko, na co pracowała, może zniknąć w każdej chwili. Spojrzał na nią, spodziewając się łez, roztrzęsienia, ale po raz pierwszy od opuszczenia domu przestała wyglądać na smutną lub przestraszoną. Była zdeterminowana. Wyglądała jak ta Yesenia, którą pamiętał, nieustannie zaskakująca go swoją siłą.

– Kocham cię, Aleksie Espinosa – odezwała się nagle, całując go.

– Ja ciebie też.

Po czym wstali razem i ramię w ramię ruszyli w długą drogę do domu.

Gdy w końcu wyszli od Carmen, już zmierzchało. Yesenia odprowadziła ich do samochodów, ale Carmen została z tyłu i przytrzymała Aleksa. Letty widziała, jak kładzie mu ręce na ramionach. Nie słyszała jej wyszeptanych słów, ale pod ich wpływem jego pierś się uniosła, a potem opadła w przeciągłym, ciężkim westchnieniu. Usłyszał wybaczenie. Wybaczenie samemu sobie zajmie mu trochę więcej czasu, ale Carmen zrobiła, co mogła. Letty podziękowała jej podczas pożegnania; Carmen uściśnęła ją szybko, po czym wróciła do domu. Zapewniono ich wiele razy, że urząd imigracyjny nie szuka Carmen, ale miało minąć dużo, bardzo dużo czasu, zanim ktokolwiek z nich w to uwierzył.

Rick wioził Letty i Lunę, Wes Aleksa, więc dwadzieścia minut później cała piątka weszła po schodach do pogrążonego w mroku domku. Letty natychmiast osunęła się na ławeczkę pod oknem. Przeżycia podczas czekania zostały zaćmione przez mocne wrażenia podczas powitania Yesenii, a to wszystko wyczerpało ją ponad wszelkie wyobrażenie. Słuchała z zamkniętymi oczami, jak Rick kładzie Lunę spać, jak Wes i Alex robią w kuchni coś do jedzenia. Kroki oddaliły się, potem zbliżyły; otworzyła oczy i zobaczyła Wesa, siadającego w milczeniu w fotelu naprzeciwko.

– Cześć – powiedziała, prostując się.

– Cześć. – Trzymał zmiętą kartkę, którą Letty natychmiast rozpoznała. – Pokazał mi ten list.

– Okropny, prawda?

Wes skinął głową.

– Dokładnie to, czego mu w tej chwili nie potrzeba.

– Wiem – zgodziła się. – I nie chodzi o to, że pan E tego nie przewidział. Ale powiedział, że dał się olśnić genialnością tego pomysłu.

– Bo to był genialny pomysł.

– To Alex jest genialny – odparła, spoglądając w stronę pokoju syna.

Wes poszedł za jej spojrzeniem, a potem zerknął za okno, gdzie ciemne drzewa chyliły się na zimnym wietrze. Miał jej coś do powiedzenia. Znała tę minę. Taką samą – uniesienie pod niepewnością i smutkiem – miał, kiedy przyszedł jej powiedzieć, że dostał się na Columbię.

– Co tam? – spytała, kiedy się nie odezwał.

Zagryzł wargę.

– Nadarza mi się pewna okazja – powiedział powoli. Oderwał spojrzenie od okna i spojrzał na nią. – Nie zamierzałem się zgodzić. Po pierwszym telefonie

niemal od razu odmówiłem, ale potem się zastanowiłem i doszedłem do wniosku, że to może wyjść na dobre nam wszystkim. Zwłaszcza Aleksowi.

– O co chodzi?

– Dostałem grant od WHO. Nasz zespół badał ulepszoną diagnostykę gruźlicy u pacjentów z HIV, a grant wymaga wyjazdu do Afryki Południowej. Rozbudowujemy personel – kształcimy miejscowych lekarzy – żeby mogli lepiej diagnozować i leczyć swoich pacjentów.

Letty słuchała, zastanawiając się, jakim sposobem coś z tego może wyjść na dobre Aleksowi. Ale Wes w następnym zdaniu odpowiedział na jej niezadane pytanie.

– Pomyślałem, że Alex mógłby pojechać ze mną. Moglibyśmy go zabrać w maju, tuż przed olimpiadą. Przepracowałby lato jako mój asystent.

Czy on naprawdę prosił, żeby pozwoliła Aleksowi, swojemu jedynemu synowi, spędzić cztery miesiące w Afryce bez niej? Jej serce wrzasnęło gromkie „nie!”, przez jej głowę przemknęły miriady niebezpieczeństw, które mogły czyhać na Aleksa, od katastrof samolotowych przez konflikty polityczne po choroby zakaźne. Ale Wes patrzył jej w oczy i Letty zrozumiała, że ma rację. To wyjdzie Aleksowi na dobre. Nie będzie musiał cierpieć podczas olimpiady, nawiąże bliższą więź z Wesem. Nie mówiąc już o ogromnych forach, jakie będzie miał podczas przygotowywania przyszlórocznego projektu.

– A pod koniec lata wróci do domu? – upewniła się.

Wes przytaknął.

– Ale ty nie.

Uciekł spojrzeniem i pokręcił głową.

– Nie, ja nie.

Letty przypomniała sobie, jak siedział na przyjęciu gwiazdkowym z rękami pełnymi zdjęć. Teraz widziała, że jego pragnienie bycia z nią zrodziło się z ducha świąt i nadmiaru szampana, niczego więcej. Wes miał własne życie, w którym nie było miejsca dla niej. Nigdy nie było w nim dla niej miejsca i właśnie dlatego kiedyś pozwoliła mu odejść.

W tej samej chwili Alex wszedł do pokoju. Przebrał się we flanelowe spodnie od piżamy i podkoszulek i usiadł na drugim fotelu obok ojca. Jego mina świadczyła, że już wie.

– Co o tym sądzisz? – spytała go.

– A ty? – Alex był lojalny wobec niej i serce jej urosło od tego oddania... po wszystkim, co mu zrobiła.

– Moim zdaniem to brzmi świetnie.

Alex odetchnął z ulgą.

– Moim też. Ale nie przez całe lato. Może przez miesiąc.

– Jasne. Bo nie potrafisz się rozstać z matką na dłużej.

Alex zaczerwienił się i uśmiechnął jak winowajca. Dopiero odzyskał Yesenię. Letty dziwiła się, że w ogóle rozważał rozstanie z nią. Ale to ją cieszyło. Byli jeszcze tacy młodzi.

Wes podniósł się z fotela.

– Dzięki, Letty.

Skinęła głową i wstała, żeby go uściskać. Alex odprowadził go do samochodu. Wes był od niego o parę centymetrów wyższy, ale Alex ostatnio rozrósł się w ramionach. Mieli taką samą sylwetkę, takie same ruchy, takie same włosy. Przyjdzie czas, że nie zdoła ich rozróżnić, patrząc na nich od tyłu.

W korytarzu rozległo się ciche stąpanie Luni. Letty odwróciła się i spojrzała na córkę. Rick przebrał ją w letnią koszulkę nocną, ale znalazł podkolanówki i włożył jej pulower.

– Gotowa do łóżka?

Luna pokręciła głową i przyskakała do okna, a potem wspięła się na ławeczkę.

– Nie chcę spać.

– Jest zmęczona – powiedział Rick i Letty zaczęła się zastanawiać nad rozmową, która doprowadziła do zestawu podkolanówki-nocna koszula-sweter.

– Nie jestem! – oznajmiła Luna.

Letty spojrzała na Ricka, unosząc brwi. Rick niemal niedostrzegalnie poruszył głową, zbyt delikatnie, żeby Luna to dostrzegła.

– Dzięki, że ją przebrałeś – powiedziała. – I wiem, że Carmen już ci podziękowała, ale dziękuję jeszcze raz, że zapłaciłeś za bilet Yesenii. To wspaniały gest.

Rick wzruszył ramionami. Klepnął się po kieszeni, szukając kluczyków.

– Wiesz, że zrobiłem to z radością.

– Wiem – odparła. Usiłowała znaleźć odpowiedni czas, a teraz, widząc, jak zbiera się do odjazdu, zrozumiała, że nie może już zwlekać ani minuty. Wypadła z pokoju i wyjęła z szafy kopertę.

Kiedy wróciła, Rick stał przy drzwiach, patrząc na nią ze zdziwieniem.

– Sama kupiłabym bilet Yesenii – powiedziała, przełykając ślinę przez zacisnięte gardło – ale zbierałam na coś innego.

Rick wziął kopertę i powoli ją otworzył. Wyjął z niej bilet na samolot. Z San Francisco do Morelia i z powrotem, na szósty i szesnasty kwietnia.

– To twoje ferie wiosenne – rzuciła nerwowo. Bilety były bezzwrotne. – Miałam nadzieję, że polecisz z nami... żeby poznać moich rodziców.

Luna nagle pojęła, co się dzieje, zerwała się z ławeczki pod oknem i chwyciła bilety. Jeśli nawet była zmęczona, to już jej przeszło. Zaczęła skakać po pokoju na jednej nodze, powiewając biletami nad głową. Tak samo zareagowała w świąteczny poranek, kiedy dowiedziała się, że odwiedzą dziadków.

– Lecisz z nami! – wrzasnęła, uwieszając się na nim.

Letty patrzyła na Ricka, przechodzącego od szoku do zrozumienia. Luna zaciągnęła go na ławeczkę pod oknem, wskoczyła mu na kolana i zaczęła opisywać ze szczegółami dom Espinosów. Znała go z tych samych opowieści na dobranoc, co Letty w dzieciństwie, a teraz opowiedziała Rickowi o gajach cytrynowych, basenie, złożonych na strychu mozaikach z piór i festiwalach na rynku.

Gdy w końcu przestała paplać, Letty usiadła obok nich i wsunęła rękę pod kolano Ricka, żeby Luna nie widziała. Uścisnęła je lekko.

– Zgadzasz się?

Rick milczał przez chwilę z cieniem uśmiechu na twarzy. Potem skinął głową.

– Tak.

Letty odetchnęła. Poczowała, że jej ciało odpręża się po raz pierwszy, odkąd Alex napytał sobie kłopotów. Oparła głowę na ramieniu Ricka i przytuliła Lunę do piersi.

– Przepraszam, że potrzebowałam tyle czasu.

– Nie szkodzi – szepnął z wargami przy jej uchu. – Warto na ciebie poczekać. – A potem dodał, głaszcząc Lunę po rozwichrzonych włosach: – Na was.

Alex wszedł do pokoju, trzaskając drzwiami z siatki. Luna zerwała się, chwyciła go za rękę i przyciągnęła na zatłoczoną ławeczkę pod oknem. Letty i Rick przesunęli się, żeby zrobić mu miejsce. Alex padł na siedzenie i położył głowę na kolanach matki. Luna rzuciła się na niego. Alex wrzasnął i połaskotał ją, Letty połaskotała Aleksa, a Rick przytrzymał się framugi, żeby wszyscy nie spadli.

Kiedy się uspokoił, Luna uniosła głowę znad poduszki i spojrzała bratu w oczy.

– Alex?

– Co?

Mała patrzyła ze strapieniem i Letty zastanowiła się, czy usłyszała rozmowę o Afryce Południowej. Nie chciałyby, żeby jej brat wyjechał na miesiąc.

Ale nie chodziło o to.

– Czy Yesenia wróciła na zawsze? – spytała, kładąc głowę na piersi Aleksa.

Alex zerknął na Letty, a ona nagle przypomniała go sobie jako małego chłopca, siedzącego na kolanach dziadka na Przystani. Wpadła do domu między zmianami, żeby się przebrać, i znalazła ich przy oknie, patrzących na puste od dawna zimowe niebo, które nagle zalał biały potop mew. „Czy one wróciły na zawsze?” – spytał Alex żalonym głosem, ledwie przebijającym się przez nieustanny wrzask ptaków. Ale jego dziadek pokręcił głową, a za nimi stanęła Maria Elena, która zacytowała kazanie świętego Franciszka do ptaków: „Bóg uczynił was szlachcicami wśród stworzeń i przydzielił wam mieszkanie w czystym powietrzu”. Letty pamiętała, że poczuła się wtedy bliska tym ptakom, w drodze

z jednej marnej pracy do drugiej: Bóg nie obdarował ich niczym. Ale teraz, z ciężarem myśli Aleksa na swoich kolanach, uświadomiła sobie, że nic nie rozumiała. Ptaki miały wszystko, czego potrzebowały. Dom w czystym powietrzu, chwilę nieważkości, uwolnienie od ciężaru życia.

Alex westchnął i pocałował siostrę w nos.

– Jest w domu – powiedział po prostu. Może także przypomniał sobie słowa dziadka, bo dodał tak cicho, że Letty ledwie to usłyszała: – Jest w domu wszędzie, gdzie się znajdzie.

Lunie to wystarczyło. Sapnęła z zadowoleniem i zamknęła oczy, a Alex wyjrzał przez okno.

Za oknem stał wielki, mroczny świat.

Ale z miejsca, w którym się znajdowali, w łagodnym świetle salonu, Alex go nie widział. Widział tylko swoje odbicie – a także odbicie Luny, Letty i Ricka, stłoczonych razem na zbyt krótkiej ławeczce.

Letty spojrzała w oczy odbiciu Aleksa.

– Jest w domu.

Skinął głową.

– My też.

Rick uściśnął kojąco dłoń Letty, a ona pocałowała Aleksa w czubek kędzierzawej głowy.

Miał rację.

Jak dla ptaków w locie, ich dom był tu, gdzie byli.

Podziękowania

Podobno trudno napisać drugą książkę. Nie wiem, czy to prawda, ale w to wierzyłam i ta książka naprawdę przyszła mi z trudem. Z wielkim trudem. To znaczy, że nigdy bym jej nie skończyła, gdyby nie wiele osób, które w najczarniejszej godzinie wkraczały, żeby przywrócić do życia mnie i książkę.

Po pierwsze, Tasha Blaine, która pojawiła się, kiedy niemal się poddałam, i w rekordowym czasie pokazała mi, co nie działa i dlaczego. Dla tej powieści wydarłam sobie serce i napisałam na nowo niemal wszystkie strony. Nigdy nie zdobyłabym się na taką pewność siebie, siłę i dalekowzroczność, gdyby Tasha nie odbierała każdego mojego telefonu. Pewnego słonecznego popołudnia w Bostonie siedziałyśmy w Ogrodzie Publicznym i nakreśliłyśmy całe tło historii, a ja pamiętam, jak pomyślałam rozradowana – co w tym takiego trudnego? Tasho, zamierzam napisać wszystkie przyszłe książki z tobą, czy ci się to podoba, czy nie.

Moja agentka Sally Wofford-Girand jest moją ostoją. Dopiero zaczęło do mnie docierać, jakie miałam niewiarygodne szczęście, zyskując ją jako agentkę, redaktorkę i przyjaciółkę. Sam Fox i wszyscy z Union Literary sprawili, że praca z nią jeszcze bardziej przypominała ziszczone marzenie.

Po raz drugi miałam to wielkie szczęście, że wydałam książkę w Ballantine. Jestem wdzięczna Jennifer Smith, Jennifer Hershey, Kim Hovey i LibbyMcGuire, które uwierzyły w tę książkę, gdy ledwie nadawała się do czytania, dostrzegły tkwiący w niej potencjał i nie ustawały w dopingowaniu mnie, dopóki nie osiągnęłam poziomu, którego się po mnie spodziewały.

Kiedy tuż po sprzedaniu *Sekretnego języka kwiatów* zatrudniłam Marię Wessman-Conroy, powiedziałam jej, że potrzebuję kogoś do pomocy przy dzieciach – choć chciałam spędzać z nimi każdą chwilę – i że czasem sama myśl o zmyciu talerzy tak mnie przytłacza, że muszę się położyć. W tamtym okresie całe moje życie stanęło na głowie i nie wiedziałam, czego mi potrzeba. Ale Maria wiedziała. Potrzebowałam jej miłości do mnie i do moich dzieci i dała nam ją, w każdej chwili każdego dnia, przez trzy lata moich podróży autorskich w sześciu krajach. Nie dokonałabym tego bez niej i zawsze będę jej wdzięczna za miłość i troskę w niewiarygodnie trudnym czasie. Jestem także wdzięczna Kasey Reinitz, która wspierała naszą rodzinę z oddaniem i wspaniałomyślnością przez najtrudniejszy rok poprawek, i Emily Grelle, której poetyczna, refleksyjna dusza i głęboka znajomość języka ulepszyły każde zdanie tej książki. Jeśli w ciągu tej dekady zdołam napisać trzecią powieść, trzeba będzie podziękować za to Emily!

Podczas pisania książki zawsze następuje chwila, która wydaje się niemal

boska lub pochodząca nie z tego świata. Podczas pisania *Nie prosiliśmy o skrzydła* ta chwila nastąpiła na uroczystości w San Luis Obispo, kiedy poznałam Gabrielę Sepúlvedę. Silna, zabawna, inteligentna i niepokonana Gabby sprawiła, że uwierzyłam we wszystko, o czym pisałam, i zachęciła mnie, żebym nie przestawała. Ale mogłabym nie wytrwać, gdyby nie Nancy Gutierrez i Maritza Cervantes, niezmordowanie pracujące nad moim hiszpańskim, geografią i meksykańskimi gramami karcianymi, a później – Ara Jauregui, Sandra Martinez, Mayra Morales i Maria Rendon-Garcia, które przeczytały ostateczną wersję książki i dały mi odwagę, żeby wysłać ją w świat.

Żeby napisać tę książkę, musiałam się dowiedzieć wszystkiego, czego nie wiedziałam: z dziedziny nauk ścisłych (Allison Shultz, robiąca doktorat na Harvardzie, nauczyła mnie wszystkiego o piórach i pisała do mnie e-maile w idealnych momentach dla rozwoju akcji, żeby się upewnić, czy wiem, że zbieranie piór dzikich ptaków jest nielegalne; Noah Diffenbaugh, mój szwagier i klimatolog ze Stanfordu, wyjaśnił mi znaczenie sygnatur izotopowych, a w ostatniej godzinie przed wysłaniem książki do drukarni pomógł mi przerobić pierwsze rozdziały), imigracji (Marisa Cianciarulo i Hayley Upshaw pomogły mi zrozumieć prawa imigracyjne, które są prawie bezsensowne), medycyny (Kathryn Stephenson i Reagan Schaplow wyjaśniły mi, kim konkretnie jest Wes) i sztuki barmańskiej (Gabrielle Dion i mój brat Mark Botill, bardzo uzdolnieni barmani, otworzyli mi oczy na dawne, obecne i przyszłe koktajle). Jestem wdzięczna wszystkim tym nadzwyczajnym osobom, które hojnie dzieliły się ze mną swoim czasem i wiedzą, a także Adanowi Gutierrezowi-Gallegosowi, który pozwolił mi pożyczyć swój tatuaż na piersi z pięknym zdaniem, jakie zainspirowało postać Ricka.

Chciałabym podziękować wszystkim z Grand Del Mar w Mt. Madonna Center za zapewnienie mi własnego pokoju, kiedy najbardziej go potrzebowałam – a zwłaszcza mojej teściowej Saradzie Diffenbaugh i mojemu teściowi Dayanandowi Diffenbaughowi, którzy robią najlepszy czaj na zachód od Oceanu Indyjskiego. Za opiekę nad moimi dziećmi i danie mi emocjonalnej (i fizycznej!) przestrzeni do pisania pragnę podziękować Kenowi Flemingowi, Melindzie Vasquez, Amy Moylan, Lucii Castiñeirze, Noelle Danian, Megan Gage, Kirsten Fried, Lissie McDermott, Dawn Calvert, Jan Mongkolkasterin oraz Holly i Rebecce Wilson. Za czytanie pierwszych wersji książki i szczere, życzliwe uwagi: Rachel IcIntire, Angeli Booker, Polly Diffenbaugh, Heather Kirkpatrick, Mary Sullivan Walsh, Talayi Delaney, Barbarze Tomash, Edowi Vasquezowi, Liz George i Jimowi Botillovi. Za długie spacery i fantastyczne rozmowy chciałabym podziękować mojej drogiej przyjaciółce Jennifer Jacoby; większość olśnień podczas pisania tej książki zdarzyło mi się, gdy biegałam wokół Fresh Pond z Jen, w deszczu, śniegu i zawiei.

Znalezienie właściwego tytułu zajęło mi cztery lata i wiele bezsennych nocy. W końcu to mój przyjaciel z dzieciństwa David Jones wymyślił zdanie, które zmieniło się w *Nie prosiliśmy o skrzydła*. Nigdy nie zdołam mu się odwdzińczyć za to, że tak dobrze zawarł w jednym zdaniu wszystkie tematy i emocje tej książki.

W końcu chciałam wyrazić największe wyrazy wdzięczności mojemu mężowi, PK Diffenbaughowi, miłości mojego życia, i moim dzieciom – Donovanowi, Tre’von, Graciel i Milesowi, które musiały ze mną mieszkać, kiedy pisałam tę książkę. W pewnym momencie w środku szczególnie trudnego rozdziału moja siedmioletnia córka powiedziała: „Już nie chcę być pisarką, bo kiedy piszesz i ci nie idzie, masz okropny humor!”. Co oczywiście jest prawdą, i to łamiącą serce. Mogę tylko za to przeprosić i mieć nadzieję, że zapomnicie, jaka byłam podczas pisania tej drugiej książki. Słyszałam, że pisanie trzeciej powieści to niekończąca się radość – nie wiem, czy to prawda, ale w to wierzę!

O autorce

Vanessa Diffenbaugh jest autorką bestsellera „New York Timesa” *Tajemny język kwiatów*, przetłumaczonego na ponad czterdzieści języków. Ma czworo dzieci i mieszka ze swoim mężem w Monterey w Kalifornii. Jej pasją oprócz pisania jest prowadzenie spraw adopcyjnych. Zasiada też w radzie Youth Villages, gdzie wspiera misję radykalnego poprawienia warunków najbardziej potrzebujących dzieci i rodzin amerykańskich. Dowiedz się więcej na YVLifeSet.org.

